

51.985.082  
Ch.

DANUTA MOSTWIN

# JA ZA WODA, TY ZA WODA...

INSTYTUT  
PARYZ



LITERACKI  
1972



DANUTA MOSTWIN

JA ZA WODĄ, TY ZA WODĄ...

IMPRIMERIE EN FRANCE

INSTYTUT LITERSKI

PARYZ

17, RUE DE LA HARPE

1933

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 216

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

DANUTA MOSTWIN

**JA ZA WODA,  
TY ZA WODA...**

**INSTYTUT**  
**PARYŻ**



**LITERACKI**

1972

MIWTZOM ATUNADI

TEGOŻ AUTORA

W BIBLIOTECE « KULTURY »

*Ameryko, Ameryko*, 1961

*Olivia*, 1965

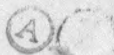
U INNYCH WYDAWCÓW

*Dom starej lady*, 1958, Veritas Foundation, Londyn

*Asteroidy*, 1965, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn.



1171.985.082



Chr.

INSTITUT LITTERAIRE

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1972

1972 W 1049/1

CHERRY AVENUE - MEMPHIS

CHĘŚĆ PIERWSZA

Reddy Hill — czołgi łowca  
Dobry Kucharski...  
Lampadowy...  
W ciemności...  
Kierownik...  
Dobry Kucharski...  
Przebieg...  
Reddy Hill...  
Młody...  
Jeszcze...  
Tutaj...  
Dobry Kucharski...  
— Nie...  
Dobry...  
— Nie...  
Czerwona...  
— Tak...  
Kucharski...  
— Reddy Hill...  
— Tak...  
Dobry...  
— Tak...





## Rozdział I

### CHESTNUT AVENUE — PROLOG

Rudgley Hills! — zawołał kierowca.

Doktor Ketler przybliżył twarz do szyby autobusu, przesłonił oczy ręką. Z *parkway* wjechali w aleję przedmieścia. Mżyło. Listopadowy wieczór. Wysokie latarnie o szerokich, pyzatyach twarzach biegly szybko ulicą. W oknach domów lampy-drogowskazy dla zbłąkanych. Z daleka czerwony odbłask reklam padał na jezdnię. Kierowca zatrzymał gwałtownie, autobus zakolysał się. Doktor Ketler podniósł się pośpiesznie, przytrzymał poręcz siedzenia, aby utrzymać równowagę. Przcisnął się do motorniczego.

— Rudgley Hills?

Murzyn odwrócił się, pokręcił głową.

— Jeszcze nie tu. Następnny przystanek.

— Tu?

Doktor Ketler postąpił krok w kierunku wyjścia, drzwi autobusu były zamknięte.

— *Next stop!* — krzyknął kierowca.

Doktor cofnął się. Spojrzał poprzez szybę i ponad głową motorniczego. Autobus zatrzymał się na czerwonych światłach. Pada — pomyślał.

— *Next stop?* — powiedział.

Czerwone światło przeszło w żółte, zielone, autobus ruszył.

— Tak — odparł Murzyn nie odwracając głowy. — Rudgley Hills! — zawołał.

Kobieta przcisnęła się pomiędzy doktorem i kierowcą.

— Rudgley Hills?

— *Yes mam.* — Zatrzymał autobus.

— ... *and Chestnut Avenue?* — spytał doktor.

Murzyn odwrócił się. Poprzez otwarte automatycznie drzwi wilgotny wieczór wtargnął do autobusu.

— *What?*

— Si-ejcz-i-es-ti — spelował doktor.

— O! — zawołał Murzyn. — Chestnut! — Jego twarz była ciemną plamą, tylko zęby i białka oczu. — Pójdzie pan dwa bloki prosto, potem na lewo, cztery bloki prosto. Jaki blok?

— Numer 513.

— Piąty blok... to potem skręci pan na prawo.

— *Thank you, thank you very much.*

— Teraz niech pan przejdzie na drugą stronę ulicy i dwa bloki prosto, aż do kina, potem na lewo...

— *Thank you, thank you very much.*

— *You welcome.*

Doktor Ketler zeszedł po schodkach autobusu, odwrócił się. Twarz Murzyna ginęła już, roztapiała się w wieczorze, tylko uśmiech pozostał szeroki i biały, był to uśmiech zdumienia — przylgnął do czarnego beretu doktora i jego jasnego, nieamerykańskiego prochowca.

— *Thank you!* — krzyknął doktor i podniósł rękę gestem przyjacielskiego podziękowania.

Szum odjeżdżającego autobusu zagłuszył jego podziękowanie. Doktor cofnął się, koła autobusu opryskały mu płaszcz.

— Cholera — mruknął.

Chciał przejść jezdnię, ale zatrzymał go strumień przyjeżdżających samochodów. Przez chwilę stał, jakby na wyspie pomiędzy dwoma przyciwlegle poruszającymi się sznurami aut. Po rozgrzanej duchocie autobusu cierpka, chłodna wilgoć wstrząsnęła nim, podniósł kołnierz płaszcza. Te różnice temperatury! Przegrzewają! Piłat ostrzegał mnie.

Przeszedł na drugą stronę, rozejrzał się. Był w samym środku *Shopping Centre* podmiejskiej dzielnicy. Na wprost niego wysoki, nowoczesny, ubrany już świątecznie budynek *Department Store* górował nad dzielnicą. Zajmował cały narożnik na którym kończyła się ulica przechodząc w potężnych rozmiarów *parking lot*. Sama ulica była wąska niedopasowana do wspaniałości budynku, tłoczyły się przy niej nierówne domki z oświetlonymi wystawami sklepów wtłoczonymi w przestrzeń zbyt skąpą, jak chłopak który dorasta w zbyt ciasne, połatane spodnie, chociaż naokoło i poza *Department Store* przestrzeń wydawała się nieograniczona i opadała coraz mniejszymi falami w nieskończoność. Poczul się zgubiony z jednej strony wśród morza otaczających go po brzegach ciemności, z drugiej atakowany przez włączące mu wprost w oczy reklamy: cen produktów, nadzwyczajnych okazji,

wyprzedazy i jaskrawych zielono-czerwonych ornamentów świątecznych. Ulica rajcowała, a chociaż cicho i niemal pusto, bo przechodniów było niewiele, jej jazgot był męczący i — jak myślał doktor Ketler — w złym tonie.

— Po jaką cholerę ja tu przyjechałem? — mruknął — godzinę tłuc się autobusem i nie wiadomo jak się dostanę z powrotem. Zadupie, prowincja.

Była to jednak prowincja na miarę amerykańską, krzykliwa i dosytna z brzuchatym *supersamem* siedzącym na niej okrakiem i pomniejszych „supersamikami” biegnącymi ku niemu po obu stronach handlowej ulicy, podczas gdy w prowincjonalnym, polskim supersamie największą atrakcją była nazwa łącząca polską miłość do polskiej mowy z polskim snobizmem na zagranicę i cywilizację.

— Dwa bloki prosto, potem na lewo, cztery bloki prosto, skrócić na prawo... kino?

Doktor cofnął się na skraj chodnika, spojrzał przed siebie, wzdłuż ulicy, dojrzał reklamę kina.

— W porządku.

Ruszył w stronę kina. Dwa bloki prosto — przypominał doktorowi zegarek nastawiony w mniej ważnych zwojach jego mózgu, a jednocześnie bardziej wykształcone centra kończyły świadomością, rozpoczętą jeszcze podczas podróży autobusem kalkulację:

25 centów autobus... 20 centów telefony... 75 centów kura... 20 centów sardynki... 26 centów chleb... razem jeden dolar i 66 centów. No, a jeszcze przecież herbata, znaczki, masło... Razem... trzy dolary i jedenaście centów. Przyjmując 72 złote za dolara... I to w ciągu jednego dnia! Niestychane, to drożyna! No trudno. Piłat mówił, że tu jest drogo i dolar leci nie wiadomo kiedy i jak. Obiady są najdroższe. Wczoraj nie wiadomo kiedy i jak: dolar dwadzieścia pięć. To w przeliczeniu na złote, przyjmując 72 złote za... Mógłbym mieć za to w Polsce w stołówce, a nawet w restauracji B kilka przyzwoitych obiadów. Trzeba będzie się do tego zabrać systematycznie. Wypracować naukową metodę. Naukową metodę można zastosować wszędzie, nie tylko do krętków błędnych... Uśmiechnął się. Reklama kina oświetliła jego twarz: była to twarz, przystojna, ciemna, szerokie niskie nieco zmarszczone czoło nadawało jej wyraz myślącej powagi, a kwadratowa, mocna broda energii i pewności siebie.

— Kino! — przypomniał doktorowi jego podświadomy mechanizm — potem na lewo.

Przystanął, zatrzymał się przed kinem, patrzył na afisze nie widząc... Po strudze światła wypłynęła z kina wtulona w siebie para, otarła się o doktora, potrafiła go.

— *Excuse me* — szepnął.

Nie odpowiedzieli, przytuleni, zrośnięci z sobą, strzelite nogi dziewczyny w pantoflach na niskich obcasach, smukłe biodra w krótkiej spódnicy, chłopak pochylony ku niej obejmował ją ostro ramieniem przez plecy. Ich elektryczność wstrząsnęła doktorem, jego brunatne oczy rozszerzyły się, zapaliły na chwilę, spojrzął za odchodzącymi, potem na portyk kina zauważył bileterkę, dziewczynę w oszklonej budce wysuniętej ku przodowi, patrzyła sennie w wyprężoną w betonie ulicę, krwawe wargi, szare włosy i twarz. Ziewnęła. Iskra w oczach doktora zgasła.

— Kino... potem na lewo, cztery bloki prosto.

Skręcił na lewo. Małe domki w ogródkach mrugały sennie żółtymi oknami poza woalem deszczu. Ostatnie, zwilgotniałe liście, ostatnie liliowe i żółte kwiaty, poczerńałe łodygi, zwieszona, smętnie korony pod ścianami i płótkami domów.

— Naukową metodę można zastosować wszędzie nie tylko do krętków białych... Na początek najzwyczajsza sześciogodzinna kultura organizmów z płynu mózgowo-rdzeniowego szczura. Zaczęłam piątą piętnaście po południu, osiemnaście godzin upływa jutro przed południem. Szedł przed siebie nie patrząc, był przy swoim stole w laboratorium, przyglądał się probówkom kontrolnym, przyrządzał roztwór chloromycetyny. Zmudne dociekania naukowe polskiego specjalisty przyniosły ciekawe odkrycia roli jednego z enzymów krwi... — marzył, uśmiechał się do swoich myśli. — Spróbujemy następnie uczulenie na streptomycynę. Jutro zastrzyknę organizmy do jąder i krocza królików, zakroplę również do spojówki... Jednego z enzymów krwi przy stabilizowaniu się krętków kiły... albo... pionierska praca doktora Adama Ketlera asystenta, nie, wtedy Piłat powinien mi już dać profesurę... doktor Ketler przebywa obecnie... na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych... Na przykład... mógłbym sobie wybierać uniwersytety, mógłbym przedłużyć pobyt, mógłbym...

— *O, sorry!*

Odkoczyli od siebie chichocząc nerwowo. Potraćili ich. Przytuleni do drzewa, które osłaniało ich jedynie kilkoma ostatnimi brunatnymi liśćmi nie widzieli go, ani on ich nie dostrzegł. Ta sama para. Cofnął się zmieszany. Uszedł kilka kroków, Starł się myśleć o doświadczeniach naukowych, o przyszłych sukcesach, karierze, ale wszystkie jego myśli zeskoczyły i przycupnęły chyłkiem przy całującej się parze.

— Młodość — westchnął doktor. Pochylił się, podniósł brunatno-krwawy wilgotny, świeżo opadły liść, jeden z ostatnich.

Zuł cierpko-gorzki korzonek liścia. Czuł się samotny. Po szoku przyjazdu, po pierwszych dwóch tygodniach entuzjazmu

i oszołomienia — nostalgia. Wiedział, czekało go tu 6 miesięcy ciężkiej, samotnej pracy, która przyniesie, albo nie przyniesie wyników. Wieczorami śleżał nad fachowymi pracami, które profesor-Amerykanin dał mu do przestudiowania. W nocy budził się zdenerwowany drżąc czy rozpoczęte doświadczenia udadzą mu się. Rano wracał do laboratorium potykając się, borykając z językiem angielskim, wieczorem do samotnego pokoju. Koledzy byli życzliwi, dowcipkujący, nie zawsze rozumiał ich dowcip, usłużni, ale poza pracą zamknięci w sobie, każdy z nich śpieszył się do domu, do rodziny, zaczynał istnieć tylko dla siebie. Doktor czuł, jakby dotykał ściany, która nie chciała się ugiąć, albo też, jakby nie znał rozpuszczalnika zmiękczającego ścianę. Kobiety, te smukłe, urocze Amerykanki, które oglądał na ekranie, albo w ilustrowanych magazynach zachodnich, w rzeczywistości były dużo mniej atrakcyjne. Zawsze uśmiechnięte, uprzejme, ale mało dostępne może dlatego, że nie miał samochodu, że liczył pieniądze? Zresztą żadna z nich nie spodobała mu się naprawdę. A może była to tylko naturalna reakcja? Może chwilowa, jak myślał, apatia była tylko rezultatem zbyt intensywnej pracy, zbyt męczących starań, aby uzyskać stypendium i pozwolenie wyjazdu. Zdecydował się przecież pójść na kompromis, przyjąć dobrodziejstwa reżymu, w który w głębi siebie nie wierzył, przeciwko któremu się początkowo buntował, ale który zdecydował się uznać, aby żyć łatwiej, wygodniej, aby, jak przyznawał się sam przed sobą — zrobić karierę. Nie było innego wyjścia. Może konflikt, który już dawno pogrzebał w sobie, wracał w nowych warunkach, w innym otoczeniu. Głupstwa — myślał doktor Ketler — nie ma żadnego konfliktu. Nie było i nie będzie wyboru, trzeba dostosować się do nowej rzeczywistości. Dostosowałem się, nie mam zamiaru tracić czasu i cierpieć z powodu przestarzałych ideologii. Mój obecny stan psychiczny to zwykła reakcja na samotność, zmęczenie i trochę nostalgii. Potrzebna mi rozmowa z ludźmi, trochę rozrywki, oderwanie się od rutyny codziennej. Mam nadzwyczajną okazję poznania Ameryki i nie powinienem jej przegapić. Nie przyjechałem przecież jedynie i wyłącznie dla krętków błędnych.

Był dotychczas tylko w jednym domu amerykańskim, u profesora. Już w pierwszym tygodniu po przyjeździe doktora wszyscy stypendiści zostali zaproszeni na *party*. Dom profesora żarzył się światłami, kapał światłem, szastał rozrzutnie światłem, a rozwarne, na oścież drzwi zapraszały i oczekiwały. Doktor oszołomiony przepychem oczekującej go jasności, opromieniony nią i zapalony wpłynął wprost w rozłożone gościnnie ramiona profesorskiej żony, pochylał się całując szarmancko uperfumowaną rącz-

kę, ścisnął wyciągniętą przyjacielsko dłoń profesora. Łykał łąkomiem słówka *delighted* i *so happy to meet you*, brał je dosłownie, przeznaczał dla siebie, ciesząc się wykrzyknikami i tonem głosu gospodarzy jadł *Chicken à la King* przytrzymując talerz na kolanach, popijał *Scotch and soda*, sypał obficie *thank you, thank you very much*, sięgał raz po raz po półmisek z solonymi orzeszkami, z biskwiczkami, wysuszonymi krążkami bekonu, zapalał usłusznie podsuwane papierosy, język mu się rozwiązał, mówił, wydawało mu się że lekko, wspaniale po angielsku. Profesorowa pokazywała mu swoje hobby-gablotkę z egzotycznymi motylami, profesor kolekcję starych strzelb. Cały dom był przed nim otwarty, przed nim i innymi: stypendystami z Niemiec, Szwecji, Danii, był nawet jeden z Afryki. *Help yourself, feel at home*. O godzinie 9-tej — koniec, kurtyna zapadła, zgasły światła. Kolega-Niemiec odwiózł go swoim samochodem, trzęsącym się gratem, ale samochodem. Skończyło się. Profesor nie wspominał o nowej *party*, nie wspominał nawet o *party*, był zajęty szykowaniem na wyjazd z odczytami do Europy. Żona już dwa lata nie była w Europie — pojedzie ze mną — mówił.

Nikt go już nie zapraszał. Był sam. Laboratorium szpitalne, stołówka szpitalna, listy do kraju, oczekiwanie na listy, które nie nadchodziły, praca w samotnym pokoju. W chwilach wolnych wałęsał się po mieście, oglądał wystawy, był kilka razy w kinie. Niespodziewanie szybko osaczyła go dojmująca samotność i to dręczące poczucie nieprzynależności w wielkim, obcym mieście o zamkniętych drzwiach, w mieście gdzie nie ma kawiarni i gdzie ludzie nie wychodzą wieczorami na spacer.

W kartotece lekarzy szpitalnych zaczął szukać nazwiska polskiego. Był jakiś doktor Sanoki (Sanocki?), ale wiecznie zabiegany, zajęty. Ketler zostawił *message* sekretarce, aby przesała do działu ginekologii gdzie w pewnych godzinach ów doktor przebywał, ale był nieustannie zajęty, stale *with a patient*, albo na sali operacyjnej. Prosił czy mógłby się skomunikować, że przyjechał z kraju, chętnie by z kolegą porozmawiał. Odpowiedzi nie otrzymał, ale po kilku dniach doktor Sanocki pozostawił dla Ketlera *message* u sekretarki, że prosi w czwartek wieczorem do siebie do domu na obiad. Sekretarka przespelowwała mu adres i poinformowała jaki autobus powinien wziąć ze śródmieścia, aby dojechać do Rudgley Hills.

Szedł teraz bez wielkiego entuzjazmu, zaciekawiony, ale i zły, że stracił tyle czasu na transport autobusem. Zaczął znów kalkulować ile pieniędzy powinien oszczędzić, aby przed wyjazdem do kraju kupić sobie samochód. Wyjazd przecież był jedyną możliwością zaoszczędzenia znacznej sumy pieniędzy. Spojrzał na ze-

garek, była za dziesięć siódma, był zaproszony na siódmą. Ile to już bloków? Trzy? — pomyślał. Przeszedłem trzy bloki. Na czwartym skręcić w prawo. Szedł teraz uważnie, nie chciał się zgubić i spóźnić. Rozglądał się. Dzielnica była dostatnia, domy rozrzucone w ogrodach, na małych wzgórkach. Biała, wąska szosa falowała, podbiegała ku górze i opadała łagodnie, chodniki wąskie, za wąskie, miejscami w ogóle nie było chodnika, jakby dzielnica nie była przeznaczona dla ludzi chodzących pieszo. Cicho, tylko jeden samochód minął dotychczas doktora i trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka bloków stąd skrzeczały kolorowe światła, autobusy zatruwały powietrze. Domy w deszczowej mgle delikatnej, jak w tiulu, rzadkie, dyskretne latarnie, zapach jesieni przenikający jak cichnący w oddali krzyk. Na skrzyżowaniu ulic doktor przystanął, był sam, jakby cała dzielnica opustoszała, albo była tylko wytworem fantazji, a może snem, tak inna wydała mu się od wszystkiego co dotychczas widział. Kraj kontrastów — pomyślał. — Co mnie tu czeka? Praca i... samotność — odpowiedział sobie. — A tam? — skrzywił się. — Kariera. — Skręcił na prawo.

Zatrzymał się przed drewnianym domem, *cottage*'m białomalowanym, dwupiętrowym. Weranda-ganek z galeryjką powycinaną w serca obiegała dom z dwóch stron. Pod pułapem ganku zwieszała się latarnia z kutego żelaza i oświetlała numer domu, przymocowany do białomalowanego filaru. Strzępiaste liście pnącej jarzębiny tuliły się do ściany. Jej pomarańczowe, dojrzałe korale wyglądały, jak sztuczna dekoracja. Doktor wszedł po drewnianych schodach, wytarł nogi w gumową słomiankę z napisem *welcome*. W domu było ciemno i cicho, jakby wszyscy jego mieszkańcy usnęli, a tylko zostawili zapaloną żelazną latarnię na znak swojej do domu przynależności. Doktor sprawdził numer. W porządku. Dotknął ręką mosiężnej kołatki, zawahał się, przesunął rękę do dzwonka, nacisnął delikatnie. Czekał. Nie było odpowiedzi. Pomyliłem się — pomyślał — widocznie zaprosili mnie na inny dzień, a w ogóle nie powinienem przyjmować takiego zaproszenia. Cóż to, czy nie miał czasu, aby się ze mną zobaczyć? Nie miał czasu, aby chociaż odezwać się telefonicznie? Czy to jednak nie była decyzja nieprzemyślana? Może za pochopnie zatelefonowałem? Chodziło mi przecież tylko o rozmowę, o kontakt, a on od razu mnie zaprosił do siebie. Może wolał nie afiszować się ze mną w szpitalu, przy wszystkich, przyjechałem z Żelaznej Kurtyny, dla wielu — jak mówił mi Piłat — będę tu czerwoną płachtą, będą dopatrywać się koneksji z partią, będą mnie unikać. Jednak ten Sanocki wiedział, że przyjechałem z Kraju i mimo tego zaprosił mnie do swego domu.

Doktor Ketler cofnął się, zszedł ze schodków, obszedł dom naokoło i zauważył teraz, że z boku, na pierwszym piętrze paliło się światło, i że tył domu, widocznie okna kuchenne, był oświetlony. Skoro już tu jestem, spróbuję jeszcze raz, widocznie dzwonek nie działa. Nie ma sensu wracać teraz kiedy już przejechałem taki kawał drogi. Nie przyznawał się nawet sam przed sobą, że do wizyty w tym domu polskim w Ameryce pchała go nie tylko samotność, ale i ciekawość jacy oni tu są, jak żyją, jak się urządzili i kto oni są: stara emigracja, zarobkowa, osiadła już, zaasymilowana, czy też emigracja po drugiej wojnie światowej, polityczna, ludzie, którzy wychowani w podobnych do niego warunkach poszli jednak inną drogą, wybrali życie z daleka od kraju rodzinnego protestując przeciwko obecnym w kraju warunkom, ludzie bez kompromisu, fanatycy, jak ich nazywano, kapitaliści.

Ruszył już teraz szybko i pewnie, ślizgając się na liściach, wstępując głośno po schodach. Schody zaskrzypiały, zakofysała się latarnia, jakby kiwając głową w zdumieniu i dezaprobacie. Ujął energicznie mosiężną kołatkę, uderzył nią kilkakrotnie. Czekał. Nie czekał długo. Okrągłe okienko u góry drzwi spojrzało na niego nagle szybkim, elektrycznym wzrokiem — w hallu zapaliło się światło. Usłyszał kroki drobne, kobiece, drzwi otworzyły się, w nich twarz zapraszająco uśmiechnięta, usta rozchylone nieśmiało ścigały od kącików ku brodzie dwie fałdy, które mogły być już zmarszczkami. Była to twarz kwiatu, który zatrzymuje się jeszcze jeden dzień w wazonie, aby już następnego ranka wyrzucić.

— Adam Ketler.

— A to pan doktor! Prosimy, prosimy bardzo! Czy to pan doktor nie dzwonił przed chwilą? Byłam w kuchni i wydawało mi się, że dzwonek. Przepraszam, że nie zaraz... — Głos był trochę drżący, ochrypły, ale już wypełniał się, dźwięczał. Ketler zadrżał, wzruszył się niemal. Kobieta mówiła melodyjną, najczystsza polszczyzną i ten głos rodzimy w obcych warunkach i po przeszło dwóch tygodniach nieużywania i nie słyszenia go, wstrząsnął nim bardziej niż by się tego spodziewał.

— Rączki pani doktor całuję! — skłonił się, wszedł za nią do przedpokoju. Więc to ona jest lekarzem — myślał — starsza-wa babka, wszyscy oni na emigracji są starsi. A może jej mąż jest doktorem? Nic nie szkodzi, lepiej zawsze tytułować, niż nie używać tytułu. Kobieta nie protestowała.

— Rączki całuję! — powtórzyła — jakie to polskie. Prosimy, niechże pan doktor się rozbiera, taka okropna pogoda, zmókł pan, tak się teraz łatwo zaziębić.



— Dziękuję najuprzejmiej. — Ketler zdejmował płaszcz, zdjął beret, przyglądał włosy — dziękuję najuprzejmiej za zaproszenie. — Uśmiechnął się.

Głos miał głęboki, uśmiech, jak wiedział, podbijający serca, ciepły, ale nie uznający sprzeciwu wyraz twarzy myślący, inteligentny, zbyt inteligentny i „rasowy”, jak przypominano mu nieraz w ostatnich latach i co przeszkadzało mu w pięciu się po drabinie kariery, włosy mimo ciężającej na nich czterdziestki ciemne, prawie krucze, tylko na skroniach gdzieś siwawe, siwizną nie zmęczoną, a ożywiającą, ostatni *touch* obrazu, na który spogląda się z przyjemną aprobatą. Był barczysty, średniego wzrostu i gdy chciał w oczach zapalały mu się bardzo ciepłe, brunatne płomyki. Ramiona zwykł był nieco przygarbiać i wysuwać ku przodowi, pozostało mu to z prywatnej praktyki, ruch opiekuńczy w stosunku do pacjenta, odgradzający jak gdyby chorego, wzbudzający w nim poczucie bezpieczeństwa i zaufania do lekarza. Z praktyką szpitalną doktor Ketler zerwał, nie opłacała się, była zbyt męcząca, nie miała przyszłości, dawno odrzucił już młodzieńcze sentymenty, marzenia o niesieniu pomocy, o misji lekarza i dzięki poparciu, wpływom, namowom, życzliwości profesora Karola Piłata, dawnego kolegi uniwersyteckiego jeszcze sprzed wojny, który na kompromis zdecydował się szybko i z korzyścią dla siebie — doktor wszedł na drogę naukową. Nie było to łatwe, wymagało pracy, przestawienia się na drogę zupełnie inną, usłaną Spirochetami, Streptokokami, Mikrokokami, Dwóinkami Neisser'a. Drogę śliską od śluzu, wydzielin, ropy, ale też drogę najpewniej prowadzącą wzwyż: ku docenturze, profesurze, pewności jutra, jeśli w ogóle o jutrze można było myśleć w kraju gdzie planowało się z dnia na dzień, ale drogę wiodącą ku lepszym dochodom, wyjazdom za granicę, nie tylko do Rosji, i ku stypendiom Rockefellerowskim, Forda i innym. Otrzymał też po długich zabiegach owo stypendium fordowskie, wzię do Ameryki i zaproszenie do laboratorium bakteriologicznego przy szpitalu Perceval Norris, ogromnej instytucji, słynnej na cały świat z badań naukowych, specjalizującej się w *research*'ach, w całym wachlarzu działów medycznych, a głównie w rozszerzającej się coraz bardziej wiedzy biochemicznej i związanej z nią pośrednio bakteriologii.

Przyznanie stypendium, pozwolenie na wyjazd doktor uznał za nadzwyczajną okazję, za aprobatę swojej dotychczasowej pracy, nie łudził się jednak, że bez poparcia Piłata i bez przyznania mu po cichu i głośno racji, że nie ma co oglądać się wstecz, ani też rozglądać naokoło siebie zbyt wiele, a iść z prądem czasu — stypendium takiego nie otrzymałby łatwo.

Można myśleć co innego i mówić co innego — przyznawał

się niekiedy sam przed samym sobą. Dla mnie, członka przedwojennej klasy posiadającej, inteligenta od wielu pokoleń, nie ma innego wyboru: albo dać się zgnieść i być wystanym na głęboką prowincję do zapadłego, prymitywnego szpitala, gdzie się szybko wykończę, albo zamknąć oczy na dawność i podporządkować się korzystając z dobrodziejstw, które reżym może mi ofiarować. Kobieta (doktor Sanocki?) odpowiedziała na jego uśmiech uśmiechem ciepłym, jej oczy zwilgotniały, co było żenujące, ale i przyjemne, cofała się, odbiegała wstecz, jakby rozścielając przed nim dywan po którym on, nieco niezręcznie, świadomy swej nagłej niezręczności wobec jej i swego wzruszenia, prawie, że na palcach, obracając beret w jednej ręce, a drugą to poprawiając krawat, to przyglądając włosy — wchodził do pokoju.

Zatrzymał się, zaskoczyła go przestrzeń rozległych, połączonych z sobą dwóch pokoiów i chociaż wiedział, że w Ameryce przestrzeń nie jest problemem, że nie wylicza się tu tyłu a tyłu kubików na jednego obywatela — odkrywał to dopiero sam dla siebie, nawet nie z zazdrością, ale pewnym żalem i rezygnacją.

Wzięła z jego ręki beret, przyglądała go, położyła na stoliku w hallu.

— Pan doktor pozwoli — wskazała kanapę i znów pochyliła się wyglądając i poprawiając poduszki. — O tu, panie doktorze, tu będzie panu wygodniej.

Zauważył, że jedna z poduszek była cepeliowska, pewnie ktoś im przysłał z Polski, tę właśnie wygładziła starannie, jakby ofiarowując mu miejsce honorowe. Rozejrzał się, natychmiast zwrócił uwagę na akcenty polskie: wazon cepeliowski, na pianinie w rogu dwie lalki w strojach krakowskich, na kominku gliniana figurka Chrystusa Frasobliwego — wyrób cepeliowski. Nie miał już najmniejszych wątpliwości: język gospodyni, jej zachowanie, drobne akcenty polskości rozrzucone po pokoju, ustawione z wdziękiem, z przesadną czułością niemal, jak polne kwiatki w zbyt wytwornych wazonach, świadczyły, że mieszkali tu ludzie wychowani w kraju.

Doktor Ketler usiadł na kanapie, lubił siadywać wygodnie, zresztą po długiej jeździe autobusem i po spacerze w deszczu czuł się zmęczony, zziębnięty, trochę senny.

— Widzi pan, panie doktorze, zięć jeszcze nie przyszedł. Wiodocznie coś go zatrzymało, w jego pracy, to nigdy nic nie wiadomo, ale spodziewamy się go lada chwila, jest już po siódmej, prawda?

Pomyślał: Acha, to jej zięć jest tym doktorem Sanockim, ma widocznie poza szpitalem prywatną praktykę, no i urządził się niezłe, ładny dom w ekskluzywnej dzielnicy, dobrze umeblowa-

ny... Ja nigdy, chociażbym sobie nawet ręce do łokci urobił, nie będę miał takiego domu. Po co mi zresztą takie duże mieszkanie? Kłopot, zawiść. Gdyby tylko w zimie różnica temperatury pomiędzy pokojem i łazienką nie wynosiła 16-tu stopni Celsjusza — byłoby znośnie, chociaż... warto by jednak zmienić, po powrocie...

Gospodyni domu przyglądała mu się zażenowana. Milczał, czyżby się obraził? Przyglądała niespokojnie siwy kosmyk włosów, opadający na brew, jej ciemne, życzliwe oczy badały jego twarz.

— Piękne mieszkanie — powiedział — i takie duże.

Uśmiechnęła się. Dom — powiedziała — tu tak dużo znaczy. A dla nas specjalnie. Ameryka — proszę pana — to kraj rodziny, oni się tu zamykają w swoich domach, niechętnie wychodzą na zewnątrz. Bo gdzie tu wyjść? Chodzić samemu po pustych ulicach? A dla dzieci jakie ważne! Ja wiem, panie doktorze, co pan myśli, że wy tam się gnieździecie, a my tu... Myśli pan, że mnie o to serce nie boli?

Spojrzał na nią uważniej, jej policzki zaróżowiły się, była niegdyś pewnie bardzo ładną kobietą, nie, teraz też była ładna, łagodnie, po matczynemu, i jak odczytała jego myśli — będą musiał uważać — pomyślał — ale jednocześnie przypomniał sobie swoją matkę, która wysiedlona z południowo-zachodnich stron kraju umarła w czasie wojny w czymś, obcym pokoju popłakując stale za straconym, własnym domem.

— Proszę pani — powiedział — żyjemy w różnych warunkach.

— Tak i przystosowujemy się do nich. Chociaż ja... to nie bardzo. Proszę pana, kiedy pan z Polski?

— Przeszło dwa tygodnie temu, w środę będzie trzy tygodnie.

— Ach Boże! — opuściła ramiona, opadła w fotel, westchnęła: — Ja przeszło dwadzieścia lat...

— Proszę pani, chciałbym się o coś zapytać, ale jeżeli to panią krępuje, bo może to nie będzie właściwe pytanie, i jeżeli nie chce pani odpowiedzieć...

Podniosła głowę, wydawało mu się, że wiedziała już o co ją chce zapytać. Nadśłuchiwała. Zorientował się, że przysłuchiwała się krokom na górze.

— Ale proszę bardzo, niech pan pyta — powiedziała. — Hanka — wskazała ruchem brody na sufit — zaraz zejdzie.

A jednak chce uniknąć mego pytania — pomyślał. — Dlaczego została pani na emigracji? — spytał. Wstała, przyglądała sukienkę nie patrząc na niego.

— Widzi pan, było dużo różnych powodów. Mnie razem

z dziećmi wywieźli do Rosji, mój mąż zginął w Katyniu. Nie chciałam wracać. Zresztą każdy ma inne powody. Hanka, moja córka na przykład, właściwie wyrosła za granicą, ona tu... jakby bardziej należy, no i dzieci też. A mój zięć, to znów co innego. Każdy miał inne podstawy, albo sam decydował, albo życie decydowało za niego. Musi pan porozmawiać z moim zięciem. Ja... nigdy nie byłam politykiem. Rozłożyła ręce, zauważył, że była szczupła i nieco przygarbiona, jej uśmiech był nieśmiały. Żałował już, że niepotrzebnie zadał jej to pytanie.

— Zostałam... no zostałam, teraz już nie ma powrotu. Ale ostatnio dużo ludzi przyjeżdża z Polski.

— Tak. Coraz więcej, teraz nie ma takich trudności z uzyskaniem wizy. Pozwoli pani, że zapalę?

— Naturalnie. — Podeszła do schodów, spoglądała na nie wyczekująco. Zawołała:

— Haniu, Haniu, doktor Ketler już przyszedł!

Odwróciła się do niego, uśmiechnęła, szepnęła jakby zwierając mu tajemnicę:

— Ona zaraz przyjdzie, pewnie jeszcze przebiera się. Wróciła zmęczona.

— To może ja przeszkadzam? — podniósł się.

— Nic podobnego! Hanka bardzo się ucieszyła, no i naturalnie ciekawa. Musi nam pan opowiedzieć jak tam jest. Pan skąd?

— Teraz z Warszawy, ale...

Nie słuchała go, przyłożyła rękę do ust, zawołała: — Haniu, no Haniu!

Na wprost schodów owalne lustro. Przyjrzał się sobie, poprawił krawat. Hanka... Hania... — uśmiechnął się, odpowiedział mu własny uśmiech w lustrze — ile to lat! Wtedy nawet nie myślałem jeszcze, że będzie wojna.

— I pracuje pan w Warszawie?

— Nie tylko w Warszawie, dużo jeżdżę, ostatnio...

Stanął za nią przyjmując jej wyczekującą pozycję, z głową zadartą, wpatrzony w schody. Schody były puste. Myślał: co ja tu właściwie robię? Jeśli ten lekarz zaraz nie przyjdzie, przywitam się z jego żoną, o ile w ogóle zechce łaskawie zejść, i wychodzę. Był urażony, zły, zmęczony i głodny. Drgnął nagle, u góry schodów zapaliło się światło. Schody ożyły. Czerwony wąż dywanu rozkwitł, skręcił się, wyprężył. Miała długie, smukłe nogi, purpurowy kielich spódnicy szeleścił, widać było spod niego rąbek czarnej, sztywnej halki. Szła jakby świadomie wolno, przytrzymując się ręką poręczy schodów. Czarny sweterek obejmował jej talię i piersi ciepłym, mocnym uściskiem. Podniosła ramiona, poprawiała włosy ujmując na chwilę w obie ręce twarz skierowaną

ku niemu, ale jeszcze na niego nie patrząc. Poczuł, że papieros pali mu palce, odwrócił się tylko na chwilę, zgasił go w popielnicze. Jej oczy już go penetrowały, rozbawione nim i jego wyczekiwaniem, już wdzierające się w niego zanim miał czas chronić się w swoją uprzejmie powitalną pozę.

— Rączki całuję. — Skłonił się.

— Naprawdę? — roześmiała się. — To w Polsce jeszcze całuje się rączki?

Czuł, że się czerwieni i że ona to dostrzega nie dostrzegając, że aprobuje jego potęgujące się zmieszanie. Wyciągnęła rękę.

— Dobry wieczór panu, przepraszam, że nie zatelefonowałam sama. Mieliśmy niesamowite urwanie głowy w klinice. Doktor Hooper, mój *boss*, wyjechał z jakimś odczytem i wszystko na mnie. Ale bardzo się wstydzę, przyznaję, że nawet próbowałam telefonować i nie mogłam pana złapać.

Pochylił się i pocałował ją w rękę.

— Rączki pani doktor całuję.

Jej twarz rozkwitła, szczupła twarz, ostry podbródek, oczy podłużne, ciemne, zmrużone, wsunęła się w fotel, wtuliła się w fotel, czuł jeszcze jej energiczny, ciepły uścisk dłoni. Przeniknęło go jej ciepło. Stał niezdecydowany, widział jej włosy ciemne, opadające nierównymi kosmykami na czoło, zakłopotany swoim i jej milczeniem podsunął jej papierosy.

— Krajowe — powiedział — czy pani doktor spróbuje?

— Naturalnie, dziękuję, wszystkie nowe rzeczy lubię eksperymentować. Niechże pan siada! Mamo, siadaj, siadajcie!

— Haniu — powiedziała matka — czy zaczekamy z obiadem na Witka? Dzieci już jadły.

— Dobrze, o ile pan doktor nie osłabnie nam z głodu.

Pomyślał: powinienem być głodny, nic nie jadłem od *lunch*'u. Powiedział: czy wyglądam na zagłodzonego?

Spojrzała na niego, przytrzymał jej wzrok, cofnęła się, roześmiała: — Wydaje mi się — powiedziała — że trochę. Zresztą są różne rodzaje głodu.

— To może — powiedziała matka — zaczekamy jeszcze kilka minut. — Usiadła na kanapie, Ketler obok niej zwrócony profilem do Hanki.

— Pan doktor pytał, Haniu, dlaczego zostaliśmy na emigracji.

— To nie pierwsza emigracja — powiedziała — ludzie emigrowali i zostawali dla różnych powodów. Czy musimy pozostawać na stałe w miejscu urodzenia? Ludzie wybierają sobie mieszkania, czy nie mogą sobie wybrać kraju?

— No nie, Haniu, nie, to przecież tak nie jest z nami — matka spojrzała przepraszająco na Ketlera.

— Mamusia, widzi pan, jest ckliwo-sentymentalna. Polska ziemia, polskie słońce, Polsko, ojczyzna moja, itd., Witold mówi o tragedii emigracyjnej, a ja czuję się tu dobrze, Polskę, a raczej polskie dzieciństwo miło wspominam, lubię bigos i barszcz i polską wódkę.

— Ona tylko tak mówi — szepnęła matka — ona tylko stara się być taka...

— Wcale się nie staram! A moje dzieci, dziewczynki, to znów zupełnie co innego. Mówią po polsku, ale lepiej po angielsku i to są już Amerykanki, najzdrowiej, najnormalniej.

— Ale dzieci kochają Polskę — szepnęła matka — Irenka prosiła, żeby jej opowiadać o Polsce.

— Do czasu, mamusi, potem ty ją będziesz prosiła, żeby słuchała.

— Będę — powiedziała — a jak ja skończę to ty będziesz. — Wstała. — To ja jednak pójdę do kuchni — jej głos był zdławiony.

— Niech się pani nie kłopotcze... — Ketler poderwał się, stanął przy niej. Zawsze zaczynam niepotrzebne dyskusje. Piłat mnie uprzedzał, już dawniej robiłem sobie wrogów przez głupstwa. Powiedział: — Ja i tak muszę zaraz wracać. — Myślał: — Do diabła, zaczynam być głodny.

— Nie... nie — matka miała łzy w oczach — zaraz...

— My zawsze tak — roześmiała się Hanka. Był to śmiech nieszczerzy, patrzyła niespokojnie na matkę. — Chyba masz rację, nie czekajmy już na Witolda.

— Przepraszam — powiedziała matka — idę do kuchni.

— Może ja coś pomogę? — zawołał Ketler.

Poczuł rękę Hanki na ramieniu.

— Niech pan siada. Mamusia nie lubi żeby jej pomagać.

Usiadł na brzegu kanapy, niezręcznie, zażenowany. Kroki matki ucichły, słyszał trzask zamykanych drzwi kuchennych.

— Czego się pan napije? — spytała Hanka. — Gin, Whisky? Wódka?

Stała przed nim, znów rozkwitła przed nim, doknęła go szelstzącym rąbkiem spódnicy. Uśmiechnął się zakłopotany.

— Niech się pan nie przejmuję — powiedziała — gdyby tu był Witold, miałby pan trzy, nie dwa, punkty widzenia na emigrację. No więc? Co można panu podać?

— Gin, jeśli pani doktor łaskawa.

— I proszę mnie nie tytułować w moim własnym domu. Zgoda?

— Rozkaz. —

Myślał: idzie teraz przeprosić matkę. Słyszał, jak otwierała i zamykała za sobą drzwi kuchni. Chciał niepostrzeżenie wymknąć się. Podszedł do okna. Drobny, mżący deszczyk przeszedł w leniwy, grubopłaciasty śnieg. Najlepiej wyjść i uciąć wszystko zaraz na początku. Nigdy nie miałem odwagi wychodzić w odpowiednim momencie, teraz powinienem...

— Proszę... — stanęła blisko przy nim, poczuł zapach rozgrzanej wełny, szorstki, drażniący.

— Śnieg — powiedział. Wziął szklankę z jej rąk. — Dziękuję.

Stali przy oknie dotykając się ramionami.

— Zaczyna się ta okropna pogoda — powiedziała — śnieg z deszczem.

Miał dziwne uczucie przebywania, jak gdyby w innym miejscu, usiłował przypomnieć sobie podobną chwilę z przeszłości, to co się działo w tej chwili było jak gdyby powtórzeniem podobnego obrazu i uczuć, który starał się sobie przypomnieć. Odwrócił się z żalem, rozczarowany, gdy odeszła. Usiadła na fotelu, jej twarz w ciepłym świetle lampy, powiedziała:

— Mój mąż widocznie zatrzymał się u klienta. Witold sprzedaje *insurance*, ubezpieczenia. Wie pan, na czym zbudowana jest Ameryka? Na ubezpieczeniach, zapewnianiu sobie jutra. Podniosła szklankę do ust, jej usta były duże, lśniące od pomadki, gdy odstawiła szklankę na brzegu pozostał czerwony ślad.

Stał obok niej, alkohol rozgrzewał go łagodnie, nieznacznie. Myślał: Czy to możliwe, abym ją spotkał już dawniej? Spytał: — Gdzie pani studiowała, pani Hanko?

Rozejrzała się.

— Może papierosa? — spytał.

— Odgaduje pan moje myśli.

Pochylił się, podał jej papierosa. Spojrzeli na siebie, odwróciła natychmiast głowę.

— Dziękuję.

Kogo ona mi przypomina — myślał — co ona mi przypomina?

— Zaczęłam studia we Włoszech — powiedziała — potem studiowałam w Szkocji, a po przyjeździe nostryfikowałam tutaj i specjalizowałam się.

— Podziwiam panią — powiedział — myślał: nie spotkałem jej na studiach, więc chyba jeszcze wcześniej? Gdzie?

— Dlaczego?

— Słucham?

— Dlaczego pan podziwia?

— Studia w obcym języku.

— Ach same studia — uśmiechnęła się — to jeszcze pół biedy, ale nostryfikacja to był piekielny egzamin. Gdyby kiedyś pokorciło pana, aby tu zostać i nostryfikować...

— Nie, nie sędzę.

— Wraca pan prędko do żony i dzieci.

— Nie mam dzieci.

— No ale chyba żona czeka.

— Czeka — powiedział. Usiadł na fotelu. Czekał na jej następne pytanie, był dobrze obwarowany, wiedział co odpowiedzieć. Tyle razy ostatnio odpowiadał na pytania, że przestały go już nawet drażnić zawsze jednak wywoływały ten lekki, bolesny skurcz i uczucie zniecierpliwienia.

— Każdy z nas — powiedziała cicho — ma jakieś różne kłopoty, osobiste, ogólne, emigracyjne. — Uśmiechnęła się: — To już mówmy dalej o tej emigracji. Chciał się pan dowiedzieć...

— Nie, nie, broń Boże. I nie mam żadnych kłopotów. Chyba teraz w szpitalu, żeby doświadczenia mi się udały. — Myślał: Niemożliwe, abym jej nigdy nie spotkał.

— A jak się panu podoba Ameryka?

— Haniu! — zawołała matka. — Haniu, proś już pana doktora.

— Chodźmy — powiedziała.

— Ameryka? — spojrział na nią. — Interesująca, bardzo interesująca.

Podniosła się, spojrzała na dywan, nie podnosząc głowy szepnęła:

— Jest pan bardzo głodny, chodźmy już na obiad.

Szedł za nią, za szelestem jej czerwonej spódnicy zamyślony i uśmiechnięty.



## Rozdział II

### 513 CHESTNUT AVENUE — AKT PIERWSZY

— *Coffee!* — powiedział Witold Sanocki. Zdjął płaszcz deszczowy, otrząsnął go na posadzkę *luncheonette*. Gospoda była mała, jedna z tych narożnych *luncheonettes*, zawsze otwartych, gdzie kierowcy autobusów i taksówek wpadają na kawę i gdzie nad butelkami *coke* sterczą godzinami miejscowi *teenagerzy*. *Hangout*.

Było już późno, niemal północ. Przy kontuarze jedyny gość w nasuniętej na oczy czapce z daszkiem, na której wyblakły insygnia drużyny baseballowej — Oriole, kiwał się śpiąco nad niedopitym kubkiem kawy. Właściciel restauracji, oparty o kontuar przeciągnął się, odłożył gazetę, spojrzął na Sanockiego.

— *With cream?*

— Czarna — powiedział Sanocki.

Właściciel podszedł do maszyny, nalał kawę do kubka, postawił przed Sanockim. Ziewnął. Odwrócił się, przesunął leniwie aż do skraju kontuaru, do szyby wystawowej, patrzył na śnieg. Klepnął się dłońmi po udach, zawołał:

— Pierwszy śnieg w tym roku!

Człowiek w czapce uniósł głowę, odsunął daszek z czoła, spojrzął przekrwionymi oczyma przez szklane drzwi: na frontowej szybie zaparkowanej przed drzwiami restauracji ciężarówce rósł kożuch śniegu.

— *Hell!* — mruknął. Popatrzył na ścienny zegar, kątem oka zauważył Sanockiego, nasunął daszek na czoło, drzemał. Widok śniegu ożywił właściciela *luncheonette*. Zagwizdał, zaczął nucić: Śnieg... śnieg...

Sanocki podniósł do ust gruby, fajansowy kubek z czerwonym szlakiem. Kawa była gorąca i kwaśna, dosypał cukru, zamieszał, poczuł nagły głód.

— I dwa *donaty*, proszę.

— Dwa *donaty*... dwa *donaty*... — Podniósł plastikowy kloz, wyjął spod niego ciastka, położył na talerz, postawił przed Witoldem. Oparł się o kontuar i przypatrywał jedzącemu. Sanocki wziął kawę, talerz z ciastkami i przeniósł się do stolika.

— Nieźle pada, co? — zawołał właściciel *luncheonette*.

Sanocki kiwnął głową. Miał usta pełne ciasta. *Donat* był twardy. Myślał: Zaszkożdzi mi na wątrobę. Hanka mówiła: nie pij kawy, nie jedz *donatów*. Masz nadkwasotę. Wiesz do czego może doprowadzić ciągła zgaga, zredukuj węglowodany, lekka herbata. A... głowa mi pęka! Jeszcze 15 mil do domu, zasypiałem nad kierownicą. Wyjął z kieszeni płaskie pudełko z „Anacin”, przełknął dwie pastylki, popił kawą.

Restaurator czyścił ścierką kontuar, podśpiewywał:

— *I dream of a white Christmas...*

Odłożył ścierkę, patrzył na Witolda, powiedział:

— Boże Narodzenie bez śniegu to nie są prawdziwe święta, może sobie całą zimę nie padać, ale na ten jeden dzień, zaraz, ile mamy jeszcze dni do *Christmas*...?

Człowiek w szmacianej czapce, podszedł do drzwi, otworzył, splunął, wrócił na swój stołek przy kontuarze, wytarł głośno nos, głowa opadła mu na ramię, znów zasnął. Właściciel gospody śpiewał: *The first day of Christmas my true love sent to me...* Jego ruchy nie były już ospałe, kręcił się, układał kubki na półce.

— Jest pan w dobrym humorze — mruknął Sanocki. Myślał: Może powinienem zatelefonować do domu? Nie, teraz już późno, śpią, zresztą i tak niedługo...

— Ja mam zawsze humor! Cały sekret w tym, żeby się umieć cieszyć. To nic nie kosztuje i przynosi niezły procent. Chce pan zobaczyć fotografię mojej *girl-friend*? — Podszedł do Sanockiego, trzymał w ręku dużą kolorową fotografię. Sanocki spojrzął nie widząc.

— *Very nice.*

— A suknia?

Sanocki włożył okulary. Myślał: idź do diabła. Podniósł głowę. Restaurator miał okrągłą, pełną drobnych zmarszczek twarz jak zmięta i wygładzona później ręką bibuła, czarne, tłuste włosy zaczesane na bok nie zakrywały łysiny, jego małe, ciemne bystre oczka chichotały.

— *Your girl-friend?* — powiedział Sanocki.

— Moja córka! Wychodzi za męża na Boże Narodzenie. Chłopak do rzeczy, dobrze zarabia. Dlaczego nie mam się cieszyć? Dopiero dziś odebrałem fotografie. Niech pan patrzy, jakie kolory! Jak żywe!

To jest sztuka życia — myślał Sanocki. — Trzeba uczyć się sztuki życia tam, gdzie się tego można najmniej spodziewać. A ja... martwię się, siwieję.

Restaurator mruknął filuternie jednym okiem:

— Żonaty?

— *Yes.* — Sanocki patrzył poprzez ramię mężczyzny na afisz reklamowy:

*You can't beatza  
Coke and Pizza*

— Dzieci?

— Dwoje, dwie dziewczynki.

— O! — właściciel wrócił za kontuar, schował fotografię, powiedział:

— Żona pracuje?

— *Yes.* — Pił kawę drobnymi łykami, myślał: Zamknij się do cholery, czego on chce ode mnie?

— Teraz każda dziewczyna, każda kobieta pracuje. Byle nie siedzieć w domu.

Człowiek w czapce podniósł głowę, wyciągnął z kieszeni cygaro, zapalił.

— No co nie mam racji? — mówił restaurator. — Ale nas to jeszcze więcej kosztuje, bo wydają pieniądze na fatałaszkę. Albo: szast, prast: wpłaci depozyt na nową lodówkę, albo suszarkę do bielizny i: kochanie, przecież pracuję! I my musimy potem spłacać miesięczne raty.

Człowiek w czapce zarechotał.

— Moja żona — mówił właściciel *luncheonette* — też pracowała. To dopiero w domu był bałagan! A w ogóle nie opłaciło się, bo wszystko zabierał *Uncle Sam*, podatki. No i powiedziałem: koniec, dość! A kto by mi przygotował obiad? — Patrzył na Sanockiego.

— Moja żona jest lekarzem — powiedział. Natychmiast pożałował: po diabła zwiergam się temu człowiekowi?

— *Is that so?* To już jest zupełnie co innego. *Profession.* I nie potrzebuje pan płacić rachunków lekarskich. To też jest zysk.

Sanocki wstał, chciał jak najprędzej stąd wyjść, sięgnął do kieszeni po pieniądze.

— *Where are you from?* — spytał restaurator.

— Monumental City.

Człowiek w czapce przekręcił się na stołku, teraz i on i właściciel gospody przyglądali się Sanockiemu.

Można oszaleć! Wystarczy, abym powiedział YES, a już:

*Where are you from?* Nigdy nie nauczę się tego języka, nigdy się tu nie zaasymiluje.

— Nie, nie, mnie nie o to chodzi. Pytałem się z jakiego kraju pan pochodzi. *German?* Witold przetaił okulary, wsadził je na nos, przy zdenerwowaniu zaczynały śwędzić go spojówki. Okulary na nosie odgradzały go, dymna osłona bezpieczeństwa. Nos miał kształtny, z profilu wyglądał najlepiej. Ten szlachetny profil, twarz pociągła... ale wystarczyło by spojrzeć wprost: miękkie usta, nieco rozchylone, jakby się wahał, i ten wyraźnie rozdzielony podbródek, szeroki, niezdecydowany, jako dziecko zaczynał najpierw zawsze płakać podbródkiem. Ale wtedy włosy miał bujne, faliste, nawet wtedy jeszcze gdy poznał Hanke. Teraz: jasne, rzędły już na skroniach w dwie wysokie, półkoliste zatoki i niebieskość oczu poszarzała, zsiwiały.

— *Poland* — mruknał.

— *Is that so?*

Witold zapiął płaszcz deszczowy, spojrział przez szybę: Śnieg.

Człowiek w czapce podrapał się w głowę, daszek podjechał, aż na szczyt czaszki. Wstał, ziewnął głośno, przyciągnął się:

— Ja mam w sobie krew indyjską. *Cherokee Indian* — spojrział dumnie. — Mój ojciec był Indianinem. Cherokee. Moja matka pół-Irlandka, pół-Niemka.

— *Is that so?* — powiedział restaurator. — Czekajcie-no, mój dziadek, ze strony ojca był rosyjskim Żydem, moja matka była Irlandką, ale oboje urodzili się tu. *American*.

— Indianie byli prawdziwymi obywatelami Ameryki...

— *Sure...*

— Mój ojciec zawsze powtarzał: Tom nie masz się czego wstydzic. *But some people are ignorants.* — Ziewnął. Miał potężne bary i uda i miał chyba więcej niż 6 stóp. Gdy chodził po *luncheonette* wydawało się, jakby całe pokolenia jego dziadków i pradiadków nie rozstawały się z końmi. Spojrział na Sanockiego: — Jak długo pan tu jest?

— Chyba całe życie.

— *I know what you mean* — powiedział restaurator.

— Jak się panu podoba w Ameryce? — zapytał człowiek w czapce.

— *I like it.* Ile płacę?

— 25 centów.

Położył pieniądze na ladzie, powiedział: *Good night.*

— *Good night, sir.*

Sanocki zatrzasnął drzwi. Podniósł kołnierz płaszcza, wsadził rękę w kieszenie, był zły. Po co traciłem czas. I te rozmowy! Donaty zaszkodzą mi. Otworzył samochód, wyjął miotkę do

odgarnięcia śniegu z szyby. Ręce marzły mu. Wyczyścił szybę, starał się zastartować samochód. Zapuszczał kilkakrotnie, zgasił, przeklinał. Dopiero po kilku minutach udało mu się go uruchomić. Ruszył, opony ślizgały się na śniegu. Trzeba było założyć śniegowe opony, na nic nie ma czasu. Mam dość całego życia.

Najbardziej jednak dokuczało mu uczucie przykrego niesmaku, którego od pewnego czasu doświadczał, gdy ktoś w sposób, jak sądził, nietaktowny, niedelikatny, przypominał mu o jego narodowości. Było to uczucie, które zakiełkowało nie wiadomo kiedy, a rozwinęło się w miarę lat przebywania na emigracji. Wbrew jemu samemu, bo przecież niedawno jeszcze, kiedy? afiszował się, opowiadał, wyzywał nawet aluzję do swojej polskości. A teraz (kiedy zaczęło się to TERAZ?), gdy chciał być jak najbardziej zrównany z otoczeniem, niewidoczny, ktoś najzupełniej do tego niepowołany (myślał — nie rozumiejący doniosłości, albo może bolesności problemu) wytykał go palcem, przypinał mu ostentacyjnie (drwiąco, z politowaniem?) biało-czerwoną choroągiewkę.

Nie powinienem się wdawać w rozmowy z prostakami, niepotrzebnie im w ogóle odpowiadałem. Psiakrew, gdyby nie obecna sytuacja w Polsce... człowiek musi się włóczyć po różnych dziurach i gadać z byle kim. We własnym kraju nie potrzebowałbym się tłumaczyć: *where are you from?*

Ktoś zatrąbił za nim kilkakrotnie, ostrzegawczo. Zorientował się, że przejechał czerwone światło. Pech. Dobrze, że nie było policji. Od rana mi dziś nic... przez pół dnia w biurze żadnej sprawy... aż do nocy wysiadanie w domu u tego... po co ja tam jechałem... myślałem, kupi *insurance*. Kariera życiowa! Urzędnik w nędznym biurze podróży i wysyłania paczek. Agent ubezpieczeniowy. Można go w każdej chwili wyrzucić za drzwi. Powinienem... no co powinienem? Nic się nie zmieni. Nic. Szarzyzna. Nic mnie nie czeka. Chyba, żebym wrócił... Za późno.

Wtedy, gdy jeszcze nie było za późno, nie umiał, albo nie chciał się zdecydować. Czekał. Mówił, że do reżymowej Polski nie pojedzie, że 'z nimi' nie chce mieć nic wspólnego, ale nawet nie przyznając się sam przed sobą, wiedział, że powód był jeden: strach. Nie była to obawa przed aresztowaniem. Nie był nigdy, nigdzie zaangażowany politycznie. Jego kariera wojskowa była krótka i przeciętna. W roku 1943 został wysłany na przymusowe roboty do Niemiec, udało mu się stamtąd przedostać do Włoch. Wcielono go do Drugiego Korpusu, do działu prasowego. Został podporucznikiem i w tej randze później zdemobilizowany w Londynie.

Strach, który ogarniał Witolda na myśl o zobaczeniu kraju,

o powrocie 'tam', był uczuciem człowieka, który uciekając boi się oglądać wstecz, aby nie spotkać się twarzą w twarz z widmem, którego widok sparaliżowałby dalszą ucieczkę.

Myślał: Nie moja wina, że zginęli. To nie ja jestem odpowiedzialny za ich śmierć. Wojna. Okrucieństwa okupacji. Więc nawet gdybym wtedy odezwał się, przyznał, powiedział: to nie oni, ja — nic by się nie zmieniło. A jednak — zadreżał się — nie odezwałem się. Jeszcze nawet teraz twarze ich: matki, ojca, siostry wracały do niego. Zjawiali się niespodziewanie i nie tylko we śnie: twarz ojca nad stołem pochylona nad zeszytami uczniów, jego krótkie, sterczące wąsy, szpiczasta bródka postarzająca go, ale i nadająca mu ten jedyny wygląd bez którego nie byłby naprawdę sobą: gimnazjalnym profesorem historii w jedynym gimnazjum małego miasteczka, kandydatem na dyrektora tego gimnazjum, jedno z dwóch marzeń których nie doczekał. Drugim marzeniem była kariera literacka Witolda.

Było już po północy, gdy Witold Sanocki skręcił w Chestnut Avenue. Z samochodu wyjął dwie torby z prowiantami, zwykle kupował potrzebną do domu żywność, postawił na ganku. Pod pułapem żelazna latarnia chwiała się i mrugała sennie, ale jej żółtawe oko spoglądało z ukosa, nieżyczliwie.

Trzeba zmienić żarówkę, ta jest stanowczo za słaba.

Ostrożnie, starając się jak najciszej przekręcić klucz w zamku, otworzył drzwi wejściowe. Zamknął. Zapalił światło w hallu. Delikatnie, stąpając na palcach, starając się nie potrącić żadnego mebla przeszedł przez pokój stołowy do kuchni. Postawił torby na stole. Wyjął z nich owoce i masło, wstawił do lodówki. Puszki zup zostawił na kontuarze kuchennym. Przewiesił płaszcz przez poręcz kuchennego krzesła rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli. Stał wdychając zapach domu znajomy, uspakajający. Ciszka. Tylko miarowe kapanie kropli wody do zlewu. Zaciśnął rączkę kranu, sprawdził czy kurki gazowe zamknięte do końca. Kuchnia mała, białomalowana (zaledwie kilka miesięcy temu przemalował ją, z sufitem miał najwięcej kłopotu) jak pomrukujący przyjaźnie kot łąsiła się do niego, ocierała o ramiona, o nogi. Uśmiechnął się, zgasił światło, przeszedł do pokoju stołowego. Meble, splecione już, a więc prawdziwie jego, podporządkowane mu, wdzięczne, że je przygarnął, podnosiły ciężkie łby, jak wierne, czujne psiska, których połyskliwe spojrzenie on tylko rozumiał. Pogładził miękko, ciepłą sierść fotelu. Na podłodze, w kącie pokoju: zapomniana lalka Irenki. Pochylił się, wziął ją do ręki. Zamknięte powieki lalki strzeliły w górę, jej sztywne, czarne rzęsy bardziej pytające niż oczy, poprawił plastikowe ramiona, nylonowe włosy, posadził lalkę na fotelu. Wyglądał

frendzle nowego, kwiecistego dywanu, kupionego pochopnie przez Hankę na wysprzedazy, w jednym z jej napadów chęci zmiany. Hanka nie lubiła tego domu. Dlaczego? — pytał — dlaczego?

Usiadł na fotelu. Terkocik lodówki, pochrypywanie mebli, świadomość śnieżycy na dworze i suchego ciepła wnętrza łagodziły ból głowy, którego nie usunęły pastylki „Anacin”. Myślał: To wszystko co mam: rodzina, dom, własny kąpiel. Nikt mi tu niepożądany nie wejdzie, jeśli tylko będę regularnie spłacał *mortgage*. Jeszcze 17 lat. A może spłaceć wcześniej? Po co? Nikt mnie spyta: *Where are you from?*

Zaleta życia tutaj: *privacy*. A tam? Wspólne kuchnie, wspólne łazienki, wspólne dzielenie korytarzy, to włożenie sobie butami do najintymniejszych spraw życia. Jak długo tu jesteś? Całe nowe życie. Szkoda, że nie zacząłem go wcześniej. Mógłbym mieć inną pracę, może coś studiować. Nie. Nie ja. Nie można człowieka przeciąć na pół i z każdej połowy stworzyć nowe, pełne człowieczeństwo. Nie mnie. Jestem rozszarpany na pół. Odrastam, zabliznam się. Gdyby tylko Hanka...

Zdjął marynarkę, oparł głowę o fotel, odpoczywał. Codzienne przegadywania się, utarczki ze współnikiem w biurze — poza nim. Zapominał o kliencie, którego nie udało się namówić na *insurance*. Gdyby nie ból w tyle głowy, i ten formujący się u nasady żeber mały, gniotący bólek, byłby w tej chwili odgradzającej go bezpieczeństwem ścian od przyszłości, w którą nie lubiał się zagłębiać, od przeszłości do której nie chciał wracać — niemal zupełnie szczęśliwy.

Do pełnej szczęśliwości tej naszkicowanej cieniami domu chwili nocnej, nasączonej zapachem rzeczy znanych, przyjaznych: pasty do podłóg, kawy parzonej co rano, zapachu farby, którą malował kuchnię, kleju tapety, którą wyłożył pokoje, zapachu dzieciennego Irenki, który przyłgnął do lalki zapomnianej w kącie brakowało mu jeszcze świadomości, że jest oczekiwany.

Gdyby tylko Hanka... Gdyby na wprost niego, teraz, wyrwana z niespokojnego snu pytała: Dlaczego tak późno? Czy coś się stało? Opowiedz! Co w biurze! Jak się czujesz? Co jadłeś? Odpowiedziałby: Nie powinnaś była czekać. Przecież jutro rano musisz wstać wcześniej. Ale ona wzruszając tylko ramionami, gderając, że niepotrzebnie wstępował do jakichś podrzędnych restauracji i dając mu mnóstwo rad co powinien jeść, a czego unikać, podnosiłaby się z krzesła, szła do kuchni, nastawiała wodę na herbatę i: opowiedz mi jak było dziś, co robiłeś?

Teraz nie czekała już nigdy na niego. Kiedy zaczęło się to TERAZ? Dlaczego? Nie mogę tego zrozumieć. Nie mogę jej zrozumieć. Czyżbym już nic dla niej...

Dom, gdy wracał późno, zastawał już uśpiony. Samochód jej zaparkowany w garażu, albo przed domem. To mu wystarczyło: świadomość, że Hanka była w mieszkaniu.

Wstał, zgasił światło w pokoju, przeszedł do hallu. Dom trwał na miejscu nieporuszony, zakotwiczony, czuł pod stopami jego nienaruszoną niczym trwałość. Ostrożnie, aby nie obudzić nikogo, Witold, wchodził na górę. Zatrzymał się w przedpokoju na pierwszym piętrze, był tu zawieszony, jakby w środku domu. Ogarnął wszystko raz jeszcze jedną myślą, jakby raz jeszcze przejmując wszystko na własność. Przymknął oczy. Jakby na klawisze kładł myśli na cały swój dobytek, ściany i podłogi, dach i okna, meble i dywany odpowiedziały mu swojskim akordem.

Drzwi sypialni dziewczynek były uchylone. Wszedł. Poprawił koc na łóżku Irenki. Wdychał jej słodki, dziecinny oddech. Pochylił się delikatnie dotknął ustami jej czoła. Miała dopiero pięć lat i była jeszcze rozbijająca i ufnie i całkowicie jego i domu, zależna i czuła, jak lepki, młodziutki pęk kasztanu.

Zdzisia leżała na skraju łóżka, jej długie, czternastoletnie nogi nieokryte kocem. Poprawił koc, odsunął się przerażony, wydawało mu się, że ją obudził, ale ona tylko rzuciła się niecierpliwie. Jej sen był obcy, skomplikowany, jakby umykała mu nawet we śnie.

Nigdy już teraz nie rozmawiała z nim. Nigdy nie miała czasu. Trudny okres dojrzewania. To przejdzie. Powinna mieć oddzielny pokój. Powinna przenieść się do gościnnego pokoju na drugim piętrze. A jeśli goście... jest rozkładana kanapa w *living room*'ie, ale Zdzisia powinna...

Wyszedł z pokoju. Na prawo, z korytarza sypialnia jego i Hanki. Zamknięta. Nacisnął klamkę. Dwa białe wachlarze firanek, ten sam kwiecisty dywan co na dole i zagięcia ścian i łuki sufitu utrwalone już na zawsze w myślach i słodki zapach snu, ciepły zapach nocy i kojący zapach zdomowienia, które jest sumą i echem i zapachem myśli tu poczętych, zwątpień, nadziei i doznań i chwil tu zamkniętych, uścielających to miejsce życiem, którego już zabrać, ani wznowić nie można, ale w którego łagodnie wgłębienie można wracać i odnajdywać siebie i znów wzbogacać siebie sobą samym sprzed wczoraj, sprzed tygodnia, sprzed lat.

Hanka spała wpoprzek na szerokim łóżku, światło korytarza padało na jej ramię obejmujące poduszkę. Siadł na krześle, przy zgaszonym lustrze toalety. Patrzył na nią bardziej odgadując niż widząc jej kształt. Gdyby obudzić ją teraz! Podszedł do łóżka, pochylił się nad nią, jej zapach objął go za szyję. Budzić ją teraz? Po co? Nie powinienem jej budzić. O co ci chodzi, Witold?



Dlaczego znów mnie budzisz? Rozmawiać? Czy to coś tak ważnego? Czy nie można z tym poczekać do jutra?

Nawet wtedy, gdy zostawał w domu, gdy przychodził wcześniej, aby z nią pomówić, (O czym?) była albo zmęczona, albo zajęta, albo wyjeżdżała na zebrania. Miała zawsze zebrania, odczyty, dyżury, albo zastępstwa. Na nocnej szafce wskazówki fosforyzujące budzika zbiegły się na godzinie pierwszej. Gdybym mógł zarobić dość, aby ona nie potrzebowała pracować. Moja matka nie pracowała poza domem. Ojciec zarabiał. Gdy wracał, stół był nakryty do obiadu. Gdy drzemał po obiedzie, matka chodziła na palcach, aby go nie obudzić. Czwierć wieku temu. To były inne czasy. To było zupełnie co innego. Przeciągnął delikatnie ręką po jej ramieniu. Drgnęła. Cofnął rękę, stał niezdecydowany. Podeszedł do okna, odchylił firankę: śnieg. Widział twarz ojca, spiczasta bródka, ruch z jakim podnosił łyżkę do ust. Półuśmiech na twarzy matki oczekujący: smakuje ci? Odwracał głowę, kiwnął głową potakująco, kilkakrotnie, wycierał serwetką usta. Opowiedz mi — przechylała się do niego — co było dziś w szkole. O czym miał mówić Hance? Jego triumfy były nikłe wobec jej sukcesów. Ojciec unosił brwi, jego spojrzenie ponad matką, jej tklwym, łagodnym poddaniem się, ogarnia dom, podporządkowuje go sobie. Podobno mają wysunąć moją kandydaturę na dyrektora. No co ty powiesz, nadzwyczajne. Może jeszcze będziesz panią dyrektorową! — zmrużenie oka w stronę matki, mruknięcie w kierunku dzieci. Matka promienieje w glorii ojca. Dom — mieli tylko dwa pokoje z kuchnią — obraca się i rozszerza wokół ojca. Gdyby teraz stanąć przed nim, zapytać: dlaczego? Ile on miałby teraz lat? Siedemdziesiąt. I co mógłby mi poradzić? Przecież starałem się zrobić wszystko, aby jej pomóc. Mogła się uczyć spokojnie, zdawać egzaminy, nostryfikować studia. Dlaczego? W łóżku odwracała się od niego: Zostaw mnie, jestem zmęczona. Kiedy to się zaczęło? Czym ją uraził? Powinniśmy wyjechać na wakacje. Praca i praca, żadnej rozrywki. Powinniśmy wyjechać na wakacje sami. Zmienić pracę. Na jaką? Co może polski dziennikarz zrobić ze swoim zawodem na emigracji. Gdyby francuski, albo niemiecki! Ale polski dziennikarz! Może powinienem coś napisać? Nie mogę pisać. Nie potrafię już pisać. Jestem zmęczony. Pызata twarz budzika przyglądała mu się z ironicznym politowaniem. Zegarek tykał drobnym, równym śmieszkiem: hi-hi...hi-hi...

Muszę naukowo walczyć ze zmęczeniem, zmusić się do konstruktywnego myślenia, bo inaczej... Ziewnął. Jestem nieludzko zmęczony. Już po pierwszej... kiedy ja mam... Wyjął z szafy szlafrok. Przewiesił go sobie poprzez ramię. W drzwiach zatrzy-

mał się jeszcze. Jutro z nią pomówię. Zamknął ostrożnie drzwi. Minął pokój dziewczynek, przylegający do niego pokój teściowej i schodami węższymi i stromymi przytrzymując się poręczy szedł na trzecie piętro do pokoju gościnnego. Już po drodze rozpiął koszulę. Myślał: teraz tylko odpocząć. Jutro z nią pomówię. To się musi zmienić.

Doktor Ketler pociągnął za łańcuszek stojącej przy łóżku lampy. Zgasił światło. Dom pochrapywał z cicha obcymi dźwiękami, jak nieznamy człowiek we śnie, bezbronny i nieświadomy, że ktoś mu się przygląda i że obserwując bez jego świadomości — ocenia. Gościnnie pokój z załamany malowniczo sufitem, z białymi firankami w oknie, za którym kołysał się śnieg leniwy już i ciężki — przyjął go ciepłym zmrużeniem oczu, świeżo zasłanym łóżkiem, miękkim ręcznikiem w łazience, zielonawym zamysleniem lampy, której dyskretnie opuszczona głowa wydawała się nie dostrzegać zadowolonego uśmiechu doktora. Został. Był zadowolony, że został. No to co, że został? Zupełnie naturalne. W taką śnieżycę nie wyrzucą się gościa z domu. Każdy na ich miejscu zrobiłby to samo. I to jeszcze w obcym mieście. Miała rację, mówiąc, że nie doczekałby się autobusu. Zabłądziłby. Zresztą to nawet nie Hanka nalegała, aby został. Jej matka. Mogłaby równie dobrze być moją matką. Moja matka nigdy by... biedna, i na co jej przyszło... po willi, gdzie zawsze dwa gościnnie pokoje... w takim kącie, a mogłaby jeszcze żyć... Ambarasujące jest tylko, że ten Sanocki... co mnie to obchodzi! Gdybym się przejmował każdą rzeczą i bawił w przeróżne przewrażliwienia, nie byłbym dziś w Ameryce. Kto to jest ten Sanocki? Co on właściwie robi? Ubezpieczenia? Niech sobie robi co mu się... mam inne sprawy na głowie. A jednak żenujące... nie byłoby żenujące gdyby... nie, nic podobnego. Gdyby udało mi się wypracować nową, skróconą metodę (zawsze należy upraszczać) uzyskiwania odczynu... skąd ja znam jej twarz? Gdzie ja widziałem podobną twarz? To nie tylko twarz... ruchy... sposób mówienia, jak ona mruży oczy przy uśmiechu. Co za intensywność odczucia drugiej osoby. Tak nie odczuwa się czegoś, ani kogoś zupełnie obcego. Jakbym był na nią przygotowany, jak gdybym jej oczekiwał. Ciekawe spotkanie. Ale dlaczego nie spotkałem jej dwadzieścia, piętnaście lat temu, wtedy kiedy jeszcze mogłem, byłem w stanie zaangażować się. Teraz tylko... ale ona też. Obserwowała mnie przy oknie. Myślała nie widzę. Odczuła to we mnie. Gdybym wiedział, że to ona zaprasza mnie, trzeba było przyjść z kwiatami. Pani doktor pozwoli... Przecież znałem nie jedną lekarkę,

znam... więc co mnie w niej... Gorąco! Przegrzewają, wszędzie przegrzewają. Gościnną pyjama była zbyt ciasna. Zrzucił spodnie, cisnął je na dywan. Rozpiął kurtkę pyjamy. Odwrócił się na bok. Starał się zasnąć. A jednak — myślał — nie powinienem był zostawać, bo jeśli zostałem to tylko... Zapalił światło. Przeklął: cholera, gorąco. Nie powinienem był zostawać, spóźnię się do laboratorium. Wstał. Wszedł do łazienki, napił się wody. Odrzucił koc, przykrył się tylko prześcieradłem, wykrochmalona świeżość drażniła, pokój pełen był obecności Hanki. Starał się myśleć o rozpoczętym doświadczeniu. Przede wszystkim wyizolowanie enzymu, następnie zbadanie stabilizacji, roli enzymu przy stabilizacji drobnoustrojów. Nie potrzebuje liczyć się z brakiem odczynników. Jak tu oni wszystkim szafują. Wszystkiego w bród! W Polsce każdy zdrowy rozsądek, praca, można do czegoś dojść. I to szybko. A do tego w mojej profesji... a tam...

Właściwie do niczego jeszcze w swoim życiu nie doszedł. Przełamywało się już mocno na drugą połowę. Przełamywało się, opadało w przeciętność. Przeciętny lekarz, średnio zarabiający. Doktor Ketler może jutro zniknąć z powierzchni ziemi i nikt nawet nie zauważy. Zostaną stare recepty z jego podpisem, wolny pokój w mieszkaniu.

Profesora Karola Piłata spotkał w kilka lat po wojnie przypadkowo na ulicy w Warszawie. Elegancki, pewny siebie, zadowolony, chłodny. Wysłuchiwał Ketlera narzekań. Zaproponował krótko: rzuć praktykę, przejdiesz do mnie do instytutu bakteriologii. Na bakteriologię zwracał w czasie studiów mało uwagi. Pociągała go niegdyś chirurgia, marzył o trudnych operacjach mózgu, światowej sławie.

— I co mnie tam czeka?

— Kariera — powiedział Piłat.

— I co jeszcze?

— Musisz być realistą, zdecydować się na kompromis.

Po ojcu, inżynierze w południowo-zachodnim okręgu przemysłowym, doktor Ketler odziedziczył szacunek dla nauki i stanowiska w świecie, upór i pogardę dla ludzkich słabości. W domu jego ceniono pieniądź i tych, którzy potrafili dorobić się majątku, albo znaczenia własną pracą. Matka jego studiowała dentystykę, przerwała studia wychodząc zamąż, ale ta niepełność dręczyła ją całe życie. Szukała ujścia dla swojej energii w organizacjach społecznych przy szpitalach, w sierocińcach i ona to zaszczepiła w Adamie myśl o medycynie nie jako o zawodzie jedynie, a powołaniu. Pod wpływem matki, jakby na przekór ojcu, którego

stosunek do życia krytykowała wtedy jako materialistyczny, wbrew ojca namowom, aby studiował inżynierię górniczą, Ketler zapisał się na wydział medyczny. Jego starszy brat, inżynier, zginął podczas kampanii wrześniowej.

W roku 1939, we wrześniu doktor Ketler miał rozpocząć trzeci rok medycyny. Wojna zastała go w stolicy, brał udział w obronie Warszawy, został ranny odłamkiem, ale do rany tej nie lubił się przyznawać i miejsce jej wołał określać nomenklaturą łacińską: *Gluteus Maximus*.

W przepełnionym szpitalu wojskowym odłamek usunięto, ale w pośpiechu, nieudolnie i pewnie niekompletnie, gdyż Ketler przeleżał się dłużej niż wymagałby tego dobrze przeprowadzony zabieg chirurgiczny, rana jątrzyła się długo i zawsze już przy zmianach pogody odczuwał uporczywe rwanie w pośladku, które przeklinał razem z wojną i partactwem niektórych lekarzy. Po wyjściu ze szpitala, w kraju zajęтым przez okupanta, żył przez jakiś czas w stanie niezdecydowania: przedzierać się za granicę, uciekać do partyzantki w lasach? Planował jedno i drugie, ale gdy już na początku roku 1940 dowiedział się o formującym się dziale medycznym w ramach podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego, doktor Ketler praktyczny, zdecydowany raz rozpoczęte sprawy przeprowadzać do końca, dokonał wyboru. Został studentem trzeciego roku tajnej medycyny. Pracował przy tym jako sanitariusz w Szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze, wciągniętym w konspirację tajnego nauczania. Ten okres życia, tak inny od dwóch pierwszych lat akademickich, czas podzielony między wykłady, laboratorium, prosektorium początkowo tajne na ulicy Oczki, a potem w Szpitalu Przemienienia gdzie ćwiczenia z anatomii patologicznej prowadziła doktor Dąbrowska, wieczory z plutonem piechoty A.K., którego on, podchorąży, był instruktorem — wspominał jako najbardziej wartościowy i najciekawszy. Każda godzina wtedy miała szorstki, gryczany smak pełnego życia i każda była jednocześnie doznaniem terażniejszości i skokiem w przyszłość do której przygotowywała. Teraz — opadanie w przeciętność. Więc gdyby nie Piłat, gdyby nie krętki blade... najważniejsze, aby udały mi się doświadczenia. Zapadał w półsen z którego budziła go twarz Hanki. Obecna za każdą myślą, za każdym obrazem wychylała się zza nich, jakby dokumentując tym swoje prawo do jego snu w jej domu. Myślał: wypitem za dużo tej mocnej kawy, nie mogę zasnąć. Jutro wieczór zacznę pracować nad rozplanowaniem rozprawy, po pierwsze przygotowanie bibliografii, należy przedrzeć się przez te stopy skryptów. Oni tu jednak szalenie dużo czytają. Kogo ona mi przypomina? Co ona mnie... Nie, to nie jest przypominanie kogoś... to jakby

powrót moich własnych reakcji, w stosunku do kogo?... co za głupstwa... jestem śpiący... co ja też sam tu do siebie...

Uniósł się na łóżku. Nadśłuchiwał. Kroki. Wyraźne, ale lekkie i ciche. To już nie sen. Poczul wściekłe bicie serca. W szparze między drzwiami, a podłogą: światło. Patrzył na drzwi. Leżał nieruchomo. Klamka poruszyła się, usiadł na łóżku. Światło. Zmrużył oczy przed światłem.

Witold Sanocki otworzył drzwi gościnnego pokoju, zapalił światło i nie patrząc przed siebie ruszył w stronę łóżka. Potknął się. Buty. Na podłodze leżały męskie buty. Spojrzał na łóżko. Cofnął się.

— Przepraszam.

Ketler siedział na łóżku nie mógł poruszyć ustami, patrzyli na siebie, starał się uśmiechnąć. Otworzył szeroko usta, powiedział:

— To ja przepraszam. Pan Sanocki?

Chciał się poderwać, zorientował się, że nie ma spodni. Wyciągnął rękę:

— Doktor Ketler, Adam Ketler, ja natychmiast... jest mi... (Spodnie! Do cholery, spodnie!).

Sanocki przestąpił spodnie, odwrócił się, podniósł je, uściśnął wyciągniętą rękę blado, niedowierzająco.

— Gospodarz tego domu. Sanocki. Przepraszam, że pana...

— Och, cóż znowu, to ja przepraszam. Naprawdę, nie chciałem sprawiać kłopotu, panie zatrzymały mnie na noc. Czy mógłbym...? — patrzył błagalnie na spodnie.

— To ja powinienem, że pana... — Trzymał w ręku podarte spodnie od pyjamy. — Ale skąd pan tu?

— Czyżby pani Hanka, pani doktor nic nie... że ja...?

— Tak, tak, no naturalnie, że też ja... tak... zapomniałem.

Ketler zapinał pośpiesznie pyjamę, przyglądał włosy.

— Ja jestem właśnie tym lekarzem z Polski. Czy mógłbym?

— Ale tak, żona wspominała mi, nie pamiętałem, że to dziś.

— Roześmiał się, śmiech zdławił go, zakaszłał.

— Czy mógłbym prosić...

— Ja zaraz wychodzę.

— Nie, ja już się ubieram, tylko spodnie...

— Spodnie?

— Tak.

— Te?

— Tak.

— Ale te spodnie są...

— Ja wiem, to pana spodnie, panie pożyczyły mi... co za... śmieszna sytuacja...

— Ale te spodnie są podarte. Przyniosę panu inne.

— Nie! Niech się pan nie fatyguje... jest mi niezmiernie... proszę, niech pan siada. — Sanocki usiadł. Myślał: gdzie ja jestem... zaprasza mnie... w moim własnym domu. Spojrzał: czerwono-białe, pasiaste spodnie od pyjamy, to nim targnęło, jak na arenie, rzucił się, ból głowy przygwoździł go, mdłości, ucisk pod żebrami.

— Proszę pana — powiedział Ketler — ja się zaraz ubieram i wychodzę.

— Nie, nie...

— Ja przecież widzę, że pan jest niezadowolony, nigdy w życiu nie byłem w tak... tak...

— Nie ma mowy. Pan jest gościem.

— Niepożądanym.

— To moja wina. Proszę na mnie nie zwracać uwagi. Szukałem magnezji i... na śmierć zapomniałem...

— Pan się źle czuje.

— Trochę, żołądek, głowa...

— I zmęczenie.

— Tak. Ale myślę, że zaszkodziła mi kawa. Wstąpiłem po drodze do takiej dziury, nie powinienem, ale byłem tak śpiący... a pan doktor z Polski?

— Tak.

— Jak dawno?

— Niecałe trzy tygodnie temu. Przyjechałem do Perceval Norris.

— To tam gdzie Hanka. — Ziewnął. — Przepraszam. Ja już wychodzę.

— Czy byłby pan tak łaskaw...

— Tak?

— Spodnie.

— O, przepraszam bardzo. — Sanocki podał mu spodnie.

— Dziękuję. Dolegliwości żołądkowe należą do najprzykrzejszych, wpływają na psychikę, mogą wywołać depresję. Ale ja nie bardzo wierzę w skuteczność magnezji. To jest bardzo powierzchowne, objawowe leczenie. Już lepiej łyżkę prawdziwej oliwy.

— Oliwy?

— Czasem pomaga przez wzmożone wydzielenie żółci. Gdzie pan odczuwa ból?

— O tu, widzi pan...

— Tak.. ucisk gazów na *plexus solaris*. A jak z przeczyszczeniem?

— Mam skłonności do obstrukcji. Jest to... — Spojrzał na Ketlera: twarz poważna i wsłuchana i ta głowa lekarska w której już świecąca diagnoza, głowa ucięta kocem, który uniesiony

kolanami piętrzył się w łańcuchy górskie i opadał, bo on tam pod tym kocem mocował się ze spodniami. Spojrzał na zegarek: wpół do drugiej rano. Zwariowałem! Ja jemu o obstrukcji, a trzeba by za kark... za kark...

— Widzi pan, zanim przerzuciłem się na bakteriologię, praktykowałem internę. Zapiszemy dietę. — Westchnął: no nareszcie, i koc wygładził się, uciszył. Zerknął na Sanockiego: tamten na krześle blady i opadnięty, ale pięści dwie z kciukami wewnątrz dłoni zaciśnięte i naszykowane. Niech cholera weźmie ten obiad! Po co ja tu przyszedłem. Wychodzę! Odrzucił koc, wstał z łóżka przytrzymując spodnie. Sięgnął po ubranie rozwieszona na krześle:

— Ja się zaraz...

— Ale doktorze, niech pan się kładzie, ja natychmiast wychodzę.

— Naprawdę nie wiem, może byłoby lepiej...

— Niech pan nie stoi, niech pan się na miłość boską położy! Niech mi pan nie robi przykrości, doktorze. Ja już idę...

— Ale bardzo miło mi się z panem rozmawia, cieszę się, że mogę z kimś mówić po polsku, bardzo proszę, niech pan siada.

— Ale dlaczego pan stoi?

Ketler usiadł na łóżku, przytrzymał spodnie, przykrył się kocem. Zachciało mu się nagle spać, walczył z potrzebą ziewnięcia, powiedział:

— Mają państwo piękny dom.

Sanocki skrzywił się: — Tak, tak... wygodny. Myślał: dlaczego ona go tu zaprosiła? I bez mojej wiedzy na noc! Bez mojej... — Zapali pan?

— Z przyjemnością.

— Pan, doktorze, pierwszy raz w Ameryce?

— Pierwszy raz.

— No i jak się tu panu... jakie pierwsze wrażenia?

— Kraj kontrastów.

— Niewątpliwie. Ale czy panu się tutaj podoba?

— Jestem jeszcze oszołomiony, dopiero dwa tygodnie.

— My już od 52-go roku.

— Szmata czasu.

— Byliśmy przedtem w Anglii.

— Po Powstaniu?

— Nie, nie brałem udziału w Powstaniu.

— Nie ma pan czego żałować. Czy mogę prosić o popielniczkę?

— Służę.

— Dziękuję uprzejmie.

— Powiedział pan, że nie powinienem żałować.

- Oczywiście.
- Dlaczego?
- Byłaby jeszcze jedna więcej ofiara bezsensu.
- No nie, nie, nie! Tylko nie bezsens. Zostawmy to historii i... uczestnikom Powstania. Dlaczego pan się śmieje, doktorze?
- Tylko z samego siebie.
- Nie rozumiem.
- Byłem uczestnikiem, jak pan powiedział. Powstańcem. Trudno mi jakoś siebie samego nazwać powstańcem, zawsze widzę tych powstańców 63-go roku maszerujących w defiladach przedwojennych.
- Był pan w oddziałach A.L.
- Nie. W oddziałach A.K., na Starówce.
- To bardzo... chwalebne.
- Cóż w tym chwalebnego! Akurat się tam znalazłem. Nie wierzyłem w to, wiedziałem, że Powstanie nie miało żadnych szans.
- Ale przyzna pan, doktorze, że to był jednak zryw wspólny, imponujący, że to przejdzie...
- Przejdzie.
- Hm...
- Przeszło razem ze zrujnowanym miastem i wybitym młodym pokoleniem.
- Nie ma wielkości bez ofiar i poświęcenia.
- Co to jest wielkość, proszę pana? Skazywanie innych i siebie na śmierć czy też umiejętność przetrwania? Pan źle wygląda... my tu takie nocne rodaków rozmowy... pan się powinien położyć.
- Ja już wychodzę, chwileczkę... ale jednak pan brał udział w powstaniu.
- Porwało mnie. Uległem ogólnej psychozie, wtedy...
- No i wyszedł pan z tego cało. Jest pan nawet w Ameryce.
- Pan też jest w Ameryce.
- My się nie rozumiemy. Chciałem powiedzieć, że nie został pan tą ofiarą bezsensu, mógł pan studiować, praktykować...
- Nie zostałem kaleką.
- Uniknął pan losu emigranta.
- Los, proszę pana, często zależy od naszej decyzji.
- Sanocki wstał. Duszno i ciężar, jak wtedy pod ukrywającym go żelastwem i twarze ich trojga. A ten tu, w mojej pyjamie rozłożony, filozofujący. Dlaczego Hanka...?
- Dobranoc panu. Pan jutro do szpitala?
- Dziś.



— Tak dziś. Zgaszę światło.

— Proszę uprzejmie. Rano zapiszemy dietę, najważniejszy przy tych dolegliwościach gastrycznych: spokój.

— Ach panie, ach panie... spokój! Dobranoc.

Po wyjściu Sanockiego, Ketler wyskoczył z łóżka. Chciał się natychmiast ubierać i wychodzić. Iść chociażby pieszo do miasta, do szpitala. Był wściekły: na siebie, na Hankę i jej matkę. Zapalił papierosa, odsunął firankę: ciężkie kiście choiny opadły pod ciężarem śniegu, ale niebo było już granatowe, spokojne i zamknięte. Śnieg ustał. Doktor Ketler przeciągnął się, siadł na łóżku, a potem się położył. Ziewnął. Myślał: Jak ona może z nim wytrzymać? Ale dlaczego ja w tym? Pomiędzy tym? Co mnie do tego domu, w sam środek rozpoczętej akcji, bo dlaczego on by tu, po nocy, kiedy ona tam pewnie, w sypialni? I już ja, w jakiś sposób zaangażowany, z rolą przydzieloną, jakby mi w rękę skryp: rolę i sceneria: śnieg i ten pokój, spodnie od pyjamy pęknięte i paralizujące, a ja tylko... więc gdzie tu moja decyzja o własnym losie? A, los... podziękuję, pożegnam się, więcej jej nie zobaczę.

Zdjął spodnie, włożył je pod poduszkę. Wracać teraz, po nocy? Nie ma sensu. — Bielizna parowała obcym, drażniącym zapachem. Noc uderzała o ściany domu miarowo i melodyjnie, a on unoszony jej odpływem i przypływem zasypiał i budził się na brzegu świadomości i dopiero, nad ranem, gdy chwila ciszy głębszej jak zapaść zatrzymała czas przed z daleka nadchodzącym światłem, zasnął. Zbudził go dźwięk radia z pokoju na dole.

Sanocki schodził na dół przytrzymując się poręczy. Było mu mdło, miał zawroty głowy, czuł słabość w kolanach, a gniotący ból u nasady żeber promieniował wyżej na klatkę piersiową i pod łopatki. Dygotał ze wzburzenia i z każdym następnym stopniem w dół, postanawiał, że zaraz wróci do pokoju gościnnego i powie Ketlerowi co myśli naprawdę o jego niespodziewanej wizycie: — Niech się pan ubiera — powie — śnieg ustał i mogę pana teraz odwiedzić do miasta. Nic więcej, tylko tyle, on już zrozumie. Nie wracał jednak, przystanął w hallu pierwszego piętra i myślał: Dlaczego mi się nie odbija? Zaraz poczułbym ulgę. Trzeba było wziąć magnezję. Dlaczego ja jemu uległem? Skąd on się tu znalazł? Hanka mi nigdy, nic... a może i wspominała, ale... to nieustanne zmęczenie i nerwowość życia... jestem przekonany, że mam wrzód żołądka. Na wprost uchylone drzwi od pokoju dziewczynek, na lewo spała jego teściowa, na prawo zamknięte drzwi za którymi Hanka. I kroki tamtego na górze. Chodził mu po głowie, kroki jego waliły go w czaszkę. A może

ubiera się i wyjdzie. Nadślułkiwał, ale po kilku minutach kroki ustały i cisza. Położył się. Bezczelny.

Witold spojrział na drzwi swojej i Hanki sypialni, wzruszył ramionami i zdecydowanie zwrócił się na lewo, zapukał do drzwi pokoju teściowej. Czekał. Zapukał drugi raz, nacisnął klamkę, wsunął głowę do pokoju, szepnął:

— Zosiu... Zosiu...

Odbiło mu się i zaraz poczuł ulgę.

Słyszał jak się poderwała, usiadła na łóżku i zaraz jej głos ochryplił od snu i ze snu wydobyty: Kto to?

— To ja. Przepraszam, że cię budzę...

Zapaliła nocną lampkę. Popchnięta światłem twarz jej podbiegła ku niemu, wyczekująca gotowa do współczucia opadająca ze snu, który gdzieś ją unosił, a teraz wyrzucił i zanim mógł i chciał zauważyć jej przeobrażanie się, była już twarzą stroskanej, rozumiejącej matki, a głos jej tylko szepem:

— Witku, co się stało?

Wychyliła się z łóżka, badała go, odczytywała skrzywienie ust, żałosne ściągnięcie brwi i spojrzenie zapadniętych oczu przepraszające, a jednak w głąb siebie samego skierowane, podczas, gdy on widział tylko jej kształt wobec siebie: kształt twarzy i głowy zapamiętanej z wczoraj, przedwczoraj, sprzed miesiąca, okrągłe ramiona w nocnej koszuli o długich rękawach, ruch palców, którymi przecierała oczy, jej wychylenie ku niemu, jej gotowość wysłuchania go, jej zachętę do wypowiedzenia się przed nią. Westchnął i odetchnął i poczuł się lepiej, przysiadł na krześle przed łóżkiem.

— Kto to? — szepnął.

— Kto?

— Ten — podniósł rękę.

Spojrzała na jego ramię, na sufit i jednocześnie na niego.

— Byłeś tam?

— Szukałem magnezyj.

— To moja wina. Powinam ci była zostawić kartkę na dole, że on tam... ale nie sądziłam...

— Skąd mogłem wiedzieć?

— Naturalnie, skąd mogłeś. Moja wina. Byłam taka zmęczona, siedzieliśmy długo przy kolacji, myślałam, że przyjdiesz, ale powinam była... przepraszam.

— No a Hanka?

— Znasz Hanke. Miała ciężki dzień w szpitalu.

— Ona ma zawsze ciężkie dni. Kto on jest?

— Lekarz z Polski. Bardzo miły człowiek. Obudził się?

— Ja wiem, że lekarz. Rozmawiałem z nim.

— Tak? I co? Witku, trzęsiesz się cały. Zdenerwowałeś się?  
Czy ty...?

— Nie, został. Śpi tam, ale do czego to...

— Źle się czujesz.

— Fatalnie.

— Rzuć mi szlafrok. Dziękuję. Dlaczego ty się nie położyłeś?

— Hanka śpi, nie chciałem jej budzić, myślałem, prześpię się na górze.

— Mój Boże, mój Boże, moja wina, dlaczego ja ci... i tak się zdenerwowałeś, biedaku.

— Okropnie się czuję.

— To przez to?

— No nie. Piłem wstrętą kawę i... miałem potworny dzień. Ja też mam prawo mieć ciężki dzień. Ja też mogę się czuć zmęczony, ale się tu...

— Naturalnie, ja wiem, jak ty się zadreczasz, wy wszyscy tu biedacy w tej Ameryce... Zaraz ci zrobię herbaty, już wkładam szlafrok, już zaraz...

— Poczekaj, kto on jest?

— Nazywa się Adam Ketler, przyjechał tu na sześć miesięcy, do Perceval Norris, opowiadał bardzo...

— Ale dlaczego Hanka od razu go zaprasza na noc? Bez mojej wiedzy. Do czego to dochodzi!

— Cicho... pomówimy na dole... ja ci już zaraz... odwróć się...

— Nie! Leż, śpij. Ja już idę. Chciałem tylko wiedzieć.

— Boże, jakiś ty mizerny, ja ci zaraz herbaty z cytryną... i wytłumaczę ci... dobrze?

— Ja mam już na pewno *ulcer* i to teraz tylko...

— No już... cicho... nie masz żadnego *ulcer*, już idę.

Wiedział, że go zatrzyma. Nawet, gdyby powiedziała teraz: idź, znalazłby pretekst, aby przedłużyć tę rozmowę. Nie mógł zostać sam. Potrzebował współczucia. Wszystko jedno czyjego współczucia, jej było łatwe i dostępne, leżało tuż obok. Przytrzymując się krawędzi materaca szukała nocnych pantofli, schylił się i podał jej: mocno już znoszone skórzane pantofle, prezent gwiazdkowy sprzed dwóch lat.

— Witku, Witku, biedaku, ty się nie wyśpisz, przecież to już wpół do trzeciej rano. — Jej pokój, do którego wchodził rzadko, bo zwykle rozmawiali przy stole kuchennym, albo wspólnie oglądając telewizję. wydawało mu się, nie należał do tego domu i przez chwilę gdy wyprostował się, patrząc na nią zamyśloną, nakładającą pantofle w ramie pokoju i ścian na których nocą osiadały jej myśli i jej sny i oddech, na jej kwiaty w do-

niczka na parapecie okna, jej fotografie wsunięte w cienkie ramki przeszłości, fotografie jej męża, syna, Hanki jeszcze w war-koczach, na jej życie, które wtedy obracało się wokoło niej, a któ-rego teraz była tylko nieśmiałym, milczącym świadkiem, na jej drobiazgi i pamiątki, okruchy z których stwarzała siebie w roz-paczkliwym usiłowaniu powrotu i przetrwania, zobaczył ją ukrytą poza strokaniem twarzy i dobrotliwością spojrzenia i powiedział prędko:

— To chodźmy!

Postępując za jej ciepłym, długim szlafrokiem, który był częścią porannych posiłków i wieczornego przesiadywania przed ekranem telewizji bardziej niż nią samą i jej twarzą i jej myślą, znów jęknął:

— Jestem zmęczony, zmęczony, wydręczony. Ale to nie ma sensu, ażebyś wstawała po nocy, mógłbym sam sobie zrobić herbaty.

— Nie marudź!

Zeszedł po czerwonym dywanie schodów do *living room*'u i wzdrygnął się, jakby wyszedł na chłodną ulicę. Nie było już przytulności ścian, ani cichego łaszenia się mebli — zbiór sprzę-tów, porowata dekoracja ścian. Nawet to, co uważał za własne, podlegające jego woli, bliskie, żyjące z nim i nim, jak skóra, okazało się zdolne do penetracji. Bakcył wkraść się do krwio-obiegu jego domu. Witold czuł, jak domem wstrząsają gorączko-we dreszcze. To zbliżało się od dawna, ocierało się, groziło mu, ale nie mogło jeszcze przeniknąć. Na to trzeba było umiejętności zakradzenia się, tajnego szyfru otwierającego lepiej niż klucz, drzwi frontowe.

Przeszedł przez pokój stołowy, patrzył niechętnie na stół: to tu sobie siedzieli. Siedział pewnie na moim miejscu. Kopnął krzesło.

— Uważaj — powiedziała. Zapaliła światło w kuchni. Kuch-nia była obca, wysterylizowana z przytulności, ściany milczały. Spojrzała na niego, powiedziała:

— Siadaj tu, mój Boże, jak ty wyglądasz... jak z krzyża zdjęty.

— Wszystko mnie boli.

— Już zaraz... zaraz...

Patrzył, jak nalewała wodę do imbryka, zapalała gaz, skupio-na na tej tylko funkcji, bez śladów niedawnego snu, znów włą-czona w dom, który był domem jego i Hanki. Gdy pochylała się zauważył, że mięśnie jej policzków obwisały nieco, szyja była pofałdowana, a na brodzie sterczało kilka sztywnych, ciemnych

włosów. Myślał: babcia, szczęśliwa, że tu z nami, że wnuczki, że spokój.

Odwróciła się do niego, uśmiechnęła zmrużeniem oczu, jej uśmiech był młody i w jego zachęcającym ciepłe kuchnia zaczynała łagodnie pomrukiwać i on sam, jakby się rozluźnił, przeciągnął, powiedział skarżąc przed nią:

— A, żyć mi się nie chce...

— Nie opowiadaj głupstw! Nie wywołuj wilka z lasu! Ty, Witku, jak dziecko, wyobrażasz sobie, że życie to... ciasteczko? Masz dwie córki, śliczne, zdrowe, i żonę i dom. Wszystko inne nieważne. Dbaj więcej o siebie, wypocznij. Ja ci zawsze mówiłam... czekaj, zjesz grzanekę z masłem? To ci bardzo dobrze... no, no jak? Ja ci zaraz...

— Nie, nie o to mi chodzi.

— Zjedz grzanekę, Witku, zjedz, dobrze ci zrobi.

Myślał: Jak ona już nic nie rozumie, jak to już u niej wszystko wygasło, skończyło się, powiedział:

— Nie, nie zwracaj sobie głowy.

— A czym ja sobie mam głowę zwracać, jak tylko, żebyście wy wszyscy... zaraz... — Wyjęła chleb z lodówki, pośpiesznie, aby jej nie powstrzymał, wsunęła dwie kromki do *toaster'a*, z triumfującym mrugnięciem położyła przed nim talerzyk, nóż, masło, filizankę.

— Nie chodzi mi nawet o to, że go zaprosiła — powiedział nie zauważając nawet jej krzątaniny, ale już jej się poddając, jak chory, który pozwala sobie położyć zimny kompres na czoło. — Wiesz dobrze, że sam lubię gości, nie te różne *parties* na które Hanka mnie czasem wyciąga, ale wiesz, ludzi, którzy przyjdą do domu pogadać. Wiesz, że sam chętnie i zaproszę i poczęstuję. Ale do diabła, powinienem o tym wiedzieć! Powinienem być chociaż poinformowany. Kto ja jestem w tym domu? Sublokator?

— No i po co ty się denerwujesz? Czekaj, ja ci zaraz wytłumaczę.

— W nocy spotykam obcego mężczyznę w domu! W mojej własnej pyjamie. Ciekawy jestem, jakby się inny na moim miejscu...

— Ale ty jesteś kulturalny i wyrozumiały.

— Kultura i wyrozumiałość mają swoje granice, może jestem za bardzo...

— Słuchaj, to ja go zaprosiłam na noc. JA! Słyszysz! Człowiek nie zna miasta, pogoda potworna, sam byś mu to... i dlatego ty z tego robisz takie niepotrzebne historie, dlaczego ty się tym tak... tak nieproporcjonalnie...

— Gdyby się mnie spytała, gdyby mi tylko powiedziała.

— Może ci powiedziała.

— Nie, nie wiem, nie pamiętam, powinna była ze mną uzgodnić. No a tak, wejdź w moje położenie, przychodzisz do swego domu...

Nalała mu herbaty do filiżanki, powiedziała: — Pij! — Odwróciła się, smarowała grzanek masłem, myślała: Stale muszę wchodzić w czyjeś położenie. Hanka: mamu, mamu ty sama widzisz, wejdź w moje położenie! Haruję, utrzymuję dom i co mam z tego? Przecież ja jeszcze jestem młoda, przecież jeszcze mi się trochę od życia należy. On nigdzie nie chce chodzić, jego już nic nie bawi. A czy ja miałam jakieś przyzwoite wakacje? A wiesz, widzisz, słyszysz, między nami już nic. Podejrzenia, pretensje...

Ja nie chcę o tym słyszeć, Haniu, to są wasze... Mamu, zrozum, wejdź w moje położenie...

— No pij, Witku, biedaku, popijaj sobie wolno, dobrze ci zrobi.

Pogładziła go po głowie. Nie miał rodziców, a ona straciła syna. Czuła się bardziej matką niż teściową. Myślała zawsze: dla męża mojej córki będę matką, nie teściową, nie tą przysłowiową teściową. Może aż za bardzo matką? Może dlatego nie umiem zrozumieć jego stosunku z Hanką? Traktuję ich na równi, jak dwoje dzieci. To źle. Ja tu nie jestem potrzebna, ja powinnam się wycofać, wyjechać. Do Polski? Tam i ja byłabym bardziej sobą i oni tu... ale dziewczynki! I Hanka tu beze mnie! Dlaczego ja się nie mogę zdecydować? Kto chce wejść w moje położenie?

— Dziękuję — powiedział — herbata to cudowny napój i ty tak umiesz dobrze zaparzać herbatę.

— Co? — odwróciła się do niego, położyła grzanek na talerzyku. Miała łzy w oczach.

Myślał: poczciwa, dobrze, że jest z nami, bo gdzieby ona sama, bez celu, a tak ma zajęcie: wychowuje wnuczki i czuje się jeszcze potrzebna. Powiedział:

— Herbata dobrze mi robi.

— No widzisz — powiedziała. Myślała: Za *baby sitter*'a musieliby drogo płacić i w domu też przecież nie jedno... więc właściwie nie tracą na mnie. Ale, jak Irenka...

— Jedz, Witku, jedz. Byłeś po prostu głodny. Noc tak wyolbrzymia różne sprawy, nadaje im czasem takie dziwne znaczenie, ale dzień...

— Więc zrozum moje położenie. Wchodzę do pokoju zmorowany, marzę żeby się położyć i widzę, że jakiś mężczyzna...

— Więc ty tam szedłeś się położyć? Dlaczego nie w sypialni?

— Nie chciałem budzić Hanki i mówiłem ci magnezja...

— Ach tak... tak... a skąd wiedziałeś, że mężczyzna, przecież...

— Potknąłem się o jego buty, o mało co wyrznąłbym nosem w podłogę. Moje spodnie od pyjamy leżały na dywanie.

— Obudził się?

— Mówiłem ci, rozmawiałem z nim. Powiedz sama, Zosiu, jak ty byś się czuła?

Usiadła na wprost niego przy stole kuchennym, zamyśliła się.

— Ja byłem w takich różnych sytuacjach, ale ja bym chyba...

— Poczekaj, przez chwilę miałem ochotę wywalić go na zbity łeb!

— Ale dlaczego, dlaczego ty nie...

— Dlaczego? Każdy mąż w podobnych warunkach tak by się zachował.

— Ty nie jesteś 'każdym' i to nie są normalne warunki. To są warunki... widzisz, przeciętny Amerykanin ma swoje przeciętne, ludzkie kłopoty, a my, u nas każdy kłopot jest o polskim zabarwieniu. My zaraz wszystko: pod emigrację, pod naszą inność, my z tego punktu na wszystko... więc ja bym Witku...  
Hanka mówi: twoje polskie przewrażliwienie, mamoo...

— Cholerna emigracja.

— ... a ja już taka zostanę, ja już się nie zmienię i wy też, żebyście się nie wiadomo jak zmienili na zawsze już będziecie i tu, i tam i nigdzie. Jednego bronić przeciwko drugiemu. Nigdzie już zupełnie szczęśliwi, zawsze rozdzieleni, zawsze na dwóch brzegach.

— No dobrze, ale dlaczego w imię tej tam emigracji, polskości, itd. mam się cieszyć, że moja żona bez porozumienia ze mną przyjmuje na noc jakiegoś... czy ja wiem kogo? Diabli wiedzą kim on jest naprawdę.

— A ciebie by tam nie przyjęli? Odmówiliby ci gościny gdybyś się teraz przypadkowo znalazł? Ja nie mówię: rząd. Zwykli ludzie.

— Ja tam nie pojadę, ja się tam nie pcham.

— Ale gdyby... to, myślisz, uciekliby od ciebie, zatrzasnęli ci drzwi przed nosem?

— Są różne takie sytuacje i czasem trzeba zatrzasnąć drzwi... uciekać...

— Jakie znów sytuacje?

— Może ci kiedyś powiem.

Przymknął oczy. Był tam, a tu tylko on nieobecny kiwał się nad stołem, pochylał.

— Witku, co ci? Śpisz?

— Nie, nie, tak się...

— Martwisz się?

— Powiedz, jak różne ludzkie marzenia, plany diabli biorą i jeden dzień po drugim, jeden dzień po drugim tak to zmiata, odsuwa...

— Pij herbatę.

— ... zostaje tylko dom, Hanka, dzieci. To wszystko co mam. Bo ani satysfakcji z pracy, ani możliwości rozwoju, ani własnego środowiska. Ja jestem inny na zewnątrz i dopiero zaczynam być sobą tu, oddycham. I widzisz, Hanka wiedząc o tym, rozumiejąc...

Oparta o zlew potakiwała, krople wody za nią odmierzają czas, a ona potakiwała sobie: tak, tak, dom, Hanka, dzieci, a ja nic, teściowa, włączona do domu. Sprzęt. A może powinnam wyjechać? Zdobyć się na to zanim zacznę chorować i stanę się dla nich ciężarem? Gdyby przysyłali mi tam dziesięć dolarów miesięcznie...

— ... że ten dom jest dla mnie więcej niż kwatery, niż ściany, przestrzeń, że to zasięg mojego, naszego promieniowania, że to jest miejsce w którym jestem w pełni, niczym nie skrzepowany, niczym nie ograniczony...

— Cicho. Nic się znów takiego nie stało. Przecież to też jej dom, więc coś złego i znasz Hankę.

— Nie znam.

— Po piętnastu latach małżeństwa!

— Co to za małżeństwo!

— Ja między was nie wchodzę. Wychowałeś ją sobie.

— Wykształciłem.

— Wiesz Witku, nie bądź ironiczny. Już co jak co, ale ona ciężko i pracowała i pracuje. I zastanów się tak, na zdrowy rozum, czy to sens urządzić takie tragedie, że ten człowiek tu nocuje, że ona sobie z tym lekarzem porozmawiała?

— Z bardzo przystojnym lekarzem.

— No co też ci do głowy przychodzi! Już nie wiem, chyba że jesteś zazdrosny?

— Może jestem.

— To idź, obudź ją! Porozmawiaj z nią!

— Po co mam ją budzić, żeby się jeszcze trzecia osoba zdegenerowała?

Usiadła, wtuliła się w szlafrok, położyła twarz na rękach i palcami rozcierała czoło. Była Hanką świadomą swoich porównań i Hanką mądrzejszą o doświadczenie jeszcze jednego życia. Porównywała ich: Witold i tamten, tamten i Witold.



— Złe się czujesz, Zosiu? Boli cię głowa?

— A, tak sobie myślę... — Myślała: Można być jednocześnie: sobą i Hanką — dwoma osobami splecionymi razem, i Hanką tylko. Trzema parami oczu jednocześnie patrzeć na to samo i drżeć i karcić się za to drżenie, spodziewać się i przerażać, że można pozwolić myślom, aż tak daleko i znów wracać do siebie samej i pytać się: którą ja jestem naprawdę? Jak to rozdziera, męczy.

— Bo ty jesteś jej matką, ty już wybaczasz zanim osądzisz, zrozumiesz.

— Myślę, że ja umiałam rozmawiać ze swoim mężem, a ty, a Hanka...

— Ja nie wiem, ja jakoś lepiej umiem się porozumieć z tobą niż z Hanką.

— To niedobrze. Ale, powiedz dlaczego? Co was dzieli? Tu wszystko przecież powinno łączyć.

— Nie wiem.

— Może to ten nowoczesny świat, inny rodzaj małżeństwa: żona w swoim zakresie pracy, mąż w swoim i niby biegną tą samą drogą i jak dwa koła i nie mogą się spotkać. Może to to, jak myślisz? O widzisz, musicie się zatrzymać, to ten pęd was dzieli, ta pogoń, ten nieustanny pośpiech, powinniście mieć więcej czasu dla siebie.

— To co mam zrobić?

Pochyliła niżej głowę, szepnęła:

— Może ty powinieneś się trochę zmienić, zastanowić się co was łączyło w przeszłości.

— Przeszłość, Zosiu... ani ja już nie jestem taki sam, ani Hanka, ani ty...

Oderwała ręce od twarzy, położyła na kolanach i wydawało jej się dotyka zwiniętych w czarne, matowe rulony filmu pozrywanych fragmentów dawnego jej życia, chciała je unieść pod światło, zobaczyć tamte obrazy, ale chłód zdarzeń i spraw i ludzi umarłych wstrząsnął nią, zapłakała:

— Ach Boże... Boże...

— No widzisz, widzisz Zosiu, co taki jeden człowiek, takie zaproszenie na noc, może narobić. Płaczesz teraz, niepotrzebnie cię budziłem, zrywałem z łóżka, przecież ty potrzebujesz wypoczynku i teraz... ale dlaczego tak płaczesz?

— Nic... nic... chyba starzeję się.

Niezgrabnie, trzęsącymi się palcami, kołnierzem szlafroka wycierała łzy z policzków.

— Nie płacz — powiedział zażenowany i bezsilny, jak wobec starca, który tam już zatrzymany i tam już odwrócony i którego

okrutnie jest pocieszać, że życie już przeszło i którego tylko łagodnie trzeba usunąć i wyłączyć, bo po co ja z nią o tym? Co ona mi pomoże? Zestarzała się, przewrażliwiona. Ale jednak może pojechalibyśmy na wakacje? Tylko ja i Hanka. Obudzić ją teraz i: Haniu, pojedziemy do Europy, my tylko we dwoje, zaw-sze chciałaś...

— O czym-żeście rozmawiali? — spytała.

— Z kim?

— Z nim. Z tym lekarzem? Mówiłeś, że rozmawialiście.

— Wiesz, była taka nieprzyjemna sytuacja...

— Wyobrażam sobie, ale o czym...?

— Zaczęło się o... spodniach.

— O spodniach?

— Prosił mnie, aby mu podać spodnie od pyjamy.

— Ale przecież ja mu...

— Wiem. Dałyście mu moją pyjamę, ale widocznie odrzucił spodnie, były podarte, leżały na dywanie.

— Że też ja... ale chyba niemożliwe, może przetarte i jak wkładał...

— Nie wiem, to nieważne teraz. Podniosłem spodnie i natychmiast zauważyłem: podarte. I to mnie zaambarasowało, bo może bym inaczej... ale to mnie jakoś cofnęło. Czułem się podpatrzony, podglądnięty, taka rzecz: łąta, cera, rozdarcie i to w takim miejscu, póki nikt obcy tego nie zauważy — to nic, nie ważne. Ale raz zauważone i to dwukrotnie: przez niego i przeze mnie to rośnie, olbrzymieje nieproporcjonalnie, i rozmowa coraz dokoła tego, on chciał te spodnie z rozdarciem, ja nie chciałem mu dać i on nalegał...

— A ty?

— Proponowałem, że mu przyniosę inne, chciałem mu przynieść nową pyjamę, już wszystko jedno byle nie to podarte...

— Przyniosłeś?

— Nie. On nalegał i dałem mu.

— Mogłeś przecież...

— No co miałem robić? Schodzić do sypialni, szukać innych, wracać, przynosić? Niech mu tam! Nalegał, dałem, tylko to rozdarcie! Co mnie to zresztą... chciał. Dlaczego tak patrzysz?

— Nie, nic. Trochę lepiej wyglądasz.

— Herbata mi pomogła.

— Witold, powiedz mi, to wy tylko tak cały czas o tych spodniach?

— Nie. Potem mówiliśmy jeszcze o Powstaniu. On brał udział w Powstaniu.

— I tak zaraz od tych spodni do Powstania?

— Już nawet nie pamiętam jak do tego doszło.  
— Powiedz, jak my zaraz na takie tematy, ze wszystkich stron do jednego punktu: wojna, Powstanie, Emigracja.

— Nie zawsze.

— Ale jak jakiś kłopot to ludzie tu, Hania mówi, zaraz do psychiatry i rozgryzają wszystko od najwcześniejszego dzieciństwa, przez lata tak o tym mówią, każdy drobiazg w przeszłości ma znaczenie, a my już mamy wszystko uszeregowane, gotowe wytłumaczenie i jak jakiś kłopot, to wiadomo: wojna. Powstanie, Emigracja.

— To nie jest takie znów proste Zosiu, ale dlaczego ty o kłopotcie, nie było żadnego kłopotu, tak się rozmowa potoczyła, mogliśmy mówić o samochodach.

— Nie. Słuchaj, powiem ci coś. Słyszałam niedawno o jednym tutaj, Polak, trochę młodszy od ciebie pojechał odwiedzić matkę, po tylu latach i już nie zdążył, zastał ją w trumnie. Wrócił, załamał się, *break down*. Wzięli go do szpitala, rodzina w rozpacz, a on tylko mówił, że żyć nie chce, bo matkę ma na sumieniu, umarła, bo on nie spełnił swego obowiązku. Uparł się, że powinien całą rodzinę zabrać i jechać do Polski i tam pracować i ledwo...

— Połóż się Zosiu.

— Znów się źle czujesz?

— Jestem zmęczony, ty też.

— Już śnieg nie pada.

— Nie.

— Będziesz musiał jutro odgarniać?

— Nie, stopnieje, to mokry śnieg.

Odwróciła się jeszcze w progu kuchni, szepnęła:

— Pomów z nią Witku...

— Dobrze, dobrze, przecież stale mówię i co to...

— Ale pomów z nią, porozmawiajcie i zastanów się też...

— Dobrze Zosiu, ja wiem, że ty chcesz jak najlepiej, ale nie zawsze można.

— Spróbuj.

— No dobrze już, idź spać, nie przejmuj się, dobrze, dobrze.

Słyszał, jak jej pantofle szurały po schodach, coraz ciszej, zamknęła drzwi. Zgasił światło w kuchni, szedł starając się odzyskać dom, który mu się uchylał, wracał niechętnie, wszedł do sypialni i stanął nad Hanką skurczoną na łóżku i wyciągnął rękę dotknął ją, ale tylko jej oddech objął go za szyję, a ona nie poruszyła się, spała. Dawniej, kiedy to było?, wyczuwała jego obecność i budziła się, jakby jej sen był tylko krótkim przepłynięciem od brzegu na którym się z nim rozstawała do brzegu

na którym na nią czekał. Co wieczór to samo: jej bliskość i jej obojętność i jego zniechęcenie i rozżalenie i dzień jeszcze jeden przekreślony, skazany na śmierć.

— Haniu...

Nie drgnęła nawet. Budzić ją teraz? Nalegać, aby z nim mówiła? O czym? Co nas łączyło w przeszłości? Teraz? Nad ranem? Podszedł do okna: dwie ośnieżone choinki, jak ministranci w komżach, z wyciągniętymi rękami. Jestem za słaby, jestem za delikatny i może dlatego. Ale w jakiej chwili w przeszłości to się stało, że ona, że ja ją... straciłem?

— Haniu...

We śnie twarz jej była obca, nieco nabrzmiała i w obojętności do wszystkiego co nie było nią tylko, bliższa tej stronie życia, która jest i snem i śmiercią. Pochylił się sprawdzając czy oddycha jeszcze. I to mu wystarczyło, uspokoił się, wyszedł z sypialni, zwałkł się po schodach nieczuły na dom, na zmęczenie, gaśł. Usiadł w *living room*'ie na fotelu, położył głowę na małej cepe-liowskiej poduszce. Słyszał, jak z dachu kapąła woda na ganek i jak dzień przekradał się po topniejącym śniegu.

### Rozdział III

## JOASIA ZNAJDUJE ENZYM<sup>1</sup>

Joasia Janiak, doktor chemii biologicznej, urodziła się w roku 1930 i w chwili wybuchu Drugiej Wojny Światowej była chudą, długonogą smarkatką z dwoma mysimi warkoczycami dyndającymi po obu stronach jej wąskiej buzi i parą łagodnych, brunatnych, krótkowzrostowych oczu, które teraz, gdy siedziała na łóżku w wynajętym umeblowanym pokoju na Mayburry Avenue w Monumental City zaczerwienione były od płaczu za okularami w cienkiej, drucianej ramce.

— Zgubiłam enzym — pochlipywała Joasia. — Zgubiłam enzym — jęknęła skarżąc się głośno czterem ścianom wąskiego pokoju: dwóm długim ścianom — przy jednej stało jej łóżko, rozgrzebane mimo późnej godziny (była dziesiąta rano, sobota) — przy drugiej — przysadzista, malowana tanią farbą komoda z przyćmionym lustrem, jakby pająk usadowił się poza szkłem i od rogu zapuszczał sieci ciemnoszarej pajęczyny — i dwóm nieproporcjonalnie krótkim ścianom: na jednej z nich szalejący nieopanowanym żarem kaloryfer podtrzymywał okno za którym skrawek porcelanowego nieba, jak fragment zbitej niebieskiej filiżanki, wlewał do pokoju odrobinę pogodnego, listopadowego dnia poprzez pociemniałe od sadzy kominy i sznur sztywnej od chłodu bielizny. Druga, krótka ściana to były drzwi do korytarzyka stykające się niemal z drzwiami od ściennej szafy, *closet'u*. „Wieszam się w klozecie — pisała Joasia do rodziny w Polsce — po obzarcu się pomarańczami”.

Niedokończony list do męża leżał przed lustrem na komodzie

---

1. Enzymy (fermenty), organiczne substancje o złożonej, często nie znanej jeszcze budowie, wytwarzane w komórkach roślin lub zwierząt, biologicznie czynne, regulują przebieg różnych procesów życiowych nie ulegając przy tym zużyciu.

obok paczki, jednej z tych wielu paczek i paczuszek, które Joasia wysłała już była do kraju, tej jednak przygotowanej specjalnie 'na święta' nie zdążyła jeszcze wysłać właśnie przez ten enzym, nad którego wyizolowaniem ślęczała już od przeszło miesiąca w biochemicznym laboratorium szpitala 'Perceval Norris'.

Praca, która już wkrótce po przyjeździe została jej *assigned* przez profesora, kierownika *research* w dziale biochemicznym, miała za zadanie wyizolowanie pewnych drobnych składników cytoplazmy zwanych *mitochondria*, i utożsamienie czynnika wywołującego skurcze owych mitochondrii, z enzymem.

— Boże, Boże — pojękiwała Joasia — była bardzo pracowita, obowiązkowa i dokładna, porażki naukowe przeżywała jak zawody miłosne — co to się stało, co to się mogło stać? Michał zaraz by powiedział, że nie nadaję się do *research* i że kobiety nie mają logicznego rozumu. Michał lubił krytykować, a wszystkie błędy w doświadczeniach Joasi zwał natychmiast na jej kobiecą nielogiczność. Chociaż wiedziała, że w swoim rozwoju naukowym nie stoi niżej od Michała, że nawet przewyższa go umiejętnością koncentracji na drobiazgach i wyrobionym instynktem, który nieraz dopomagał jej w szybszym rozwiązaniu problemu niż Michała męskologiczny umysł, to jednak uznawała lękliwie jego nad sobą dominację chociażby dlatego, że pozostało jej jeszcze trochę (jak niewidzialny osad na sączku) przedmałżeńskiej i wczesnomatrzeńskiej admiracji dla Michała dłuższego doświadczenia w pracy naukowej i wcześniej od niej otrzymanego tytułu naukowego, a przede wszystkim dla świętego spokoju w pożyciu małżeńskim.

Zdjęła okulary, przetarła końcem prześcieradła łzawą na nich rosę, włożyła z powrotem, wzięła z półki przy łóżku zeszyt z notatkami, oparła na swoich szczyptych, spiczastych kolanach i jeszcze raz odczytywała i sprawdzała przeprowadzone doświadczenia.

— I po co ja tu przyjechałam? — zadreczęła się, a Joasia lubiła i umiała się zadreczęć, chociaż tylko do czasu, bo gdyby się zadreczęła bez pamięci nie przyjechałaby do Ameryki. — Po co ja przyjechałam, żeby już w pierwszym miesiącu skompromitować się jakimś głupstwem? Co ja tu zrobię teraz sama, nawet dobrze nie wiem jak to profesorowi wytłumaczyć po angielsku, odesłanie, że nie znam podstawowych zasad pracy laboratoryjnej. Odeślnie mnie z powrotem, cofnie mi stypendium i nie poznam Ameryki, nie pojedę sobie na *tournee* po Stanach. Muszę jeszcze raz wszystko przestudicwać i... napiszę do Włodka, napiszę drugi raz do Włodka, w razie czego, niech przyjeżdża. A jak nie przyjedzie? Jak utknę na tym doświadczeniu? Po co ja przyjechałam do tej Ameryki! Wstyd dla mnie i dla Zakładu w Polsce.

Joasia przyjechała do Ameryki na kilkumiesięczne stypendium, może nawet roczne, jeśli się uda, a stypendium pomógł jej uzyskać mąż, doktor Michał Janiak, po szeregu mniej lub więcej burzliwych rozmów, z których ostatnia odbyła się niecały rok temu. Wrócili właśnie razem ze stołówki przy Zakładzie, w którym pracowali oboje, do swego małego mieszkania na czwartym piętrze domu spółdzielczego w nowowytbudowanej, podmiejskiej dzielnicy Warszawy. Michał pakował się, wyjeżdżał na dwa tygodnie do Szwecji na zjazd biochemików. Stał w sypialni, przy łóżku przed otwartą walizką w której leżało już jego ubranie.

— Tylko jedna koszula? — spojrzał na Joasię. — A gdzie te dwie co przywoziłem sobie ze Stanów, a gdzie ta w paski co przywoziłem sobie z Pragi? A gdzie ta żółta co kupiłem w Kopenhadze?

Michał był nieduży, chłopięco zbudowany, miał okrągłe bladoniebieskie oczy i kędzierzawe włosy amorka. Tymi włosami, oczami i nie czerstwiejącą chłopięcością budził tkliwe uczucia w sercach podfruwajek-laborantek i diabli wiedzą kogo za granicą, gdzie stale rozjeżdżał.

Joasia wzruszyła ramionami. Wiedziała, że przez te dwa tygodnie ona będzie musiała odprowadzać dzieci do szkoły, że wieczorem z domu się nie ruszy, dzieciom trzeba będzie gotować, dzieciom przepierać, bo niania-posługaczka właśnie ich opuściła, a nowej prędko się nie znajdzie. Powiedziała:

— Ta z Kopenhagi w brudach, tę z Paryża wyciągnęłam wczoraj spod łóżka, a gdzie reszta nie wiem, dlaczego nie pilnujesz swoich koszul?

— A od czego mam żonę?

— Nie od brudnych koszul. Co z moim wyjazdem do Stanów? Powiedziałeś, że się wystarasz, żeby mnie zaprosili do Perceval Norris. I co?

— Teraz z tym znów zaczynasz!

— Sam latasz po świecie, a ja co? Zadręczam się i zadręczam. Obiecałeś! Obiecałeś jeszcze dwa lata temu przed wyjazdem do Ameryki. Prezenciki musiały różnym sekretarkom tam od ciebie wysłać.

— A tam prezenciki!

— A bursztyny to co? A drewniane korale? A serwetkę cepeliowską? Powiedziałeś, żeby dla mnie grunt przygotować, żeby utrzymać dobre stosunki. Sam rok tam siedziałeś, a ja tylko harowałam w Zakładzie i harowałam w domu, Zbyszka do dziecińca, Kasię do szkoły, aż się sama pochorowałam, a tyś sobie tam używał.

— Jedna koszula na dwa tygodnie!

- To sobie przepierzesz!
- Kiedy tę trzeba prasować. Tych z Ameryki nie trzeba było prasować.
- To sobie wyprasujesz! Nie zawracaj mi głowy. Co z moim wyjazdem?
- Czy musisz mi teraz urządzać awantury na kilka godzin przed odlotem?
- Twój odlot, twój wyjazd, a ja co? Zadręczam się, ale już przysłała kryska na Matyska...
- Pomówimy później.
- Później, później... zalewanie głodnych kawałków, mam dość tego „później”.
- Gdzie moje skarpetki?
- Odwróciła się, walczyła ze łzami.
- Mam w nosie twoje skarpetki.
- Michał ubierał się, wiązał krawat przed lustrem. Joasia już nie płakała, przyglądała się mężowi krytycznie, spod oka, wściekłość ją zamracała. Mruknęła pod nosem:
- Odpicował się, jak stróż w Boże Ciało.
- Joanna, nie bądź ordynarna.
- Joasia ujęła się pod boki, chudymi nogami wparła się w linoleum (cholerne linoleum podarte, strzępi się, ale co to Michała obchodzi, byle lecieć, byle wyjeżdżać!)
- Słuchaj! — krzyknęła — ja ci teraz mówię...
- Czyli wygłaszasz mowę na bazie i po linii.
- Nie żartuj sobie! Ja ci przyrzekam, daję ci słowo honoru, zapamiętaj sobie albo w tym roku jadę do Ameryki, albo rozwód. Wybieraj!
- Michał odwrócił się do lustra.
- A co z dziećmi?
- Sąd mi przyzna dzieci i mieszkanie, a ty będziesz sobie kątem gdzieś mieszkał.
- Nie opowiadaj głupstw, Joasiu, pytam się...
- Chcesz rozwodu, będziesz miał rozwód!
- Cicho. Pytam się co będzie z dziećmi, jak pojedziesz?
- Gdzie?
- No do Ameryki.
- Ty się zajmiesz dziećmi.
- Michał przysiadł na łóżku.
- Dobrze, zgadzam się. Przecież ci obiecałem, przecież to już było ustalone. Ale powiedz właściwie dlaczego ty tam chcesz jechać? Na rok, sama...
- No wiesz! — porwała się Joasia i Ameryka zaraz przed nią wyblęła: dziewczuszka w spódniczce podkasanej, koronki spod



spódniczki pianą, aż trzeszczą, pryskają i kankana z cowboyskiej estrady wybijają na szczycie podrygującego wieżowca. A pod nią wieżowce mniejsze i większe wyfraczone, wycylindrowane w rękawiczkach białych i mosty ręce sobie podały z zapalonymi latarniami na spiczastych głowach w kółko... w kółko i ulice od samochodów śliskie, biustami wystaw sklepowych dyszą, a na każdym zakręcie ulica kapelusza szerokokoronnego uchyla i Joasiu... Joasiu... *how do you do?* A w Joasi jakby winda od gardła do brzucha, od brzucha do gardła pędzi, aż tchu brak i rumieniec po brwi blade, niewyskubane ją oblewa.

— No wiesz! Też pytanie! Przecież tu się nigdy nie rozwinę. Tu w Instytucie — marazm. Powinam coś napisać. Mówiłeś sam, ile tam dla biochemików możliwości. I angielskiego się porządnie nauczę. Sam wiesz, wszystko teraz po angielsku, na wszystkich zjazdach angielskie referaty. Ja tu się nigdy dobrze języka nie nauczę.

— Hm... tu też można nie jedno zrobić.

— Każdy jedzie tylko nie ja, każdemu pomagasz tylko nie mnie. Taki Włodek to już półtora roku siedzi i pisze, że jeszcze pracy nie skończył.

— A, Włodek... nie półtora roku, tylko rok.

Obiecałeś przed wyjazdem do Ameryki i — nic. Teraz też obiecujesz. Sama się zacznę starać. I słowo daję... słowo daję, jak mnie tu widzisz, albo rozwód, albo — Ameryka.

— Ja już muszę niedługo wychodzić.

— Wybieraj!

— Zwariowałaś, nie ma nikogo, żeby się dziećmi zajął.

— A jak ty wyjechałaś to ja mogłam, to ja mogłam się zadrećcać! Dość mam już twoich wyjazdów, słyszysz?

— Dobrze.

— Co dobrze?

— Pojedziesz.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru.

— To ja jutro wszystkim już w Zakładzie powiem.

— Nic nie mów, bo nam jeszcze popsują. Dałem słowo, dotrzymam. Daj mi skarpetki.

— Michał! Wszystko się zorganizuje, zobaczysz. Zbyszek może być jakiś czas u moich rodziców. Z Kasią dasz sobie radę. Chciałabym wyjechać na jesieni, to popracuję jakiś czas i potem wytarguję od profesora wakacje, co się tak patrzysz, przecież ty też! Sam mówiłeś żeście objechali Kalifornię tym starym gratem za 150 dolarów.

— Ty byś takim nie ruszyła z miejsca. Ale możesz jechać. Tylko...

— Tylko co?

— Że ty nie masz zbyt logicznego umysłu.

Joasia siedzi na łóżku, jedną ręką drapie się w głowę, a drugą przytrzymuje na kolanach zeszyt z notatkami, paznokciec wystukuje słowo po słowie: Przemycie mitochondria zawieszono w roztworze... roztwór powinien być o temperaturze 52 stopnie, oziębiony i...

— Nic nie wiem, nic nie rozumiem. Joasia odkłada notatki, wzdycha. Zaraz, dziś jeszcze pójdę do laboratorium. Natychmiast.

Joasia zrzuca szlafrok i zaczyna się ubierać. Tyle czasu na ubieranie, taka strata czasu, a jeszcze przyczesać się trzeba.

Michał nigdy nie zwracał uwagi na ubiór. Miesiąc poślubny spędzili na wyprawach kajakowych. Było to w tym czasie, gdy kajaki zbijało się z dykty, namioty szyło w domu, a materace fabrykowały z pozszywanych razem dętek rowerowych. Michał zawsze mówił, że najlepiej lubi ją w spodniach i wiatrówce. Sukienek nie rozpoznawał, nowej nigdy nie zauważył, w kapeluszu, mówił, wygląda jak stara ciotka, uważał je za przeżytek i stratę pieniędzy. Pomimo to nikt tak nie prawił komplementów laborantkom o 'ładnym wyglądzie', 'ślicznej bluzeczce' i 'nowym uczesaniu', jak właśnie Michał.

— Lepiej pracują — tłumaczył Joasi — wszystkie szkła mam zawsze wymyte, laboratorium, jak z igły. No to co mi to szkodzi? I tak nie wiem co która z nich ma na sobie.

Joasia wkłada długie, ciepłe różowe majtki do kolan, obciąga je na grubych pończochach (zawsze dygotała z zimna — to niskie ciśnienie krwi — i uważała, aby się nie zaziębić). Wciąga wełnianą spódnice i bluzkę-garsonkę, którą sobie kupiła w Warszawie, na Nowym Świecie, specjalnie na ten wyjazd i która mimo zapewnień sprzedającej rozciągnęła się i obwisała workowato na szczupłej, płaskiej figurze Joasi. Z grzebieniem w rękę Joasia przed lustrem komody. No i co z tej 'wiecznej ondulacji' na wyjazd? Już po pierwszym domowym myciu stóg siana na głowie, kosmyki tu i tam. A niech to wszyscy diabli! Zepnę, podczaszę byle jak, przecież tylko pod берет. I do laboratorium! Beret Joasia nakłada puszysty — angorę — w kolorową kratę, kosmyki pod niego utyka. Już. Nie widać. Pomadką (Michała prezent z Ameryki — w „5 and 10” kupił nie patrząc jaki kolor — zbyt ciemną) przejeżdża usta i mmm-mmm wargami rozciera farbę. Pudru trochę na nos, szal na szyję, z 'klozetu' wyciąga ciepłe buty, palto długie z watołiną, i z notatkami

w dużej torbie, kładąc w pośpiechu ciepłe rękawiczki, zbiega po schodach na ulicę cała pogrążona w zawieszynie, mitochondriach i zawieszinowej temperaturze, prędzej, prędzej na poszukiwanie enzymu.

Dzień wietrzny, od bladego, wysokiego słońca jasność przeźrliwa bije w oczy, chrzęszczą cienkie skorupki lodu i mimo zimowych butów Joasia czuje wilgotny chłód pod stopami. Stała na przystanku, przestępuje z nogi na nogę, rozgląda się, wygląda, autobus nie nadchodzi. W soboty autobusy jeżdżą rzadko. Joasia szczerka zębami pod swoim watolinowym pancerzem, wciska nos w ciepły szal.

Muszę do tego dojść. Nie mogę wrócić do Polski z pustymi rękoma. Bo jak mi nie wyjdzie... Co ja zrobię? Będę siedziała dzień i noc, dzień i noc. A jak mi wyjdzie to... pójdę sobie do teatru. Człowiek potrzebuje rozrywki. I przecież jestem w Ameryce pierwszy raz w życiu i może jedyny, ostatni. A tak sobie wyobrażałam, tak się cieszyłam i... ten enzym zaraz na samym początku. Przez łyżki widzi Joasia amerykańskie słońce wysokie bardzo, jak pięciodolarówka, słońce, które jej nie rozgrzewa. W oszołomieniu pierwszych tygodni pracy zapomniała nawet czego naprawdę spodziewała się od wyjazdu. Odpoczywała od rutyny domowej. Od czasu swego małżeństwa nigdy jeszcze sama nie była z daleka od domu na czas, który wydawał jej się nieograniczony. Pożegnała się z rodziną lekko, nawet radośnie. I to gnębiło. Zostawiłam ich, odjechałam od nich. Zakreślała więc sobie różne 'muszę i powinnam', aby czas wykorzystać należycie. Muszę napisać i opublikować pracę. Powinnam nauczyć się dobrze po angielsku. Muszę poznać kraj. Przebiegła już wszystkie w mieście muzea zmuszając się do dokładnego oglądania eksponatów, notowała skrupulatnie. A potem wszystko do listów. Co ja wiedziałam, na co się napatrzyłam i ile ja wam potem opowiem. Jednym z Joasi „muszę” było poznanie Amerykanów. Ale czy to tak łatwo! Michałowi udawało się. Zaraz nawiązał różne kontakty, zapraszany tu i tam. Kobiecie trudniej, kobiety nie zapraszają chociażby nawet była doktorem chemii biologicznej. Owszem, kolega z laboratorium zaprosił ją raz do siebie do domu. Poznała jego żonę i pięcioro dzieci, od pętaka w pieluszkach do ośmiolatka co ujeżdżał wydręczoną kanapę i fotele. Pięcioro dzieci — myślała Joasia — pięcioro, a widać jeszcze, że i na szóstym nie zaprzestaną. Ameryka to kraj rodzinny — zapewniała żona kolegi zmęczona przygotowaniem do obiadu i doglądaniem coraz to innego dziecka — my lubimy duże rodziny. Na Boże Narodzenie, jak to wszystko zgromadzi się wokoło choinki, a jak w poranek świąteczny zbiegają rano po schodach zobaczyć co „Santa”

powrzucał przez komin. Co to za radość — pocieszała się żona kolegi, promieniała ledwo trzymając się na nogach. Tylko najgorsze z *baby sitterem*. I na Joasię spojrzała błagalnie, wyczekująco. *Baby-sitter?* — pytała Joasia — *baby sitter?* Więc zaraz we dwoje zaczęli jej wyjaśniać co taki dziecinny *sitter* robi. W ogóle nic. Siedzi sobie i... nic. Czyta, na telewizję spogląda, dzieci grzecznie się bawią, potem tylko do łóżeczek dzieci układa i na Joasię spoglądają wyczekująco i błagalnie, aż jej *French Friend* stanęły w przetyku, o mało się nie zakrzuszyła. O jej — myślała — swoich dwoje zostawiłam, uwolniłam się, a tu pięcioro na mnie czyha. Powiedziała, że teraz bardzo zajęta, dzień i noc tak dzień i noc pracuje, ale może kiedyś. Żona kolegi ochłodziła nieco, rozczarowana poszła dzieci układać do łóżek, Joasia z kolegą zmyli naczynia, posprzątała kuchnię i tak się skończył pierwszy kontakt z Amerykanami. Język jednak trzeba było kultywować, podkształcać się w tym świat zawojowującym angielskim. W laboratorium więc rozmawiała z kim mogła, paplała o tym i owym — najważniejsza konwersacja — uśmiechali się, kiwali głowami rozumiejąc piąte przez dziesiąte z tą wyrozumiałością, pobłażliwą sympatią, tak bardzo amerykańską, o której Europejczycy wiedzą tak niewiele. Zabierali ją z sobą do szpitalnego *Coffee Shop*, albo do *Help Yourself*, szpitalnej jadłodajni i Joasia z wolna, stopniowo, zaczynała rozumieć ich szybki, gardło-nosowy język, chociaż ich językowe skróty na zawsze pozostały dla niej tajemnicą. Do Michała pisała: „Mój angielski już bardzo się poprawił, z dnia na dzień nabieram coraz lepszego amerykańskiego akcentu”.

W zawieszonym roztworze krążącym nieustannie w myślach Joasi pomiędzy mitochondriami wypływała niekiedy twarz i postać pewnego Włodka, który od roku już siedział na stypendium w Bostonie, owinął sobie, jak pisał, kierownika zakładu wokoło małego palca i mógł pozostać jak długo tylko chciał, zbytnio się nie przemęczając. Chociaż znajomość z Włodkiem ograniczała się do spotkań w Zakładzie w Polsce i do przygodnych zebrań towarzyskich, widocznie stosował on swój talent „okręcania sobie wokoło małego palca” nie tylko do kierowników Zakładu, bo myśl spotkania się z nim sam na sam w Ameryce, z daleka od jego i jej związków rodzinnych, wywoływała w Joasi głęboki, wewnętrzny dreszcz.

Joasia stoi na autobusowym przystanku, przytupuje zmarzniętymi stopami, a myśl o bostońskim Włodku w tej amerykańskiej samotni, w tej enzymowej rozpacz — rozgrzewa. Gdyby tak Włodek tu był! Zaraz by złapał enzym za włosy, wytłumaczył pomyłkę. No widzisz, Joanna, widzisz jakie to proste. Oj wy,

kobiety, do mycia probówek, nie do pracy doktorskiej! Michał też by wytłumaczył, znalazł błąd, ale by gderał. Siadaj — tu Joasia, ja ci to naszkicuję. Bo kłopot w tym, że ty nie masz abstrakcyjnej wyobraźni, ty nie masz logicznego umysłu. Do biochemii trzeba podchodzić z wyobraźnią. Nie myśl o niebieskich migdałach tylko staraj się zrozumieć, bo jeżeli już tracę czas... I zaraz by się pokłócili. Gdyby tak Włodek się tu teraz znalazł, wyrósł spod ziemi, zawołał: Joanna! A to dopiero spotkanie, trzeba opić! Niech żyją nasi sojusznicy Amerykanie i Anglicy! Zaprosiłabym go do domu, zrobiłabym kolację. No cóż wielkiego! Joasia czerwienieje aż po uszy. Ale teraz lepiej nie, lepiej niech się teraz nie zjawia. Nie uczesana jestem, nieubrana, nos mam na pewno fioletowy. Ale Włodek dryblas z wielką, rozczochraną głową, w nigdy niewyprasowanych spodniach, Włodek — spryciarz, Włodek — geniusz fenomenalnie zdolny, wiośtuje burzliwie w zawieszonym roztworze i zakłóca równowagę naukowe powagi Joasi. Joasia pisała już raz do niego i w odpowiedzi dostała lakoniczną kartkę: Serwus Joanna, *nice to have you here*, wybieram się na zjazd do Atlantic City.

To ja też pojedę — decyduje teraz Joasia. I zaraz do niego napiszę, opiszę całe doświadczenie. Spotkamy się w Atlantic City. A może przyjedzie tu? Może przyjedzie. Włodek jest taki koleżeński, tłumaczy się przed samą sobą Joasia i czerwienieje, czerwienieje od fildekosowych pończoch i różowych majtek, aż po beret — angorę w kratkę.

— *Hi, doctor!*

Tuż przed nią zatrzymał się nagle jasno-niebieski Volkswagen, a przez otwarte okno wychyla się najwyraźniej ku Joasi (bo nikogo innego na przystanku nie ma) twarz w okularach w grubej, rogowej oprawie, *crew-cut* jasny i mocne zęby w szerokiej kwadratowej szczęce.

— *Aren't you the Polish doctor from Biochemistry at Pe en?*

— *What?* — przytomnieje Joasia. — *Sorry, excuse me?*

— Nie poznaje mnie pani? — głowa jeszcze bardziej wychyla się przez samochodowe okno. — Bo ja bym pani *sorry* z zamkniętymi oczyma poznał. Ten akcent! *Charming!*

To ten! — cofa się Joasia. — Te okulary, zęby, ta twarz. To ten idiota, ten niezdara nie z tej ziemi.

— Strasznie mi przykro. Czy pani się jeszcze gniewa? *I am terribly sorry*. Nie zawsze rozlewam kawę. Nie przypomina mnie sobie pani? Doktor Armstrong. John Armstrong, ten co wylał na panią kawę w czwartek w *Coffee Shop*. Proszę siadać, podwiozę!

— Poznaje — mruczy Joasia. Myśli: Nie siadam, jeszcze mnie gdzie wywali.

Ale doktor Armstrong już drzwiczki volkswagenowe otwiera, ramię zapraszająco wyciąga:

— *Want a lift?*

Autobus czy samochód? Stać na przystanku jeszcze godzinę? Za Volkswagemem zatrzymany z tyłu Ford trąbi, a za Ford'em Chevrolet wściekle się rzuca.

— Prędej — woła dr Armstrong — prędej, ostrożnie!

— Siadać! — krzyczą z Ford'a! Na rozmówki im się rano zebrało!

Za Chevrolet'em już Rambler i Chrysler, a wszystko trąbi, rzuca się, dyszy, więc Joasia dwoma skokami Volkswagen'a dopada, płaszcz pod watoliną zaplątuje się w drzwiczki, torba z notatkami z rąk wysuwa, beret-angora na nos zjeżdża i tak oślepią szamocząc się z płaszczem, ratując notatki, byle prędej, prędej, prędej! Bum! ląduje na szerokiej piersi doktora Armstronga. Ramiona zatrzymały ją przez chwilę, usadowiły obok na siedzeniu i już... podskoczyli, ruszyli, jadą. Joasia trzyma beret na kolanach, przeciera nim okulary, czuje włosy na policzkach, na czole i podnosząc głowę, mrugając oczami szepcze zażenowana:

.. *Thank you, thank you very much, excuse me, sorry...*

— Do szpitala? — spytał.

— *Yes.*

Odwrocił głowę od kierownicy, spojrzeli na siebie i nagle Joasia wbrew samej sobie i nie wiadomo dlaczego posłała w kierunku rogowych okularów promienny uśmiech przeznaczony dla bostońskiego Włodka, który w tej samej chwili razem z mitochondriami utopił się w płynie mózgowo-rdzeniowym Joasi.

— *I like you* — powiedział. — *I like to see you smile.*

Spuściła głowę, spojrzała na swoje zimowe buty. Te buciory... te buciory..

— Strasznie mi przykro za ten czwartkowy wypadek. Miałem tylko pięć minut czasu na kawę, tam jest zawsze taki tłok. Czy bardzo panią sparzyłem?

— Nie bardzo. Ale mógłby być pan ostrożniejszy.

— Szalenie mi się podobało, jak mnie pani zwymyślała. Nic nie mogłem z tego zrozumieć. Ale, słowo daje, postanowiłem panią odszukać, odkupić bluzkę.

— Nie potrzeba. Tylko niech pan na przyszłość uważa. Bo tak pędzicie, rozpychacie się, jakby się paliło.

— O.K. zgadzam się. Tylko to jest Ameryka, nikt nie ma czasu. Niech mnie pani jeszcze trochę zwymyśla.

Ale Joasia nic. Milczy. Tyle by chciała powiedzieć, taka,

mawiał Michał, wygadana, a tu angielszczyzna język jej tamuje. Oparła się o siedzenie. Ciepło. Jedzie sobie do szpitala samochodem, tłuc się autobusem nie potrzebuje. I nagle może pod wpływem ciepła, a może niedawnego szoku zderzenia z doktorem Armstrongiem — zrozumiała. A tak jasno, wyraźnie, że aż krzyknęła:

— Temperatura!

— *Yes?* — spojrzały na nią rogowe okulary.

— Temperatura! — podskoczyła doktor Joasia, aż głową uderzyła o niski volkswagenowy sufit. — Że też ja wcześniej nie wpadłam na to! No przecież to takie proste!

— Co się stało? Uderzyła się pani? Co ja znów takiego zrobiłem?

Rozpromieniona, szczęśliwa zaczęła mu beładnie tłumaczyć o mitochondriach i enzymie, o doświadczeniu, o swojej niedawnej rozpaczy i że właśnie teraz, przed chwilą...

Stanęli na czerwonym świetle. Zdjął okulary, patrzył na nią.

— Teraz, przed chwilą przyszło mi to do głowy. A gdybym pana nie spotkała, doktorze, to może męczyłabym się cały dzień. To dzięki panu. *Thank you, thank you very much indeed!*

— To jednak coś dzięki mnie. Musimy to uczcić. *Have a dinner with me to-night.*

Światło się zmieniło. Włożył okulary. Ale spojrzenie zostało przy Joasi. I chociaż nie patrzył już, a tylko skoncentrowany na drodze, czekał na jej odpowiedź, Joasia czuła jak rumieniec zza uszu rozlewa się na policzki, na czoło na szyję. Myślała: Historia nie z tej ziemi, historia nie z tej ziemi. Prosi mnie na obiad ten... ten...

— Pójdziemy? — spytał.

Zza zakrętu ulicy wieżowiec szerokokoronnego kapelusza uchylił, dziesiątkami okiennych monokli zerknął zaczepnie: Jo-asiu, Jo-asiu *how-do you-do?* A cień dziewczyny na samym szczycie podskoczył w cowboyskim kankanie: *Hi, sister!*

— *Thank you very much* — szepnęła.

— Dziękuję tak, czy dziękuję nie?

Myślała: Historia nie z tej ziemi.

— A może ma już pani *date* z jakimś polskim bohaterem. U was każdy, albo przynajmniej co drugi, mężczyzna jest bohaterem. Prawda?

— Kobiety też.

— *Sure.* No to co, bohaterko?

— Dziękuję, tak — powiedziała. — Myślała: Co też ja wyprawiam? Zwariowałam! Ale to zupełnie sympatyczny człowiek.

Powinłam poznać Amerykanów. — Dziękuję, tak, doktorze Armstrong.

— Nazywam się John. Jak pani na imię?

— Joasia.

— *Charming. But how do you spell it?*

— Dżej-o-ej... Nie, nie, najlepiej niech pan powtórzy: Joasia.

— Za trudne. Czy wystarczy na początek tylko „Jo”?

— Nie, nie, musi pan powtórzyć wszystko.

— John.

— Powtórz wszystko, John.

— Nauczysz mnie wieczorem, Jo, będę się uczył po polsku.

— Myślała: Historia nie z tej ziemi. I już szpital! Już zajęliśmy, tak szybko. Szpital stał wsparty ciężko o ulicę i patrzył na zegarek. Minęli go, przejechali na drugą stronę i zatrzymali się za ogrodzonym drucianym parkanem *parking lot*.

— Mam dyżur do 7,30. Zajadę po ciebie, Jo, gdzie mam zajechać?

— 2715 Mayburry Avenue.

— O 8-mej? Mogę być już za 15 ósma.

— Za piętnaście ósma, będę czekała tam na przystanku.

Uśmiechnął się: — O.K.

Dopiero, gdy wyszedł z samochodu mogła mu się lepiej przypatrzeć. Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, pewnie niewiele starszy od niej. Mimo chłodnego dnia miał na sobie tylko nieprzemakalną kurtkę. Otworzył jej drzwiczki, wyciągnął rękę pomagając wysiąść z samochodu ruchem tak bezpośrednim i koleżeńskim, że Joasia zapomniała o „historii nie z tej ziemi” i czując pod stopami twardy grunt *parking lot*’u powiedziała najnaturalniej i po raz pierwszy w życiu wymawiając poprawnie „th”:

— *Thank you, John.*

— Może jednak o ósmej — powiedział. — Mogę się spóźnić i nie chcę, żebyś czekała na dworze.

— O ósmej — zgodziła się.

Spojrzał na zegarek.

— Przepraszam — powiedział — jestem już spóźniony. Do zobaczenia! — Uśmiechnął się, spojrzał na Joasię krótkim, uważnym spojrzeniem i wydawało jej się że zauważył wszystko, przydługie płaszcz, ciężkie zimowe buty, szalisko zakrywające pół twarzy, potargane włosy, nie upudrowany nos, całą jej niezręczność, zmieszanie i radość, którą starała się ukryć, jej okulary w drucianej ramce, które powinna zmienić na inne, stanowczo zmienić na inne bardziej twarzowe.



— Jo-a-sia — powiedział.

Odwrócił się szybko. Przebiegł jezdnię nie czekając na zatrzymanie ruchu. Po drugiej stronie, na chodniku odwrócił się jeszcze, podniósł rękę. Frunął schodami do drzwi szpitalnego budynku. Zniknął.

Stała, patrzyła na ruchliwe drzwi szpitala, którymi ktoś co chwila wchodził i wychodził. Jej uniesiona na pożegnanie ręka opadła. A może zakpił ze mnie? Może nie przyjedzie? Zimowe słońce wyciągnęło rękę spoza szpitalnego dachu i pogłaskało Joasię po okularach. Zdjęła je, przymknęła oczy.

Z czego ja się cieszę? Ach prawda, znalazłam enzym. To odprężenie, reakcja. A jeśli to prawda? Jeżeli naprawdę mnie zaprosił? I pójdę z nim dziś wieczór na obiad? W tym palcie? W tej sukience? Z tymi potarganymi włosami?

Michał nawet w okresie narzeczeństwa nie zapraszał jej na obiad do restauracji. Jedli zawsze w stołówce zakładowej. A potem mieszkali razem z jego rodziną, w odnajętym od jego rodziców pokoju, jadało się przy wspólnym stole przy którym zawsze wybuchały awantury. Co to za przyjemność restauracja? — mawiał Michał — w stołówce zjesz to samo i taniej. Dojdzie do tego, że człowiek będzie połykał odpowiednią ilość pigułek: węglowodany, proteiny, tłuszcze i witaminy. A gdy próbowała gotować w domu, narzekał: strata czasu na pichcenie i szorowanie garów. Mnie i tak wszystko jedno co jem.

Zaprosił mnie na obiad! A jeżeli to prawda? Ojej, a jeżeli to prawda? No przecież zaprosił mnie i coś mi się wydaje, coś czuję, że to naprawdę. Zeszła z *parking lot*. Spojrzała na szpital postąpiła krok naprzód, stanęła. Zawróciła, ruszyła w stronę miasta. Zdjęła szal i beret, wiatr rozwiewał jej włosy. Znalazłam enzym, to już teraz wszystko głupstwo, wiem co robić. No patrzcie, znalazłam enzym!

Idzie Joasia ulicą wspinającą się stromo, aż do skwerku, a tam z potężnego cokołu, kamienny Washington mrugnął do niej kamiennym okiem:

— *Welcome!*

— Przecież coś mi się od życia należy — tłumaczy Joasia.

— *Free Country!*

— No to dlaczego nie mogę pójść z tym lekarzem na kolację?

— Wolność dla każdego niezależnie od rasy, wyznania i płci.

— Tak mało mam rozrywek i... powinnam nauczyć się po angielsku.

— Ja jako ojciec tego kraju daję ci moje ojcowskie pozwolenie.

— Jako Polka jednak powinnam zachować godność i dystans, więc może nie należało...

— Tylko nie zaczynaj z polskością, na Pułaskim straciłem grube dolary.

— Ale to przecież nic złego, więc chyba...

— Niech ci Statua Wolności przyświeca i od czasu do czasu znicz swój dyskretnie ręką zakrywa.

— Tylko, że ja nic o nim nie wiem, i on też mnie właściwie nie zna.

— Wszyscy tu równi... *One Nation...*

— Jak już, to już! Pójdę do fryzjera, kupię sobie sukienkę i... inne majtki. W tych mi jakoś cholernie gorąco.

To była gospoda za miastem. *Log cabin*. Opasana półkołem lasu, wsparta o trzy czarne świerki — olbrzymy przerastające jej dach. Błękitne jej światła padały na *High Way*. Na dziedzińcu spały strudzone samochody. Ich sen był czujny, strzegły ciszego gospody. Dotarli tu po jeździe długiej płataniną dróg i wiejskich alej mijając krzykliwe przedmieścia pełne zgiełku neonów i puste obszary późnojesiennych pól, aby tu wpaść w ciszę niespodziewaną, łagodnie szemrzącą. Po chrupkim chłodzie wieczoru ciepło wnętrza: ścian wybitych drzewem, bocznych lamp o stłumionym świetle, świec na stolikach w niebieskich, szklanych kloszach i ogień na wielkim, ceglany kominku. Siedziała wpatrzona w tańczący przed nią płomyk świecy, milcząca, chociaż przecież w samochodzie mówiła nieustannie o Zakładzie, pracy swojej w Zakładzie, ale tu stawała się coraz bardziej świadoma obecności John'a, swojej chęci spojrzenia na niego i jego wzroku który ją obejmował w całości, krytykował pewnie, zawiedziony może że ją tu zaprosił, bo przecież wiedziała dobrze, nie było w niej nic nadzwyczajnego i jeszcze te okulary, okulary w drucianej ramce. A John uśmiechnięty, pewny siebie, zawiadziaki, oparty jednym ramieniem o stolik przychyłony ku niej, patrzył. Zdjęła okulary.

— Jak ty inaczej wyglądasz — powiedział.

— Okulary. Zdjęłam okulary. — Podniosła rękę, trzymała jeszcze w ręce okulary, chciała je nałożyć. Powstrzymał jej rękę.

— Nie. To nie tylko to.

— Ale ja jestem krótkowidzem więc...

— Więc dlaczego zdjęłaś okulary?

Zaczerwieniła się.

— Masz pewnie kompleks, że w okularach nie jest ci do twarzy. Jako mała dziewczynka wyrzucałaś je i łamałaś.

Roześmiała się: — Tak!

Wyjął jej okulary z ręki i położył na stole.

— Taka mała rzecz, jak to może nas unieszczęśliwić i onieśmielać. Ja też miałem kompleks okularów, ale teraz już nie.

Spojrzała na niego, myślała: Ale one pasują do ciebie, ta ciężkość ramy podkreślająca oczy podoba mi się. Powiedziała: — Nic teraz nie widzę.

— Nic, zupełnie nic?

— Widzę dobrze nasz stolik, tę ścianę, kominek, ale wszystko dalej zamazane trochę, może też dlatego, że tu jest półmrok.

— Ale mnie widzisz dobrze?

— Tak.

— Dlaczego nie powiedziałaś, że mnie widzisz?

— Dlaczego nie powiedziałam?

— Tak. Jestem najbliższy w twoim polu widzenia, przed chwilą przyglądałaś się mnie, moim okularom, jeśli nie myłę się, zastanawiałaś się nawet nad moją twarzą, mimo to wolałaś powiedzieć „nie widzę”, jakbyś przed czymś albo na coś chciała zamknąć oczy.

— Nie wolałam, po prostu powiedziałam.

— Twoja podświadomość ostrzega cię.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Nie szkodzi. Powoli zrozumiesz. A czy wiesz chociaż gdzie jesteśmy?

— Nie umiem przetłumaczyć nazwy tego miejsca. Ale tu jest ładnie, bardzo ładnie, tak... ciepło. *Thank you.*

— *Thank you for what?*

— Za zaproszenie do tej...

— *Blue Bayou.*

— Co to znaczy?

— Małą, niebieską zatoczką. Właściciele pochodzą pewnie z południa, może znad Mississipi, bo tam pełno jest tych błotnistych, rozlewnych *bayous*.

— Powinam nosić z sobą słownik.

— Czy traktujesz nasze przyjście tu dziś jak lekcję angielskiego?

— Nie!

— A więc były i inne powody? — Wyciągnął rękę, dotknął jej policzka. — Czerwienisz się, gorący policzek.

— To ten *cocktail*. Nigdy, prawie nigdy nie piję.

Cofnął rękę: — *Sorry*, to był odruch lekarza, badałem czy pacjentka nie ma gorączki.

— Czy się tak zachowuję?

— Niewątpliwie masz trochę podniesioną temperaturę, szybszy puls, błyszczące oczy.

— Tu jest ciepło. Ten kominek.

Czuła zar ognia na policzkach, płomień obejmował kłody drzewa i jej oparte o stolik dłonie. W żelaznym kole żyrandola senne światła świec. Wnętrze gospody — szkatuła wybita pluszem, postacie ludzi przy stolikach osypane półmrokiem, stare fuzje i flinty na ścianach. Dziś po południu przyszedł list od Michała. Kasia pyta o ciebie, pokazywałem jej na mapie gdzie jesteś i pamiętaj, ażebyś odwiedziła...

— Jo-a-sia, o czym myślisz?

— Przyglądam się tej gospodzie.

Myślała: On na pewno też gdzieś chodzi wieczorami, do teatru, do kina, a jak był tutaj jeździł, nawiązywał znajomości. Dokąd ja mam pójść, kogo odwiedzić?

— Jo-a-sia... — dotknął jej ręki.

Nie myślała już. Cała spłynęła ku temu dotknięciu ręki. Cofnęła rękę, spojrzała na niego.

— Wydawało mi się, że myślisz o czymś innym, z taką intensywnością nie obserwuje się gospody.

— Dostałam dziś list od męża — powiedziała.

— Aaa! — wyprostował się. — Nie wiedziałem. Został tam?

— Tak. I mam dwoje dzieci.

— Tęsknisz za nimi.

— Trochę.

— Na jak długo rozstaliście się?

Myślała: Rozstaliśmy się. Dzielą nas ocean i morza. Na jak długo? Nie tęsknię za nim, to nieprawda, że tęsknię za nim. Brak mi Kasi i Zbyszka. Ale i to nawet nie jest tak dotkliwe, jak powinno być.

— Nie wiem jeszcze — powiedziała — to zależy. Mój mąż był tu też. Cały rok. Zresztą wyjeżdża stale...

— Więc ty też chciałaś?

— To potrzebne do mego naukowego rozwoju.

Roześmiał się.

— Cóż w tym śmiesznego? — oburzyła się.

— *I am sorry*. Powiedziałaś to jak wyuczoną lekcję: Po-  
trzebne do mego naukowego rozwoju.

— Może wyraziłam to źle po angielsku?

— Zupełnie poprawnie, ale i tak nie wierzę, że przyjechałaś tu dlatego.

— A więc dlaczego? Dlaczego?

Szerokie ramiona w ciemnej marynarce drgnęły, małym, ukrytym śmieszkiem, podniosła oczy na wysokość jego ust, wargi rozchylone, ale klawiatura zębów milcząca, spojrzała na twarz, palce cieni wędrowały po policzkach i czole, ręce cieni pieszczotli-

wie przyciągały jego głowę, aż cofnęła się zazenowana: Co on myśli? Co on sobie wyobraża?

Szepnęła: — Dlaczego?

Kelner w marynarce białej w esy floresy rozdzielił ich, cienie spłoszył, postawił talerz przed Joasią, przed John'em, koszyczek z pieczywem, drewniane miseczki z sałatą, krzątał się pomiędzy nimi, rozdzielając.

— *Thank you* — powiedział John.

— *I hope you will enjoy it.* — Kelner odplynął, ale ręce jego jeszcze pomiędzy nimi i zapach pieczywa i pieczonego mięsa, ktoś obok przy stoliku roześmiał się i całe wnętrze gospody zaroilo się, zabrzączało dźwiękami, stukaniem kroków, półgłosem rozmów, John podał jej koszyczek z bułkami, przekroiła bułkę, przelknęła ostatnie „Dlaczego”, rozłożyła serwetkę na kolanach. Kogo, pisał Michał, miałam odwiedzić? Acha, państwa Kruk-Czerny. To zaraz jutro...

— Chcesz wiedzieć Jo-a-sia?

— Wiedzieć, co?

— Dlaczego tu przyjechałaś? Pytałaś przecież.

— Tak. Dobrze.

— *Are you sure?*

— *I am sure* — uśmiechnęła się, a szmery gospody znów zaczęły ucichać i wsiąkać w pluszowe ciepło ścian.

— Aby przyjść tu ze mną na kolację.

W pierwszej chwili nie rozumiała, ale zanim zaczęła w pełni rozumieć, poczuła że się czerwieni, na szyi, na policzkach, za uszami. Skrzyżowała ramiona przed sobą, obserwował kątem oka, a uśmiezek z kącika ust drwiący, chochlikowaty odnajdywał rumieńce policzków i szyi. Bezcelny — zgrzytnęła zębami, gruboskórny, pewny siebie Amerykanin, nie powinnam była... Wyjde stąd zaraz, zatelefonuję po taksówkę...

Wyciągnęła rękę. Powiedział: — Uderz, ulżyj sobie.

Siedziała sztywno obmyślając jakby stąd uciec.

— Nie chcesz uderzyć? Boisz się dotknąć mojej ręki? Nie odpowiadasz za siebie?

— Och to nie jest prawda, to nie jest prawda. Ale zawsze mówiono mi, że Amerykanie są zarozumiali, młodzież zepsuta, rozwydrzona, że tylko sex, u nas jest taki pęd do nauki, ale ty tego nie możesz zrozumieć John, tobie się wydaje...

— Zaczynasz mówić lepiej po angielsku, oburzenie często pomaga nam w lepszym wysłowieniu się.

— ... wydaje ci się, że jeżeli przyszedłam tu...

— A może w tym co powiedziałem jest jednak część prawdy? Zacerwieniłaś się, jakbym cię dosięgnął bardzo głęboko.

- Och to jest... to jest...
- Jak to dobrze, że nie masz słownika.
- Pochylił się nad talerzem, zaczął kroić mięso. Spojrzał na nią:
- Nie jesz? Zapewniam cię *steak* tutaj jest doskonały.
- Zjem i zaraz będziemy musieli wracać, mam jeszcze dużo roboty.
- Naturalnie, ale może jeszcze zmienisz zdanie.
- Nie zmieniam zdania.
- Ani tego zdania o Amerykanach i rozwyrzeniu amerykańskiej młodzieży?
- Pokręciła głową. Jadła nie czując smaku. To moja wina, nie powinnam była... teraz rozpowie wszystkim w laboratorium.
- To nowa sukienka? — spytał.
- Dlaczego?
- Bardzo ci w niej do twarzy.
- Uśmiechnęła się, nie mogła zapanować nad uśmiechem.
- Śliczna sukienka i taka nowa. — Wyciągnął rękę i zanim zdążyła się cofnąć odpiął cenę przyczepioną do rękawa.
- 19.95 — powiedział. — Położył cenę na stoliku.
- Ach — jęknęła.
- Już nie będę — powiedział — już nie. Przyrzekam. Tak się ucieszyłem jak zauważyłem tę sukienkę. Kupiłaś ją specjalnie na tę kolację. *I like you*. I tak bardzo tego chcesz. tak bardzo chcesz tego, nie potrafisz nic ukryć.
- Chcę, czego?
- Hm — powiedział — rozwoju naukowego, naturalnie.
- Nie patrząc na nią wyciągnął rękę: — Uderz, ulżyj sobie.
- Ścisnęła dłoń w pięść i uderzyła. Zatrzymał jej rękę. — *I am sorry* — powiedział. — A teraz już jedz, nie będę przeszkadzał.
- Ściany gospody znów ścieśniły się wokoło ich, miękki plusz przylegał do skóry i drażnił. Dlaczego ja tu przyjechałam? — myślała.
- Moja żona — powiedział — była córką komandora marynarki. Odbywałem moją służbę na Wschodzie to było zaraz po *intership*. Poza granicami kraju człowiek czuje się samotny, była sympatyczną dziewczyną, po kilku miesiącach pobraliśmy się i przez następne kilka miesięcy wszystko było dobrze, w każdym razie mnie wydawało się, że dobrze, bo potem dowiedziałem się od innych, że zaczęła mnie zdradzać zaraz na początku.
- Co się z nią stało?
- Wyszła za mąż.
- A ty, John?
- Nie zarabiam jeszcze dość dobrze, na razie starcza mi na kolacje w różnych *Blue Bayous*.

— Nie smakuje ci *steak*?  
— Bardzo dobry, tylko to trochę za dużo.  
— Jo-a-sia.  
— Tak.  
— Żona nie rozstaje się z mężem tylko dla rozwoju w karierze naukowej.  
— Chodźmy już — powiedziała.  
— Nie napijesz się kawy?  
— Nie, chodźmy już.  
— Chciałbym ci jeszcze coś pokazać, pojedziemy tam na kawę, dobrze?

— Gdzie to jest? Muszę już jednak wracać.

— To po drodze, wstąpimy na pół godziny.

Skinęła głową. Jej uśmiech, którego już nie mogła, ani nie chciała ukryć zakwitł pomiędzy nimi.

— *I like the way you smile* — powiedział.

— Podał jej płaszcz. Szli wolno poprzez dziedziniec gospody. Listopad przechylony już mocno ku grudniowi chrząścił pod stopami resztką zeschniętych liści, ale księżyc, może odmłodzony ostatnim flirtem z astronautą, był jasny i niemal wiosenny. Niebieski Volkswagen warował na *parking lot*.

Wydawało jej się, że nie jadą szosą, a unoszą się w górę. Poczucie własnej lekkości zadziwiło ją i uszczęśliwiło. John nie odrywając wzroku od *High Way* dotknął jej ręki:

— *Happy?*

Skąd wiedział o tym? W jaki sposób natychmiast przyniknął jej uczucia? Dawno, a może nigdy nie czuła się tak bardzo sobą, sobą nieskrępowaną, wyzwoloną ze wszystkiego co nie było jej najprawdziwszą istotą. To, co zostawiła poza sobą: związki rodzinne, zdobycze naukowe wydawało się nierealne, jakby w innym wymiarze, na innej planecie. Przyglądała się sobie samej po raz pierwszy nie poprzez pryzmat doktor Joanny Janiak, nie matki Zbyszka i Kasi, nie żony Michała, ale samej sobie — Joasi. Wydawało jej się dotychczas, że bez tamtych nadających jej znaczenia i sensu istnienia ról, była tylko medium laboratoryjnym potrzebnym do przeprowadzenia uważających je procesów. Skinęła głową. Nie wiedziała jak wytłumaczyć mu swój obecny stan, dlaczego na pytanie: *Happy?* nie odpowiedziała nawet: „Tak”. „Tak” byłoby zbyt blade, zbyt wąskie, nie zamknęłoby całości jej uczuć, bo przecież nie było to tylko uczucie przyjemności przebywania z John'em, był to jakby rodzaj odkrywczej radości badacza, który nie spodziewając się odnajduje w mikroskopie żyjącą tkankę, o której istnieniu już zwątpił. Jechali długo nie odrywając się wiele do siebie. Przedmieścia wyskaki-

wały już po obu stronach szosy, a daleko, na horyzoncie widać było pasmo elektrycznej poświaty — miasto.

Zatrzymali się przy prostokątnym, betonowym budynku, który był częścią podmiejskiego *Shopping Center*. Krwawo-zielone neony śpiewały swój krzykliwy, nocny hymn, a na szerokim placu, otoczonym zgrają nowoczesnych, tanich budowli, gwardia samochodów prezentowała broń prętami radiowych anten.

Pomógł jej wysiąść z samochodu, a potem przystanął przypatrując się przez chwilę jej twarzy.

— Ten wieczór cię zmienia — powiedział. — Nie — zmienił. Zmienia. — Uśmiechnął się. — Mnie też.

— Jak? — spytała.

— Ludzie lubią przeglądać się w lustrze, cieszysz się tym co widzisz.

— W lustrze?

— Różne mogą być lustra. Chodźmy — ujął ją za ramię — to już tu.

Były to zwykłe, drewniane drzwi, na nich mała tabliczka z nazwą lokalu.

— To warto zobaczyć — powiedział — taki mały wycinek współczesnej Ameryki. Nie boisz się? — zażartował. — Tam jest ciemno.

Roześmiała się, ale po trzynastu schodach w dół szła trochę przerażona czerwonawą ciemnością tego *Coffee Shop*, a trochę tym co tam zobaczy, z czym się zetknie: młodzieżą rozwydrzoną o której tyle słyszała, czytała, więc i ciekawość i lęk i jednocześnie ramię John'a podtrzymujące uprzejmie na skraju uprzejmości i opieki; ramię, jedyna rzecz stała, pewna, znana w tym opuszczaniu się w dół, zagłębianiu się w nieznanne. Po schodach obitych czerwonym dywanem i coraz głośniejszych brzękliwych tonach gitary spłynęli do kawiarni *Thirteen Below*. A tam pieczara, czerwone lampki oliwne oświetlają głowy w półmroku kołysane rytmem gitary, bluzki dziewcząt na piersiach opięte, chłopców koszule kraciaste szeroko pod szyją rozpięte i podium prymitywne. Na podium — księżyc reflektoru, w tym tle dziewczyna w krótkiej sukience czerwonej, włosy ciemne, gładkie, chłopiec w sportowej koszuli, gitary czule objęte, a oni połączeni półuśmiechem konspiracyjnym trubadurów pół-deklamują, pół-śpiewają:

... *Someday when I'm dead and gone  
To heaven, the land of my dreams  
I won't have to worry on losing my job  
Bad time or big machines...*



Ściany piwnicy bielone, sufit niski, pod nim chmura dymu papierosowego, jak obłok kurzu spod kopyt konia.

Szli przeciskając się pomiędzy ciasno ustawionymi stolikami, prowadzeni przez dziewczynę, której proste, jasne włosy opadały na czoło i policzek, a kolorowa krótkka spódnica tańczyła wokoło bioder. Wskazała im stolik niewielki, drewniany, pochyliła się nad John'em:

— *Sir?*

Jej pochylenie było miękkie, niemal intymne, chociaż nie zaczepne, wydawała się dopuszczać ich do tajemnicy przyjmując zamówienie na Espresso.

Obok nich przy stoliku chłopiec skupiony, wpatrzony w rozpostartą dłoń siedzącej przy nim dziewczyny, wodził palcem po liniach jej ręki.

— Odgadywanie przyszłości — powiedziała Joasia — kiedyś też wierzyłam we wróżby.

— A teraz?

Aktorzy zakończyli głośnym akordem i kłaniali się w pas rozbudzonej nagle, rozentuzjasmowanej, klaszczącej i tupiącej widowni.

Człowiek sobie zawsze dużo wyobraża — powiedziała — w każdym razie ja. A potem, jak nie ma tego... tylko z dnia na dzień... z dnia na dzień... to już przestaje się wierzyć.

— Ale nie przestaje się szukać.

— Ja już niczego nie szukam, chyba... ech, nie ma co mówić, zresztą i tak nie wiem jak to wyrazić po angielsku.

— Jo-a-sia — powiedział — *you are a very charming woman.*

Ukradkiem poprzez czerwony płomyk oliwnej lampki spojrzęła na jego twarz. Nie było w niej nic doskonałego: mocne szczęki, policzki sinawe od zarostu, nierówne brwi, ale oczy w brunatnej ramie okularów bardzo jasnoniebieskie wydawały się ją przenikać niby nieomylnie promienie roentgena, a usta energicznie zarysowane z których znikł już był dawno drwiący uśmiezek zatrzymały się w łagodnym pół-rozchyleniu po słowach *charming woman.*

Co on we mnie widzi? — myślała. I nagle zrozumiała, że widzi w niej to, co ona sama przestała już zauważać, nie tylko widzi, ale pomaga jej odkryć na nowo. Podniosła ręce i poprawiła włosy.

Na scenę znów wypłynął reflektor. Oświetlił twarz pieśniarki bladą, ciemniały tylko jej oczy i proste brwi. Głos jej był niski, bardziej przeciągłe nawoływanie niż śpiew od *crescendo* i *forte* opadał w szept.

— Czy twój mąż miałby żal do ciebie, że przyszedł tu ze mną?

Zaczekała, aż dziewczyna na estradzie skończyła śpiewać.

— Nie — powiedziała — nie.

Naokoło oklaski i gwizdy: *More* — krzyczano. — *More!*

— Czasem wydaje mi się — powiedziała — że wszystko jest ważniejsze niż ja. Ale trzeba znać Michała. On już taki jest. Przede wszystkim praca, nauka, jest wybitny w swojej dziedzinie, dużo jeździ na różne konferencje. Wysłałam wcześniej za męża, jeszcze w czasie studiów. Nauka, aby do magisterium, potem, aby do doktoratu. Dzieci. Dużo zostawałam sama. Michałowi wystarcza jego praca.

— *To be happy* — powiedział — *means to be self-sufficient.*

— Czy ty tak myślisz, John?

— To nie ja. To Arystoteles.

— Ja tak nie potrafię.

— Ani ja.

— Bis! — wołała widownia. — Bis!

— Jak ci się oni podobają? — spytał.

— Tacy jacyś bardzo romantyczni.

— Reakcja na współczesność. A może i część tego, czego wszyscy szukamy. Życie jest takie skomplikowane. Ile wymaga od nas. Chociażby od ciebie. Osiągnęłaś bardzo wiele ale w tym wysiłku o *achievement* zagubiłaś to najważniejsze czego najbardziej chcesz i szukasz.

— Czego ja szukam, John? — szepnęła.

Uśmiechnął się, położył rękę na jej opartą o stolik dłoń. Nie cofnęła ręki, siedziała zamyślona.

Na podium wszedł młody, szczupły chłopak, jego głos, gdy zaczął śpiewać akompaniując sobie gitarą mimo, że nikły i mało melodyjny uciszył, uspokoił natychmiast słuchających, a słowa piosenki oparte o proste, tęskne tony, jak o sękate kije wędrowców rozchodziły się wolno pomiędzy światłami lampek i przysiadają pod bielonymi ścianami piwnicy:

*How many ears must one man have*

*Before he can hear people cry?*

*How many deaths will it take till he knows*

*That too many people have died?*

*The answer, my friend, is blowin' in the wind*

*The answer is blowin' in the wind.*

## Rozdział IV

### 513 CHESTNUT AVENUE — AKT DRUGI

Witold Sanocki zamknął drzwi biura. Odwrócił się twarzą do Szerokiej w kierunku Rynku Rybnego. Nagły poryw wiatru uderzył go w twarz i sypnął w oczy drobinami ulicznego gruzu. Sanocki wyjął chusteczkę z kieszeni i zaczął przecierać oczy. Wiatr był gwałtowny, lodowaty, szarpał mu płaszcz i wdierał się za kołnierz. W połowie grudnia dzień topniał szybko i godzina piąta była już początkiem nocy. Sanocki stał przez chwilę oślepiiony, a potem zaczął iść prędkimi, energicznymi krokami w stronę samochodu. Postanowił rozmówić się z Hanką zanim Zofia Kołczanowa wróci z dziewczynkami z kina. Światła kierunkowe nad skrzyżowaniem ulic chwiały się i podrygiwały jak od mocnych uderzeń pięścią, ludzie czekający na autobus chronili się we wnęce drzwi zamkniętego już banku. Sanocki otworzył drzwiczki samochodu, zapuścił motor, zapalił światła i przekręcił guzik radia. Komunikat meteorologiczny zapowiadał możliwość śniegu nocą lub nad ranem, Im bardziej oddalał się od śródmieścia tym bardziej na otwartych przestrzeniach wiatr szarpał samochodem. Powinna już być w domu — myślał. Nacisnął na pedał gazu. Powinna już być w domu, już powinna była wrócić. Na Rudgley Hills, na głównej ulicy niedaleko kina, leżało zwalone drzewo i tarasowało część jezdni. Zwolnił, aby je ominąć, skręcił w aleję prowadzącą do Chestnut Avenue. W światłach reflektorów drzewa wydawały się ciemniejsze niż w świetle dnia, chwiały się i załamywały bezlistne gałęzie. Były, jak ochryple od krzyku płaczki.

Na Chestnut Avenue było jaśniej, gdzieniegdzie już ubrane świątecznymi lampkami choinki. Dom Sanockich był ciemny, tylko w oknie *living room*'u lampa, którą zwykle zostawiali zapaloną, gdy nikogo nie było w domu.

Nie ma jej — pomyślał. Szedł po schodach niechętnie, popychany wiatrem. Pośliznął się, było ciemno.

— Psiakrew — mruknął — żarówka!

Odpowiedziało mu skrzypienie spod pułapu ganku. Wzdrygnął się. To tylko wiatr prowadził ociemniałą latarnię, chwając się błagała o litość.

Przekręcił klucz w zamku, ciepła ręka domu wciągnęła go do hallu. Senny kapelusz lampy uchylił się w przyjaznym dobry wieczór. Dom był pusty.

Sanocki wyjął z kieszeni płaszcz numer *Nowego Kontynentu* i rzucił go na stół przy telefonie. Przeszedł przez jadalnię do kuchni, zapalał światła, myślał:

— Nie wróciła.

Dom przytomniał, otrząsał się z drzemki. Sanocki otworzył lodówkę, stał przed nią nie zdecydowany, zatrzasnął.

Myślał: Może zatrzymali ją w szpitalu? Może konferencja?

Zapalił papierosa, podszedł do telefonu, opanowując drżenie palców nakręcił numer szpitala.

— Perceval Norris Hospital.

— Doktor Sanocki, *please*.

— Zdaje się, że już wyszła.

— Czy mogłaby pani sprawdzić o której wyszła dr Sanocki?

— Połączę pana z O. B. Kto mówi?

— Mąż.

— Łączę.

Zduślił papierosa w popielniczkę, na stoliku zauważył dzisiejszą pocztę, przerzucił rachunki i reklamy, była książka, którą zamówił w Anglii. Cisza domu chichotała.

— *Obstetrics*. Miss Nelson.

— Miss Nelson, dobry wieczór, tu Mr Sanocki, czy mógłbym mówić z moją żoną?

— Dobry wieczór panu, doktor Sanocki wyszła dziś wcześniej, o trzeciej.

— Konferencja?

— Nie, dziś nie było konferencji, mówiła...

— Dziękuję pani. — Powiesił słuchawkę, podniósł natychmiast:

— Co mówiła? Co mówiła?

Równy, przeciągły sygnał przerwanej linii. Położył słuchawkę, podniósł, chciał znów nakręcić numer szpitala, odłożył słuchawkę.

To nie ma sensu.

Zrzucił płaszcz, usiadł na fotelu, patrzył na zamknięte drzwi. Myślał: o trzeciej, wyszła już o trzeciej, więc jeżeli nie konferencja...?

Siedział na fotelu, czekał, każda sekunda była głębokim, druzgoczącym uderzeniem.

— A jeżeli poszła...?

Zacisnął dłonie w pięść: To trzeba wyjaśnić — szeptał — to trzeba raz, nareszcie wyjaśnić, przedwczoraj nocny dyżur, wczoraj konferencja! Proszę cię uprzejmie — mówił, jakby ona była w pokoju — może mi łaskawie wyjaśnisz... jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi możemy z sobą mówić spokojnie, rozsądnie...

Schody na ganku skrzyknęły. Poderwał się, otworzył drzwi. To tylko szarpana wiatrem latarnia, jej oślepiąca głowa potakiwała gwałtownie: To trzeba wyjaśnić... wyjaśnić... Zatrzasnął drzwi, chodził po pokoju, znów przemawiał do niej:

— Mówisz, że jestem podejrzliwy, ale czy nie dajesz mi powodów? Spójrz na to chłodno, bezstronnie, sprowadzasz tego człowieka do domu... telefonuje do ciebie... — Sięgnął po książkę, rozpakował, otworzył. Myślał: jestem może przewrażliwiony, on był tu tylko raz, telefonował, żeby przeprosić i podziękować...

Znów usiadł, starał się czytać. Powiedział, że mieszka blisko szpitala, tylko kilkadziesiąt kroków od szpitala, po drugiej stronie ulicy. Witold, mówiła do niego wtedy gdy jeszcze mogli rozmawiać, kiedy jeszcze potrafiła mu się zwierzać, gdybyś wiedział co się dzieje nocą w tych separatkach! To skandal! — oburzał się. Tłumaczyła mu wtedy psychologię szpitalnej atmosfery usprawiedliwiając nursesy i lekarzy. Śmierć tam jest na każdym kroku, ociera się o ludzi, więc trzeba to też zrozumieć jako reakcję, a że są warunki sprzyjające: noc, pusty pokój, łóżko... Kiwał wtedy głową ze zrozumieniem, analizował z nią razem. Ale teraz tamta wiedza mściła się na nim. Patrzył na książkę, widział ją, jak odpina stetoskop, kładzie go na nocnej szafce, przyćmione światła na korytarzach, przekreślony klucz w zamku... Wstał gwałtownie, książka spadła z kolan na podłogę. Nadśluuchiwał: w kominku zawył przeciągle wiatr, nieustanny szum na dworze wydawał się kołysać domem. Z daleka słychać było syrenę straży pożarnej i ambulansu. Zimowe wiatry przebiegały ulicę Monumental niby zakapturzone gromady Klu-Klux-Klan łamiąc drzewa i wzniciając pożary. Z jadalni pięć rozjarzonych źrenic żyrandola obserwowało go w zakłopotanym milczeniu.

Żarówka! — przypomniał sobie — muszę założyć nową żarówkę na werandzie.

Spiesząc się otwierał szuflady kuchennego kredensu, zajrzał do szuflady stolika. Denerwował się: Do diabła, jeżeli ja nie kupię nikt o tym nie pomyśli! Zatrząskiwiał głośno szuflady, czuł, że się poci, szarpnął krawat, odrzucił, mruzczał: — Można nogi połamać na schodach...

Podsunął sobie krzesło i zaczął wykręcać jedną z żarówek żyrandola, zmrużył oczy. Zobaczył ją, naciskała palcem czarny guzik szpitalnej lampy, czuł, jak w ciemności przeciągnęła się na łóżku i jak poduszka zagłębiała się i rozgrzewała pod ciężarem jej głowy. Syknął, żarówka sparzyła mu palce. Do czego to dochodzi — myślał — wyobrażam sobie rzeczy niemożliwe. A... — odpowiadał sobie — a dlaczego niemożliwe? — Włożył żarówkę do kieszeni, schody ganku zatrzeszczały, szedł w kierunku drzwi przybierając wyraz twarzy opanowany. Przywitam ją najzwyczajniej, spokojnie, mamy dość czasu... Drzwi nie otworzyły się. Przewidzenia — wzruszył ramionami — wiatr... Zeszedł schodami do *basement*'u.

Poznał Hankę w Londynie przyprowadzony przez jednego z kolegów do domu, a właściwie do pokoju umeblowanego, który zajmowała razem z matką. Był to umeblowany pokój z dwoma tapczanami i gazowym *ring*'iem. Stół na którym pili herbatę przysuwało się do tapczanu. Para gotującej się wody, ciepło elektrycznego piecyka, zapach domowego ciastka, ścieśnienie się przy stole, rozmowy długie poprzez ten stół były ramą w której Hanka z upiętymi na głowie warkoczami wydawała się obrazem namalowanym dla tej ramy tylko. Sanocki stęskniony za atmosferą domu znów go odnajdywał. Było to wkrótce po jej wyjeździe z Włoch i przed wyjazdem do Szkocji. Wydawało mu się po jej wyjeździe, że jest to jeszcze jedna z tych znajomości o których zapomni. Ale już po kilku tygodniach pojechał do Edynburga. Mieszkały w podobnym umeblowanym pokoju tylko, że na kominku palił się ogień, a Kołczanowa zajęta przygotowaniem kolacji na dole, we wspólnej, używanej przez wszystkich lokatorów kuchni, zostawiała ich samych. Oświadczył się Hance przed powrotem do Londynu niepewny, nie dowierzając, że się zgodzi. Zgodziła się łatwo, spokojnie, jakby wiedziała dobrze dlaczego przyjechał.

Na dole, w *basemencie*, był niewielki wyłożony boazerią barrek. Na kontuarze szklanka, podniósł ją, rozpoznał ślady pomadki. Skrzywił się: Co ja na to poradzę? Za wybitą drzewem częścią *basement*'u była zwykła, wybetonowana piwnica, w niej zbiornik na olej, piec-*boiler*, maszyna do prania, rozciągnięte wzdłuż druty do wieszania bielizny w czasie deszczu, dalej walizki, połamane krzesła, drabinki, puszki z resztkami farb. Było tu gorąco, *boiler* buzował głośno, jak ogromne zepchnięte do piwnicy serce domu i zanim Sanocki pociągnął za sznurek sufitowej lampki żar ten i odbłask żaru padł mu na twarz i na ręce. Przyszedł tu po drabinkę, aby wnieść ją na ganek i wkręcić za-

rówkę do latarni. Zapomniał po co przyszedł, stał wpatrzony w kąt piwnicy i widział jak cienie ich dwojga złączyły się w jeden drgający cień. Musieli się znać dawniej — myślał. — Cóż ja właściwie wiem o niej? Tylko tyle co chciała mi o sobie powiedzieć. Zapalił światło. Na maszynie do prania leżał jej czarny sweterek, położył na nim rękę, wełna ustąpiła łagodnie pod dotknięciem palców, ścisnął rękę w pięść i zapach jej ukryty w tkaninie swetra wyprysnął i targnął nim. Westchnął: Po prawie szesnastu latach małżeństwa... A może przedtem nie dostrzegałem niczego?

Podniósł opartą o róg drabinkę, wziął ją pod ramię, zniszczył cienie, które kłębiły się tam przedtem. Zgasił światło, za nim boiler dygotał przyspieszonym, nierównym pulsem. Zatrzasnął drzwi od piwnicy. Oparł drabinkę o barek, wszedł za kontuar i pociągnął jeden długi łyk z butelki. Zakaszłał. Znow przyłożył butelkę do ust, pociągnął, odstawił. Wydawało mu się, że słyszy kroki na górze, znieruchomiał. Muszę się dziś z nią rozmówić, spokojnie, bardzo spokojnie, nie mogę sobie pozwolić nawet na podniesienie głosu. To nie kroki, to tylko przelociał samolot, jego daleki warkot cichł, jak akordy organów.

Wszedł na górę dźwigając pod pachą drabinkę. Pustka domu przestała go już rozżalać i przygnębiać, ale zaczęła irytować. A więc to tak mnie tu traktują — myślał — piąte koło u wozu, na pewno jeszcze matka pomaga się Hance spotykać z tym Kettlerem. Ułatwia to jej. Obydwie spiskują przeciwko mnie. Kto wie co się działo za moimi plecami przez ten cały okres małżeństwa?

Postawił drabinę na ganku, wszedł nieostrożnie po chwiejących się szczeblach, wyciągnął rękę i wkręcił żarówkę, rozbłysła nagle pod jego palcami, oślepiła go. Zeszedł z drabiny. Zza zakrętu ulicy wynurzyły się cztery okrągłe reflektory. Wracała. Stał oparty o poręcz ganku, patrzył, jak parkowała samochód. Zauważyła go.

Krzyknęła: Co się stało?

Jej włosy poderwane wiatrem opadły na twarz, przytrzymała ręką połę białej, skórzanej kurtki. Wbiegła po schodach, zatrzymała się przed nim zdyszana.

— Co się znów stało?

— Chodźmy do domu — powiedział.

Wszedł za nią do przedpokoju.

— Gdzie dzieci?

— Poszły z matką do kina.

— Ach... miałeś taką minę, jakby się coś stało.

— Uważasz więc, że nic się nie stało?

Powiesiła kurtkę w szafie i odwróciła się, spojrzała na niego.

— Co takiego?

- Jeżeli uważasz, że wszystko w porządku...
- Masz mętne oczy, idź się lepiej przespać.
- Przeszkadzam ci.
- Witold, uspokój się, przychodzę do domu...
- Później nie mogłaś przyjść do domu?
- Co?
- Pytam się dlaczego tak późno? Wyszłaś ze szpitala o trzeciej, a teraz jest już po siódmej.
- Nie podnoś głosu. I nie potrzebowaleś czekać na mnie na dworze. Skąd wiesz, że wyszłam o trzeciej?
- Telefonowałam.
- Człowieku, zastanów się, dlaczego tu tak stoisz i patrzysz na mnie? Co ja ci zrobiłam? Przychodzę zmęczona...
- Po czym?
- Oh, *cut it out!*
- Wzruszyła ramionami, podeszła do kanapy, usiadła, zrzuciła pantofle, położyła się, zamknęła oczy.
- Gdzie byłaś? — spytał.
- Co?
- Gdzie byłaś? — krzyknął. — Nie możesz mi odpowiedzieć gdzie byłaś?
- Nie odpowiadała, przeciągnęła się, założyła nogi wysoko na poręcz kanapy, stał tuż przy niej z zaciśniętymi pięściami, oddychał tak głośno, że mogła słyszeć wyraźnie. Nie otwierając oczu powiedziała:
- Kupowałam sobie sukienkę.
- Teraz kiedy mamy tyle płatności — krzyknął — idziesz i wydajesz pieniądze!
- Usiadła, patrzyła na niego przez chwilę i wiedział, że teraz już ją poruszył, ale czuł także, że ona go obserwuje, a obserwując oddala się od niego. Dlaczego nie mogłem mówić spokojnie — przeraził się.
- Może mi jeszcze zaczniesz wydzielać moje własne pieniądze? — powiedziała.
- Wydawało mi się, że pieniądze są wspólne...
- Wydawało ci się.
- To według ciebie ja nic nie zarabiam, może jeszcze powiesz, że jestem na twoim utrzymaniu?
- Nie krzycz. Jestem zmęczona.
- A jak robiłaś *intership* to kto utrzymywał dom?
- Nie wymawiaj mi! Całe życie mi wymawiasz!
- Zerwała się z kanapy, zastąpił jej drogę, chwycił za ramiona, ścisnął.



— Ja ci wymawiam? Ja? A jak prałem dziecinne pieluchy kiedy się uczyłaś, to też ci wymawiałem?

— Puść mnie! Puść! Nie mogę patrzeć na ciebie!

Wyrwała mu się, zbiegła do *basement*'u, jej nieobute nogi ślizgały się po linoleum, chwyciła się ręką kontuaru barowego. Biegł za nią, głośny tupot jego nóg przeraził ją, cofnęła się za bar, chwyciła w rękę butelkę, podniosła, zamierzyła się. Chwycił ją za rękę.

— Co robisz? Oszalałaś?

— Chciałeś awantury, masz awanturę! Nie dotykaj mnie! Nie rusz mnie!

— Hanka — dyszał, starał się wyrwać jej z rąk butelkę — opamiętaj się, pomówmy spokojnie.

— Odejdź! — krzyczała. — Wyjdź stąd!

Nagłym ruchem ręki wytrącił jej z palców butelkę. Trzask rozbitego szkła przeraził go. Wytrącając jej z ręki butelkę skaleczył się. Ukośne przecięcie na wewnętrznej stronie dłoni podbiegło krwią, czerwona pręga poszerzyła się. Nie czuł bólu tylko nieprzyjemne ścierpięcie, chciał się oderwać, uciec od samego siebie. Nie lubił widoku krwi. Hanka stała za kontuarem, widział tylko jej ramiona i piersi, stał tak blisko, że czuł jej przyspieszony oddech.

— Widzisz — wyciągnął do niej rękę — mogłabyś... — Chciał powiedzieć: mogłabyś mnie zabić. Zawahał się. Nie czuł już niedawnej złości, stawał się spokojny, spokojniejszy niż po przyjsciu do domu. Ciemna krew spływała leniwymi kroplami z rękę na podłogę.

— Widzisz — powtórzył. — No widzisz coś ty zrobiła... — Domagał się jej współczucia, powtarzał: no widzisz... widzisz... Z wyciągniętą poprzez kontuar barowy ręką stał oczekując jej reakcji. Podniósł nagle głowę i spojrzał na jej twarz. Cofnął rękę.

— Hanka... — szepnął.

Patrzył przerażony, jak minęła go, weszła schodami na górę, słyszał jej kroki na schodach do sypialni i jak zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju.

W kuchni umył sobie rękę i nałożył plaster na ranę. Wrócił pochylony do *living room*'u dźwigając swoją samotność. Zapalił papierosa, rozłożył książkę, starał się czytać. Słowa niby zmiatane wiatrem łączyły się w niezrozumiałe dziwolągi, były znakami bez treści. Zdjął okulary i włożył pomiędzy stronicę książki.

Cóż ja takiego zrobiłem? — myślał. — Chciałem z nią przecież tylko spokojnie porozmawiać. Spojrzał na dzień, jeszcze jeden z dni upływających, których nie można zawrócić i powtórzyć. Chciał się rzucić na ratunek ostatnich godzin dnia, jak człowiek

zrozpaczony w beznadziejnym wysiłku ratowania umierającego. Wstał. Chciał biec do sypialni do Hanki, wytłumaczyć wszystko, to znów chciał gdzie jechać, coś przedsięwziąć, z kimś się zobaczyć, komuś się zwierzyć. Zastanawiał się: kto? Do kogo? Rodzina? Nie miał tu przecież nikogo oprócz Hanki i dzieci. Znajomi? Nie, ze znajomymi nie omawia się takich spraw, znajomość upoważnia tylko do pewnych rozmów ogólnych, nie zobowiązujących. A przyjaciele? Był tylko jeden: Jan Kruk, ale Kruk miał przecież tyle własnych spraw. Beznadziejne — myślał — po tylu latach nie mam tu nikogo... — Usiadł, a potem położył się na tej samej kanapie na której niedawno leżała Hanka. — Gdybym mógł zasnąć — myślał — gdybym chociaż mógł zasnąć.

Nie spał. Zapadał w dręczącą, obezwładniającą depresję. Słyszał, jak wróciła Kołczanowa z Irenką i Zdzisią. Odwrócił się prędko do ściany udając, że śpi. Cekał, że podejdą do niego, zbudzą go, tęsknił za dotknięciem ręki. Kołczanowa powiedziała:

— Cicho dzieci, tatuś zdrzemnął się, nie budźcie go.

Poprzez ścianę, z kuchni słyszał ich głosy, ich śmiechy. Chciał się podnieść, pójść do nich, słyszał swój głos, pytał ich o szkołę i o kino i widział ich twarze przyglądające mu się, odsuwające się od niego, ich pytający wzrok odgadujący natychmiast, że coś się stało. Wygląd zawsze go zdradzał. Chciał się przemknąć chyłkiem do pokoju gościnnego. Chciał, ale jego bezwład był silniejszy od niego.

Telefon dzwonił już kilkakrotnie, a on nie podniósł się chociaż przecież leżał w tym samym pokoju i nie spał.

— Tata — powiedziała Zdzisia — tata, obudź się, telefon!

Otworzył oczy. Zdzisia stała przy nim. Jej ciemne włosy zasłaniały policzki i jedno oko, twarz Zdzisi była więc jakby w pół cieniu. Pochyliła się: Tata...

Zobaczył jej szeroki, wyraźnie rozdzielony podbródek, był to podbródek Sanockich: jego ojca i dziadka, nie energiczny, ostry podbródek Hanki.

— Zdzisiu... — wyciągnął do niej rękę, ale ona cofnęła się, jakby bała się, że ją dotknie.

— No przecież telefon!

— Kto? — spytał.

— *I don't know*, zdaje się... o, *I don't know*...

Podniósł się. Widział, że zauważyła skaleczoną rękę i może już wiedziała? Nie skądże? Podeszedł do telefonu.

— Tata — powiedziała. — Nie poszedłeś dziś na P.T.A.<sup>1)</sup>

---

1. *Parents, Teachers Association* — zebranie rodziców i nauczycieli.

— Co? — skrzywił się. — A to dzisiaj? Zdzisiu, czekaj... czekaj...

Odwróciła się. Była już wysoka, prawie tak wysoka, jak Hanka, smukła, w krótkiej spódnicy i długich skarpetkach.

— Zaczekaj — wołał — o której to P.T.A.?

— O, *never mind!* — wzruszyła ramionami.

Sanocki podniósł słuchawkę.

— Hallo? — westchnął, oparł się o ścianę, patrzył za znikającą w stołowym pokoju córką. Widział jej uniesione ramiona, gest, który mówił: Przecież wiedziałam!

Psiakrew — zmartwił się — zapomniałem. Prosiła mnie, ażebym poszedł... psiakrew...

— Czy to ty, Witek? — spytał Kruk.

— Tak, dlaczego? Przepraszam cię, chwileczkę! — Przesłonił ręką mikrofon, zawołał: Zdzisiu!

Za drzwiami wychyliła się niespokojna głowa teściowej, szepnęła: — Zdzisia je kolację.

Nie jedliście? — spojrzała pytająco na jego skaleczoną dłoń. Po oczach rozpoznał, że już wiedziała. Jak? W jaki sposób? Butelka w *basemencie*?

— O której to zebranie? — spytał.

— Ach — powiedziała — to już za późno... Nie jedliście...

— Zaraz — powiedział, wskazał oczami telefon.

— Przepraszam — usunęła się.

Psiakrew — myślał, psiakrew, znów zapomniałem... następnym razem... — Odsłonił mikrofon, powiedział: — Przepraszam cię, Kruk, słucham?

— Nie poznałem cię po głosie.

— Dlaczego?

— Nie wiem, nie twój głos, gardło cię boli? Może źle się czujesz?

— Nie, nie w porządku, trochę gardło... nic nie szkodzi.

— Mój drogi, może ja nie w porę, ale mam taką prośbę...

Myślał: Niech on mnie tylko o nic nie prosi, żadne zebrania, żadne przyjacielskie przysługi, nie mogę teraz o niczym myśleć, psiakrew, to zebranie... przyrzekłem jej... dlaczego natychmiast nie sprzątnąłem szkła z podłogi?

— Tak... — powiedział — słucham, naturalnie...

— Widzisz do kogo innego nigdy bym się nie odważył, niby tyłu masz znajomych, a jak jest naprawdę jakaś potrzeba, jakiś prawdziwy kłopot, to właściwie nie masz do kogo...

— Rozumiem — powiedział — jak jest prawdziwa potrzeba to nie ma z kim nawet...

— Witek, Maciuś ma taką wysoką gorączkę, sto trzy... wy-

miotuje... przyszedłem przed godziną do domu, Lilka tu płacze, nie możemy złapać naszego lekarza, wyjechał... Czy pani Hanka...

Chciał powiedzieć, że Hanka nie ma w domu. Powiedział:

— A czy ten wasz lekarz nie zostawił żadnego zastępstwa? Przecież zwykle...

— Nie. Witold, my nie chcemy za darmo, my przecież zapłacimy...

— Ale skąd! Tylko Hanka...

— Boże! To co robić? Brać go do szpitala? Może pani Hanka poradzi jakiegoś lekarza?

— Spytam się — powiedział — zaczekaj.

Wszedł na górę, poruszył klamką drzwi, i tak, wiedział, sypialnia była zamknięta. Zapukał. Nie odezwała się. Zawołał:

— Hanko!

Słyszał plusk wody w wannie, wiedział, słyszała go, za chwilę odezwie się niechętnie. Zapyta: co chciałeś? Nie możesz zostać mnie w spokoju? Nie odzywała się.

— Hanka! — krzyknął — telefon! Słyszysz, telefon do ciebie!

Znów wróciło wieczorne poirytowanie. Upominał się: spokojnie, muszę panować nad sobą. Odwrócił się, to Zdzisia przeszła obok niego, powiedział. Mamusia się kąpie, pan Kruk telefonuje, Maciuś chory...

— Acha...

— Zdzisiu... no zaczekaj... przykro mi, zapomniałem...

— *Forget it.*

Spojrzała na niego, na zamknięte drzwi, poczuł nieprzyjemny występujący mu na twarz rumieniec zażenowania. Ona i tak nic nie rozumie. W zmrużonych wąskich oczach wydawało mu się przez sekundę zauważyć przelotny błysk ironii. Tak czasem patrzył jego ojciec.

— Zdzisiu...

Hanka otworzyła drzwi: Co chciałeś?

— No idź już, idź Zdzisiu.

Odeszła zanim to powiedział, w drzwiach stała Hanka.

— Kto to telefonuje?

— Kruk.

— Kruk? Do mnie? Słuchaj Witold, nie staraj się naprawić tego...

— Cicho...

— No dobrze, więc czego on chce?

— Czy mogę wejść do pokoju?

— Proszę — powiedziała — wejdz.

Jej twarz i kosmyki włosów nad czołem były mokre od wody,

zawiazywała pasek żółtego, kąpielowego płaszczka. Usunęła się i przechodząc obok niej poczuł zapach perfum i wilgotnej, rozgrzanej skóry. Znów ogarnęło go pragnienie naprawienia wszystkiego, zaczęcia od nowa. Teraz mógł z nią mówić spokojnie, teraz mógłby jej wytłumaczyć bezsens ich niemal codziennych awantur. Jesteśmy przecież małżeństwem — myślał — i mimo tych wszystkich nieporozumień łączy nas tyle spraw, dzieci... Zdzisia, powinienem pomówić z nią o Zdzisi, powiedział:

— Hanko, naprawdę, przykro mi...

— Podobno Kruk chciał ze mną mówić — przerwała.

Zaczerwienił się, mruknął:

— Jakaś ty oschła...

— A czego się spodziewasz po mnie?

— Niczego.

— Bardzo słusznie. Ja też się już niczego od ciebie nie spodziewam.

— No to dobrze! — krzyknął. — Oboje się niczego od siebie nie spodziewamy, nic już nie mamy z sobą...

— Czy przyszedłeś się znów awanturować?

— Ach — machnął ręką, był wściekły na siebie. Po co znów zaczynałem? Myślał: nigdy nie dojdziemy do porozumienia, powiedział:

— Kruk telefonuje...

— Słyszałam.

— Pozwól mi powiedzieć. Maciek jest bardzo chory, proszą cię, żebyś przyjechała.

— Mnie? Nie mają swojego lekarza?

— Nie mogą go znaleźć, wyjechał... No to dobrze, powiem mu, że nie chcesz.

— Poczekaj — powiedziała. Podeszła do komody, pochyliła się, szukała w torebce papierosa. Odwróciła się. — Co jest Maciusiowi?

— Ma dużą gorączkę, wymiotuje... no nie wiem, podobno bardzo chory.

— Od kiedy? Jakie inne objawy?

— Nie wiem. — Podeszedł do niej, zapalił jej papierosa. — Proszą, że jeśli nie możesz przyjechać, żebyś poradziła jakiegoś innego lekarza.

— O tej porze! Najlepiej zabrać dziecko do szpitala, do *emergency room*.

— Do jakiego szpitala?

— Zaczekaj! — krzyknęła — pozwól mi się zastanowić!

Usiadła na skraju łóżka, paliła wolno papierosa, a jej szczupłą twarz z zarysowaną pomiędzy brwiami pionową zmarszczką i

zwięzonymi oczyma stawała się coraz bardziej skupiona i chłodna. Widział, jak zagłębiała się w samą siebie, w sobie samej tylko szukając odpowiedzi. Od dawna już przeczuwał, że we wszystkim stanie się jej niepotrzebny i że tak, jak teraz będzie mógł ją tylko obserwować z boku. W każdej dziedzinie życia stawała się samowystarczalna. Dawniej jeszcze pytała: Co myślisz? Co mi radzisz? Jak byś postąpił? Myślała wtedy głośno dopuszczając go do udziału w swoich rozważaniach i decyzjach. Już nie pamiętał nawet kiedy to było: pięć lat temu? Sześć lat temu? Wtedy, gdy urodziła się Irenka?

Stał obok niej, a wydawało mu się, stoi na drugim brzegu szerokiego strumienia i że ten strumień to upływające życie, które rozdziela ich zamiast łączyć.

— A może — powiedział — porozmawiałabyś z nim sama?

— Nie! — skrzywiła się. — To nie ma sensu. Znam Kruka, nic mi więcej nie powie.

Wstała energicznie, podeszła do lustra i zaczęła czesać włosy.

— E, cholera — mruknęła — nie mogę się nawet wykąpać.

— No więc do jakiego szpitala? — spytał — przecież on tam czeka...

— Idź, powiedz mu, że przyjadę.

Widział jej odbicie w lustrze, odłożyła grzebień, przetrąła końcami palców oczy tym dobrze znanym mu ruchem, który zawsze u niej wyrażał zmęczenie.

— Idź! — krzyknęła — Bo on tam jeszcze dostanie ataku serca, przecież wiesz, że on sam wisi na włosku i trzeba będzie obydwóch zabierać do szpitala!

— Ja cię tam zawiozę — powiedział ucieszony, bo po tonie jej głosu poznał, że zadowolona była z własnej decyzji.

— Jak chcesz — powiedziała. — Idź już, daj mi się ubrać. Powiedz, że wyjedziemy za 10 minut.

— Tak — powiedział. Zamknął drzwi. Schodząc na dół zastanawiał się dlaczego Hanka zdecydowała się pojechać.

Gdyby Hankę Sanocką zapytano tego zimowego wieczoru, gdy zmęczona i zdenerwowana myślała tylko, aby się jak najprędzej położyć i zasnąć, dlaczego zdecydowała się pojechać do Kruków, wzruszyłaby pewnie ramionami i mruknęła: — Nie wiem.

Ale gdyby zaczęła analizować przyczynę swojej decyzji, zdziwiłaby się pewnie ile to przeróżnych spraw, których nie była świadoma, a którym podlegała zmusiło ją do zawołania:

— Powiedz mu, że przyjadę!

Mniejszość polska osiadła w Monumental i otaczających go

*counties*, a która z kraju wyemigrowała po Drugiej Wojnie Światowej, była już po roku 1960-tym dobrze zakorzeniona w Ameryce. Więcej teraz znaczyło to, co zdołali osiągnąć za granicą, niż to co niegdyś reprezentowali sami, albo ich rodzice w starym kraju. Drogi ich rozchodziły się coraz bardziej, stwarzano sobie nowe zainteresowania, nowych przyjaciół. Na co dzień każdy był sobą, zamykał się zwyczajem amerykańskim we własnej, rodzinnej komórce, należał albo nie należał do Związku Kombatantów, albo wręcz unikał Polaków. U wielu zmieniły się oceny wartości i rola i znaczenie społeczne jednostek. Jeszcze Koło Kombatantów starało się walczyć o to, co w początkowym okresie wydawało się celem istnienia Emigracji: o ideę niepodległości kraju i powrót do Polski. Jeszcze starało się utrzymać należne miejsce dla przedwojennych szarż i szacunek dla przedwojennego stanowiska, ale i kombatanci rozchodząc się z zebrani do domu stawali się innymi ludźmi: robotnikami w fabrykach, *businessman*'ami, urzędnikami państwowymi, czy też członkami wolnych zawodów. Te ich obecne stanowiska, ich codzienne kłopoty miały realne znaczenie.

Chociaż tylko drobna grupa należała do lokalnego Koła Kombatantów, wszystkich emigrantów łączyły nie pisane i nigdy jasno nie sformułowane prawa w jednolitą, chociaż rzadko, albo wcale nie spotykającą się grupę społeczną. Istniała pewna platforma na której chcąc czy nie chcąc musieli się z sobą spotkać. Wiadomo było mianowicie, że w chwilach decydujących należy pomóc, i wiadomo, że temu, który mogąc pomóc, pomocy odmówił, grozi ostracyzm. Nie był to ostracyzm groźny społecznie, ale był wewnętrznie bolesny, jakby wyrzucenie części samego siebie ze swoich własnych granic.

W ostatnich latach, Hanka coraz bardziej odsuwała się od Polonii. Coraz większą widziała przepaść pomiędzy sobą, a 'tymi ludźmi', do których, uważała, Witold a i również jej matka, należeli. Im bardziej stawała się samodzielną, im większe odnosiła sukcesy w swojej pracy, tym bardziej 'ci ludzie', na których spoglądała z pobłażliwym lekceważeniem, okazywali jej szacunek, tym bardziej uważali ją za swoją i w nieco rodzicielski sposób stawali się z jej sukcesów dumni.

Podkpiwała z ich śmiesznośtek. Złościły ją matki tęskliwe wzdychania za Polską, Witolda aluzje co do 'obowiązków Polaka', rozśmieszały i denerwowały uroczystości narodowe w których od dawna już, początkowo z braku czasu a później z niechęci, przestała brać udział. Mówiła, że „żyją w obłokach” i czepiają się przedawnionych idei, bo po prostu nie potrafili się dostosować do współczesności i do *American way of life*.

Wśród kolegów Witolda, Hanka ceniła i lubiła tylko dwóch ludzi: Majora Czeczotę, prezesa lokalnego Koła Kombatantów, i Jana Kruka.

O majorze mówiła, że jest to człowiek stworzony z jednej bryły i bezkompromisowy. — Nie zgadzam się z nim — mówiła — ale go cenię. Jest sztywny w swoich przekonaniach, jak pastor Baptystów z osiemnastowiecznej Ameryki, ale jest fanatykiem, który dałby się spalić na stosie za swoje przekonania. To jest człowiek, który się potrafi całkowicie poświęcić dla „Sprawy”. Wszystko jedno czy ja się z tą „Sprawą” zgadzam, czy nie, czy wydaje mi się słuszna czy zwykłą utopią, ale nie mogę go za to nie cenić. — A kiedy Witold próbował ją pytać: dlaczego? Co różni majora od innych? Odpowiadała: — Całkowitość. Jest takim jakim był i jakim chciał być niezależnie od warunków. Nie stchórzył.

Major wydawał jej się także uosobieniem dawności, jak gdyby częścią jej polskiego dzieciństwa: ojca-rygorysty, szkoły apoteozującej patriotyzm, kraju do którego nie tęskniła, ale który nazywała „moją dawną ojczyzną”. Do przeszłości tej, odizolowanej już i jakby zasuszonej, zachowywała jednak, wbrew samej sobie, głębokie przywiązanie. Uczucia Hanka dla Jana Kruka były nieco inne. Miała dla niego ten ciepły, graniczący z podziwem sentyment z jakim ogląda się stare zbroje rycerskie. Była przeciwna wojnie, jakiegokolwiek wojnie, nazywała ją barbarzyństwem i głupią, ludzką niedojrzałością. Ale nie mogła pozbyć się wczesnie zaszczeplonej w sobie polskiej admiracji dla wojennego bohaterstwa. Lubię go — mówiła — bo on ma te wszystkie polskie narodowe cechy wypisane na czole i wiadomo, że taki był i jest. Rzućcie go wstecz w XV wiek, a byłby pierwszym w pierwszej linii pod Grunwaldem. To jest Wołodyjowski — mówiła czasem — tak go sobie wyobrażam. Ach ten szalenię — śmiała się — żadnej dyplomacji, żadnego zmysłu do rozsądnej polityki, niepraktyczny, w codziennym życiu nie umie sobie dać rady, ale niech by mu tylko trąbka zagrała! Jeszcze teraz z gołymi rękami leciałby na armaty i czołgi i krzyczał: Bóg, Honor, Ojczyzna!

— No i co z tego — mówił Witold — pracuje w fabryce.

— Zmarnował się — odpowiadała.

— A ja? — dopytywał się Witold. — A ja się nie zmarnowałem?

— Nie porównuj się z nim — odpowiadała. — Nie można się porównywać z symbolem.

Przeklinając swoją 'głupią decyzję', ale mimo to odczuwając ulgę, że się zdecydowała, Hanka zrzuciła żółty, kąpielowy płaszcz, ubrała się szybko i sprawdziła czy ma wszystkie potrzebne rzeczy



w podręcznej walizeczce. Wyjęła jeszcze z apteczki ampułki antybiotyków, które trzymała na wszelki wypadek dla dzieci, próbówkę do pobrania nalotu z gardła i przejrzała się w lustrze. Kąpiel odświeżyła ją, ale pod oczami miała głębokie, sinawe cienie, a w kącikach oczu i na czole rysy pierwszych, nikłych jeszcze zmarszczek. Starzeję się — pomyślała — no bo jakie ja mam życie! Przypudrowała nos, pomalowała usta i podeszła do drzwi.

Myślała: właściwie mogłam skierować go do szpitala, bo jeśli jakieś *emergency*, to i tak trzeba będzie to zrobić. A więc dlaczego jadę? Co to za niezaradni ludzie! Związani tą polską pępowiną zupełnie tracą grunt pod nogami!

Myślała podobnie zostawiając dwa miesiące temu kartkę z zaproszeniem na obiad do jakiegoś doktora Ketlera, który przyjechał z Polski i obco czuł się w nowych warunkach.

Poprzez zamknięte drzwi sypialni usłyszała płacz Irenki. Był to cichy płacz przerywany uspakajającym głosem Zofii Kołczanowej. Hanka wbiegła do dzieciennego pokoju, płacz dziecka przypomniawszy jej, że nie widziała dziś jeszcze Irenki. Dziecko siedziało na łóżku, skurczona, we flanelowej, niebieskiej pyjamce, spojrzęła na matkę i rozszlochała się.

— Co się stało? — krzyknęła Hanka — ach Boże, czy ona nie jest czasem chora?

Kołczanowa wzruszyła ramionami, usunęła się, patrzyła, jak Hanka zmieniała się przy Irencie. Myślała: Ona ją tylko kocha, tylko ją jedną. Powiedziała: Nie wiem, obudziła się.

— Moja malutka — szeptała Hanka, ukłękła przy łóżku dziecka, przytuliła twarz do jej mokrego, chłodnego policzka. Myślała: nie ma gorączki, nie, nie ma gorączki, przestraszyła się czegoś. — Odwróciła się do matki:

— Co to był za film? Wiesz przecież jaka Irenka jest wrażliwa.

— To nie film...

— A więc co? Co? Może coś zjadła? Co jadła na kolację?

— Ach... — machnęła ręką Kołczanowa. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Czy Hanka jest gotowa? — zawołał z dołu Witold.

— Zostawcie mnie z nią! — krzyknęła, jakby zwracała się do tych wszystkich, którzy chcieli ją oderwać od dziecka. Słyszała, jak Kołczanowa zamykała drzwi, schodziła na dół i przyciszonym głosem tłumaczyła Witoldowi. Zgasiła górne światło, zapaliła nocną lampę i przysiadła na brzegu łóżka. Irenka uspakajała się, trzymała matkę za rękę, drugą ręką Hanka odsunęła z jej czoła wilgotne włoski, gładziła drobną buzię, a Irenka śledziła każdy jej ruch, jakby się chciała upewnić, że matka jest jeszcze,

nie odchodzi, jej duże, brązowe oczy były tak poważne, jakby myślała z wielkim wysiłkiem i starała się wypowiedzieć coś, czego nie mogła sformułować.

— I cóż to za straszne zmartwienie? — uśmiechała się Hanka. — Powiedz mamusi.

Irenka nie wyciągnęła rąk, nie objęła matki za szyję, a przecież zawsze była taka przymilna, łagodna, taka wydawałoby się wdzięczna za każdą wolną chwilę Hanki.

— *Give me a kiss* — pochyliła się nad dzieckiem.

Irenka westchnęła.

Jak to małe wzdycha — rozczuliła się — taka drobina i tak już po dorostemu, ciężko westchnęła. Pocałowała Irenkę, poprawiła kocyk, patrzyła, jak jej buzia nieruchomiała jak sennie przy-  
mykały się oczy. Zaśnie — myślała. Spojrzała na zegarek. Już dawno minęło dziesięć minut, powinna była wyjechać, obiecała, że za dziesięć minut wyjadą. Wstała. Irenka otworzyła oczy.

— Mamusiu... — szepnęła niewyraźnie.

— Jestem tu, kochanie.

W dzieciennym pokoju był półmrok, tylko różowe, łagodne światło nocnej lampki padało na małe rączki dziewczynki. Hanka pochyliła się nad łóżkiem, przytuliła twarz do głowy dziecka.

Jak to miło — myślała o pokoju — jaki prawdziwie dziewczęcy pokoiik. Sama go urządziła. Wybrała tę niebieską i różową tapetę, białe, powiewne firanki przewiązane różowymi wstążkami, różowe falbanki otaczające łóżko, miękkie, niebieski dywan. W kącie tuż przy łóżku Irenki na lakierowanych półkach stały i siedziały puciołowate, ogromne lalki. Był to pokój z jej marzenia, pokój, którego nigdy sama nie miała.

— Śpij córeczko.

— Ja śpię, tylko...

— *Give me a kiss.*

Irenka westchnęła: — *I am not happy, not any more...*

— Dlaczego? — szepnęła przerażona.

Irenka nie odpowiedziała. Jej oczy były zamknięte, oddychała już równo, spokojnie przez sen.

Dom Kruków był na południowo-wschodnim krańcu Monumental City, w dzielnicy White Marsh. Z Rudgley Hills można się tam było dostać albo przecinając śródmieście, albo też jadąc okrążającą miasto Beltway.

Witold Sanocki zdecydował się jechać Beltway i po wydo-  
staniu się z Chestnut Avenue skręcił nie jak zwykle na prawo, do miasta, ale w stronę przeciwną, na *highway* skąd był wypad na szeroką, trzytorową i skąpo oświetloną autostradę. Wiatr

przycichł i prószyl bardzo drobny, ostry i suchy śnieg uderzając coraz to w przednią szybę samochodu jakby garściami twardej kaszy. Widoczność była zmniejszona, śnieg lodowaciał na szosie i trzeba było jechać bardzo ostrożnie.

— Ślisko — powiedział Witold.

Milczała, siedziała zapatrzona w szosę, czuł tylko dym papierosa.

— Nawet się nie odezwiesz — powiedział. — Naprawdę, wierz mi, nie chciałem wywołać...

Westchnęła.

Martwi się — pomyślał — nie powinienem był doprowadzać do awantury. Nie, takich spraw nie można załatwiać kiedy ona przychodzi zmęczona po pracy. Jakich spraw? Spraw naszego małżeństwa. Chciał powiedzieć: Hanko, z nami, wydaje mi się, nie jest tak jak być powinno. — Otworzyła usta, powiedział: — Hanko...

— Co to jest — przerwała mu — żeby siedmioletnie dziecko nie było szczęśliwe...

— Jakie dziecko?

— Irenka.

— Kto ci to powiedział? Co ty...

— Powiedziała mi: *I am not happy, not any more.*

— Irenka ci TAK powiedziała?

— Ja też bym nie uwierzyła, ale przecież słyszałam.

— Kiedy?

— Dziś wieczór. Nie widziałam jej cały wieczór, schodziłam na dół i usłyszałam, że płacze, siedziałam z nią i potem przed samym zaśnięciem... Co ty myślisz?

Myślał: dziecinne głupstwa. Jak, dlaczego Irenka może nie być *happy*? Ale nagle zorientował się, że to nie chodziło o Irenkę, że Hanka pyta o radę, wybrała tę drogę, aby znów zbliżyć się do niego, poprzez dzieci. Czyż to nie dzieci, Zdzisia i Irenka, były nieustannym przypomnieniem tego okresu w którym, wydawało mu się, byli szczęśliwi? Wtedy nie odwracała się od niego niechętnie, nie zamykała przed nim drzwi sypialni. Powiedział, czując że się czerwieni i głos jego, chociaż chciał panować nad sobą, zadrżał:

— Ona cię tak kocha... Może powinnaś... może za mało z nią przebywasz, za mało poświęcasz jej czasu?

Wpatrzony w drogę czekał na dotknięcie jej ręki. Znał ją, wiedział, że bardziej znaczące były jej gesty: uśmiech, skinienie głowy, sposób w jaki delikatnie kładła mu rękę na ramieniu. Nie lubiła wypowiadać swoich uczuć. I wydawało mu się, że zrozumiała nie to co powiedział, ale chciał powiedzieć.

— To co mam zrobić? — spytała.

Zdecydował się. Cały plan wydał mu się niezwykle jasny. O tym przecież chciał z nią mówić, to jej zaproponować. Tylko nigdy — myślał — nie było na to odpowiedniego klimatu. Był wdzięczny Krukowi, że to przez niego, w drodze do niego znaleźli się sami. Wdzięczny za ponurą, śnieżną noc, która stworzyła ów klimat intymnej wyłączności, tę łatwość nie patrzenia sobie w oczy i wypowiedzania słów w ciemności. Powiedział:

— Przerwij pracę. Ja nie mówię na stałe, ale na rok. Weź urlop zdrowotny, czy jak to już będziesz chciała urządzić. Zostań w domu, zajmij się dziećmi. Przecież nie tylko Irenka, Zdzisia też cię potrzebuje... dziś nawet, ale ja ci potem powiem... I ja... Czy ty myślisz, że mnie ciebie nie brakuje? Przychodzę do domu i nigdy... i już nigdy... wydaje mi się czasem...

Roześmiała się.

— I jak ty to sobie wyobrażasz? Z czego pokryjemy wydatki?

— Będziemy żyć skromnie. Przecież większe rodziny utrzymują się z takiego dochodu, jaki ja mam.

— Z twojego dochodu! Zapominasz, że mój dochód...

— To obniżymy standart, musimy sobie powiedzieć, że są sprawy ważniejsze...

— Oszalałeś! — mruknęła. — Ja nie chcę rezygnować ze standartu, za daleko już zaszłam, za ciężko za to zapłaciłam.

— O widzisz! Za ciężko. I po co? Moja matka nie pracowała...

— Pleciesz głupstwa. W Ameryce najważniejsza jest pozycja społeczna i pieniądze!

Może w Polsce jest inaczej... Ale ty zupełnie zapominasz...

— Hanko, a może byśmy wrócili?

Może byśmy wrócili? — myślał. Teraz kiedy sam przed sobą i przed nią wypowiedział to głośno, zorientował się, że myślał już o tym dawno, nie przyznawał się, nie mówił otwarcie, przeciwnie, twierdził, że nigdy, ale przecież myślał. Projekt zaczynał nabierać realnych kształtów: tam się wszystko ułoży inaczej, inny klimat — myślał — inne warunki, zacniemy na nowo, powiedział:

— Czasy się zmieniły. Sprzedamy dom, pojedziemy z pieniędzmi, dzieci pójną do polskich szkół, twoja matka... ja myślę, że twoja matka się ucieszy... ja na pewno dostanę jakąś pracę, na pewno gdzieś się urządzę, musimy wszystko ostrożnie wybać, a ty z twoim doświadczeniem amerykańskim... Przecież my tam należymy, do tamtej kultury, tam jest nasz kraj, nasz i naszych dzieci. Słuchaj, ja ci mówię, będziemy żyć i dostatnio

i szczęśliwie. Po co mamy tu gnąć wśród tego społeczeństwa z którym nas nic nie łączy?

— My? — spytała.

— No tak, przecież my się nie możemy z tym pogodzić.

— Z czym?

— Z tą przynależnością do dwóch światów.

— Ja nigdy nie miałam wątpliwości.

— I możesz się z tym pogodzić?

— Mogę. Pogodziłam się z tym, jak z garbem, trzeba żyć, ale gdzie chcę żyć, wiem dobrze. To ty się nie możesz pogodzić z moim wrośnięciem w Amerykę. Ty nie umiałeś.

— To znaczy, że nawet nie chcesz tego rozważyć?

— Witold, nie wiem skąd ci to nagle strzeżo do głowy, ale jeśli chcesz odpowiedzi to Ameryka jest moim krajem i krajem moich dzieci. Tu zamierzam żywota dożyć *for better or for worse*. Chcesz, jedź, ja cię nie zatrzymam. *That's all!*

— Nawet za cenę naszego szczę... naszego spokoju w małżeństwie?

Kątem oka zauważył, jak zapaliła papierosa, wiedział, że starała się opanować, ale po tonie jej głosu poznał, że wstrzymuje się, aby nie wybuchnąć. Po co ja jej to proponowałem — denerwował się — trzeba było najpierw rozpatrzyć pierwszą sprawę do końca.

— Widzisz chyba, rozumiesz, że staram się... chcę tylko uratować...

— Są rzeczy, których uratować nie można — powiedziała — albo nie w ten sposób. Często chirurgia jest spóźniona, albo są przypadki w których nie można jej zastosować. Wydawało mi się, że zawsze stawiałam tę sprawę jasno w naszych rozmowach.

— W jakich rozmowach? My nie mamy nigdy dostatnio czasu...

— Nie krzycz — powiedziała — uważaj! Jak będziesz tak prowadził samochód to nie dojedziemy do Kruków. Rozmawialiśmy dziesiątki razy, ale ty nie umiesz słuchać. Powiedziałam ci że cenię mój zawód, jestem niezależna i mam prawo wyboru. Żadne iluzoryczne projekty niczego nie zmieniają. Ani ty się nie zmienisz, ani ja. Mówię ci otwarcie, powiesz znów, że jestem niedelikatna, ale delikatnie tego powiedzieć nie można tak jak nie ma sposobu, żeby komuś powiedzieć delikatnie, że się go nie kocha.

Jan Kruk Czerny, były oficer zawodowy, był już dobrze po pięćdziesiątce. Niewysoki, szeroki w barach, ciężkawy, pociągał

trochę lewą nogą która pogruchotana odłamkiem powyżej kolana nigdy się porządnie nie zrosła i dokuczała mu przy wszystkich zmianach pogody. Miał przystojną, szeroką twarz o grubych, nieporządnym brwiach, piwne, głęboko osadzone oczy, których ciepłe, nieco zmęczone spojrzenie wzbudzało zaufanie i zachęcało do przyjacielskich zwierzeń. Ci, co go znali z partyzantki mówili, że przy gwałtownych wybuchach gniewu oczy Kruka zachodziły krwią i że to emigracja, a i pewnie ciężkie przeżycia po stracie pierwszego dziecka, tak go ułagodziły. Biaława, cienka blizna biegnąca od środka ku kącikowi dolnej wargi, wykrzywiając ją i ściągając ku dołowi, nadawała twarzy Kruka wyraz trochę bolesny, tak, że nawet gdy się śmiał, śmiech jego wydawał się cyniczny, jakby się nieustannie litował nad światem i jego niedoskonałością, a jednocześnie powątpiewał w możliwość poprawy.

Mimo ciężkości, niezgrabnego kuśtykania, zniekształcenia dolnej części twarzy, a może właśnie dlatego, Kruk miał w sobie mocny, wzbudzający sympatię urok, po którym, jak po ostrym zapachu morza, odgaduje się głębię przerażającą i pociągającą zarazem. Z Sanockim poznali się w Londynie na urządzonym przez PKPR kursie tapicerskim, potem przeszli razem na kurs szewski i zakończyli w podziemiach Białego Orła na kursie cukierniczym gdzie pod batutą słynnego Pana Jasia piekli torty polscy oficerowie sztabowi, kilku kapitanów i kilku mniej zaradnych młodszych oficerów.

Kursów tych w praktyce prawie nikt nie wykorzystał, nie wykorzystali ich też ani Kruk ani Sanocki. Kruk po wyemigracji w roku 52-gim do Ameryki dostał się do fabryki produkującej części elektryczne, dochrapał się rangi *forman'a*, lepszej płacy, *overtime'ów* i uznania. Sanocki próbował kasjerstwa w restauracji, malarstwa pokojowego, zarządu małym domem apartamentowym, a wreszcie wylądował w *insurance, real estate* i wysyłał paczek do Polski oraz różnych pobocznie związanych z tym *business'ach*.

Już na kursach tapicerskich, przy wspólnym majstrowaniu tapczanu, Sanocki zbliżył się do Kruka. Było w nim coś ze starszego brata, a nawet rozumiejącego, protegującego ojca, co Witolda spragnionego rodzinnego ciepła, ujęło.

Kruk wiele o sobie nie opowiadał. Słuchał. Nigdy nie nalegał, ani nie pytał, przyjmował to, co Witold chciał mu powiedzieć, a Sanocki mówił początkowo o sprawach codziennych, o przeżyciach za granicą, a stopniowo zaczął się zwierzać. Mówił o swoich ambicjach dziennikarskich i że będzie musiał na pewien czas z nich zrezygnować, opowiadał o ojcu, matce i siostrze i wy-

dawało się czasem Witoldowi, jakby Kruk znał kiedyś naprawdę nieżyjącą już jego rodzinę. I chociaż i otwarcie i sam przed sobą nazywał Kruka przyjacielem, nie zastanawiał się nigdy, jak mało wiedział o jego przeszłości i jak mało obchodziło go kim naprawdę był ten cierpliwie słuchający go człowiek do którego nieraz zwracał się po radę.

Jemu to zwierzył się ze swojej miłości do Hanki, a rozprawiając głośno sam się przekonał, że z nią tylko i teraz właśnie powinien się ożenić. Kruk był świadkiem na jego ślubie, a Alina Krukowa oddała swoje londyńskie mieszkanie na ich ślubne przyjęcie.

Czekał na nich. Już przy skręcie na Forest Drive reflektory uchwyciły jego ciemną, ciężką sylwetkę na tle domu. Kupili ten dom razem z Kruka podkomendnym z partyzantki: Madejem. Prostokątna, żółto malowana kamieniczka stała samotnie na nie ocienionym drzewami wzgórzu. U stóp wzgórza był mały, owalny stawek i biała, drewniana szopa-garaż.

Hanka wyskoczyła pierwsza z samochodu, podeszła do Kruka i wyciągnęła do niego rękę:

— Po co pan tu czeka! No po co? Przecież w taką pogodę można się najłatwiej zaziębić.

— Myślałem już, że coś się stało — powiedział. Pochylił się i pocałował Hankę w rękę. — Bardzo serdecznie dziękuję — szepnął.

— Jak Maciuś? — pytała. — Zaraz do niego pójdziemy, zaraz go zobaczymy...

Wzruszył ramionami. Odwrócił się do Witolda, powiedział:

— Cześć! Przepraszam, że cię...

— Ale — mruknął Witold — nie ma o czym mówić...

Obserwował Hankę: szła szybko i lekko w stronę domu, pod górę. Rozmawiała z Krukiem.

Szedł za nimi, ślizgał się na śniegu, którego cienka warstwa przylgnęła do ścieżki. Widział, jak Kruk starał się dotrzymać kroku Hance. Przystanął nagle, głęboko wciągnął powietrze, zasapał się.

— Ach Boże! — zawołała — przepraszam, ja tak pędzę, a przecież pan z tym swoim sercem powinien iść wolniej pod górę! Zaraz... zaraz — ujęła go pod ramię. — Pójdziemy sobie wolniutko.

Ruch Hanki, miękkie ujęcie Kruka pod rękę, sposób w jaki pochyliła się ku niemu, ton jej głosu uraził Sanockiego.

— No popatrz — odwrócił się Kruk do niego. W świetle padającym z okien zobaczył jego krzywy, smutny uśmiech — popatrz-no, na co mi przyszło!

— Nie mogę wziąć pod rękę mojej sympatii? — roześmiała się Hanka, a śmiech jej Witolda zabolął.

— Ona by do nikogo innego nie przyjechała — powiedział.

— Oho-ho — mruczał Kruk — a cóż to ja się dowiaduję? Jeszcze mnie tu Witold wyzwie na pojedynek!

— Sto razy mówiłam, że pan jest moją sympatią! A on się dopiero dowiaduje!

— Chodźcie już — powiedział Sanocki, minął ich, podszedł do domu i otworzył drzwi sieni. Starał się zapanować nad złością, myślał: co też mi przychodzi do głowy! Przecież ona chce go tylko uspokoić, ale czuł się niewygodnie i jakby w ich dialogu niepotrzebny.

Sień była wąska, bezokienna, na wprost drzwi prowadzące do mieszkania na parterze, na prawo pokryte linoleum schody na pierwsze piętro. Witold wskazał ruchem brody drzwi, które minęli już wchodząc na górę, szepnął:

— Bez zmian?

Kruk westchnął: — No, a co ja na to poradzę?

— Ja mówiłem, ja się tego spodziewałem, to nie ma sensu...

Kruk wzruszył ramionami: — No co ja mogę? Co ja na to poradzę?

— Rozdzielić się — powiedział Sanocki.

— A, może kiedyś pogadamy, chciałbym może ciebie na arbitra.

Alina Krukowa otworzyła drzwi. Wysoka, niemal tak jak mąż, szczupła w pasie, rozłożysta w biodrach, ciemne, siwiejące włosy zaczesane miała gładko z czoła w nieporządnny węzeł na karku. W jej postaci, w spadzistych ramionach, obfitym biuście, dobrotliwym zmrużeniu podłużnych oczu pod szerokimi brwiami, w geście z jakim wyciągnęła do Hanki obie ręce było wiele z tych kobiet o których mówi się czasem: matrona, nie z przymieszką ironii, ale z sympatią graniczącą z szacunkiem, kobiet, których sama obecność stwarza dom, chociażby dom ten był tylko namiotem, albo skleconą prowizorycznie lepianką.

— Jaka ja pani jestem wdzięczna — powiedziała — to dziecko takie chore...

— Tylko nie bec — mruknął Kruk — mamy doktora, zaraz coś poradzi.

Z przewieszoną przez ramię kurtką Hanki i płaszczem Witolda, zapraszał, wprowadzał do *living room*'u, jakby przyszli tu na wieczorne przyjęcie.

— Czego się napijesz? — odwrócił się do Sanockiego.

— Daj spokój — powiedział Witold. Zauważył że w pokoju był nieład, a na stole w jadalni nieuprzątnięte jeszcze naczynia.



— Rano nie czułam się dobrze — mówiła Alina — dałam mi aspirynkę, myślałam, przejdzie, ale w pracy taka byłam niespokojna, uprosiłam jedną „operatorkę” i przywiozła mnie z fabryki do domu, a on taki rozgorączkowany, płacze, mówi: mamusiu, boli mnie głowa. Nie powinnam była pójść do pracy, nie powinnam była zostawiać dziecka samego...

— No już się nie dręcz! — przerwał Kruk, a Sanocki zauważył, jak spojrzął na Alinę i jak mu ona skinieniem głowy odpowiedziała, jakby się obydwójce rozdzieleni meblami na krótką chwilę przytulili do siebie.

— Krysiu! — zawołał. — Czy Maciek wypił trochę soku?

Córka Kruków, starsza od Zdzisi, ale od niej niższa, bardziej krępa i z urody podobna do ojca, weszła do pokoju i uśmiechnęła się do Hanki i Witolda.

— Dawałam mu godzinę temu, to trochę wypił — powiedziała — ale teraz nie chciał...

Alina pogładziła prędko głowę córki, szepnęła:

— Ona tak mi pomaga...

— Siadaj Witek — zapraszał Kruk — pogadamy.

— Idź... idź... ja tu sobie zaczekam. — Widział, jak Hanka odchodziła z Aliną i jak Kruk niespokojnie za nimi spoglądał. — Idź, ja tu sobie poczytam. — Usiadł, podniósł z podłogi gazetę i nałożył okulary. Z kąta pokoju wyskoczył nagle mały, czarny kot i mrużąc wdrapał mu się na kolana. Sanocki uśmiechnął się, podrapał kota za uchem, ale nagle przypomniał sobie, że ile razy proponował Hance, ażeby wzięli do domu kota czy psa, odmawiała. Stracił kota z kolan, wstał i zaczął chodzić po pokoju. Przez otwarte drzwi słyszał ich rozmowę z sypialni.

— Ile on ma teraz lat, pani Lilko? — pytała Hanka.

— Skończył dziesięć.

Maciuś leżał w sypialni rodziców na ich szerokim łóżku. Spał. Był to jednak sen płytki, niespokojny i Hanka pochylając się nad dzieckiem wyczuła natychmiast, zanim jeszcze zbadała puls, bardzo wysoką gorączkę.

— Chciałabym zobaczyć gardło — powiedziała.

— Jan — szepnęła Alina, patrzyła niespokojnie to na dziecko, to na Hankę — przysuń nam lampę.

— Czy można by Macusia unieść trochę wyżej na poduszkach? Synku, synku, otwórz buzię.

Sanocki słyszał przez otwarte drzwi głos żony i znów ogarnęły go skrupuły, że może jednak sądzi ją zbyt surowo. Ale ona jest zupełnie inna dla ludzi — myślał. — A więc dlaczego zachowuje się tak oschle w stosunku do mnie? Bo jej nie znają —

powiadał sam sobie. — To jest wszystko jej zawodowa *performance*.

— Już pani pomagam — mówił Kruk. — Oprzyj się o mnie synu. Czy ma pani dość światła?

Mam latarkę, panie Janie, dziękuję, o tak jest dobrze.

Witold powstrzymując się, zawracając zdecydował się jednak podejść do otwartych drzwi sypialni.

— Może ja coś mógłbym pomóc? — spytał. Nikt mu jednak nie odpowiedział.

— Pani Hanko... moja droga — szeptała Krukowa — ja się tak boję czy to czasem nie dyfteryt?

— Ale chyba był szczepiony na dyfteryt?

— Był, był, naturalnie!

— Nie... to jest angina.

Maciuś uniósł powieki i spojrzał półprzymkniętym, jego pucołowate policzki były rozpalone.

— Otwórz jeszcze buzię, Maciusiu — mówiła Hanka. Przyświecała sobie latarką i badała gardło chłopca, mówiła:

Obrzęknięte, duże migdały, punkcikowate, białe naloty na obu migdałkach. No już, niech go pan położy. To angina daje taką wysoką gorączkę. Niech się państwo nie martwią. Zaraz zbada-my serduszko i płuca i zaraz coś na tę gorączkę poradzimy.

— Kysiu — powiedziała — zmocz ręcznik w letniej wodzie, dobrze go wyciśnij i przynieś tu. — Wyciągnęła z torby strzykawkę.

— Czy Maciuś jest uczulony na penicylinę? Nie? Nic państwu doktor nie mówił? Dawał mu kiedyś penicylinę?

— Kysiu — zawołała Alina — czy Maciuś wtedy w zeszłym roku dostał penicylinę?

— Tak — powiedziała Kysia — ja pamiętam, wtedy miał też takie chore migdały. Co z tym zrobić, proszę pani? — podała Hance ręcznik.

— Trzeba go będzie przecierać, całe ciało, przecierając obniżymy trochę gorączkę.

— A widzisz — powiedział Kruk.

Hanka pochyliła się nad dzieckiem:

— Maciusiu — powiedziała wolno — teraz ci zrobię zastrzyk. Nic nie będzie bolało.

Chłopiec otworzył oczy i jęknął.

Ja potrzynam, pani Hanko — powiedział Kruk. Ale Hanka już odrzuciła koc, przekręciła chłopca na bok i szybkim, lekkim ruchem wbiła i wyciągnęła igłę.

— Daj ręcznik Kysiu, widzisz, tak go trzeba będzie prze-

cierać i nie odkrywać za bardzo. Pani Lilko, świeże prześcieradło.

Kruk podszedł do Witolda i dotknął jego ramienia, szepnął:

— Naprawdę nie wiem, jak się mam wam odwdzięczyć...

Przeszli do pokoju i zapalili papierosy. Z sypialni dochodził do nich przyciszony, spokojny głos Hanki.

— Masz dzielną żonę — powiedział Kruk.

— Dla innych.

— A ty byś chciał, żeby tylko dla ciebie.

— Ty nic nie rozumiesz, Kruk.

— Hm... może i rozumiem.

— W domu jest piekło, dziś znów awantura, ją nic nie obchodzi...

— Poczekaj, zamknę drzwi.

— ... nic ją nie obchodzi tylko jej zawód. Żeby się chociaż zainteresowała domem...

— i tobą...

— Dlaczego się tak na mnie patrzysz? Czy ja nie mogę wymagać, czy ja nie mam prawa spodziewać się, żeby moja żona...

— O widzisz!

— Co?

— Mówisz: prawo, masz prawo, spodziewasz się. Spytaj się samego siebie dlaczego ona...

— Mnie się zdaje, że jest ktoś inny.

— To jest najłatwiejsze wytłumaczenie.

— Proponowałem jej, żeby przerwała pracę.

— Nierozsądne.

— Mówiłem, żebyśmy może wrócili.

— Do Polski?

— No a co?

— Ty?

— Wydawało mi się...

— Witold... Witold...

— No to co byś zrobił na moim miejscu?

— Czy ja wiem? Przystosować się.

— A... ty jej nie znasz. Ty myślisz, Hanka jest tak, jak pani Lilka.

— Nie, nie.

— To nie jest życie. To jest udręka.

— *Try to make the best of it.*

— Łatwo ci radzić, ja się z Hanką nie mogę zrozumieć.

— No to się rozejść.

— Co ja ci będę głowę zwracał... Ja mam o tym swoje zdanie... ja mam pewne... podejrzenia...

— Mnie się zdaje, że ty patrzysz w nie właściwym... przepraszam cię... Lilka idzie.

Hanka Sanocka myła ręce. Łazienka Kruków była niewielka, a olejna farba na ścianach łuszczyła się w wielu miejscach, jakby dotknięta liszajem. Plastikowa zasłona prysznicu była naddarta i zmięta. Różowe ściany łazienki nacierały na Hankę, wydawało jej się, jakby wszystko nagle zaczęło się wokół niej zacieśniać i po raz pierwszy uczuła niezrozumiałą, wzrastającą w niej chęć ucieczki.

— *I will crack... I will crack* — szeptano, nie czuła zimnego strumienia wody na rękach. Dotknęła mokrymi rękami twarzy. — *I cannot stand him... I will go crazy...* Albo on sobie pójdzie, albo ja...

Myślała: przemknąć się korytarzem, zbiec na dół do samochodu, miała zapasową parę kluczy... uciekać...

— Oszalałam — powiedziała półgłosem. Wytarła ręce, przejrzała się w lusterko, wyszła do przedpokoju. Poczowała zapach świeżo parzonej kawy. Weszła do *living room*'u, powiedziała:

— Gorączka powinna spaść nad ranem, niech go pani od czasu do czasu przeciera i aspirynę co cztery godziny.

— Tak... tak... — powtarzała Alina — mój Boże, jaka pani zmęczona, kawy, zaraz nalewam.

Witold podniósł się: — Powinniśmy już jechać.

— Napiję się kawy — powiedziała Hanka — napiję się bardzo chętnie kawy.

Witold spojrział na zegarek.

— Zostaw — mruknął Kruk — dziesięć minut cię nie zbawi. — Pani Hanko, kieliszek brandy?

— Proszę.

Krukowa postawiła filiżanki na stoliku. Poprawiła włosy na karku.

— Myśmy chcieli państwa prosić do siebie, na Nowy Rok na obiad. Dobrze? — Podała Hance kawę.

— Nie wiem... — Podniosła do ust kieliszek z brandy, wypiła. Oparła głowę o fotel.

— Bardzo prosimy, naturalnie razem z panią Zofią.

— Co my pani jesteśmy winni, pani Hanko? — Kruk sięgnął do kieszeni po portfel.

— Cóż znowu — uśmiechnęła się.

— Przecież lekarzowi musielibyśmy zapłacić, naprawdę, pani Hanko, ile?

— Drugi kieliszek brandy! — powiedziała — i ani słowa więcej!

— Stanowczo niech państwo przyjdą, prosimy — powie-

działa Alina — panie Witoldzie! — Taki polski obiad. Zbierze się trochę ludzi. Będzie Stefański, zagra na harmonii, chcemy zaprosić jednego Polaka co dopiero z Argentyny i tak się tu samotnie... ach i będziemy tu mieli jedną stypendystkę z Polski. Może pani Hanka ją zna?

— Jak się nazywa? — spytała. Brandy rozgrzewała ją, rozluźniała niedawne *tension*.

— Zaraz... Joasia...

— Doktor Janiakowa — powiedział Kruk — biochemik, jej mąż też tu był. Może pani ją spotkała?

— To ja wam dołożę jeszcze jednego gościa — powiedziała Hanka.

Witold spojrział na nią, widział, jak się zaczerwieniła. Szarpnął nim głęboki, krótki kurcz, odpowiedź na dotknięcie ostrza.

— Nie znam tej pani — powiedziała — ale znam innego stypendystę.

— Z przyjemnością — powiedziała Alina — nasz dom zawsze otwarty. Jan, zanotuj nazwisko...

— Ja mu sama powiem, pracuje w Perceval Norris, jeżeli państwo...

— Naturalnie — powiedział Kruk — jak się nazywa?

Sanocki włożył okulary, spojrział znów na zegarek.

— To już prawie północ.

— Nazywa się Adam Ketler — powiedziała Hanka.

## Rozdział V

### SYSTEM DOKTORA KETLERA

Doktor Ketler pracował. W prawym ręku ołówek, obok notes, kalendarz, lewa ręka niecierpliwa i mocno owłosiona przesuwała stronicę książki telefonicznej. Jest godzina szósta po południu, czas w którym doktor pozwala sobie na oderwanie się od zajęć laboratoryjnych w szpitalu i czas przeznaczony na jego osobiste *research*.

Po skrupulatnych rozważaniach doktor Ketler zdecydował, że tylko tą drogą naukową zdobędzie pożądane rezultaty. Jego zdyscyplinowany umysł pracował logicznie. W przechadzkach pomiędzy szpitalem Perceval Norris i skamieniałym na Monumentem Waszyngtonem rozważał:

Cóż to jest *research*? Jest to zbieranie faktów, odpowiednich danych mających, lub powinny mieć zastosowanie w opracowywaniu zagadnienia. A coż jest celem, zadaniem *research*? Jest nim znalezienie odpowiedzi na ważne pytania poprzez zastosowanie metod naukowych. A dalej! Decyzja czy owo pytanie powinno i może być poddane badaniu poprzez metody naukowe jest już pierwszym krokiem w rozpoczęciu procesu *research*. Decyzja moja jest powzięta, zacznijmy więc badania. Zacznijmy od P. Materiałem ku któremu powinienem się zwrócić jest w tym wypadku książka telefoniczna. A więc:

*Polish Home*

*Polish Radio Program...*

*Polish Army Veterans*

Doktor Ketler zanotował sobie adresy i telefony w notesie, ale stwierdził, że są one jednak zbyt bezosobowe i nie przyniosą

mu szybko pożądaných rezultatów, ani też nie rozwiążą jego problemu.

Sformułujmy najpierw problem — powstrzymywał się. — Bez egzaltacji! Gdybym nie szedł krok za krokiem w badaniach *Treponema Pallidum* nie byłbym dziś w Ameryce. Problemem moim jest tak wygospodarować otrzymany sumą stypendium, abym pod koniec pobytu mego w Stanach dysponował wystarczającą kwotą na kupno samochodu.

Tu mniej naukowe, ale niemniej ważne, ukryte w podświadomości instynkty doktora zaczynały pokrzykiwać: Problemem moim jest: *primo*: brak pieniędzy, *secundo*: cholerny, polski niedosyt, *tertio*: słuszne apetyty człowieka nowoczesnego i rzeczywistość, że jestem obywatelem, że urodziłem się...

Ale Adam Ketler był człowiekiem silnym i potrafił rozpraszające mu myśli pokrzyki instynktów zepchnąć na odpowiednie miejsce.

Zanalizujmy obecną sytuację: Otrzymuję 300 dolarów miesięcznie. Przy ścisnięciu się do minimum samochód kupię łatwo. Mogę się zdecydować na markę francuską, zamówić samochód we Francji, albo też przeprowadzić transakcję poprzez Konsulat Sowiecki gdybym wybrał samochód produkcji radzieckiej. To zresztą osobne badania. Moim minimum egzystencji jest: mieszkanie, jedzenie, przejazdy, znaczki pocztowe. Teraz wyeliminujmy wydatki, które muszą pokryć sam.

Doktor spojrzenie triumfujące, jak lasso cowboyskie szybkie, zdobywcze zarzucił na pokój. Mieszkanko: pierwsza klasa! Tanio, ciepło, wygodnie, gorąca woda na zawołanie, a nie jak u mnie w Kraju trzy razy w tygodniu i to na kilka godzin tylko. Zgodnie z hasłami kalendarzyka Orbisu: Spełnione Marzenia — Urlop Bez Kłopotów. Udało mi się.

Wstał, przeciągnął się, a nieskrępowany ludzkimi, oceniającymi spojrzeniami podrapał się solidnie i z prawdziwą satysfakcją po owłosionej piersi. Był bez krawata, w rozpiętej koszuli i w domowym negliżu wyglądał dużo młodziej niż w ulicznym uniformie czarnego, obcisłego beretu i deszczowca z paskiem o zdecydowanie wschodnio-europejskim kroju. Apartamencik był nowoczesnym sześcianem, stolik pod oknem, tapczan pod ścianą, fotel kryty grubym, zielonym plastykiem z gdzieś powypalanymi papierosem krążkami niby początki *Impedigo* na zdrowej do niedawna skórze. Zamknięte drzwi na korytarz, uchylone drzwi do małej łazienki. Okno. W ramach okna stał wczesny, siwy grudek, po jego skurczonych ramionach spływały strugi reklam z pobliskiego *Shopping Center*, nad jego głową ciała niebieskie blade wobec natarczywości przelatujących *jet'ów*. Doktor

podszedł do okna, spojrzął na niebo, które natychmiast przybrało kształt okrągły czarnego pola mikroskopowego, wszystkie gwiazdy stały się srebrzystymi spiralami *Treponema Pallidum*, a księżyc jednym, wielkim pęcherzykiem powietrza, który nie wiadomo dlaczego dostał się pod szkiełko.

— O, do diabła — przypomniał sobie doktor — muszę jeszcze wskoczyć do laboratorium i zobaczyć jak zachowują się moje świnki morskie, bo przecież na siódmą mam być u tych Gnutowiczów na pierożkach.

Z tym mieszkaniem doktor Ketler miał szczęście. Pokój z łazienką, a właściwie z prysznicem w nowoczesnym budynku dla studentów cudzoziemskich, blisko szpitala, luksus, niedrogo. Ale ilu to kandydatów czyha na takie pokoje! Ze wszystkich stron świata stypendyści walą do Ameryki na opierzenie się i naukę. Nie każdy jest doktorem Ketlerem znającym swój *charme* i umiejącym go odpowiednio używać. Sekretarka, od której zależał przydział apartamentu skapitulowała wobec porównania jej z Kim Nowak, czułe, ciepłe spojrzenie doktora przypieczętowało transakcję.

Znaczkami pocztowe. W tym nie mogą się zbyt ograniczać, utrzymywanie i nawiązywanie kontaktów jest sprawą niezmiernej wagi.

Wydatki na przejazdy. Tego nie da się uniknąć. Chociaż można by nieraz skorzystać z prywatnego samochodu. Trzeba być czasem zwyczajnie beczelnym. Bo czy to nie rozbój na równej drodze? Jezdnia pęka od samochodów, a w każdym tylko jeden pasażer za kierownicą! Z założonymi w tył ramionami, głową w dymach *research*, doktor Ketler przemierzał pokój długimi, pomagającymi w myśleniu krokami, pchnął drzwi do łazienki i... wylądował jedną nogą w garneczku z kurzym rosołem. Łazienkę bowiem zorganizował sobie doktor jako rodzaj podręcznej spizarni i polowej kuchenki. Pod umywalką — tekturowe pudło z napisem „Ajax”, *Cleans... Bleaches... Kills...* — a w nim: chleb, puszki Ravioli, sardynki, sól, zwiotczała marchew (do rosołu) i wszędobylski cukier, który jak stado białych mrówek wywędrował z pękniętej torby. Obok ten garneczek, ten przekłety garneczek z wczorajszym rosołem na kurzych nóżkach i kurzej wątróbce.

— Jasna cholera! Dobre sześćdziesiąt centów na podłódze i na bucie. Chciał kopnąć garneczek, powstrzymał się, przykrył papierem i postawił w drugim rogu, przy prysznicu. Szybкими, sprawnymi ruchami ścierał ręcznikiem rosół z buta i z podłogi.

Otóż to! To jest właśnie sedno zagadnienia. Jedzenie. Nie mogę przecież, co tam nie mogę, nie chcę, żyć podczas całego



tu pobytu na wywarze z kurzych kończyn. Umył ręce, przetarł je wodą kolońską, wszedł do pokoju. Zapalił papierosa.

Moją naukową metodą, którą już zacząłem wprowadzać w życie, jest zbieranie informacji, odpowiednich danych o ludziach, którzy nie tylko zaproszą mnie na obiad czy kolację, na dobrą kolację, ale którzy zaproszą mnie z otwartymi ramionami. Nie ma w tym nic niemoralnego. Wymiana świadczeń. Ja — atrakcja w ich domu, przerwa monotonii ich życia, rozrywka kulturowo-intelektualno-towarzyska. Oni — kolacyjka, bagatelka, jeszcze jedno nakrycie przy stole. Kto? Jacy ludzie? No a chociażby tacy, jak Sanoccy, jak dziś — Gnatowiczowie. Cały wachlarz z którego będzie można wybierać, będzie można przeplatać, planować na tydzień, dwa tygodnie naprzód. Tylko nie należy siedzieć z założonymi rękoma, a szukać, działać. Dzień bez odkrycia nowego adresu — to dzień stracony. Dziś też muszę jeszcze zatelefonować. Telefonować, pytać, rozmawiać. Jeśli chcemy wiedzieć co ludzie myślą, jak czują, co przeżywają, jakie są ich emocje, jakie motywy działania — dlaczego nie pytamy ich? Krótkie, a dogłębne wywiadziki o kulturowym zabarwieniu, wspólny punkt wyjścia — wspólne pochodzenie, atak cichaczem na emigrancką dolę, aż ściśnięta za gardło jęknie nostalgią. A jeśli nostalgii już nie ma — będzie sympatia, jeśli nie sympatia — pozostaje zawsze ciekawość. Na przykład tacy Gnatowiczowie! Dotarłem do nich przez:

*Glover*

*Głowa*

*Gmurek*

Odrzuciłem. Gnatowicz? Gnatowicz Jan? Poszło łatwo.

— Czy to pan Jan Gnatowicz?

— Taaak! A kto to mówi?

— Doktor Ketler. Przepraszam, może to pomyłka, ale...

— Nie, nie, tu Gnatowicz, słucham?

— Szukam kuzynów znajomej mojej z Polski...

— Gnatowiczów ze Szczecina? Co pan doktor powie? Oni dawniej byli w Przemyślu, ale po wojnie...

— Nie, nie ci z Krakowa. Zgadza się?

— Możliwe, no coś takiego.

— Widziałem się z nimi dwa miesiące temu, ale może to...

— Zaraz, zaraz... a co pan doktor tutaj? Dwa miesiące temu...? Marysiu, Marysiu! Sekundę panie doktorze...

— Nic nie szkodzi, przepraszam...

— A pan doktor przejazdem?

— Na kilka miesięcy.

— Bo my tu na stałe.

— Już zadomowieni.  
 — No, niby tak. Człowiek może się do wszystkiego... A pan doktor gdzie?  
 — W Perceval Norris.  
 — Aaaaa... No to prosimy kiedyś do nas. Zaraz, żona wrywa słuchawkę, chce mówić. Dobry wieczór paaanu...  
 — Rączki pani całuje.  
 — Co pan tu tak sam siedzi?  
 — Hm, co zrobić...  
 — Pierožki mam dzisiaj. Niech pan przyjeżdża, no? Dobre pierogi. Tu pan takich nie dostanie.  
 — Dziękuję, ślicznie dziękuję, ja jestem pies na pierožki. Z rozkoszą.

Piętnaście po szóstej — stwierdził doktor — jeden telefonik, na minutę do laboratorium i na... pierožki.

Usiadł przy stoliku, otworzył książkę telefoniczną.

*Kojder*

*Kokes*

*Kokoszka*, Kokoszka? Jedźmy dalej.

*Kokta*

*Kulikowski*... Ooo! Kulikowski Adam? Mój imiennik. Walaj go!

Nakręcił numer telefonu, zapalił papierosa, ostatni papieros, trzeba będzie kupić paczkę w kafeterii szpitalnej, nie wliczyłem papierosów, ale to już trudno. Przed pójściem na pierožki kupię papierosy. Oparł się o krzesło. Kulikowski... Kulikowski...? Nie byłem ja czasem w wojsku z jakimś Kulikowskim? Kulikowski czy Królikowski, jeden diabeł. Mógł wyemigrować, poszukiwania kolegi. Długo nikt nie podchodził do telefonu i wreszcie:

— Ełllloo?

— Czy to pan Adam Kulikowski?

— Aaaaa?

— Kulikowski ? powtórzył doktor Ketler, entuzjazm jego osłabł nieco.

— Wymufowały się na szore. Poczekajta...

Doktor czekał. Dziesięć centów telefon. Nie można rezygnować od razu. Co on takiego powiedział? *Wymufowały*? W słuchawce nawoływania, rozmowy, głos wrócił:

— A czygu?

— Nic — mruknął doktor.

— Aaaa? Un robi tera. Na dzobie jes, a una musi na szorze. Un tam du ni jedździ. A bu co?

— Nic — doktor Ketler odłożył słuchawkę.

Zgniółł papierosa w popielniczce. Choleera, o, jasna cholera... Upokarzam się. Upokarzam? Nie! Nie wiedzą nawet kto telefonował. W każdym *research* zdarzają się błędy i pomyłki. Powiniennem się liczyć tylko z pewnym procentem osiągnięć pozytywnych. Trudno. Jeśli chcę poprawić sobie standart życia, być niezależnym od transportu publicznego, mieć nareszcie ten samochód. Jest to najinteligentniejsza i najuczciwsza droga. Niech ją cholera weźmie! Standart życia? A co ja mam z tego życia? Jakie perspektywy? Wdrapywanie się, wdrapywanie się bez końca, aż mnie diabli wezmą. Cały ten wysiłek nie ma sensu, po co, dla kogo? Nie mogę się poddawać, nie mogę pozwolić, aby jeden telefon wyrzącał mnie z równowagi. Taka Gnatowiczowa-pierożczycha była uprzejma i sympatyczna. Może przyszyje mi guziki do płaszczka? Wiszą na ostatniej nitce. Trzeba teraz zobaczyć jak czują się moje świnki morskie w laboratorium.

Zawiązał krawat, włożył marynarkę, wziął płaszcz i beret, wyszedł na korytarz. Nacisnął guzik windy. Duszne, suche ciepło korytarza drażniło mu gardło. Pocił się, był zły. Ale gdy zawodziło jedno *research*, drugie, to bardziej realne i dla którego tu przyjechał natychmiast opadało go nie pozwalając myślom skierować się w inną stronę. To była jego samoobrona: zaprzątnięcie rzeczami konkretnymi.

Krwi z serca świnek użyję jako *complement*. Wiemy, że *complement* jest to składnik niezbędny obok amboceptora i antygeny do przeprowadzenia testu serologicznego. Gdyby udało mi się wyeliminować *complement*... Dlaczego ta winda nie zjeżdża? Kto ją, u diabła, tam zatrzymuje? Pierożki stwardnieją na kamień. W brzuchu mi burczy z głodu. Już po wpół do siódmej. Przedtem laboratorium... okiem rzucę... wyeliminowując *complement*, skrócę... wybitne doświadczenie polskiego uczonego doktora... docenta... profesora? Katedry opróżniają się, swykły proces wykańczania się starszych, należy tylko w odpowiedniej chwili, przy należytych poparciu wskoczyć. Ta winda, u diabła!

Winda zatrzymała się, w jej pudle oświetlonym twarz Hindusa i zęby... jak Himalaje i *Good evening, doctor Ketler*.

— A, *good evening, good evening doctor*... jak on się nazywa...?

— ... Tellas-Nejak — Hindus kłania się, uśmiech przed nim wybaczący, pobłażliwy.

— Doktor Tellas-Nejak, oczywiście, *how are you?*

— *Very well, thank you*. Piękna noc doktorze Ketler.

— Piękna noc — doktor rozkłada ręce — ale cóż, praca...

— Do szpitala?

— Do szpitala. — Sięga ręką do kieszeni po papierosa. Ku-

pię w kafeterii szpitalnej... co to znaczy wymufowały? Nie ma co o tym myśleć. A jednak dlaczego muszę przechodzić przez te upokorzenia? Co chceta? Z błota jeszcze nieoskrobany. Co chceta? No! Chcę samochód! Samochód...

— Ale na *week-end* zapowiadają śnieg.

— *Excuse me?*

— Śnieg.

— O! Co tam śnieg! Mamy tyle śniegu, zawsze dużo śniegu — doktor chichocze uprzejmie.

— *You are from Europe.*

— *Poland* — stara się tłumaczyć, że w Polsce śnieg nikogo nie przeraża, mamy inne kłopoty, brakuje mu słów, uśmiecha się. Uśmiechają się do siebie. Co taki sobie myśli, co jest prawdziwym celem jego przyjazdu? *Research?* I może drugie maleńkie, prywatne *research* na boku?

Włosy Hindusa lśnią czarną polewą. Nic się nie dowiesz, nie próbuj. Dochodzą razem do rozsuwających się drzwi windy. Hindus i doktor ceregielują się w drzwiach, Hindus przepuszcza doktora. Ukłon, uśmiech, ukłon. Już są przy obrotowych drzwiach wyjścia z budynku.

— Pan na kolację doktorze...

— Tellas-Nejak.

— *Sorry.*

— Nic nie szkodzi. Tak, idę na kolację do znajomych. A pan, doktorze Ketler, do laboratorium. Taka dyscyplina pracy, podziwiam.

Doktor unosi ramiona w górę gestem uczonego, który nie widzi nic poza mikroskopem. W brzuchu mu burczy. Na lewym bucie lśni jeszcze kropla kurzego rosołu.

— *Good night* doctor Tellas... — zapomina natychmiast nazwiska. Podbiega wieczorny chłód i wiatr znad zatoki szumi w deszczowcu *Made in Poland*. Na niebie spirale krętków, księżyc przecięty jaskółczym skrzydłem chmury — nie istnieje. Do laboratorium i... na pierożki.

Doktor przebiega jezdnię. Obrotowe drzwi szpitala wyrzucają go do hallu. Szpital żyje osobno, niezależnie od pór roku, godzin dnia i nocy. Ten młody chłopak — to rezydent, wydreńczony 48-godzinnym dyżurem słania się na nogach wracając do domu. Pielęgniarki falują leniwie biodrami, doktor mija je, *Excuse me, please.*

Ten Hindus, spryciarz, poleciał do znajomych na kolację. Metodę jednak można ulepszyć. Książka telefoniczna nie jest jedynym źródłem, chociaż trzeba przyznać, jest źródłem nieocinionym. Ilu to ludzi sięga po takie książki telefoniczne, rzuca

się w tłum imion, nazwisk, adresów w najprzeróżniejszych celach, intymnych i wstydlivych, jak pobyt sam z sobą poza zamkniętymi drzwiami łazienki. A na zewnątrz ani mru... mru... do innych, ani słowa, a ci inni też się kryją i tak się bawimy w ciu-ciu babkę. Trzeba by również zajrzeć do gazet... widziałem taką gazetę polonijną, w sklepie z dewocjonaliami na ulicy Szerokiej. Brodway? Podobno taki Brodway jest w każdym mieście i zawsze go Polonia obsiada. Winda szpitalna czekała, przestronna, jak Łódź, zamknęła się za doktorem bezszelestnie, odpływał w górę, w ręku klucz do laboratorium. Wyszedł, szybko, szybko, nie zdjął płaszcza, beret w kieszeni, cisza w tej części szpitala obsiadła, jak kurz, po obu stronach korytarza drzwi zamknięte, ciemno. Otworzył swoją pracownię, zapalił światło. Probówki. Podniósł jedną, drugą, wstrząsnął, spojrzął pod światło, przeszedł do drugiego pokoju gdzie trzymał klatki ze zwierzętami doświadczalnymi, zwykle zwierzęta trzymano w piwnicy, tam, gdzie piec krematoryjny, ale te przeznaczone były na jutrzejszą sekcję.

Białe królik łypnął przerażonymi, czerwonymi ślepiami, świnki morskie studiły się w kącie klatki, białe szczury rzucały się niespokojnie, tylko jeden, w osobnej klatce, chory, poruszył się leniwie i przewrócił na bok.

... w takich gazetach polonijnych można w rubryce „Wiadomości z Monumental City” znaleźć nazwiska ludzi czynnych społecznie, można zatelefonować do korespondentki, z tego, jak napisała, sprawozdania z obchodu (oni tu stale z tym jedenastym listopada), wydaje się... Jutro zastrzyknę organizmy do jąder i krocza królika, zrobimy sekcję szczura... to już za dwadzieścia siódma! Czas leci! Pierożczycha poczeka... ze słoninką i cebulką... kto wie to może być nawet babka do rzeczy, w pewnym wieku, to już jej chłopaki nie podrywają. Zamknął drzwi laboratorium, wszedł do łazienki. Lustro. Skłonił się: Rączki całuje. Przeciągnął ręką po sinawych od zarostu policzkach, siwe skronie, dotknął je koniuszkami palców pieszczotliwie, przycesał włosy. Uśmiech brunatny i ciepły, tym uśmiechem powita Gnatowiczów: Jak tu miło u państwa. Ich twarze staną się lustrami, zasiądzie przy stole, wygodnie oprze się o krzesło. Nie! Najpierw do kuchni. Wychylając się zza ramienia pierożczychy będzie podziwiał. Kuchnia węglowa, elektryczna, gazowa pozostaje zawsze ogniskiem — zbliża, uprzedzenia, niechęci, niedowierzania, podejrzenia topnieją, ciepło ogarnia mężczyznę i kobietę. Czują się, jak u siebie w domu. 'W domu' czuł się tylko u innych. Wanda pisała: wyjeżdżam z wycieczką do Jugosławii, na kurację. Ech... Sięgnął ręką do kieszeni płaszcza. Papierosy!

Korytarz. Winda. Na piątym piętrze pielęgniarka i sanita-

riusz wciągnęli nosze z chorym. Na zapadłych policzkach chorego siwa szpecina. Doktor usunął się w kąt windy. Oczy człowieka odszukały go. Ciemne, zrezygnowane spojrzenie, światło przygasało w nim. Odwrócił głowę. Tu i tam to samo. Nie ma linii granicznych, jest tylko jedna dla wszystkich granica życia i śmierci. Wynieśli go na trzecim piętrze. Potem winda zatrzymała się na drugim, na pierwszym, jak dziesiątki lat. Ile? Dwadzieścia? Trzydzieści? Winda uderzyła o beton *basement*'u. Potem — koniec. Twarde uderzenie o dno. Wszystko bez sensu. O co mi chodzi? Siódma, trzeba prędko papierosy i do Gnatowiczów.

Przeszedł korytarzem do kafeterii. Pusto, tylko kilka osób piło kawę przy stolikach. Wrzucił pieniądze do automatu, wyjął paczkę papierosów, spojrzął na ścienny zegar. Siódma, już siódma.

Tuż przy zegarze, plecami zwrócona ku niemu siedziała kobieta w białym, szpitalnym uniformie. Zawahał się, spojrzął jeszcze raz. Z kieszeni zakietu zwiisał stetoskop. Wstrząsnął nim dreszcz tak nagły, że aż stracił oddech. I po tym ją poznał, po tym i po włosach i pochyleniu głowy. Szedł do niej między rzędami stolików nie dowierzając jeszcze. Przystanął tuż za jej plecami. Nie odwróciła się, nie podniosła nawet głowy.

— Rączki pani doktor całuję.

Drgnęła, spojrziała na niego. Wydawało mu się, że go nie poznaje. Jej twarz była wydłużona, blada, nie ta sama, którą pamiętał. Dolna warga obwisła.

— Byłem u państwa na kolacji, nocowałem... Adam Ketler. Starła się uśmiechnąć, skrzywiła się, poprawiła opadające na policzek włosy.

— Tak... pamiętam, naturalnie, dobry wieczór panu.

Jej głos był taki sam jakim go zapamiętał: niski, gardłowy zamglony tym delikatnym, cudzoziemskim akcentem, który go odróżniał od innych, ale nie zniekształcał.

Usiadł na wprost niej. Nie odzywała się, wydawało mu się, że przestała go zauważać. Chciał podnieść się natychmiast i odejść. Nie mógł.

— Chciałem tylko... — powiedział.

W opartej o stolik dłoni dostrzegł delikatne, drobne drżenia. Ścisnęła ją w pięść, uciekła przed jego wzrokiem.

— Czy pani nie jest czasem chora?

Pokręciła głową. Pomiędzy nimi ścienny zegar galopował. Minuty podrywały z doktora: po siódmej, już po siódmej.

— Ja pani nie będę przeszkadzał.

— Nie — wyciągnęła rękę — niech pan zostanie.

Ktoś roześmiał się głośno. W drugim końcu sali trzasnęły drzwi. Zegar, jak wielki owad zakłęty w kroplę kryształu —

znieruchomił. Doktor Ketler ujął wyciągniętą rękę, badał puls. Uświadomił sobie, że od chwili, gdy ją zobaczył nie przestał myśleć o niej. To spotkanie nie było przypadkiem. Gdyby nie spotkał jej dziś wieczór, odszukałby ją za tydzień, gdyby jej nie odszukał — zatelefonowałby. Odkładał z dnia na dzień. Dlaczego? — myślał. — Czyż bym się bał? Myślał: co jej jest? Co jej się stało? Nie dowierzał: Siedzę tu i patrzę na nią, trzymam jej rękę.

— To nie gorączka — powiedziała.

— A więc co? — pochylił się ku niej. — Co się stało?

Otworzyła usta i zamknęła, zagryzła dolną wargę, jakby starała się powstrzymać płacz.

— Pani Hanko, na miłość boską, co ja mogę... co można pani?

— Nic.

— Ale przecież ja widzę, że coś się stało. Pani jest zupełnie zmieniona.

— Zmęczona.

— To nie tylko to. Nie chce mi pani powiedzieć. Rozumiem, nie ma pani do mnie zaufania.

Sięgnęła do kieszeni żakietu, wyjęła skórzaną papierośnicę. Patrzył na jej palce, drżały trzymając papieros. Pochyliła się nad płomieniem zapalniczki. Powiedziała:

— To nie jest kwestia zaufania, tylko po co mam pana wciągać we własne zdenerwowanie.

— Mamy te same doświadczenia, reagujemy nieraz bardzo podobnie...

— Ja czasem reaguję za silnie...

Położyła lewą dłoń na stoliku, otwierała ją i zamykała, przyglądała się ruchom swoich palców, powiedziała nie patrząc na niego:

— Umarła mi pacjentka.

— Kiedy?

— Dziś o piątej, przed końcem dyżuru.

Chciał powiedzieć: Tak nie wolno, powinna się pani oszczędzać, należy się wyłączać, odsuwać to od siebie. Zapytał:

— Co to było?

Spojrzała na niego, podsunął jej papierosy, zaciągnęła się dymem, powiedziała:

— Pęknięcie z krwotokiem wewnętrznym, to była atonia macicy.

— Wielowodzie?

— Tak. Bliźniaki. Dzieci w porządku.

— Oparł się o stół, zamyślił, napotkał jej wyczekujący wzrok.

— No dobrze — powiedział — a nie stwierdziliście ciasnej miednicy?

— Tak — powiedziała — ale jej lekarz prywatny wyjechał na kilka dni i przywieźli ją prawie w ostatniej chwili. Moja wina, że nie sprawdziłam, że nie byłam z nią bez przerwy, bo pielęgnarka...

Popiół spadał jej po palcach na posadzkę, ożywiła się, szybkim ruchem odrzuciła głowę ku tyłowi.

...zawołała mnie, jak było już za późno, nie spostrzegła krwotoku, ja nie powinnam była...

— Niech pani siebie nie obwinia, nie wolno tracić zaufania do siebie...

— ...jest taki młody lekarz i one wszystkie są nieprzytomne, nie można się ich dowołać. Wzięliśmy pacjentkę zaraz na porodówkę, ale to już było i tak za późno. W niecałe dwie godziny po porodzie stwierdziliśmy krwotok. Nie wiadomo, jak długo już krwawiła. Myślę... tak siedzę tu i myślę...

Wysłuchiwał się z uprzejmą troską w każde słowo, kiwał głową, powtarzał: tak... tak... rozumiem... Dopytywał: A czy nie zauważyliście?... Czy nie stwierdziła pani?... Uspakajał: To było do przewidzenia... w tych warunkach trudno było inaczej postąpić...

Jej twarz do niedawna zwiędła, blada, unosiła się, rozwijała, rozkwitała w jego wzroku. Zwracała się do niego, wciągała go w krąg swego świata, obejmowała go słowami. To tylko było ważne.

— ...siedzę tu i myślę... myślę, że... — znieruchomiła nagle, oparła policzek na rękę, patrzyła poprzez niego w puste stoliki kafeterii.

— Ja wiem — powiedział — te myśli męczące, dręczące, że nic już się pani nie uda...

Skinęła głową. Pochylił się. Zapamiętany z pierwszego ich spotkania, jak motyw melodii, którą pamięć ściga na próżno, a usłyszaną natychmiast rozpoznaje, zapach jej: rozgrzanej wełny i perfum, rozsypanych na policzku włosów, skóry i oddechu — wrócił do niego.

— Pani Hanko — szepnął — każdy człowiek przeżywa pewną ilość tragedii w swoim życiu, lekarz przechodzi obok kilku dziennie. Trzeba się bronić, nie wolno się poddawać.

Myślał: muszę się bronić. Odsunął się, wydawało mu się, że słysząc jego przyspieszone bicie serca. Ale to tylko zegar: było już w pół do ósmej.



Wstał. Powiedział: — Muszę tylko zatelefonować.

Wyprostowała się na krześle.

— Niech pan sobie czasem nie psuje wieczoru. Ja sobie dam radę, jak zawsze.

Stanął tak, że musiała spojrzeć na niego, oparł się ręką o róg stolika, powiedział:

— Zaraz wrócę, chyba, że pani naprawdę nie chce, że jestem niepotrzebny...

Uważnie, jakby starała się odpowiedzieć sobie na pytanie, którego nie chciała wypowiedzieć, spojrzała na niego. Tego wieczora, gdy zobaczył ją po raz pierwszy i teraz w czasie ich przypadkowego spotkania, wzrok jej dotykał go tylko. Ale w tej chwili jego pochylenia się nad nią, zaryzykowania: odejść, albo zostać, przeniknęła go i odkryła. Zacerwienił się. A ona, jakby odpowiadając sobie samej, szepnęła:

— Jest mi pan potrzebny.

Szedł unosząc się pomiędzy stolikami, wpłynął do budki telefonicznej. Nakręcił numer telefonu Gnatowiczów. Przez szklane drzwi widział Hankę: siedziała w tej samej pozycji: splecione przed sobą ramiona, ciężar kilkupiętrowego szpitala przygniatał ją. Jak dobrze znał ten wewnętrzny stan rozpadania się, odrętwienie następujące po szoku, samooskarżanie się, dopatrywanie się winy i usprawiedliwianie przed samym sobą i najgorsze ze wszystkiego — paraliżujący brak zaufania do samego siebie. Ale on jej pomoże, zostanie z nią. Ten sam szpital rozgorączkowany, pulsujący połączył ich, przyciągał, obejmował. Drżał przejęty tą nagłą, oszałamiającą bliskością. Śmierć odwróciła się. Jej druga twarz była pragnieniem życia. Hanka podniosła głowę, rozejrzała się. Czekwała. Czekwała na niego. Był głodny, ale był to głód który go uszczęśliwiał. Doktor Ketler uśmiechał się.

— Rączki całuję — powiedział do Gnatowiczowej — jest mi bardzo przykro, ale niestety zostałem zatrzymany w szpitalu. — Patrzył: pochyliła się niżej nad stołem. Trzeba by ją gdzieś zaprosić... ile to będzie...?

— Ja tu czekam — martwiła się Gnatowiczowa — czekamy... narobiłam tyle pierogów. No!

— W przyszłym tygodniu...

— Ale w przyszłym tygodniu na mur?

— Mur.

— Zamrozę te pierogi.

— Nadzwyczajne. W przyszłym tygodniu... kiedy państwu...?

Hanka Sanocka spojrzała na zegar: powinnam teraz przebrać się i wrócić do domu. Witold będzie telefonował do szpitala, nie przyjmę telefonu, nie mogę z nim mówić. Nie mogę z nikim

mówić na ten temat. To nie powinno się było stać. Ten krwotok należało przewidzieć... jestem taka wykończona. Wyciągnęła przed siebie ręce, palce dłoni drżały jeszcze. Wzięło mnie. Chciała to powiedzieć głośno. Spojrzała dokoła.

Adam Ketler zatrzymał się przy kontuarze i kupił dwie filiżanki kawy. Wracał trzymając przed sobą tacę, zahaczał rozpiętym płaszczem o krzesła.

— Jak się pani czuje?

— Wzięło mnie — powiedziała — jestem taka wykończona.

— Kawa — postawił przed nią filiżankę.

— Jaki pan miły.

— Cukier?

— Nie dziękuję.

— Aspiryna?

— Nie.

— A może jednak?

Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę.

— Dobrze.

— Pani Hanko, miałem kiedyś podobną historię, właśnie myślałem...

— Tak?

— Pęknięcie macicy to jeden z najpoważniejszych przypadków w położnictwie, prognoza zwykle marna, dostała pani ten przypadek zbyt późno.

— Pomimo wszystko...

— Pomimo wszystko jest pani bardzo dobrym lekarzem.

— Dlaczego?

— Tylko dobry lekarz tak przejmuje się swoją pracą.

Pochyliła się ku niemu, podała mu obie ręce.

— Niech pan zobaczy. Ja się jeszcze trzęsę, powinnam się była dawno opanować. Przecież to nie pierwszy raz. Jak pracowałam na *emergency* co dzień, co noc miałam po kilku D.O.A. Ale TO dziś nie powinno się było stać. Zresztą to był dzień. O Boże! Żadna nie chciała urodzić. Przywieźli jedną z wypadku samochodowego, siedmiomiesięczna ciąża, szok nerwowy, wydawało jej się stale, że będzie rodzić, pielęgniarki co chwilę mnie ścigały, że bóle, a to były bóle złamanej miednicy. Macica się wcale nie kurczyła, poprzeczne położenie, więc tylko cesarskie cięcie, a ona błaga o swego prywatnego lekarza. Płacze, krzyczy, że będzie rodzić. Nawet naczelny lekarz jej uwierzył. A mnie się zdawało, jak badałam, że ten płód w ogóle nie żyje...

Zdjął płaszcz, przerzucił przez poręcz krzesła. Myślał: powinienem ją gdzieś zaprosić. Do restauracji? Ile kosztuje kieliszek alkoholu w restauracji albo w barze? Do jakiego baru? Nie, nie

mogę jej zaprosić do baru. Trzeba by pojechać do jakiegoś przyzwoitego lokalu. Nie mam samochodu. Cholera! No to co, do domu? Na resztki rosołu z kury? Co to jest D.O.A.?

— ... druga zwała się z poronieniem. Wiszący *featus z vagina*. A z samego rana przysłała jedna z *false labour*. Mówię do naczelnego lekarza: to fałszywy poród. On na mnie: Co pani opowiada! Rozszerzona na trzy palce i fałszywy poród? Położył ją. Dawali jej przez cały dzień kroplówkę z progesteronu, leżała głodna, blada i... nic. Powlokła się z powrotem do domu, jeszcze z tydzień chyba posiedzi. I w takim dniu... wszystko wali się w takim dniu...

— Co to jest D.O.A.?

— *Dead on arrival*. Po co ja panu to wszystko mówię?

— Niech pani mówi, niech pani mówi, jak najwięcej, dlatego zostałem. Jak się pani teraz czuje?

— *Frustrated*. Wszystko wewnątrz zamrożone.

— Bo pani, jak mówią Amerykanie, potrzebny jest dobry *drink*.

— *Want to buy me one?*

Zdrętwiał. Dziesięć dolarów, dziesięć dolarów będzie mnie to kosztowało. No trudno, trudno, to będzie...

Oparła łokcie o stół, położyła podbródek na rękach, wzrok jej na jego czole, na oczach, na ustach. Szamotał się: A wszystko jedno, niech kosztuje ile chce. Powiedział:

— Z największą przyjemnością.

— Innym razem. Powinam już wracać do domu. — Wstała.

— Pojadę teraz przebrać się na górę i... bardzo panu dziękuję.

— Pani Hanko, niech pani tak zaraz nie jedzie. Kieliszek alkoholu dobrze pani zrobi... niech pani jeszcze trochę odpocznie... — Myślał: Niech kosztuje 10 dolarów, więcej, to nie ma znaczenia, nie mógł się teraz z nią rozstać, musiał jej powiedzieć... Co? — zastanawiał się gorączkowo — co miał jej powiedzieć? Dlaczego chciał ją zatrzymać? Był pełen niedopowiedzeń, nadażał tylko za czymś co już się stało, a teraz działa się w nim i wbrew niemu, proces postępował naprzód. — Ja na panią zaczekam, bo... chciałbym jeszcze z panią pomówić..

— Dobrze — powiedziała — jeśli pan ma czas.

Czekał na nią przed drzwiami wyjściowymi szpitala. Czekanie wypełniało go, nie było już w nim miejsca na *research*, należał do innego systemu, stał się przedmiotem doświadczenia. Starał się opanować, myślał: to nie ma sensu. Powinienem być już dawno pożegnać się, odejść. Czego spodziewam się od niej? Przygody? Jestem idiota. Zamiast siedzieć teraz przy stole u Gnutowiczów i magazynować kalorie, chodzę tu przed drzwiami szpi-

tala, czekam na lekarkę, którą pocieszać będę po spartaczonyj robocie. Minęło już dziesięć minut. Nie przyjdzie! — przeraził się. A może wyszła innymi drzwiami? Wybiegł na ulicę, w pośpiechu wkładał płaszcz, rozglądał się. Niebo, do niedawna jeszcze gwiaździste, pokrywał już szaro-niebiesko-mleczny nalot mgły. Temperatura spadła gwałtownie w ciągu ostatniej godziny, wiatr przycichł, a nieruchoma cisza powietrza gęstniała w oczekiwaniu śniegu. Ciężki pień szpitala wyrastał z narożnika dwóch ulic, zajmował przestrzeń kilku bloków miejskich, dalej i dalej ciągnęły się mniejsze budynki, przybudówki, a na ogołoconym ze starych, murzyńskich ruder placu, strzelały już w górę stalowe żebra nowego, szpitalnego drapacza.

Przystanął zagubiony w przestrzeni. Mogła wyjść już dawno i jeden z płynących teraz jezdnią samochodów unosił ją. Wrócił do szpitala, siadł na wielkim, skórzanym fotelu we wnęce hallu. Zapalił papierosa. Patrzył w swój pusty wieczór, który sam sobie zmarnował. Piętnaście minut. Nie czuł się nawet głodny. Kiwał sam nad sobą głową, drwiąco, z politowaniem: Nie przyszła, nie chciała przyjść.

Z Wandą ożenił się wkrótce po wojnie, była to dziewczyna z tego samego co on miasta i spotkanie jej w innych warunkach wydało mu się, jakby nawrotom do przeszłości, odnalezieniem domu, który utracił. Pobrali się szybko, połączeni bardziej wspólnym wspomnieniem niż sobą. Ich kilkuletnie dziecko zginęło tragicznie, obwiniali się nawzajem, a potem żyli już tylko obok siebie. Warunki mieszkaniowe trzymały ich razem. Byli związani z sobą brakiem mieszkania.

Dwadzieścia minut! To niemożliwe, niemożliwe, aby już wyszła. Przecież powiedziała. Będę czekał. Zatelefonuję. Nie mogę jej tak zostawić, w takim stanie. Zostawić? Jak? Wyczerpanej, wykończonej nerwowo, samotnej. Powiedziała: jest mi pan potrzebny.

W hallu głośnik wywoływał raz po raz to samo nazwisko lekarza. Pudło windy otwierało się i zamykało. Gasły i zapalały się guziki pięter. Tego nie można było uniknąć. Chciałem ją spotkać, musiałem ją spotkać. A dziś wieczór... Wieczór był harmonią, rozciągał się, grał. Może zaprosić ją do kina? To pomaga, odprężenie nerwowe. Jak dobrze, że nie poszedłem do Gnatowiczów.

Dwadzieścia pięć minut. Podszedł bliżej do windy. Czekał. Drzwi rozsunęły się. W ostrym świetle zobaczył jej twarz: ściągnięte brwi, głęboka, podłużna fałda zmarszczki, opanowane, aż nieruchome mięśnie policzków, uniesiona w górę broda. Nie zauważyła go, jej skoncentrowane spojrzenie sięgało w głąb jej samej.

Wysunęła się z windy, szła szybko w kierunku drzwi wyjściowych.

Zatrzymał ją: — Pani Hanko.

— Ach — powiedziała — to pan tak długo tu czekał, nie myślałam...

— Czy coś się stało?

— Nie. Telefonowałam do domu. Nie sądziłam, nie myślałam, że pan będzie... bardzo przepraszam. — Zapinała guziki białej, skórzanej kurtki.

— Pani była taka zdenerwowana, zmęczona...

Pchnęła obrotowe drzwi, wyszedł za nią na ulicę. Niebo było białe, ciężka, szara białość nadciągającego śniegu.

— Może gdybyśmy poszli do kina...

Spojrzała na niego poprzez ramię:

— Wieki całe nie byłam w kinie. Nie, nie, dziękuję.

— Ostrożnie — powstrzymał ją na brzegu jezdni — jeszcze pani gdzieś wpadnie.

— Nie, nie ma obawy.

— A może jednak miałyby pani ochotę na *drink'a*?

Po drugiej stronie jezdni światła *Shopping Center*, świąteczne, świerkowe girlandy, *candy striped*, laski św. Mikołaja na latarniach. Tam pewnie będzie jakaś restauracja. Przeszli jezdnię, zatrzymali się przed *parking lot'em*.

— To już tu — powiedziała.

— A więc nigdzie nie pójdziemy?

— Naprawdę dziękuję. Jest późno, muszę wracać do domu.

A może pana gdzieś podrzucić? Szła między rzędami zaparkowanych samochodów aż do białego Chrysler'a, otworzyła drzwiczki samochodu.

— To jest *parking* szpitalny — powiedziała — bardzo wygodnie, zamykam samochód na klucz, dawniej musieliśmy parkować na ulicy.

Myślał: Co ja zrobiłem? Obraziłem ją, uraziłem? Rozmowa w kafeterii? Telefonowałem... Może nie powinienem był... To nie to... co jej się stało? Co jej się stało do jasnej cholery?

Czuł, jak zwolna od nóg, aż po szyję grzęźnie w gorącej, bezsilnej wściekłości.

— Chętnie pana podwiozę, to mi nie sprawi kłopotu, pan przecież nie ma samochodu.

— Dziękuję — mruknął — mieszkam niedaleko. Sciskał w pięści swój czarny, wełniany beret.

Wsiadła do samochodu, wychyliła się przez otwarte okno.

— Zaraz — powiedziała — pan przecież chciał mi coś powiedzieć, czy o coś się zapytać. Słucham. W czym można panu po-

móc? Może coś mogłabym...? Nawet nie spytałam o pana pracę. A może jakieś książki?

Nie obchodziła go w tej chwili jego praca. Nic go nie obchodziło. Myślał: Niech ona nie odjeżdża. — I natychmiast: Niech już jedzie, niech to się już skończy. Bo nawet, gdyby zatrzymał ją, gdyby udało mu się ją przekonać... W kraju wiedziałby co zrobić. Ale tu?

— Nic — mówił — nic, dziękuję. — Szum motoru zagłuszał jego słowa.

Zapaliła światła, w smudze reflektorów dostrzegł pierwsze płatki śniegu.

— Czy pan coś mówił? — zawołała.

Wzruszył ramionami, podszedł bliżej. Ręce w skórzanych rękawicach oparte o kierownicę. Jej twarz wychylona ku niemu uprzejmie, wyczekująco. Zedrzyć tę uprzejmość z twarzy, potrząsnąć ją za ramiona, aż stanie się znów sobą. A może jej zdenerwowanie, przygnębienie, prośba, aby został z nią nie były prawdziwe? A więc dlaczego ta gra, udawanie, niezrozumiały system postępowania? Gardło miał ściśnięte, chciał odwrócić się, odejść bez słowa, mruknął:

— Cóż ja mogę powiedzieć? Chciałem być z panią, cieszyłem się na ten wieczór, i tak od dawna chciałem zatelefonować, ale...

— Ale co?

— Nic. Już teraz nic. Rączki całuję. Dobranoc.

Wyciągnęła rękę — Panie Adamie... zapomniałabym. Znajomi nasi zapraszają pana na kolację. Właściwie na obiad, na Nowy Rok. Zatelefonuję, umówimy się. Dobrze?

Sklonił się: — Dziękuję.

Patrzył na odjeżdżający samochód. Usta skurczyły mu się w drwiącym uśmiechu. Śmiał się, wargi ścierpły mu od śmiechu:

— Zaproszenie na obiad.

Wyciągnął beret z kieszeni, wścięklým ruchem obydwoma rękami wcisnął go sobie na głowę. Cholera, za ciasny!

Chciał zapiąć pasek płaszczka, zauważył, że nie ma klamry, zgubił klamrę. Dziadowska robota, wszystko na jednej nitce. Podniósł kołnierz, był wilgotny od śniegu. Szedł wielkimi, energicznymi krokami w stronę kolumny Waszyngtona. Prezydent nieruchomy w śniegu, w wyciągniętej ręce trzymał zwój konstytucji. Ulica była pusta, spostrzegł się, że mówi sam do siebie: Teatralne gesty, za każdym z nich drobne ambicjki ludzkie. Obłuda. Zaprosiła mnie na obiad, cholera, zaprosiła mnie na obiad.

W oknach domów pomarańczowo-żółte elektryczne, bożonaro-

dzeniowe świece. Jak cmentarz, jak u nas w dzień Wszystkich Świętych, w Zaduszki. Biała warstwa śniegu leżała na chodniku. Jeźdźnię pchały się samochody, płaskie łby, szerokie nosy, długie, ciężkie odwłoki. Szarańcza! — otrząsnął się.

Minął placyk z kolumną Waszyngtona. Schodził ulicą w dół. Śródmieście zaczynało rozkwitać. W oświetlonych witrynach sklepów dosyt kapał grubymi, ciężkimi kroplami. A może by tu zostać? Zostać? Nostryfikować studia, urządzić się, zacząć od nowa? Tam się zaduszę, do niczego nie dojdę. Nawet gdyby katedra... to ile to intryg, zależności, ostrożności, temu nie można zwrócić uwagi, tamtemu nie wolno się narazić, użeranie się na każdym kroku, walka o każdy przydział materiału, o każdą zmianę w skostniałej biurokracji. A może by tu zostać? Nie ja pierwszy, nie ja ostatni, mógłbym się porozumieć, napisać do...

Wpadł nagle w samo jądro przedświątecznego ruchu. Wielkie magazyny zieją światłem. Hałaśliwe, brzękliwe, popychające się mrowisko ludzi. Czerwone, błazeńskie kombinezony ulicznych *Santa Claus*, kapturki kobiet-żołnierzy *Salvation Army*, wrzask kolend. Obcość. Oni mnie tu nie przyjmą, ja się w to nie wtopię, za późno. A tam do czego mam wracać? Do zmarnowanego życia? Do kariery na glinianych nogach? Równie szybko mogę spaść, jak i wywindować się. Wszystko jeden diabeł, ani tu, ani tam, nic nie ma sensu. Powiesić się. Ludzie popychali go, potracali, z wielkimi, papierowymi torbami w rękach, obładowani paczkami biegli podnieceni niby stado szaleńców.

Po co ja tu przyszedłem? — zirytował się. — Co mnie obchodzi ich święta, nienawidzę świąt, ścisku, tłoku. Choroba zakaźna, bakcyl świąteczny, zbiorowa histeria. Zawrócił, przeciskał się, uciekał. Minął tanią restaurację. Na czerwono-zielonym szyldzie: *Hot Dogs — Polish Sausage — Kosher Cornbeef*. Zatrzymał się, zawahał. Poszedł dalej. Ulice pustoszały, ciemniały. Śnieg tylko. Reflektory samochodów. Na ulicznym zegarze — godzina dziewiąta.

— Zmarnowałem sobie wieczór. Nie! — roześmiał się — w rezultacie całego wieczoru uzyskałem zaproszenie na przyjęcie noworoczne. Jego śmiech był chrapliwy, przeszedł w kaszel. Mój system działa sam, bez mego udziału. Wszystko więc co czułem, co myślałem, całe moje zaangażowanie się było częścią ustalonego z góry, zaplanowanego *research*. Moja podświadomość silniejsza jest od mojej jaźni. Według praw medycyny, psychologii, socjologii raz rozpoczęty proces toczy się sam. Jestem ofiarą własnego systemu.

W *Shopping Center*, obok budynku dla studentów cudzoziemskich, umilkł już ruch i światła. Nieśmiały warkocz kościoła,

podtrzymany palcem reflektora gubił się w tłumie atletycznych wieźowców. Ich młode, smukłe ciała przerastały go i wydawały się bliższe niebu. Dziesiątki zamglonych oczu Perceval Norris usypiały w monotonnej kołysance śniegu. W pokoju zrzucił płaszcz, beret cisnął na fotel, szarpnął krawat, odrzucił. Wszedł do łazienki, lustro zachichotało drwiąco. Odwrócił się. Włączył kontakt płytki elektrycznej, postawił na niej garnczek z resztkami kurzego rosołu.

Zaproszenie na obiad i oszczędzone pieniądze na samochód. No tak, to co chciałem. Siadł przy stoliku. Czerwony kalendarzyk 'Orbisu' podszepnął: Spełnione marzenia... Restauracje i kawiarnie... Mądrze zaplanuj urlop...

Co za przekleństwo ciąży nad tym krajem? Wielkie aspiracje, przewrażliwione ambicje, *mania grandiosa* i niedosyt, niedosyt... niedosyt. Zostać tu. Zostać? Może to jedyna okazja? Druga się nie nadarzy, już nigdy może nie będę miał takiej możliwości. Zostać? Zostać na tygodnie, miesiące, może lata takich wieczorów, jak dziś? Ale tu życie będzie łatwiejsze, dobrobyt, w mojej profesji po pokonaniu początkowych trudności, urządzę się. Nie wiem, trzeba się zastanowić, porozmawiać z ludźmi. Nie wiem, to wymaga dłuższego namysłu, ostrożności. Namysłu nad czym? Jestem dziś przewrażliwiony, pomyślę o tym jutro. Teraz trzeba się opanować, nie wolno ulegać nastrojom, trzeba wyciągać wnioski tylko na podstawie rzeczy konkretnych.

Otwórzmy więc książkę telefoniczną na chybił-trafił:

*Ostrander*

*Ostrofsky*

*Ostrow*

*Ostrowske*

*Ostrowski...?*

*Ostrowski Adam!*



## Rozdział VI

### JA ZA WODĄ, TY ZA WODĄ...

Przystanął na środku jezdni. Roześmiał się. Jego uśmiech był szeroki i mocny. Podniósł kołnierz krótkiej kurtki z wielbłądziej wełny, włożył ręce w kieszenie.

Ulica Mayburry obrosła śniegiem. Było białe, cicho i czysto. Po łagodnym jeziorze nieba srebrna łódź słońca płynęła nad miastem. Na wieżycy starego, przezbiteriańskiego kościoła dzwony śpiewały pierwsze takty psalmu. Dwunasta. Południe nowego roku. 2715 Mayburry Avenue. Dwóch czarnych wyrostków pracowało odrzucając śnieg szuflami od drzwi domu do jezdni. Mieli głowy okręcone kolorowymi szalikami.

— Hi! — powiedział doktor Armstrong — w Nowy Rok powinniście zarobić podwójnie.

— *Yes sir* — mruknął jeden z nich. Odłożył szuflę, cofnął się ustępując doktorowi miejsca. Doktor Armstrong spojrział na czteropiętrową, wąską kamienicę. Do okien przyłgnał śnieg. Które to okno? Ostatni raz, dwa tygodnie temu, odprowadził ją po koncercie w miejskim teatrze. Nie zaprosiła go do środka. Nigdy dotąd nie zapraszała go do swego mieszkania. Mówiła: taki nędzny, umeblowany apartamencik na trzecim piętrze. Podając mu rękę na pożegnanie, spytała:

— Czy będziesz mógł pójść na ten obiad, John?

Powiedział: — *It will be a great pleasure.*

Myślał: Co za obiad? Noworoczny obiad i to o drugiej po południu w domu polskich emigrantów. Co za ludzie? Wolalbym zabrać ją do restauracji. Właściwie dlaczego ją zabieram? Dlaczego się z nią spotykam? Ta znajomość nie ma sensu.

— O ile naturalnie nie dadzą mi dyżuru — powiedział.

— Ach, rozumiem.

Widział, jak opuszczała ją odzyskiwana z trudem pewność siebie.

— Postaram się. A jeśli dadzą mi dyżur, postaram się zmienić.

W ostatnim tygodniu był na kilku szpitalnych *parties*. Było tak, jak w zeszłym roku, i w latach poprzednich. Nudził się. Jestem diabelsko zblazowany — myślał — trzeba skończyć z tym cholernym szpitalem i zrobić coś zupełnie innego. Kontrakt wygaszał pierwszego lipca. Właściwie wiedział już co robi. Pomyślał, że jestem *crazy*. Może. Szaleństwo jest solą życia, bez niego smak świata jest mdły. Był starszym asystentem na oddziale chirurgicznym szpitala Perceval Norris, ale kariera szpitalna, mimo niewątpliwych zdolności jego do chirurgii, szła mu opornie. Urodził się w roku 1929, miał już prawie 35 lat. Powinien był osiągnąć więcej. Urodził się także w początkach kwietnia pod znakiem planety Mars. Był od najmłodszych lat zawadiaką, nie uznawał sprzeciwu, gwałtowny i szybki przekonany był zawsze o własnej słuszności. Może dlatego nie ułożył sobie dobrych stosunków personalnych z przełożonymi. Służba wojskowa na Dalekim Wschodzie opóźniła jego rozwój zawodowy. Ożenił się. I to małżeństwo na jakiś czas załamało go moralnie. Stał się cyniczny. Bał się jakichkolwiek związków. Myślał: Najważniejsze, że jestem wolny i mogę zmieniać, mogę robić to, co mi się podoba.

Mógł zatelefonować, że ma dyżur, to byłoby łatwe. Przyszedł jednak. Jego kroki skrzypiały na świeżo odgarniętym śniegu. Wzdłuż chodników, byle jak zaparkowane samochody stały pod wielkimi, białymi czapami. Królewska gwardia. Nacisnął dzwonek. Ogarnęło go przyjemne, wewnętrzne ciepło, wyobraził sobie jej twarz: szczupłą i tak łatwo, wbrew niej samej, mimo jej woli, czerwieniejącą od szyi aż po korzonki włosów nad czołem. Wyciągnął rękę, nabrał pełną garść puszystego śniegu i podniósł do ust.

Usłyszała dzwonek. I chociaż spodziewała się go już od rana, chociaż gotowa już od godziny wiedziała: John zadzwoni, otworzę mu, wejdziemy na chwilę na górę, włożę płaszcz, pojedziemy, to jednak wstrząsnęła się, jakby to był dźwięk najmniej spodziewany, jakby ten dźwięk ją przebił i — jak rtęć — biegł wszystkimi drózkami krwi oszałamiając i zalewając ją rumieńcem od szyi, aż po uszy. — No i po co — szeptała. — Boże drogi, dlaczego ja tak się denerwuję? Chwyciła flakonik wody kolońskiej.

Flakonik wysunął się z palców.

Pochyliła się. Szybko, zbierała kawałki szkła z podłogi. Co on teraz powie... pomyśli. Otworzę okno... zaraz... jeszcze odejdzie pomyśli, że ja już... Szpilki wypadły z włosów, czuła, jak

wilgotnieje jej kark i czoło, stukając wysokimi obcasami nowych butów zbiegała po schodach. Bo nie powinnam go tu była zapraszać... trzeba było na dole... no ale śnieg... a gdyby Michał! Cóż w tym złego? Rewanżuję się, zapraszam do znajomych otwaracie.

Otworzyła drzwi. Zmrużyła oczy przed blaskiem śniegu.

— *You look perfectly charming*, Jo-a-sia.

— *I brake, broken... I bad... I...*

— O?

Jak jest po angielsku „wypadła mi z ręki”? Nie powiem już ani słowa, nic nie wiem, wszystko zapomniałam.

— *Happy New Year!* — powiedział.

— *Happy* — jęknęła — ...*thank you... sorry.*

— Czy mam zaczekać tutaj? — spytał.

— Tutaj? — spojrzała na niego. I nagle uświadomiła sobie, że on tu jest, przyszedł, że przez całe popołudnie będzie mogła patrzeć na niego. Odwrócić tylko głowę, albo po prostu spojrzeć przed siebie, a jego twarz, która gdy odchodził stawała się nie-realna, jak wszystko z nim związane: ich rozmowy, ich wyłączność — jego twarz ciepła, żywa odpowie jej zmrużonym spojrzeniem spoza okularów. — Nie — zawołała — nie... nie tu... tam! — podniosła rękę. — O tam... schodami, zaraz, proszę...

— *After you*, — powiedział — Jo-a-sia.

Jej obecność rozweselała go, było to rozweselenie łagodne, niefrasobliwe, jak po lekkim winie. Widział jej zakłopotanie i podniecenie i widział, jak nie umiała, chociaż starała się, je ukryć. Byłaby niewątpliwie pewniejsza siebie w białym, laboratoryjnym fartuchu uzbrojona w mikroskop i próbówki z odczynnikami i armię wziętych do niewoli enzymów. Ale wtedy nie zaciekawiałyby go. Może to jest właśnie to — myślał — ona mnie zaciekawia. Jak wyjazd do innego kraju. Spacer uliczkami nieznanego miasta. Nie wiadomo na co można natrafić. W starych europejskich miastach są kręte uliczki i zaułki prowadzące w nieznanne.

Powiedziała: — To tu, proszę.

Był to mały pokój, zapach wody kolońskiej złagodniał już i wydawało się, należał zawsze do tego wnętrza.

— Usiądź — powiedziała i podesunęła mu jedyny w tym pokoju fotel, wyblakło-różowy o szerokim, wachlarzowatym oparciu. — Ja zaraz... — Wysunęła się do kuchni i pomyślał, że zaraz wróci ze szklankami, lodem i butelką gin'u, albo nie, wódka. Wyjął z kieszeni kurtki małą paczkę i położył na brzegu komody.

Wróciła trzymając w rękę śniegowce.

— Zaraz będę gotowa — powiedziała. — A może — zasta-

nowiła się — zjesz pomarańczę? Talerz z pomarańczami stał na stoliku przy łóżku. — Nie w lodówce — pomyślał — nie trzyma pomarańczy w lodówce.

Spojrzała na paczkę, potem na niego. Miała na sobie czarną, prostą sukienkę i sznurek jasnych bursztynów na szyi.

— Co to? — spytała.

— *For you* — powiedział.

— Dla mnie? — Wyciągnęła rękę, zawahała się. — Co to jest?

Wzruszył ramionami: — Zobacz.

Przypomniała sobie nagle o pomarańczach: — A może zjesz pomarańczę?

— Nie, nie! Dziękuję. Otwórz paczkę. Ciekaw jestem czy będzie ci się podobało.

Zbliżyła się ostrożnie, wyciągnęła z torebki okulary, włożyła, były to nowe okulary w grubej oprawie. Wzięła w rękę małe, tekturowe pudełko przewiązane białą wstążką, odwróciła się do niego:

— *Thank you*.

W rurze biegnącej od sufitu do podłogi zaterkotała woda, ktoś głośno spuścił wodę w łazience na górze.

Uśmiechnęła się zażenowana: — Te cienkie ściany.

— Jesteśmy tylko ludźmi — roześmiał się. Dodał: — Nie trzeba na to zamykać uszu... ani oczu.

— Nie zamykam — powiedziała. Trzymała w rękach pudełko, krzepki chłód zimowego dnia przenikał z pudełka do jej palców. Myślała: Co to jest? Miała wąskie palce o bladoróżowych, krótko obciętych paznokciach. Czuła jego wzrok na swoich rękach. Powinnam była polakierować paznokcie. Nie trzeba zamykać oczu... on ma rację, jestem tylko człowiekiem... Michał jest tylko...

Rozwiązała sznurek, odłożyła pokrywkę pudełka na komodę, rozwinęła bibułkę. To była orchidea. Jej białe, mięsiste, postrzępione skrzydła wyginały się ponad długim kielichem, którego żółte wnętrze było kropłą miodu.

Wstał, podszedł do niej, pochylił się nad pudełkiem. Kupił wczoraj tę orchideę w kwaciarni niedaleko szpitala. Od wczorajszego popołudnia, aż do dziś rano miał dyżur na oddziale. Poprosił nurse, aby włożyła pudełko do lodówki. — *Yes*, doktor Armstrong — powiedziała. — *Corsage?* — spytała. — Nie, — powiedział — *Snowball*. Uważaj, bo jeszcze się roztopi, — Patrzył na Joasię. Jej zdumienie rozgrzewało go. Stał o krok od niej. Widział, jak drgały jej policzki, chciała się roześmiać, ale w zaciśniętych kącikach ust drżały kropłe płaczu.

Zdjęła okulary, odłożyła okulary i pudełko z kwiatem na komodę, wyprostowała się nagle, potrząsnęła głową, odrzucała za siebie dziesięć, dwadzieścia lat.

— John...

— Podoba ci się?

Szybko, nie patrząc na niego pocałowała go w policzek. Odskoczyła.

— *Thank you... sorry.*

— Nie, nie tak — powiedział. Przytrzymał jej głowę, przyciągnął do siebie. Zamknęła oczy kiedy ją całował i stała tak jeszcze nieruchoma z zamkniętymi oczami czekając.

— *Dear doctor* — powiedział — przy całym szacunku dla twojej wiedzy i powagi naukowej muszę stwierdzić, że nie nauczyłaś się jednej rzeczy...

— Czego? — zacisnęła pięści. Nie patrzyła na niego tylko w okno, w południe dnia. Śmieje się — drżała — wyśmiewa się ze mnie.

— Tego — powiedział. Objął ją. Odwróciła głowę.

— Och nie, nie — powiedział — nie tak. Spokojnie. Spójrz na mnie.

— Nie.

— Teraz już lepiej

Usiadła na fotelu, zakryła twarz rękami, była nieprzytomnie szczęśliwa i bała się, aby on tego nie zauważył.

— Jo-a-sia — powiedział — jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi. Miej odwagę przyznać się, że chciałaś tego.

— Czego? — Podniosła głowę, jej twarz cała w słońcu zimowego dnia. — To nie jest tak, jak ty myślisz.

— A co ja myślę?

— Ty myślisz, że ja chciałam, ażebyś ty...

— Nie. Ja myślę dużo więcej.

Objęła ramionami kolana, patrzyła na swoją nową, czarną sukienkę, nowe nylony i nowe czarne buciki na wysokich obcasach. Jestem idiotka — myślała — i pozwalam mu wyśmiewać się ze mnie. Bezczelny Amerykanin, czy mi nie mówili? Czy mnie nie uprzedzali? Myślała także: John... John, czując jeszcze bliskość jego twarzy i własną twarz i wargi które nabierały innego, osobnego znaczenia, ale nie potrafiła myśleć o tym w słowach tylko drobnymi drznięciami, które przebiegały po niej i wbrew niej.

— Cóż ty wiesz o mnie? — powiedziała. — Nas tyle rzeczy dzieli.

— *The iron curtain* — roześmiał się.

— Chociażby — rozżaliła się. Cóż on wiedział o niej, o jej wojennym dzieciństwie, o krótkiej, niepełnej młodości, o tym,

jak wszystko, oprócz nauki i konkretnych realii życiowych przedstawiało mieć jakiegokolwiek znaczenie i że mimo to w głębi niej samej trwało nieustanne niedopełnienie i chęć poszukiwania, jakby błąkała się na pustyni nie wiedząc dokąd idzie i czy kiedykolwiek znajdzie drogę.

— Nie ma żelaznych kurtyn pomiędzy ludźmi — powiedział. — Nie wierzę w to.

— Ach — powtórzyła — cóż ty wiesz o mnie? O wojnie na przykład. Jak to zmienia, rozdziela rodziny.

— Wojna, bohaterko? A cóż ty wiesz o mnie?

— To — powiedziała — że od pokoleń miałeś spokojne, uregulowane życie, że nie potrzebowałeś się martwić, że ktoś cię zatrzyma na ulicy, albo w nocy przyjdzie do twego domu i za nic... za nic... zabierze, wrzuci do więzienia, rozstrzela, wykończy, że twoi rodzice i dziadkowie...

— No — roześmiał się — nie sięgajmy tak daleko...

— Poczekaj, ty mówisz, że rozumiesz, a nawet taki kwiat... taka orchidea... czy ty wiesz dlaczego? Dla ciebie to normalne... a ja, mnie nikt nigdy... nie dlatego, że nie było u nas tak łatwo o takie kwiaty, ale... no mniejsza z tym. I kiedy ja...

— *I am sorry* — powiedział. — *I am sorry*, Joasia.

Wcale nie mówię tego co myślę, i on o tym wie — myślała — plotę jakieś bzdury.

— Chodźmy już — powiedziała. Ale właściwie chciała zostać. Gdyby mogła z nim zostać tu i tylko patrzeć na niego i mówić z nim. Podniosła się.

— *You are blossoming* — powiedział.

— Co to znaczy? — spytała.

— Kwitniesz, rozwijasz się, jak kwiat, lubię patrzeć na rozkwitające kwiaty. Czy nie przypniesz sobie swojej orchidei do sukienki? Nie powiedziałaś mi czy ci się podoba?

— Powiedziałam — zaczerwieniła się. — Bardzo, bardzo... Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

— *You are a very nice girl.*

— *Girl?*

— Tak. Mimo wszystko nie jesteś jeszcze kobietą, *doctor* Joasia.

Włożyła swoje długie, ciepłe palto na watolinie, poprawiła włosy przed lustrem, ale nie kładła beretu. Odchyliła palto i spojrzała na przypiętą do sukni orchideę, a potem spojrzała na swoją twarz i wydawało jej się, że to ktoś inny o kim myślała często, ale kogo nigdy nie знаła naprawdę spojrzał na nią rozpromienionym wzrokiem. Pomyślała o dzieciach i co one teraz robią w domu z Michałem i która tam teraz jest godzina. Przestra-

szyła się, że tak dawno, cały dzień, nie myślała o dzieciach. To okropne, że mogłam o nich zapomnieć. Jestem podła matka.

— Czy coś się stało? — spytał.

— Jestem niedobra matka — powiedziała — nie myślałam dziś wcale o moich dzieciach.

— Tak — powiedział. — Rozumiem. Wiedziałaś jednak o tym decydując się, wiedziałaś, że zostawiasz dzieci kiedy żegnałaś się z nimi w październiku.

— We wrześniu — powiedziała. — To było pod koniec września.

Zatrzasnęła drzwi mieszkania. Z dołu klatki schodowej podniósł się mroźny powiew i owinał wokół jej nóg. Co za przeciąg — myślała — ktoś nie zamknął drzwi wejściowych. Schodziła pierwsza schodami. Na swojej ręce opartej o poręcz schodów poczuła dłoń John'a.

— Wiedziałaś już więc o tym we wrześniu.

— Tak — powiedziała i usunęła rękę. — Ale dopiero dziś to naprawdę odczułam. Dopiero teraz, niedawno.

— Często zaczynamy się dręczyć wtedy, gdy wydaje się nam, że jesteśmy najzupełniej szczęśliwi.

— Ty myślisz, że ja... — powiedziała i nie miała odwagi dokończyć. Zaczęła iść szybciej.

— Uważaj — powiedział — ostrożnie. Mnie się wydaje, że ty się boisz. Boisz się spróbować i bronisz się, ażeby nie rozczarować się później.

— Nie czułam tego we wrześniu.

— Nie czułaś się tak we wrześniu. Chciałaś tego, ale nie wiedziałaś, że to się może zdarzyć. A teraz boisz się poczuć tak całkowicie. To niepokój.

Szklane drzwi wejściowe były uchylone i wiatr poruszał je, otwierał i zamykał, a żle umocowane szyby dźwięczały.

— Jak my tam zajedziemy? — powiedziała. Zmrużyła oczy przed słońcem i przed śniegiem.

— Jakoś damy radę. Jeździłem w gorszym śniegu. W zeszłym roku pojechałem, aż do Maine na narty, tam był gorszy śnieg i góry. Co to za ludzie do których jedziemy? Twój przyjaciele?

Wzruszyła ramionami. — Czy ja wiem? Bardzo sympatyczni ludzie, byłam tam tylko raz. Michał, mój mąż, był tam także. Emigracja polityczna. Tak się nazywają: emigracja polityczna. Mnie się zdaje, że to tylko teraz już nazwa. Oni tu po prostu zostali. Taka dziwaczna sytuacja. Mówią, że nie mogą wrócić, bo nie uznają obecnego ustroju. Mnie się zdaje, że oni tu już

przywykli, zostali. Cała nasza historia jest taka dziwna. Stałe rozdziały polityczne. Zresztą trudno ci to zrozumieć.

Przeszła na drugą stronę ulicy ślizgając się na śniegu. Myślała: Niepokój, a więc to we mnie dostrzegł? Poczulałam się szczęśliwa i natychmiast schwyił mnie niepokój i wyrzuty sumienia. Jadę na obiad z Johnem. Kupiłam sobie nową sukienkę i buty, dawno nie wydałam na siebie tyle pieniędzy. Która tam jest teraz godzina? Czy Michał? Nigdy specjalnie go nie interesowało gdzie idę... jeśli chcesz... aby tylko ktoś został z dziećmi. Po co się mnie pytasz? Idź, jeśli chcesz. Po co się zadrezczasz? Zostań, jeśli się będziesz denerwowała. Nie rozumiem dlaczego się tak stale denerwujesz.

— Zaczekaj — powiedział — wyjadę trochę na jezdnię, tu jest za wysoki śnieg, wpadniesz w ten śnieg i zaziębisz się.

Zapuścił motor i zagrzewał go przez chwilę. Czekała patrząc na ośnieżone dachy domów i gałęzie drzew ulicznych uginające się pod śniegiem białe na tle wysokiego, błękitnego nieba. Myślała: tu niebo jest wysokie, wyższe, dużo wyższe niż u nas.

— Joasia! — zawołał. Weszła do samochodu. Rozpięta palto. Jechali Mayburry Avenue na południe miasta. Jezdnia była zwężona wielkimi stertami śniegu po obu jej stronach. Mijały ich samochody jadące wolno, terkoczące i dźwięczące łańcuchami.

— Ten niepokój — powiedziała — nigdy się go nie pozbędę. Ale z nikim nie mogłam o tym mówić.

Uśmiechnął się nie patrząc na nią, tak, jak uśmiechał się czasem po postawieniu trafnej diagnozy. Powiedział:

— Wstydzimy się własnych niepokojów.

— Nie, to nie to! — zawołała. Odwróciła się ku niemu. Myślała: dlaczego mogę z nim o tym mówić?

— Może dlatego — powiedział — mówisz o tym ze mną, że jestem jednak zupełnie inny od tego wszystkiego co cię dotychczas otaczało.

— Czytasz moje myśli — powiedziała.

Roześmiał się: — To niebezpieczne.

Jechali teraz szybciej mijając po prawej stronie wielki i szary budynek stacji kolejowej. Na zegarze stacyjnym dochodziła godzina wpół do drugiej. Myślała: przyjeżdżając tu nie sądziłam, że spotkam kiedykolwiek John'a. Historia nie z tej ziemi. Gdyby mi ktoś powiedział, nie uwierzyłabym. Wiedziała jednak, że uwierzyłaby i że John istniał już zanim go poznała i byłyby w jej myślach nawet wtedy, gdyby go nie spotkała wcale. Ale mogłabym go nie spotkać — myślała. Wtedy ten pobyt tutaj byłby, jak spacer po muzeum, albo galerii obrazów, długi spacer, czasem można by czegoś dotknąć ręką i powiedzieć: czuje, naturalnie.



Albo można by powiedzieć stając przed obrazem: rozumiem, mogę nawet wytłumaczyć innym — ale to nie byłoby, ani prawdziwe odczucie, ani prawdziwe zrozumienie. Chociaż to byłoby bezbolesne. Wróciłabym obładowana wrażeniami, ale to byłyby sztuczne kwiaty z *Five and Ten* — amerykańska tandeta. I wróciłabym z ukończoną pracą o właściwości enzymów, z pracą, którą mogłabym zupełnie dobrze przeprowadzić w warszawskim Zakładzie, gdyby tylko dali nam trochę więcej odczynników i sprzętu laboratoryjnego. Więc po co przyjechałam? Odnaleźć Johna? Odnajduje się tylko ludzi zagubionych. Nie. To przypadek. Krótka, sympatyczna znajomość. To przejdzie. Wszystko zawsze się kiedyś kończy. Za sześć miesięcy. — Liczyła: styczeń, luty, marzec... Za pół roku. Pół roku brzmiało, jak dłuższy okres czasu. Poczła w sobie rozpaczliwą, gniotącą pustkę. Przeciągnęła ręką po czole, po oczach. Myślała: Czy muszę wracać? Czy muszę? — Westchnęła, raz i drugi głęboko, jakby jej nagle zabrakło powietrza. Tak, tak, naturalnie, co za niemądre myśli, mam zupełnie szalone myśli. Ale czy muszę? Tak. A jednak...

— Czy nie jest ci gorąco? — spytał. — Wyglądasz, jakbyś się źle czuła.

— Nie — powiedziała — jest mi tylko gorąco.

Otworzył okno i poczuła na twarzy chłodne, szybkie powietrze pachnące śniegiem i zimowym słońcem.

— Lepiej? — zapytał.

— Tak, dziękuję.

Za stacją Mayburry Avenue rozszerzała się, kamienice rosły w górę, a ich fasady i balkoniki ozdobione freskami z dziewiętnastego wieku wydawały się teraz wyrastać wprost z miękkiej, śnieżnej waty.

— Czy jeszcze się niepokoisz? — spytał. — Czy do tego stopnia, że już nawet przestałaś się odzywać?

— Nie. Myślałam tylko. To prawda, że mogę mówić z tobą o tym dlatego, że jesteś inny. Widzisz, u nas każdy ma to w sobie. I nikt już nikogo nie pyta, bo wiadomo, że ten drugi — też. Nikt się już nawet nie przejmuje. To jest, jak wirus. Tylko każdego atakuje inaczej, u każdego dopada najbardziej wrażliwego odcinka psychiki i każdy mu uległ w innym okresie życia. Wiadomo, że od tego się nie umiera, można umrzeć od zakażenia wtórnego, przerzutów, komplikacji, albo można zostać kaleką. I nauczyliśmy się już ani nie oglądać za bardzo wstecz, ani też niczego zbyt nie wypatrywać w przyszłości, bo to wtedy zaraz wraca. Więc najlepiej: z dnia na dzień. Ale jak tu ci wytłumaczyć? W tym kraju planuje się na lata, tu się myśli o emeryturze, tu nie ma takiego uczucia...

— Niepokoju?

— Tak.

— Ty myślisz, Joa-sia, że to jest tylko tam, u was.

— Myślę, że tu tego nie ma.

— Sądzę, że raczej nie masz racji. Niepokój jest wszędzie.

— Nie taki — powiedziała. — Ze mną zaczęło się to już kiedy miałam dziewięć lat. — Miałam dziewięć lat, jak wybuchła wojna. To, co było przedtem prawie, że zapomniałam. Wydaje się takie nierealne, czasem wraca, ale po co, nie chcę nawet wiele myśleć o tym. Pamiętam, że tamten okres to był spokój, pewność, że wracam do domu, że siądziemy do stołu: matka, ojciec, mój starszy brat i siostra, pamiętam ten stół i lampę nad stołem, a na stole obrus. Mieszkaliśmy niedaleko rzeki w nowoczesnych, dużych blokach. Ich ściany wydawały się niewzruszone. To mnie uspakajało zawsze, i ważność mego ojca, niekończąca się obecność matki. Największym moim przeżyciem wtedy była pierwsza komunია, to było pod koniec maja, na trzy miesiące przed wybuchem wojny. Szłam w białej sukni i welonie i rzucałyśmy kwiaty na nierówno brukowaną jezdnię tuż pod nogi księdza, który pod baldachimem...

— A jednak pamiętasz — powiedział. Starał się wyobrazić sobie to miasto o którym słyszał i wiedział tak mało, *apartment house* nad rzeką i uliczną procesję. Jak w Meksyku — myślał — albo w Hiszpanii.

— Przed samym wybuchem wojny jechałam z ojcem tramwajem przez most i nagle ktoś zaczął krzyczeć: Gaz! Gaz! Baliśmy się wtedy wojny gazowej i wielu ludzi nosiło przewieszone przez ramię maski, a ojciec mój był nawet instruktorem obrony przeciwgazowej. Motorniczy zatrzymał tramwaj i wszyscy rzucili się do wyjścia i rozbiegali się, kręcili w koło, wpychali sobie gwałtownie na twarz maski gazowe, albo przytykali do nosa i ust chusteczki. Trzęsłam się i płakałam i dusiłam pod tą potworną maską, którą ojciec zacisnął mi mocno wokół twarzy, płakałam, bo on sam został bez maski i tylko przytykał chustkę do nosa i ust. Mdły zapach maski: gumy i brezentu z domieszką palnego gazu, zapach strachu i śmierci, bo tak sobie nagle wyobraziłam śmierć uduszona w masce z ustami zaklejonymi gumą, pamiętam poprzez te wszystkie lata, chociaż miałam maskę na sobie dwa razy tylko. Raz wtedy przy tym fałszywym alarmie, a drugi raz tego samego roku późną jesienią kiedy nocowałam w rozbitym pociągu i było mi zimno w twarz i w głowę i ta maska nałożona wtedy ochroniła mnie od zmarznięcia. To wtedy się zaczęło. Mój strach. Jeszcze straszniejszy, bo wobec strachu dorosłych. A w kilka dni potem spadły pierwsze bomby. Na ulicę, na którą

niedawno rzuciłyśmy kwiaty w procesji, spadły dwie bomby i wyżłobiły dwa duże leje.

Myślał: Słyszałem o tym, czytałem, czyż nie czytam i nie słyszę stale? Ale to wszystko obją się o mnie, jest tylko częścią *news*. Czy myślałem, że czyjś niepokój całego życia mógł zacząć się właśnie w takiej chwili, w takim dniu zamkniętym w ułamek sekundy mniej ważnych *news*? Po co właściwie miałem myśleć? Czy nie mam dość własnych kłopotów, czy to mnie dotykało osobiście? Ale teraz jej ręka dotyka mnie i ona siedzi tuż przy mnie i przeżywa to raz jeszcze wobec mnie 'z którym może mówić' i spodziewa się czegoś ode mnie. Inaczej przecież nie mówiłaby. Co mam jej powiedzieć? *I am sorry? Hell*, wcale nie jestem *sorry*, gdyż ona bez swego niepokoju, który nie pozwolił jej w pełni dojrzeć, bez tego egzotycznego miasta, po którym maszerowały meksykańskie procesje i ona bez swego dziecinnego pojęcia o śmierci w zapachu maski gazowej i ze swoim wspomnieniem pierwszej komunii, którą przeorały leje pobombowe, nie byłaby sobą, nie zaciekawiałaby mnie.

Odwrocił się, doknął ręką jej chłodnego i wilgotnego policzka.

— *I like you with your unrest, and all your anxiety, just as you are*, Jo-a-sia.

— Naprawdę? — rozpromieniła się i powtarzała: — naprawdę? Naprawdę? Bo ja myślałam... — powiedziała i odwróciła się patrząc jak mijali przecnicę w której mignęła jej Kolumna Waszyngtona i pamiętając jednocześnie, jak wtedy pierwszego dnia po spotkaniu z nim przechodząc obok Kolumny wąpiła czy John przyjdzie, czy może tylko żartował.

— Co myślałaś bohaterko? — uśmiechnął się.

— Myślałam co ci się może we mnie podobać, zupełnie nie mogłam zrozumieć, bo przecież nie jestem nawet... nie mogę się równać... Tak mi się zawsze zdawało, tak mi się zdaje...

— Właśnie to.

— Co?

— Że ci się zdaje.

Za Kolumną Waszyngtona skreślił na lewo, na południowy wschód miasta. Na szerokich schodach kościoła z poczerniałej, czerwonej cegły kobieta i mężczyzna rozmawiali z pastorem. Mężczyzna uściśnął mu rękę, włożył kapelusz, a kobieta w krótkiej, futrzanej pelerynce wołała coś do dzieci zbiegających już po schodach, odwróciły się i zamachały rękami, wysoki pastor w ciemnym garniturze podniósł rękę.

Centrum miasta odbiegało wstecz, wieżowce zbliżyły się do siebie i stawały się panoramą. Jechali szeroką ulicą, po obu jej stronach niskie, szare, czerwonoceglane domy. Kobieta w chustce

przewiązanej przez kapelusze odgarniała śnieg. Na lewo wielka grzybnia szpitala Perceval Norris. Z daleka górował nad miastem, naznaczał go swoją obecnością. Minęli szpital, wyrwali się z monotonii małych domków na *High Way*.

— Co się stało dalej? — spytał.

— Dalej?

— Tak, po tym pierwszym bombardowaniu.

— Ach, to było jeszcze bardzo niewinne, to był tylko początek początku. Ale może powiem ci o tym innym razem.

— Tak, naturalnie — powiedział — naturalnie. Powiedz mi tylko teraz czy dobrze jedziemy?

— Nie wiem. Wiem tylko, że dzielnica nazywa się White Marsh, a ulica Forest Drive, jechałam tam autobusem, musiałam dwa razy zmieniać autobus, a potem jeszcze autem. Zjechał na brzeg *High Way*, zatrzymał samochód, wyciągnął mapę z *glove compartment*, rozłożył na kolanach. Prostokąt miasta zaznaczony był jasno-żółtym kolorem, na południu strzępiła go i wrzynąca się w niego niebieska plama zatoki. Palcem lewej ręki wskazał jej punkt na mapie: — Jesteśmy tu, widzisz. — Byli już poza granicami miasta na biało oznaczonym na mapie obszarze *county*. Prawą ręką objął ją i przyciągnął do siebie — widzisz?

— Widzę — powiedziała — ale nic nie rozumiem — czuła tylko jego ramię obejmujące ją poprzez plecy.

— Musimy teraz przeskoczyć na *Northeastern Expressway*. Trzeba będzie skrócić na lewo w Beltway, jakieś dwie mile stąd, a potem już tylko 6 do 8-miu mil, w tym śniegu powinniśmy tam być za niecałe pół godziny. — Nie cofając ramienia spojrzął na zegarek na prawej ręce. — Spóźnimy się powiedział, może z pół godziny.

Oparła głowę o jego ramię.

— John — szepnęła — za sześć miesięcy wyjeżdżam.

Dom Kruków pachniał uroczym, czule, wspominkarsko kapuszą. Alina Kruk-Czerny przygotowywała bigos na wszystkie większe uroczystości. Już na kilka dni czy to przed Bożym Narodzeniem, Wielkanocą czy innymi zgromadzeniami kombatanckimi kupowała w małym sklepiku na ulicy Św. Anny, niedaleko zatoki, kilkanaście funtów czysto wieprzowej polskiej kiełbasy. Nie jakiejś tam *Polish Sausage* w „A and P” anemicznej chudziny w celofanie, ale porządnej polskiej kiełbasy, robionej przez polskiego rzeźnika, grubej, jędrnej, błyszczącej tłuszczem, różowobiałej. Kiełbasa ta miała zapach przedwojennych polskich wędliniarni i serce Aliny topniało w tym zapachu. Potem Jan Kruk-

Czerny przywoził w bagażniku swego biało-niebieskiego Chevroleta kilkadziesiąt funtów kwaszonej kapusty z beczki. Kupował ją w żydowskim sklepie na małej uliczce, tuż nad zatoką, na uliczce gdzie wszystkie sklepy były żydowskie i można było dostać mięso koszerne, a także żywe kury, kurczaki, i kaczki. Razem z kapustą kupował kilka torebek *imported* grzybów, które pachniały korzennie i mocno suszonymi borowikami, ale czasem były belgijskie, czasem niemieckie, a czasem polskie, najważniejsze że z lasów europejskich. Alina piekła wielką połać schabu, w ogromnym kotle dusiła kapustę, kiełbasę, grzyby i schab, dokładając sporo słoniny. Dusiła, podlewając czerwonym winem kalifornijskim i zapiekała na płaskich brytfannach w piecu. Bigos był gęsty, różowawy, mocno korzenny, kwaśny w miarę i wywoływał zachwyty i łzy wzruszenia. To był prawdziwy, polski, myśliwski bigos, podpieczony, przypalony trochę i goście twierdzili, że nie zamieniliby się na najwytwornejsze *Crab Imperial*, specjalność Monumental City, ani na żadne sałatki z *Shrimps*, dumę zatoki nad którą mieszkali i nad którą zarabiali od lat już dolary. Tak mówili, chociaż nie wiadomo co myśleli, gdyż koleżanki córki Kruków, Amerykanki które jadły odgrzewany bigos, nazwały go *your mother's powerful laxative*.

Mieszkanie Kruków, nawet cały ich dom, który dzielili z Madejami na ulicy Forest Hill, w dzielnicy White Marsh pachniał przyjemnie i świątecznie bigosem. Nawet nie znając pory roku, nie orientując się w sytuacji, każdy kto wchodził do domu przy Forest Hill wiedział: Boże Narodzenie, Wielkanoc, albo uroczystość kombatancka. Zapach objaśniał i zapraszał. Tkwił w domu tym, jak wspomnienia i pamiątki po kraju — odkurzana sezonowo relikwia.

Drugim uroczystym daniem Aliny Kruk-Czerny były flaczki z pulpetami, trzecim: śledzie. Kupowała solone matiasy z beczki na tej samej żydowsko-koszernej ulicy, moczyła, oczyszczała, marynowała w occie, w oliwie, zalewała śmietaną. Czwartym daniem był barszcz. Bez barszczu nie było świąt. Alina kvasiła barszcz sama, do obranych, zalanych przegotowaną, ciepłą wodą buraków wkładała kawałek ciemnego, żytniego chleba, który kupowała w niemieckim sklepie w mieście, obwiązywała słój papierem i barszcz kvasił się tuż przy elektrycznej kuchni blisko białej, emaliowanej lodówki. W Ameryce do tych uroczystych potraw dołączył się jeszcze indyk. Do Aliny przemówiła jego majestatyczność i dopuściła indyka do współobywatelstwa z bigosami, śledzikami, flaczkami i barszczem. Na święta nie uznawała Alina ciast kupowanych w piekarniach. Dom musiał pachnieć świeżo pieczonym drożdżowym ciastem. Wtedy dopiero z mieszkania przeobra-

żał się w dom. Piekła wielkie placki z kruszonką i wysokie baby i drżała ze strachu, aby rosnące ciasto się nie 'zazębiło'. Koledzy Macusia stawali zdziwieni z otwartymi ustami kiedy krzyczała na nich: *Close the door, the cake will catch cold!*

Piekła według starej przechowanej w pamięci recepty: 'mąki ile zabierze', 'mleka ile weźmie', 'cukru do smaku', 'soli na oko', a jaja wolała wtedy liczyć na kopy i półkopy zapominając gdzie jest i kto piecze ciasto: służące wiejskie pod kierunkiem jej matki, czy ona sama w mieszkaniu na Forest Hill.

Mimo że ślaniała się na nogach ze zmęczenia pracując po nocach, a we dnie przy maszynie w fabryce, chociaż po bigosie bolała ją wątroba, a od śledzi w occie dostawała zgagi, chociaż ciasto nie zawsze się udawało, owe przygotowania stwarzały jej atmosferę czegoś, co już się nigdy nie powtórzy, co ona tylko sama może wydobyć tkliwie, jak niepotrzebny antyk z kufra na strychu, aby przekonać się, że jest jeszcze, że odświeżony budzi zachwyt i wzruszenie, a potem schować z powrotem na długie miesiące. Tradycja — mówiła — czując klucie łez pod powiekami, łaskotanie gardła i to wszystko, co razem ze zwyczajami i obrzędami połączyło się w jedną, o barwach narodowych tkaninę: patriotyzm i uczucia religijne, żal za krajem własnej młodości i przywiązanie do rodzinnego, utraconego majątku, wszystko, jak jeden bodziec wywoływało to samo ciepłe, sentymtalne wzruszenie i podniecało zmęczoną Alinę Kruk-Czerny do gotowania flaczków, bigosu, barszczu, do pieczenia drożdżowych ciast i gromadzenia w swym emigranckim domu ludzi, którym w tych ciastach, flaczkach, barszczu i bigosie oddawała samą siebie ze szczodłą staropolską gościnnością.

Przez resztę roku Krukowie jedli zupy z puszeki, albo z proszku, hamburgery, pieczoną fasolę z puszeki, *hot dog*'i i *steak* od czasu do czasu i nie różnili się w wyborze menu od przeciętnej amerykańskiej rodziny.

Jan Kruk-Czerny na bożonarodzeniowe, albo wielkanocne uroczystości zdobywał zwykle przez restaurację niejakiego Ryczkowskiego, albo 'pana Józia' na Szerokiej, spirytus rektyfikowany 96-procentowy. Pan Józio kupował go od polskich marynarzy, których statki dobijały do zatoki i z którymi miał pan Józio różne tajemnicze konszachty. Resztę uzupełniał Kruk z i tak już porządnie nadwerżonej kieszeni galonem taniego kalifornijskiego wina, a ze spiritusu przyrządzał nalewki *spécialité de la maison*. W tym roku oprócz spiritusu zdobył Winiak, 75-procentową *Polish Brandy* i butelkę 40-procentowej *Gold Wasser*, Gdańszczanki, w niemieckim sklepie dokupił Zubrówkę i kilka butelek jugosławiańskiego wina po dolar trzydzieści centów za butelkę.

*Cocktail*ów w domu Kruków nie piło się. Wódka, albo nalewka z małego kieliszka, wino ze szklaneczek.

Na obiad noworoczny zaproszonych zostało szesnaście osób. Byli goście ważni i mniej ważni. Do ważnych należał major Czezcota, prezes koła Kombatantów, no i naturalnie doktor Hanka Sanocka, a także Witold Sanocki. Trzeba było także i panią De Chatin, tę biedną, uroczą staruszkę, której przecież nie ludzko byłoby nie zaprosić i z którą własny syn tak bardzo nie po synowsku, no, co tu dużo mówić, trzeba było i już. Kruk trochę przeklinając własną uprzejmość, a trochę swoją dobrocią i pani de Chatin wdzięcznością rozbrojony musiał po nią w tym śniegu jechać, ale obiecywał sobie, że z powrotem, po obiedzie, to już ją komuś podrzuci. Zaproszony był rotmistrz Morski, ale bez żony, no, bo co ta Angielka? Niby mówi o niej 'mój kwiatuś', ale żrą się, wiadomo, i niech człowiek sobie w polszczyźnie odechnie. Rotmistrz Morski, ten Jasio, ten popij-brat, bujacz na potęgę, ale niech mu tam, trzeba zaprosić. Stefański mecenas, ten co paczki do Polski załatwia, ale najważniejsze ma harmonię, przyniesie harmonię, zagra, i żona jego, Stefańska też przyjdzie. No i Wrona-Gordzicki, sekretarz koła, Oleńka Gordzicka, a że oni oboje, więc i teściowie Gordzickiego — Wiśniewscy. Z gości niecodziennych będzie ten lekarz, co go doktor Sanocka ma przywieźć, jakiś Polak co niedawno z Argentyny, Kruk go zaprosił, bo sam, nieswojo się tu czuje, pani Janiakowa, co tu na stypendium i której mąż był tu trzy lata temu i co potem przysłał albumik z fotografiami „Na Pomorzu Zachodnim”, lekarz-Amerykanin kolega pani Janiakowej ze szpitala. Będzie jeszcze Kołczanowa, matka doktor Sanockiej. I Madej, Olek Madej, pomoże przy gościach, i Olka trudno nie poprosić, wszystko jedno co tam jest między nami, a Madejową, bo ona nigdy, zresztą i tak by nie przyszła, ale Olek to co innego.

W stołowym pokoju stół długi, z trzech złożony, nakryty nowymi, czystymi prześcieradłami. Alina Kruk-Czerny ustawia talerze, liczy: szesnaście i my dwoje, to osiemnaście. Krysia na *party* u koleżanki, Maciek na sankach i do wieczora nie wróci. Alina ma na sobie suknię czarną, wycięta w pasie, w biodrach obfita, jak osa. Tylko te nogi, przeciera, rozciera rękami kostki. Popuchły. Bo tyle krzątani, tyle stania przy kuchni, w fabryce jednak siedzi, przy maszynie do szycia, zgarbiona, ale siedzi. W *living-room*'ie, w rogu, pod oknem przy kanapie — choinka, a tuż przy drzwiach szklanych, otwieranych do stołowego — bufet na którym zakąski, kieliszki, butelki.

Pierwsza przyszła pani De Chatin, przywiózł ją Jan Kruk i pomagał zdejmować futro i śniegowce w przedpokoju. Pani

De Chatin, to staruszka dziarska, która ze starością pogodzić się nie chce, trzęsie siwą głową, i potrząsa pupą co mimo osiemdziesiątki — jędrna i okazała.

— Kobito — woła do Aliny, wyciąga ręce całe upierścienione — no mmm... mmm... moja ty kochana, najlepszego... no szalenie, szalenie, ja szalenie... no niech Pan Bóg wam co najlepsze.

— I dla pani zdrowia, pani Henryko, i żeby w tym roku z synem...

— A... nie trzeba mówić, nie trzeba, zdrowie pan Bóg da, jak mnie będzie tu jeszcze chciał. I tak. Ciesz się, kobito, mówię, z tego co masz.

— Pani to taka dzielna — mówi Alina i już odbiega, już ją niepokoje czy aby bigos, barszcz, aby nimi dzielność Henryki De Chatin nagrodzić, a myśli: Biedna, bardzo biedna ta pani Henryka, myśli, że nikt nie wie, a przecież nie ona jedna.

Pani De Chatin siada energicznie, o tak, wygodnie mi, doskonale, siada dzielnie i myśli: po co tam, nikt nie potrzebuje nic wiedzieć, poprawia wisiorek z granatów, wzięła, włożyła na tę uroczystość, bo po co ma leżeć, nie chce myśleć, nie myśli, że ową dzielność dzieli z całym oddziałem owdowiałych matek, które tu do syna, do córki przyjechały na starość. Spaliłam za sobą mosty. Ciesz się, kobito, nie pokazuj po sobie, pana Boga chwal i już.

Argentyńczyk, Wodecki, hucznie z korytarza: Dosiego Roku, Dosiego Roku! Średniego wzrostu, w ubraniu zaamerykanizowanej, ale twarz słowiańska, okrągła, płaska nieco, życie przejechało się po tej twarzy, przeorało, trawa jeszcze nie odrosła. Oczy niebieskie, spłowiałe, na głowie szcnotka-blond i na głowie mu już siedzi i przydusza, uciska kampania 39-go wrześniowa, PKPR angielskie, Argentyna, amerykańskie początki i druga połowa czterdziestki.

— Kolego, pestkówki, własnej, na polskim spirytusie?

— Ja się nie uchylam.

— A pani Henryka?

— A nalej, nalej, na moje lata alkohol dobry. Syn z lekarzami, tymi od getriatrii mówił, i oni jemu tłumaczyli, że dla ludzi starszych zapisywaliby alkohol, na lekarstwo, gdyby naturalnie, rozumiecie, ale popić sobie, dla czego nie. Dobre, no dobre, a mocne.

Za Argentyńczykiem już Wiśniewscy, córka i zięć, ten sekretarz koła Wrona-Gordzicki, przywieźli ich samochodem.

— Wesołych Świąt i lepszego Nowego Roku.

— Kolego, nowy samochód, widzę.



— Dałem stary mój Chevrolet na *down payment*, już się reperacje nie opłacały, to sobie myślę...

— Słusznie. Pestkówki można? Pani Niusi wiśnióweczki, czy zubrówki?

— Ja to zawsze za wiśniówką, u nas w domu to była z tą wiśniówką historia tego rodzaju...

Argentyńczyk przy choince z kieliszkiem pestkówki *à la maison* pochyla się ku Niusi Wiśniewskiej opiętej mocno w gorset i suknię co, aż na biodrach, w szwach ledwo, że ledwo. Nusia starsza od Argentyńczyka, zażywniejsza, ale go przegadać nie może, co usta, w nową, sztuczną szczękę uzbrojone otworzy, to on już wskakuje i... o Argentynie.

— Nędznie, proszę pani, upał, tramwaje, kolejki zapchane, ludzie, jak winogrona przy wejściach wiszą...

— To ja panu — Wiśniewska kieliszek z nalewką *à la maison* odkłada — powiem panu o jednych tu znajomych, myśleli tu nie dobrze, w Argentynie lepiej...

— Dobrze? Dobrze? Polakom pewnie w Argentynie dobrze, bo Argentyńczycy mają wszystkie polskie wady...

Kruk w progę wita gości: Prosimy Rotmistrzu, państwo pozwolą, kolega rotmistrz Morski. Ale nawet nie trzeba go przedstawiać, wiadomo, że rotmistrz, czy to jednak jego nazwisko prawdziwe? Morski? Morski? A wszystko jedno, może i inne było, ale wąsik blond, łagodny, ale nieco podskakujący, włosy z czoła jasne, coś z Pułaskiego w tym włosków zaczesaniu, w wąsiku, w oczach nieco wypukłych, w nosie prostym, siwizna już włosy na skroniach podgryza, krawat nienaganny. Ułan. Czapkę mu, lancę.

— Pani pozwoli, że ja sobie tutaj, nie miałem jeszcze przyjemności, Morski, ale pani nazwisko tak mi koło ucha...

— A niech-że pan siada, a od czego puste krzesło.

— Dziękuję. Pani De Chatin, prawda?

— Tak, no tak, a co takiego?

— Kawaleccy... — rotmistrz uśmiecha się — czy to pani coś mówi?

— Poczekaj-no, Kawaleccy... a mówi, a dlaczego?

— Czy pani znała pułkownika Strzewelca?

— Jak mu tam na imię, zaraz, ale dlaczego?

— A Lareccy?

— Przypominam sobie.

— No tak. W wyścigach braliśmy udział razem.

— To pan i mojego męża...

— Tak. Przepraszam na chwilę.

Argentyńczyk po trzeciej *à la maison* peroruje już zbyt głośno:

— Więc, proszę państwa, z czego na przykład żyje taki emerytowy pułkownik argentyński? Tam, proszę państwa, co dwa tygodnie wszystko się zmienia. Więc taki pułkownik przechodzi w 45 roku życia na emeryturę, ma dwie służące, samochód i o siódmej rano wychodzi na miasto z pustą teczką...

W korytarzu Jan Kruk-Czerny witał Sanockich. Pierwsza weszła matka Hanki, Kotczanowa, wsunęła się, jej uśmiech był przygasły i ciężył na niej raczej niż ją rozpromieniał. Podeszła do pani De Chatin rozmyślającej gorączkowo nad tym, kto to jest ten rotmistrz Morski, pochyliła się całując ją w oba policzki, ale tak, jakby jej nie zauważyła nawet, usiadła przekładając z ręki do ręki torebkę.

Alina Kruk-Czerny przybiegła z kuchni, opasana fartuchem, zaczerwieniona, pośpiesznie liczyła kto jest, kto przyszedł, bo już przecież po drugiej, podawała rękę, całowała panie, wykrzykiwała co chwilę „No strasznie się cieszę” i stanęła zażenowana trochę przed doktorem Ketlerem. Doktor w płaszczu jeszcze, ale już bez beretu, trzymał w ręce opakowane w biały papier kwiaty.

— Rączki całuję — skłonił się — dla pani domu, nie polskie kwiaty, ale z polskimi życzeniami „Dosiego Roku”.

— Jak to miło — szepnęła Alina — jak miło. I patrzyła na Hankę Sanocką czerwoną i złotą w obcisłej sukience z brokatu, na Hankę gładką i strzelistą, pewną siebie, swoich oczu i ust, ręki mocnej, szyi na której wprawne oko tylko zauważy zmarszczki, na Hankę, która we wzroku doktora Ketlera kwitła i uśmiechała się zmużeniem oczu, aby ze spojrzenia jej nikt, nie, ale Alina Kruk-Czerny podchwyciła, wiedziała, a rozwijając z papieru cztery łososiowe gladiole, które doktor Ketler kupił w szpitalnej kwiaciarni, powiedziała:

— Kwiaty, cóż jest piękniejszego w zimie nad kwiaty.

— Witold parkuje samochód — powiedziała Hanka Sanocka — cały tam zajazd, cały kulig przed państwa domem.

Doktor Ketler uśmiechał się szeroko, roztapiał w świątecznych zapachach.

— Bigos czuję, bigos, aż na drogę bucha.

— Pani pozwoli — skłonił się przed Niusią Wiśniewską rotmistrz Morski.

— Wiśniewska.

— No naturalnie — szepnął i uśmieszek tajemniczy — Romuald Wiśniewski.

— Skąd?

— Majątek w Kieleckim mieli.

— Znał go pan?

— W jednym pułku.

— Ale skąd pan wiedział, że my i on...

— Nic... nic... słuchajmy co kolega opowiada.

Wiśniewski podskoczył do Hanki, zapalił jej papierosa, ubiegł Ketlera, we dwóch koło niej.

Wiśniewski po Żubrówce nabrał animuszu i do złoto-szkarłatnej Hanki:

— Pani doktor, to coraz to młodnieje.

Wiśniewska posłyszała, wzruszyła ramionami, mruknęła: stary zbereźnik, Argentyńczyk przed nią gestykułuje. Kto to ten Morski? — myśli Nusia Wiśniewska — skąd on...?

Witold Sanocki wszedł ciężko, ponuro, starał się uśmiechnąć, ale nie mógł. Przez ostatnie miesiące, ostatnie nawet tygodnie przygasał, posiwiał, denerwowali go ludzie, opuszczała go energia do pracy, do życia. Najlepiej czuł się sam, był u progu tego stanu w którym człowiek zaczyna wątpić w wartość własnych wysiłków i wydaje mu się, że ludzie wiedząc o tym, odsuwają się od niego.

— Czego się napijesz, Witek? — podszedł do niego Kruk.

— Wszystko jedno.

— Co ci jest?

— Starzeję się. I... chciałbym z tobą potem pomówić.

Spojrzeli jednocześnie na środek pokoju gdzie Hanka i Ketler i Wiśniewski.

— Przepraszam cię — powiedział Kruk — zdaje się, że to Olek majora przywiózł.

Major wszedł gładko, pewnie, figura prosta, tylko by czarnym tuszem kilkoma kreskami uwiecznić, starszy już, ale włos kruczcy, siwe nitki na skroniach dystyngowane, wystąpienie jego towarzyskie przecież, ale i reprezentacyjne i zaraz wszyscy do niego: Majorze, majorze...

— Żubrówki majorze? — podskoczył Kruk, a ciężko mu było podskakiwać z tą przestrzeloną nogą i wagą nadmierną nieco, ale do majora podskoczył.

— No co robić — major mówi wolno, dobitnie, na przemówieniach też tak mówi, głos ma donośny górujący nad gromadą — no to dawaj — major do wszystkich per ty, i tak trzeba, nikt mu tego, broń Boże za złe, złe jest, gdy do kogoś per pan — no dawaj tę Żubrówkę Kruk, niech się na Nowy Rok napije.

Za majorem Olek Madej. Głowa Olka pierwsza, potem szyja, a za nimi barki przygarbione, jakby z za świerków i buków w lesie jeszcze wypatrywał, a tu amerykańskie życie znienacka za kark, za kark, trzęsie w te, wewte, wspólny dom, żona się z Krukami zgodzić nie chce, i on też powinien, nie powinien, żona, a tu komendant partyzantki.

- Olek, żubrówki chcesz?
- Czemu nie, ja nie od tego.
- Ja bym z tobą, Kruk i z majorem chciał potem... tak na osobności, ja już majorowi...
- Poczekaj, no poczekaj...
- Majorze — woła Nusia Wiśniewska — prosimy do nas.
- Jak panie proszą, to ja nie odmawiam.
- Pan właśnie, niedawno z Argentyny, a to nasz major.
- Wodecki jestem... z PKPRu kapitanem wyszedłem i na kapitaństwie stoję... nikt mi tam, majorze szanowny...
- Czeczota.
- Nikt mi tam, tego, majorze drogi... — Argentyńczyk już kolejek nie liczy tylko coraz to pod pestkówkę *à la maison* kieliszek podstawi — awansów już nie dawał, ani orderów... Rotmistrz poderwał się, majorowi krzesło podsuwa i do Argentyńczyka:
- Co tam, proszę kolegi, ordery. Kto tu na emigracji dba o ordery. Ja panu, powiem, kapitanie, na Rząd Narodowy kto pieniądze prześle — temu order. Tak się to robi.
- Tak? — Argentyńczyk głową kiwa — to tak?
- Głupstw byś nie opowiadał, Morski.
- Majorze, słowo, żebym tak trupem padł. Ja majorowi przykładzik mały. Każdy wie. Polonia Restituta dali jakiemu amerykańskiemu kapitanowi marynarki za to, że zatrudnił u siebie kilku Polaków. No i ktoś tam napisał i te dwadzieścia pięć dolarów posłał na Rząd Narodowy. Więc ja... papier biore, pióro i do nich, że tak, a tak, memoriał taki im wysłałem.
- Morski, nie opowiadałbyś...
- Słowo majorze, żebym tak trupem...
- To tak — Argentyńczyk woła — to taka ta nasza polityka i co major na to, co pan major na taką poli-ty-kę...?
- Panie kochany — major wstał i aż przytupnął i wolno, cedząc słowa — zalałeś pan, panie kochany makówkę, to nie mogę z panem przeprowadzać dyskusji politycznych.
- Majorze cicho, niech major... — Nusia Wiśniewska swoje 220 funtów na paluszki podnosi i majorowi do ucha: niech major nie zważa, żona go rzuciła, w Argentynie z synem została.
- Eee... — major ręką machnął i podszedł do pani De Chatin.
- Można tu koło pań?
- A siadaj, no siadaj tu sobie — pani De Chatin majora rączką po kolanie zalotnie i czule majorowskie kolano gładzi — tak tu sobie niech pan major siada.
- Wiśniewska do Argentyńczyka głośno, biustem, aż go trąca:

— Bo historia była tego rodzaju, że oni się rozeszli, ona, rozumie pan, nic, tylko do Polski, a on jej jeszcze na drogę...

— Proszę pani, w Argentynie 90 procent małżeństw polskich się rozwodzi...

Kołczanowa drgnęła, podniosła się, poprzez ramię na Hankę. Hanka z Ketlerem, a Witold tam w kącie i do Kruka pochyla się, ucho zatyka, rękę do ust przykłada, bo już gwar, już harmider.

— Przepraszam, pani Henryko, ja tam pani Alinie w kuchni pomogę — i do Ketlera — doktorze, doktorze, bigos chodźmy popróbować, doktor smakosz, doktorze...

— Rączki pani całuję — Ketler oderwał się i już sunie — ja do kuchni zawsze, pokrywki lubię u garnków podnosić.

Olek Madej zafrasowany podszedł do majora:

— Ja bym tak z panem majorem na osobności, na minutkę...

— Idźcie, idźcie — pani De Chatin potrząsa siwą głową, myśli, jak mi te włosy zrzedły. Rękę do włosów, rękę ku starości, nie odrosną już chyba, żeby perukę, ale ja w tych tanich perukach potwornie... potwornie...

— Idźcie... ja tu sobie, o, z panem Wiśniewskim.

Wiśniewski przysiadł się, ale zaraz podniósł i do stołu gdzie bufet. Po butelkę.

— Można pani winiaku?

— Dawaj.

— Jak zdrowie pani? — spytał. Dojrzał żonę, kolana jej wychodziły spod spódnicy.

— Niusia — syknął — i ręką pokazuje kolana. Ale Niusia nic, tylko peroruje coś do Argentyńczyka.

— Nic, nic — trzepnęła go po rękę pani De Chatin — a trzepnęła, jakby wachlarzem lekko i zaraz rączka szczupła, od żył błękitna, od pierścionków ciężka, odskoczyła — nie trzeba się denerwować, co tam, niech sobie, jak wygodnie.

— Jak się pani czuje?

— Świetnie. Bogu dziękuję. Kobito, ciesz się, nie narzekaj. Śnieg jest, wyjrzę przez okno, cudnie. Patrz, mówię, kobito, mało ci? Panu Bogu dziękuj, cicho siedź i już. Narzekać? A psu na budę, psu na budę...

— A syn?

— Przepracowany. Mówię, nie przepracowuj się tak. I teraz ma masę, no masę różnych takich szalenie odpowiedzialnych rzeczy, taki szalenie przepracowany.

— Każdy z nas.

— No widzi pan, takie czasy, ale on szalenie, nadzwyczajnych zupełnie tam w swojej firmie rzeczy dokonał, jeździ stale,

w Europie był teraz na zjeździe i te podróże takie szalenie wyczerpujące.

— Ale jeździ, gdybym to ja tak mógł.

Major i Olek o ścianę oparci, szepczą i major uprzejmie, troskliwie, a godnie ku Olkowi nachylony:

— Teraz tam do niej na dół nie pójde, rozumiesz? Krukowa by się obraziła, że ja do nich i zaraz tam do Juli. Przyjde któregoś dnia. A arbitra się wam wyszuka, poradzi się. Sprzedać by to trzeba. Bo, jak to tak? Troje dzieci masz z nią, mówisz matka dobra, ja sam wiem, że dobra i żona ona zła nie jest, a że ją jasna anielka bierze, że ty tu u Kruków kiedy ona by ich w łyżce wody, to się nie dziw, mówię ci.

Alina Kruk-Czerny z głową już cierpnącą leciutko po kalifornijskim i ciepłym rozweselającym w piersiach, a i zachwytaami doktora Ketlera nad barszczem rozczulona, z kuchni wybiega i do pani De Chatin w przelocie:

— Pani Henryko, zakąseczkę ze śledzikiem, w oliwie, w śmietanie?

— Jem kobito, jem. Zuch kobita, nadzwyczajne to wszystko. Jak to inaczej jeść razem, w towarzystwie zaraz mi apetyt wraca i szalenie, szalenie wam jestem wdzięczna... Patrzcie-no tylko ile tego naszykowała!

— Jest bigosik i flaczki.

— No kobito, no już... nie wiem zupełnie co mówić.

— A jak tam syn?

— No szalenie, szalenie... zapracowany.

— Taak? — Alina Kruk-Czerny kiwa głową współczująco, ale bardziej oczom pani De Chatin współczuje, wpadniętym głęboko, wilgotnym, piwnym, udającym odważnie rozpromienienie i radość. Szamocze się, biedna, udęcza się w samotności. Ale ten syn, syn, nawet go nie znam. Już mi kością w gardle to jego szalone zapracowanie. A ja to co? A Jan? A my wszyscy? Zaraz, zaraz ile to już osób? O, są Stefańscy! Czy aby tylko harmonię? Podbiegła, ręce wyciąga:

— Panie Kazimierzu jak ja się cieszę!

Stefański niedawno, kilka lat temu dopiero przyjechał do Ameryki. Wysoki, otyły nieco, twarz dobra, pogodna. Ale smutek w twarzy, cień. Powrotu nie ma, a życie tu nie takie, jakby myślał. Ech, co za życie, rozdzielone, rozdarte, ani z kim pogadać, ani z kim się pośmiać. Bo też to Monumental City — prowincja zabita deskami, w takim New Yorku, w takim Detroit, Chicago, to grupa polska silna. A tu? Albo się zaamerykanizować, albo zejść do Polonii na Szerokiej. Koło Szerokiej się usadowił, w nie-

dzielę gra na organach, w dzień powszedni w Polskim Biurze Podróży pracuje.

— Pan mecenas — mówi Kruk — widzę harmonię przywiozł.

— Zona, żona przypomniała! — Alina Kruk-Czerny Stefańską w jeden policzek, w drugi policzek całuje i pod ramię ujmując, prowadzi:

— Pani mecenasowa Stefańska.

Hanka drgnęła, spojrzała, myśli: w przedwojennej Polsce jeszcze ta Krukowa żyje, pani mecenasowa, pani doktorowa, jak już tam nie należą, jakie to wszystko obce. Uśmiecha się, podaje rękę Stefańskiej szczupłutkiej i nieśmiałej.

— Sanocka, bardzo mi miło.

W drzwiach kuchni doktor Ketler poszukał podchwycić jej spojrzenie. Minęła Stefańską, którą już Alina Kruk-Czerny do pani De Chatin, do Niusi Wiśniewskiej i pani mecenasowa... pani mecenasowa, niby nie chcący, nie patrząc, usuwając się tylko z drogi mecenasowi, mecenasowej, Alinie — wychodzi mu na przeciw, spotkali się w stołowym nad chlebem z niemieckiej piekarni, nad talerzykami masła, śledzikiem, nóżkami w galarecie.

— Kiedy my się spotkamy, pani Hanko? — Ketler szepcze, a po żubrówce szepet jego odważniejszy, gorący.

— Przecież widzimy się teraz.

— Pani Hanko, dlaczego pani udaje, dlaczego pani chce samą siebie oszukać, przecież pani wie dobrze...

— Nie wiem — mówi Hanka, jej szyja w głębokim wycięciu sukienki czerwienieje.

— Czy pani nie widzi co się ze mną dzieje, czy nie zauważyła już pani pierwszego dnia, co wieczór chcę telefonować, usłyszeć pani głos, szukałem pani w szpitalu, chciałem już przyjść...

— Niech pan lepiej teraz nie przychodzi...

— To znaczy, że nie chce mnie pani już widzieć. W takim razie nie będę się narzucał. Wydawało mi się... ale teraz już nie wiem. Pani Hanko, pani myśli i mówi co innego. Niech mi pani powie, błagam, niech mi pani...

— Panie Adamie, nie tak blisko, już się na nas patrzają...

— Niech mi pani tylko powie: tak czy nie. Czy mam się więcej nie odezwać, czy też chce się pani ze mną zobaczyć.

Odwróciła się: Kruk, Madej, Witold i major zbici w gromadę. Major ręce rozkłada a oni pochyleni słuchają, przytakują, a najniżej pochylony Madej.

— No a gdzie jest Wrona-Gordzicki, dajcie go tu! — woła major.

Witold podszedł do stolika, podniósł butelkę, napełnił kieli-

szek, spojrzął na Hankę, na Ketlera, odszedł, wrócił do gromady gdzie major, kieliszek drżał mu w ręce, major powiedział:

— Koledzy Sanocki i Wrona-Gordzicki na arbitrow.

Hanka przesunęła talerz, pochyliła się nad stołem udając, że poprawia talerze.

Wyprostowała się, z małego stolika wzięła gościnnego papierosa. Ketler podszedł, trzymając zapaloną zapalną w palcach, powiedział:

— A więc nie dostanę żadnej odpowiedzi.

— Tak. — powiedziała — spotkam się z panem.

— Kiedy?

Spojrzenie Niusi Wiśniewskiej przemknęło po nich, przemknęło, ale zahaczyło.

— Kiedy?

— Nie wiem jeszcze.

— W czerwcu wyjeżdżam.

Nusia Wiśniewska przechyliła się do stojącej obok niej córki.

— Oleńko, teraz nie patrz, ale później coś ci...

— Ja wiem — szepcze Oleńka, filigranowa przy matce, włosy wysoko spiętrzone — każdy wie, tylko nie on...

Hanka Sanocka cofnęła się w róg pokoju. Oparła się o kredens. Myślała: Nigdy mi nie wierzył i nigdy mi nie uwierzy. Nie mogę porozmawiać z żadnym mężczyzną, bo natychmiast dopatrzy się... a więc się dopatrzy. Spojrzała na plecy Witolda, wzdryła ramionami. Ketler oparł się ręką o kredens. Powiedział:

— Nie wolno traktować życia zbyt poważnie. Nie ma sensu walczyć przeciwko samemu sobie. Jesteśmy jednym ze zjawisk przyrody i nie powinniśmy się jej opierać. Pani, pani Hanko, walczy ze sobą, nie chce mi pani powiedzieć otwarcie, ale przecież ja panią szanuję, ja panią rozumiem, praca lekarza to ustawiczna szarpanina, a jeśli ta szarpanina, to zdenerwowanie przeciąga się aż poza godziny pracy, jeżeli i w domu nie ma wytchnienia, nie ma zrozumienia, to wpada się w jakiś ciemny, wciągający lej i to staje się początkiem depresji. Pani jest taka urocza, ale wydaje mi się, że nie jest pani szczęśliwa. — Twarz doktora Ketlera była teraz twarzą dobrego lekarza pochylonego troskliwie nad łóżkiem pacjenta. Ujął nawet rękę Hanki w przegubie, jak gdyby starał się zbadać jej puls.

— Wydaje mi się — powiedziała — że pan mnie pierwszy zrozumiał.

Alina Kruk-Czerny ujęła się pod boki.

— Kujawiaka nam pan zagra, panie Kazimierzu?

— Zagram — zgadza się Stefański.

— I oberka. Ja przy oberku odżywam. Nie ma to jak obe-



rek, obereczek! — zakręciła się, tupnęła nogą w podłogę. Z dołu odezwało się głucho, kilkakrotne uderzenie w podłogę, widocznie w sufit mieszkania na parterze. Madej podniósł głowę do góry, wzruszył ramionami uśmiechnął się pół-zagadkowo, pół-głupkowato i przepaszająco.

— Major słyszał, majorze.

— No a co ty chcesz, żeby tylko jedna mogła walić w podłogę? Krukowa w podłogę, Madejowa w sufit. Czekać, załatwi się, arbitrowi już macie.

Alina Kruk-Czerny jęknęła, przekleła cicho i pobiegła w stronę kuchni.

W stołowym pokoju zatrzymała się, przymrużyła jedno oko i do Hanka która drgnęła i cofnęła rękę, do doktora Ketlera, który już uśmiechnięty, kłaniający się:

— A państwo tu tak sobie flirtują.

— Na tematy zawodowe — mówi Hanka.

— My kobiety to zawsze mamy kilka zawodów, ale ten jeden to ma każda, ten jeden najważniejszy.

— O, wstydziliby się pani, pani Lilko.

— Czego się wstydzić, pani Haneczko, czego? No nie mam racji, doktorze?

Ketler śmieje się i już z lekarza troskliwego w rączki-całującego, kłaniającego się przeskoczył i Alinę Kruk-Czerny w rączkę.

— Racja, pani Lilko.

— Widzi pani, jak on panią kocha!

— To za ten bigos.

— Za bigos.

— On już się do tego bigosu wrywa, niech go pani z sobą do kuchni zabiera, pani Lilko — przestraszyła się swego głosu, załamał się, zdradził ją, ale Alina Kruk-Czerny nie zauważyła, już o jedzeniu myśli, już do kuchni. Tylko Ketler spojrzął i tonem głosu ośmielony, utwierdzony szepnął:

— Na pewno?

— Tak, tak — odsunęła się od niego, odwróciła, wolno przeszła do *living-room*'u.

Pani De Chatin kiwnęła się na krzesło. Zaraz oczy otworzyła, strzepnęła głową energicznie. To po tej Brandy. I do Wiśniewskiego:

— No więc tak, tak mi się trochę w głowie...

Ale Wiśniewski już przy Hance Sanockiej, więc krzesło jego puste. Sięgnęła ręką po kanapkę ze śledziem, przegryzła. Syn mój szalenie, szalenie... — spostrzegła się, że mówi do siebie więc już tylko szeptem i głową potrząsając kończy: No tak, kobito, nie narzekaj, zawsze do pustego krzesła i teraz...

Ketler wszedł do kuchni, pociągnął nosem.

— Ale zapachy!

Kołczanowa układała filiżanki do barszczu na tacy.

— Dawno pan u nas nie był.

— Praca.

— No widzi pan, panie doktorze, w Ameryce to się jednak dużo ciężiej pracuje niż w Polsce. Każdy to mówi. Prawda, pani Lilko, pani to coś by na ten temat mogła powiedzieć.

— Mogłabym — mówi Alina — gdzie ja bym kiedy w życiu myślała. Ja w fabryce. Ale nie narzekam, byle tylko zdrowie. Zdrowie tu, w tym kraju najważniejsze.

Ketler niby to słucha, ale cały w zapachach, przy elektrycznej kuchni. A na niej gary! Na stoliku kuchennym gary. Na lodówce ciasta. Na kredensie kuchennym wysokim, wbudowanym w ścianę garnuszki i talerze. Alina otwiera drzwi do spiżarki, wyjmuje a jeszcze bochenek chleba, a jeszcze ogóreczki.

Ketler podniósł pokrywkę garniczka. Barszcz.

— Chce pan spróbować?

— Z rozkoszą.

Próbuje i zachwyca się, rozplęwa: — Co za gospodyni!

Alina oparła się o ścianę, założyła, splótła przed sobą ręce. Zmęczona już, aby chwilę odetchnąć i rozżala się:

— A tak, tak, wszystko się kurczy. Tylko ten barszcz i bigos, flaczki i śledzie, tylko to, tylko... ach mój Boże...

Kołczanowa pochyliła głowę, łyżeczki układa, a rozżalenie Aliny już ją ogarnia, przełknęła łzę. Czego oni się tak żrą ze sobą, tutaj, a przecież powinni się jeszcze zbliżyć, zrozumieć i znów dziś wieczór będzie awantura, ja już tak nie wytrzymam, ja sobie gdzieś pójdę... bo jak jeszcze się rozchoruję i będą musieli za mnie płacić...

Ketler promienieje. — Przecież to ucztą!

Alina opuściła ramiona, kącik ust zadrżał ironicznie. Nie rozumiemy się, prawdę Jan mówił, prawdę major mówił, już my się z nimi nie rozumiemy.

— Niech pan z łaski swojej, doktorze, ten barszcz nalewa do filiżanek, bo ja słyszę, że goście.

— Jeszcze? — pyta Kołczanowa.

— To chyba będzie pani Janiakowa i ten lekarz, pan ją może zna panie doktorze?

— Nie. A skąd ona?

— Tak, jak i pan, stypendystka z Polski. Przepraszam.

Ketler nad garniczkiem z flakami pochylony, pokrywkę podnosi, łyżkę zanurza. Kto to znów, do jasnej cholery? Janiakowa? Lekarz? I co tu tę babę, po co tu ona?

Hanka majora za łokieć odciąga:

— Majorze, w ogóle mnie major nie zauważa, ignoruje.

— Nie mów, mała, nie opowiadaj, bo ja wszystko widzę.

— Co tam major widzi, mnie major wcale nie widzi. A gdzie żona?

— W chałupie została, grypuje i w papirkach siedzi, a mnie wypchnęła.

Alina Kruk-Czerny przebiegła przez pokoje i do korytarza, gdzie już Kruk i do gości:

— Prosimy, prosimy...

Joasia wspina się na schody, woła:

— Przepraszamy bardzo za spóźnienie.

Ketler podszedł do pani De Chatin, przysiadł się.

— Można?

— Zawsze można, zawsze, przy starej też można.

— Rączki pani całuję. A gdzie ta starość? Niech pani nie żartuje.

Pani De Chatin pokręciła się na krześle, zaśmiała.

— Filut!

Doktor Ketler zerknął do korytarza. Co to za stypendystka? Głos słysząc, ale nie, nie znam jej chyba.

— A pan tu z Polski, prawda? Doktor...

— Ketler, proszę łaskawej pani.

— A od kiedy?

— Trzy miesiące, kawał czasu, wyjeżdżam za kilka miesięcy.

— Kawał czasu, no coś takiego, ja już tu sześć lat.

— Zadowolona pani?

— Zadowolona, niezadowolona, zadowolona, jak to w życiu, jeden dzień słońce, drugi... A co tam, psu na budę... siedź, mówię kobito, jak ci dobrze. Panu Bogu dziękuj.

Joasia już na schodach poczuła zapach kapusty. Bigos, oj, jaką ja mam ochotę na bigos. Ale John? A co on powie?

Kruk w progu krzywą wargą szeroko, gościnnie uśmiechnięty. Kruk tęgi, nie za wysoki, ubranie na nim luźne. Ale uśmiech, ale pochylenie ku gościom i twarz rozjaśniona.

— Ale nam tu baseballistę przyprowadziła! Ho, ho, ho!

— Doktor John Armstrong, Mrs. Kruk, Mr. Kruk — Joasia zadyszana, różowa, kwitnie.

— *How are you*, doktor Strong? — Kruk wyciąga rękę gorącą i mocną, potrząsa serdecznie, ucziwie, niech polską gościnność poczuje. Nie słyszy szeptu Joasi: — Armstrong, proszę pana, Armstrong...

— *How do you do*, sir, *happy New Year*, *it was so kind of you...*

— *Come on, make yourself at home.*

— *How do you do, Mrs. Cook...*

— Prosimy, prosimy...

John Armstrong stanął na progu *living-room*'u. Jak nad brzegiem rzeki. Rwęcej naprzód nie wiadomo skąd i dokąd. Jej szum i szelesty — niezrozumiałe. Jej spienienie, wiry — obce. Koloryt wody — tak inny, aż zatrwazający. Po łagodnym, śnieżnym krajobrazie ziemi i osiedli wzdłuż *high-way*'u, po swojskim pomruku motoru — niepokój i obcość. Gorączka. Nastrój początków burzy, gdy wszystko już drży, każdy liść i źdźbło trawy szamocze się oczekujące. Uspakajali się, patrzyli na niego, podchodzili w zbyt uprzejmych powitaniach, ale oczy ich już penetrujące, oceniające dostrzegały jego inność, którą starał się przełknąć. *Hell* — myślał — po co ja tu przyszedłem? Spojrzał na Joasię zdejmującą płaszcz, przyglądającą włosy i widział: ona też. U niej też to zażenowanie i niepewność. Ale nie to samo. Potrząsał ręce, ale nie widział twarzy. Uśmiechał się, niby to ulegając wesołości, której prawdziwość wydawała mu się sztuczna, jak wesołość ludzi szalonych, którzy swym zbyt krzykliwym śmiechem i rozmowami starają się siebie zagłuszyć. Zwykłe wrażenie człowieka, który przychodzi spóźniony na *party* — myślał. Bo przecież i uśmiech Joasi nieprawdziwy i we wzroku jej, który na chwilę przychwycił jakby panika: cofnąć się, uciekać, zbiec razem po schodach, uciekać poprzez śnieg, aż do bezpiecznej skorupy niebieskiego *Volkswagena*.

Alina Kruk-Czerny pochyliła się do męża: — Temu Amerykanowi może piwa?

I Kruk już podskakujący, do ramienia sięgający John'owi:

— *Would you like a bear, yes?*

— *O God! Would I what?*

— *A bear, bear this* — otwiera puszkę, nalewa — *this, yes?*

— Panie Janku — szepcze Hanka Sanocka — nie *bear, bear* to niedźwiedź... *beer... beer...*

— *Oh beer!* — John Armstrong odwrócił się ku Hance. Uśmiechnęli się. Przyjął z rąk Kruka szklanekę piwa. — *Sure. Thank you.*

— Wódki mu niech kolega da! Co tam piwo! — Argentynczyk ma już w czubie, twarz mu nabrzmiała, oczy w niej blade, wodniste, ale oczy to nic. Ręce! Wywijają nimi, a gestykuluje: prawa w bok, lewa w górę, lewa do boku, prawa przed siebie, aż obie rozłożył bezradnie:

— Po dziesięciu latach przyjechałem tu z 500 dolarami oszczędności. Dziesięć lat pracy! Żona, jak mówiłem została, syn z nią.

Podniósł się, ruszył do Armstrong'a:

— *Wodka, not beer!*

— Panowie się nie znają — przedstawia Kruk — inżynier Wodecki — doktor Strong.

— Armstrong. *How do you do* Mr. Wo...cki?

— *Do you speak Spanish?* — podsuwa się blisko Argentyńczyk.

Hanka wzruszyła ramionami, odeszła. John spojrzął za nią. Powiedział szeptem:

— Czy pani jest lekarzem?

Skinęła głową: — I niedługo pana wyratuję.

— Pani pozwoli, pani Joasiu, doktor Ketler, też z Polski.

Ketler wstał: — Rączki całuję. Pani z Polski? — I nie czekając na odpowiedź: — A kto to jest ten... ten Amerykanin?

— Doktor Armstrong.

— Tak, słyszałem, ale kto on jest?

— Nie mówi pan po hiszpańsku? — nalega Argentyńczyk.

— Niewiele, tak trochę. Powinienem właściwie i zamierzam podszkolić się trochę, odświeżyć, powinienem to już dawno załatwić.

— *Se puede arreglar to do, solamente no la muerto.*

— *Sure* Mr. Wo...

— Wodecki.

— *I am sorry.*

Hanka Sanocka podeszła pochyliła się, zaczepnie powiedziała:

— Pani Lilka prosi już do stołu. Zabieram doktora Armstronga, bo go pan tu, inżynierze, tym hiszpańskim zamorduje.

Joasia usiadła na krześle przy pani De Chatin.

— Kto to jest ta pani w tej brokatowej sukni?

— Kto, co? — ocknęła się pani De Chatin.

Doktor Ketler usłyszał, wychylił kieliszek, nalał sobie, powiedział:

— Piękna kobieta, prawda?

— O tak, tak — pani De Chatin kiwa głową twierdząco, uroczyście — szalenie, taka, taka... szalenie ognista. To zdaje się żona tego pana tam, co z majorem.

Major przyrmużył jedno oko:

— Ta twoja żona, Witold, to zadzierzysta.

— Niech się bawi. — Witold śmieje się. Wszystko mu staje się obojętne. I po co się denerwowałem, gdy nagle taka chłodna obojętność. Co ona mnie właściwie obchodzi? Nie zdolny już jestem nawet do uczucia zazdrości, wszystko jest poza mną. Spogląda na Ketlera i czuje gorzką, mściwą satysfakcję.

— A pamiętam wasz ślub w Londynie — mówi major —

jak dziś pamiętam. Tylko Witold, żonkę trzeba bić, trzeba żonkę bić.

Alina Kruk-Czerny kłania się, zaprasza:

— Barszczyk na stole. — A do męża cicho: — Jan, tego doktora, tego Amerykanina koło majora.

— Koło majora?

— Tak, major będzie sobie chciał o polityce.

— Ale on z tą Joasią i teraz, no widzisz, już go Sanocka.

— No to jak chcesz, ale koło majora.

— Pani Henryko, prosimy, może pani z łaski swojej tu pozwoli.

Alina już panią De Chatin na honorowe miejsce po lewej stronie stołu, a pani De Chatin przeginając się i: — Kobito, bój się Boga, a coś ty tu nie naszykowała!

— Pan, panie rotmistrzu, koło pani De Chatin.

— Dziękuję najuprzejmiej.

— Pan Kazimierz Stefański koło pani Niusi Wiśniewskiej, o tu zaraz proszę i ja sobie później koło pana siadę. Będziemy śpiewać.

— Będziemy! — Stefański już posuwa się miękko, już się rozruszał, nalewka w nim buzuje przyjemnie, tylko coraz to myśl go dręczy, pytanie dopada: Kto to ten Ketler? Co to za typ?

— Majorze, majorze kochany, tu prosimy, na honorowym miejscu, po prawej, doktor Strong, *would you please...* pani Haneczka koło doktora...

— Majorze... na chwileczkę.

— Co tam, Kruk, co, koło Amerykanina żeście mnie...

— Sympatyczny człowiek.

— Musimy — major szepcze ku Kruka wardze krzywej i drgającej — tego Amerykanina popierać, żeby podpierał Johnsona w Wietnamie.

— Już mu tam major najlepiej.

— Zrobi się.

Alina Kruk-Czerny liczy: — Szesnaście, z nami osiemnaście, wszyscy przyszli — i głośno:

— Pani Joasiu tu koło majora z drugiej strony, prosimy i doktor Ketler...

— Rączki całuję. — Myśli: Czego mnie, u diabła tu przy niej?

Oczami poprzez stół, ponad filiżanki z barszczem dymiącym na Hankę, szepnął:

— Ślicznie dziś pani wygląda. — I głośno do Joasi: — To pani doktor także w Perceval Norris?

— W zakładzie biochemicznym.

— I nad czym pani...?

— To jest praca w zakresie enzymów.

Olek Madej i Kruk obchodzą stół, nalewają wódkę do kieliszków.

— Mocna wódka, takiej to tu doktor nie dostanie — Kruk aż chichocze i w Johna Armstronga kieliszek spiritusu — tylko ostrożnie, bo...

— *I am terribly sorry* — John pochyla się do majora — ale zapomniałem pana nazwisko...

— Czeczot.

— *Oh! Can I just call you major?*

— *You can.*

Argentyńczyk między Hanką, a Aliną Kruk-Czerny, kieliszek podnosi:

— Żeby nam się dobrze działo!

— Cicho, proszę pana — Alina trąciła go łokciem — major będzie mówił. Majorze, majorze, prosimy o wzniesienie toastu.

— Jak tak nalegacie — wzruszył ramionami major. Ale już podniósł się, zadzwonił widelcem w kieliszek i zaraz wszyscy ucichli.

— Po dwudziestu latach Polska wciąż znajduje się w sytuacji uniemożliwiającej narodowi niezależny byt i ustrój demokratyczny.

Doktor Ketler spuścił głowę, a w głowie mu szumiało: gdzie ja, cholera, gdzie oni mnie... na wiec polityczny, ale ciekawe, no ciekawe, niech tam sobie...

Major mówił dalej. Olek Madej aż wyprostował się na baczność i zastygł z butelką w ręce. Pani De Chatin kiwała głową: słusznie, no słusznie... Wrona-Gordzicki brwi zmarszczył uważnie, Sanocki oparł się ręką o stół, myślał: taka obojętność... jak to mnie ogarnęło, taka pustka wewnętrzna, a oni? A ten Wodecki, ten Argentyńczyk? A Olek Madej?

— Polityczna zatem emigracja — mówił major — zachowuje w pełni swą rację bytu i jej zadania pozostają zasadniczo bez zmian. Jak co roku, od lat przeszło dwudziestu, patrzymy z nową nadzieją w nadchodzący nowy rok... — Tu niespodziewanie i w bardzo nieodpowiedni sposób wyrwał się Argentyńczyk. Ryknął na całe gardło:

— Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei...

— Wstydziliby się pan — kopnęła go pod stołem Alina.

— Śpiewać później będziemy — powiedział major spokojnie. A już Kruk podbiegł, nad Argentyńczykiem się pochylał, szeptał, a goście zgorszeni spoglądali i do majora: prosimy, prosimy dalej. Rotmistrz Morski pochylał się ku Niusi Wiśniewskiej, szepnął: — To jest zwykła dywersja polityczna, mnie już o nim... i kto

tam wie... — Umilkł, bo major donośnym, dźwięcznym i posłuch nakazującym głosem kontynuował:

— Mimo podziałów politycznych uświadomione polskie uchodźstwo polityczne, podkreślam uświadomione, pozostaje zgodne w sprawach zasadniczych: odzyskanie przez Polskę praw niepodległości, obrona interesów narodu polskiego w wolnym świecie. Koordynujmy nasze wysiłki, wychowujmy młodzież w szacunku i miłości do naszych tradycji, przekazujmy im nasze wartości. Trwajmy na posterunku! Wznoszę toast w tym pierwszym dniu nowego roku: Za Polskę demokratyczną, niezależną, niepodległą! Niech żyje!

— Niech żyje! — ryknął pierwszy Argentyńczyk.

— Niech żyje! — wszyscy się podnieśli i krzyknęli jeszcze dwukrotnie: Niech żyje! Niech żyje!

Z dołu odpowiedziało im trzykrotne głucho stuknięcie. Olek Madej syknął i skrzywił się, ale pozostali goście nie usłyszeli. Wypili, usiedli i zabrali się do barszczu.

John Armstrong zaniemówił, stracił oddech, spąsował, żeby tylko nikt nic... ale Joasia już zauważyła i Hanka. Hanka pierwsza:

— Panie Janku, wody! Jak mogliście doktorowi spirytusu! *How are you, doctor Armstrong?*

— *I am fine, perfectly all right.*

Adam Ketter parzy sobie usta barszczem. Zgodziła się. Ale na co się zgodziła? Wszystko jedno, ale powiedziała: Tak. Gdyby siedziała przy mnie! Rozgląda się. Oczy Stefańskiego z drugiego końca stołu uporczywie w niego się wpatrujące. Czego tamten znów chce, u diabła? Oni nas tu wszystkich uważają za komunistów.

— Czy pan czasem nie miał krewnych w Katowicach? — pyta Stefański.

— Ani w Katowicach, ani w partii komunistycznej.

Joasia pochyliła się, szepcze: — I tak panu nie uwierzy. Michał, mój mąż, opowiadał, każdy tu nas podejrzewa, bo zza żelaznej kurtyny.

Rotmistrz Morski niby to pochylił się nad stołem, ale półgłosem, konspiracyjnie do pustej już filiżanki, do Niusi Wiśniewskiej, do Stefańskiego:

— To nazwisko jednak jakby znajome, nasuwa pewne skojarzenia, no tak, ale nie mówmy, po co?

John Armstrong spojrzął na Joasię.

— *Are you all right?* — szepnęła.

Uśmiechnął się, skinął głową: *I am fine, Jo-a-sia.* — Nie czuł



się już obco, *party* zaczynała go bawić. Obserwował. To było, jak *show* telewizyjny, ale zwolna i on wchodził na scenę.

— Jak pan ładnie wymówił 'Joasia', doktorze — powiedział Ketler. Wstał, zaczął zbierać próżne filiżanki ze stołu, podszedł do Hanki, pochylił się:

— Niech pani nie uwodzi Amerykanina bo tu są różni zażdrośni ludzie.

— Panie Adamie — odsunęła się, szeptała zażenowana — co pan wyprawia...

John Armstrong zwrócił się do majora:

— Czy pan major z Polski?

Major pociągał papierosa rozmyślał nad sprawą Kruka i Ma-deja. Najlepiej niech sprzedadzą dom, albo niech Kruk odkupi, ale za co on odkupi? Bo nie urządziłby takich przyjęć...

— *Excuse me?*

— Pytałem czy pan major stąd czy...

— O... ja i stąd i z Polski. Obywatelstwa waszego nie przyjąłem, ale do Polski nie wracam. Widzi pan, doktor Ketler — wraca.

— Gdzie wracam, panie majorze?

— Ja myślę, że pan wraca, chociaż różnie bywa.

Ketler odwrócił się i z filiżankami do kuchni. Złośliwa bestia, już mi musiał dociąć. Wracam czy nie wracam, moja sprawa, do niego po radę nie pójde.

— Pani Joasia — mówi major — też wraca.

Joasia zacisnęła ręce pod stołem. Za sześć miesięcy. Poprawiła orchideę, przetarła oczy od dymu majorowskiego papierosa.

— Tak — powiedziała, spojrzała na Johna — wracam za sześć miesięcy.

— Bo to jest, widzi pan, doktorze, zupełnie inna sytuacja.

— *I see.*

— A wiesz — grzmi major — dlaczego nie wracam?

— *I think...*

— Nic nie możesz myśleć, bo nic nie wiesz. Kruk, daj-no tu doktorowi Żubrówki, przed pustym kieliszkiem gość siedzi!

— Barszcz wyśmienity — woła Wiśniewski — za taki barszczyk gospodynię w rączkę!

— Smakowało? — cieszy się Alina. — Naprawdę?

— Szalenie! — pani De Chatin rozkłada ręce, w głowie jej szumi. — Nadzwyczajny, wyśmienity barszcz, delicje.

— Bo widzisz — major zaciągnął się papierosem — wasz prezydent Roosevelt oddał Polskę w niewolę Sowietaom i jeszcze nic za to nie dostał. Czy pamiętasz, jak musieliście chłopaków

wysłać na Koreę? To dlatego żeście oddali Europę środkowo-wschodnią. A teraz się nowa Korea szykuje w Wietnamie.

— Jak to oddali?

Major skrzywił się, palcami bębni po stole. Tłumacz tu takiemu?

Hanka Sanocka pochyliła się i do ucha doktora Armstronga, a wargi przy samym uchu:

— Niech pan majorowi nie oponuje, wszystko: *yes, yes, sure...*

Joasia podnosi do ust widelec z bigosem, nie czuje smaku, gardło ściśnięte. Po co ja go tu przyprowadziłam? To na pewno już koniec. A może lepiej? Może to i lepiej.

— To ty nie wiesz — mówi major, a John ku niemu uprzejmie nachylony, już alkoholem rozgrzany, i w bzykaniu, szeleście, obcego języka, wkracza na scenę. — To nie wiesz, że Rosja podpuściła na was Niemców, a wasz prezydent jednego sojusznika oddał drugiemu sojusznikowi.

— Kto więcej bigosu? Kto z państwa jeszcze bigosu, gorący w piecu. Panie rotmistrzu, a może kawałeczek indyka?

— Ja, proszę pani, bardzo prymitywny, dla mnie tylko bigos. — Rotmistrz Morski nałożył sobie solidną porcję bigosu, uśmiechnął się do niej. 'Kwiatuszek' to nigdy mi tego nie ugotuje.

— A Polska była waszym starszym sojusznikiem niż Rosja. No bo się Rooseveltowi zdawało, że razem z Rosją będą rządzić światem. Dla siebie zachowają zachód, a Europę wschodnią — Sowiетom. Pacyfik chcieli zatrzymać dla siebie, Japonię dla siebie a Indochiny wyszachrować od Francji. A komuniści pchają się. Pchają się!!! — uderzył pięścią w stół, podniósł kieliszek i wychylił go do końca.

Doktor Ketler spojrział ukradkiem na Joasię, na Johna Armstronga, a potem na Hanke i tylko na Hanke. Sięgnął po butelkę, nalał sobie.

— Zdrowie pani, pani Haneczko.

— Jeszcze się pan upije — szepnęła.

— To się upiję. Co mi więcej zostało?

— Badania naukowe.

— Ech — wzruszył ramionami. — To... to zawsze jest i czeka. Jedni odchodzą, łysieją, siwieją w laboratoriach i przy mikroskopach, wykańczają się, a inni po nich podejmują. Dopiero na tym nawozie ktoś nagle wyskakuje z rewelacyjnym odkryciem. No i świat okrzykuje go geniuszem. Ci wszyscy wielcy, światowej sławy odkrywcy, badacze, to tylko przypadki. Kumulacja doświadczeń innych. Najważniejszy jest dzień dzisiejszy, pani Hanko,

tylko to nam zostało. Ważne jest dziś i jutro i może następny miesiąc. Nawet następny rok nie jest ważny.

— Słuu-usznie — kiwnął się na krześle Argentyńczyk — czy ja... myślałem...

— A dla kogo — wyprostował się major — budujecie Polskę Ludową?

— E... panie majorze, pan major tak do mnie, starego weterana. Budowałem w 39-tym, budowałem, przepraszam burzyłem w czasie Powstania, a teraz w *research* siedzę.

— A w Powstaniu gdzie pan był, doktorze?

— Na Starówce, w oddziałach Armii Krajowej. Taaak, taaak. A pani doktor?

— Ja — powiedziała Joasia — miałam wtedy czternaście lat, byłam łączniczką.

— No ale gdzie, gdzie?

— W A.K., ale ja tam wiele nie zrobiłam.

— No i widzi pan, majorze, widzi pan? W piersi się mam uderzyć? Przysięgać? Oj, wy, emigracja!

— *Doctor Ketler* — zwróciła się do Johna Armstronga Hanka — *sounds very frustrated*.

— *Aren't we all?* — uśmiechnął się. Spojrzał na Joasię — tylko nie doktor Jo-a-sia.

— Dlaczego ja nie?

Chciał wyciągnąć rękę i pogłodzić ją po twarzy. Oooo... ps! Powstrzymał się. Zaczynam nie panować nad sobą. *No more wodka*.

Ale już Kruk nalewał mu czerwonego wina do szklaneczki.

— Ale żeście się pod tamtym ustrojem podpisali — huknął major. — Ja w to nie wchodzę, żyć trzeba, nie krytykuję, ale mam swoją własną opinię.

Alina Kruk-Czerny posłyszała, podbiegła.

— Majorze, my tu wszyscy Polacy, po co sobie przyjemny nastrój zatruwać?

— Nie zatruwam, Lilka, tylko mówię to co myślę.

Alina przecisnęła się między krzesłami do Stefańskiego:

— Kochany panie Kazimierzu, niech pan coś zagra, proszę, proszę, niech pan nam coś zagra...

Stefański kiwnął głową. Odsunął się od stołu, już mu Kruk niósł z drugiego pokoju harmonię. Otworzył futerał, wolno, uroczyście, jakby się bał zbyt śmiałym ruchem harmonię trącić. Instrument ujął w obie ręce, oparł się o krzesło, zamyślił.

— Co zagrać, proszę pani?

— A wszystko jedno, wszystko jedno, tylko prędko — patrzyła niespokojnie tam gdzie major, doktor Ketler i Hanka i John

Armstrong — co ten Amerykanin? — wszystko jedno, panie Kazimierzu, może kolędę?

— Kolędę! Ma się rozumieć! — krzyknął Wiśniewski. — Polski dom, Nowy Rok to od kolędy.

— U nas w domu — wtrąciła się Nusia Wiśniewska — to była historia tego rodzaju, że do stołu się nie siadło...

— Nusia! — zgromił ją mąż.

— No co, co? Mówię tylko do mecenasa, że...

— Nusia, ty, jak Peszkowski mówi, ludziom jedzenie wprost z ust wyrwasz, widzisz, że pan będzie grał.

Kołczanowa roześmiała się, pochyliła do Oleńki Wrona-Gordzickiej:

— Pani mamusia, to wspaniała.

— Oni tak zawsze — westchnęła Oleńka.

— Ale bardzo dobre małżeństwo.

— O co to... to... już takich ze świecą...

— No widzi pani, widzi pani, to najważniejsze.

Stefański położył palce na klawiszach, próbował najpierw cicho, delikatnie i nagle harmonię rozciągnął i w gwar, śmiechy, dym papierosowy, zapach bigosu i wódki runął:

— *Przybieżeli do Betlejem pasterze!*

Pierwszy podchwycił Wiśniewski, za nim Argentyńczyk, Morski podskoczył i jakby na konia, a pani De Chatin główkę na prawo, na lewo i przytupując pod stołem, a za nią Alina Kruk-Czerna i Wrona-Gordzicki:

— *Grają skocznie dzieciąteczku na lirze!*

Olek Madej przysunął się bliżej harmonii, doktor Ketler i major przerwali rozmowę i major, a za nim doktor Ketler:

— *Chwała na wysokościach, chwała na wysokościach!*

I nawet Joasia wbrew samej sobie, chórem pociągnięta:

— *A pokój na ziemi...*

Stefański zakończył akordem, ale harmonii nie odłożył, delikatnie wodził po klawiszach palcami, oczy przymknął, półuśmiechnięty, pół-rozmarzony szukał melodii. Uciszyło się i twarze ku niemu zwrócone, wyczekujące, jeszcze pokój wibruje kolędą, ale już tony inne, smętne, a poprzez nie ten sam motyw coraz to się przebija, pani De Chatin oparła głowę na rękę, uśmiechnął się Wrona-Gordzicki, spuścił głowę Argentyńczyk, a Stefański coraz to do piosenki wybranej się zbliża, jeszcze się waha, jeszcze tonów innych próbuje, aż ją wreszcie uniósł, jak kwiatek niepozorny w trawie znaleziony, podał gościom. Zaśpiewał, głos miał ciepły i śpiewał wolno, zapatrzony przed siebie:

— *Ja za wodą, ty za wodą.*

*Jakże ja ci buzi podam...*

Doktor Ketler nie wytrzymał, głowę do tyłu odrzucił i rozśpiewał się na całe gardło:

— *Podam ci ja na listeczku!*

Argentyńczyk zerwał się z krzesła i przytupując wziął się pod boki:

— *Oberek! Obereczek!*

Rotmistrz Morski pięścią w stół uderzył, aż mu czuprynka na oczy spadła:

— Mazurek, mazureczek!

Kruk Alinę w pół objął, rękę do boku wyrzucił:

— Kujawiak, kujawiaczek...

— Mhm... hmmm... hmm... — podśpiewywała pani De Chatin.

A Wiśniewski huknął i do żony poprzez stół rękę wyciągnął:

— Chodź-że Niusia, chodź-że chodź, chodź!

— A przestałbyś, stary.

Stefański znów palcami klawiszy dotknął, ale goście milczeli. Tylko pani De Chatin cieniutkim głosikiem podchwyciła melodię:

— *Na kapuście drobne liście, nie daj buzi organście...*

Roześmiała się i pogroziła palcem Stefańskiemu, zakrzuszyła się też trochę i dokończyła już chropawo:

— *Organista zapisuje, ile razy pocatuje.*

Major od stołu się zerwał i do Stefańskiego, żeby następnych tonów nie stracić, nad harmonią się pochylił, a widać, żeby podskoczył, gdyby tylko mógł:

*Gęsi za wodą, kaczkę za wodą*

*Uciekaj dziewczyno, bo cię poboda.*

A doktor Ketler w Hankę wpatrzony:

*Ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz...*

— Upił się doktor, słowo daję, że się upił. — Hanka kręci głową, spogląda na gości, na Witolda. — No patrzcie państwo...

Nikt jej nie słyszy, tylko Joasia roześmiała się, ale nie z Kettera się śmieje tylko do Johna Armstronga. Nie, nie jestem *frustrated*, nie jestem.

— *What kind of a song is it, Jo-a-sia?*

— O... o wodzie. Ja na jednym brzegu, ty na drugim...

— Ja na jednym, ty na drugim... i co?

— I... nie mogą się spotkać?

— Nigdy?

— Nie, to nie tak — przerywa doktor Ketler — *they can not kiss each other.*

— Ale czy się w końcu spotkają?

Joasia nie odpowiedziała. A goście pochwyciła już inna piosenka i John widział, jak poddani jej rytmowi kołysali się lekko,

każdy sam w sobie zadumany. I czuł, jak ten kołyszący rytm i jego unosi nie rozumiejąc słów nucił tylko z innymi:

*Jak szybko mijają chwile, jak szybko mija czas...*

*Za rok, za dzień, za chwilę, razem nie będzie nas...*

Witold Sanocki nie śpiewał, patrzył na ludzi zgromadzonych wokoło stołu: pani De Chatin ręką upierścienioną podparła głowę, w okno za którym już szaro zapatrzona, major przy harmonii zamysłony, Kruk przystanął na choinkę spogląda, Argentyńczyk głowę zwiesił, tylko Wrona-Gordzicki i Wiśniewski uśmiechnięci nieco, a nawet Hanka, jakby przygasła, i doktor Ketler spoważniał. Zatrzymać ich teraz, uchwycić, naszkicować, tę zawadiackość topniejącą w smętny półuśmiech, związać ich tą melodią, która ich rozdzielonych, łączy. Gdybym mógł ich opisać, teraz, w tej chwili, bo później uciekną, zbledną, przestraszą się kartki papieru i stukotu maszyny do pisania. Gdyby ich zatrzymać, jak obraz tego, co już się kończy, co już niezauważone staje się historią. Po co? Komu to potrzebne? Kto to uzna za ważne? Czy warto o tym pisać? O przygotowaniach Lilki: o bigosie, barszczu i flaczkach? Już za rok, za dwa lata Lilka Krukowa nie przygotowuje takich świąt, ani też goście nie będą śpiewać kolęd i kujawiaka. Moje dzieci nie będą, ani Kruków dzieci, ani dzieci Gordzickich.

Argentyńczykowi wszystkiego mało, już sam, bez harmonii solo się rozśpiewał:

*Więc pijmy wino, szwoleżerowie...*

— Niech pan coś żołnierskiego, kolego — major poklepał Stefańskiego po ramieniu.

*Żołnierz drogą maszerował, nad serduszkiem się uzałił...*

— Nie, nie, ja to te stare wolę. Takie o: *Jakem maszerował, muzyka grała...*

— Ja coś dla majora specjalnie...

— No?

*Legiony to...*

— Tak... tak... — kiwnął głową major, przełknął ślinę, nie mógł śpiewać.

Ale Morski i Argentyńczyk i doktor Ketler najgłośniej podchwycili:

*Legiony to straceńców los...*

I już cały pokój, sufit i ściany grzmiały:

*Na stos, rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos!*

Olek Madej słyszał od dawna i już mu mrówki chodziły po grzbiecie, już wargi przygryzał, brwi unosił, pocił się, ale dopiero w tej chwili usłyszeli inni i w grzmiące: Na stos! wtargnęły niemniej głośnie walenia w podłogę.

— Majorze — jęknął Olek Madej — major słyszy?

- No słyszę. Trzeba tam kogoś posłać. Idź tam do niej.
- O ja teraz nie.
- No to Witold, idź tam, ona cię lubi.
- Nie... Ketlera trzeba posłać. Uspokoi Julcię.
- Ketlera?
- Mhm...
- Tego... doktora?
- No a co?
- No to zaraz — zastanawiał się major — ale jak to mu...
- Ja mu wytłumaczę — powiedział Witold — on tam jej zaraz będzie ręczki całował.
- Oho-ho-ho, żeby ona go miotłą nie pocałowała.
- Kwiaty niech weźmie.
- Cicho, bo jeszcze usłyszysz.
- Ja majorowi mówię, że jak ona się wścieknie, to policję zawoła.

— Witold idź mów z tym... tylko cicho...

— Kwiaty ma wziąć?

— Nie... nie, on sobie da radę.

Ketlerowi włosy kosmykami na czoło, czoło wilgotne, palcami na obrusie rytm kujawiaka wystukuje, pochylony nad Hanką.

*Ja ci buzi dam, ty mi buzi dasz...*

— Doktorze, panie Adamie, patrz na nas...

— Nie wolno mi? Nie wolno mi śpiewać? *Free country!*

Witold Sanocki przeciska się między Nisią Wiśniewską, a rotmistrzem Morskim. Ja ci Don Juanie ludowy te amory...

Nisia rozsiadła się, rozplynęła między stołem, a kredensem.

— No a z czego on teraz żyje, panie rotmistrzu?

— Z jogi.

— Jak to?

— Bardzo panią przepraszam. — Witold już się niecierpliwi, okulary zdjął. A lepiej nie patrzeć.

— Chwileczkę, panie Witoldzie, słyszy pan co tu rotmistrz o Kryłowiczu...

— Ano potem jak się między nimi skończyło — Morski przygłodził wąsika, oczy przymrużył — to poszedł do tych Hindusów.

Witold przystanął, dusił go krawat, rozluźnił. Wiśniewska go za rękę: No, słyszy pan, ale to historia.

— Oni tam mają takie zebrania. Stają na głowie. Z ciałem człowieka, mówi, wszystko można zrobić. Poszedłem z nim raz.

— To pan tam był?

— Przepraszam panią bardzo.

Nisia nie słyszy i tylko w Morskiego wsłuchana, wpatrzona.

— Była taka jedna sześćdziesięcioletnia, wyginała się, jak ba-

letnica. On mówi do mnie: Patrz, dla mnie nic nie ma znaczenia, zjem, nie zjem, nad tym można zapanować. Myśl tylko, myśl intensywna, odgradzająca się od materii, promieniejąca może przedłużyć życie człowieka. I mówi do mnie...

Witold zawrócił i z drugiej stołu strony do Ketlera. A Ketler już się usunął, do Sanockiego:

— Żonę ma pan uroczą, zakochać się można.

Hanka podniosła się. Tylko spokojnie, spokojnie, nawet papieros nie zadrzał pomiędzy palcami. Spojrzała na matkę. Kołczanowa już w pogotowiu. Porozumiały się wzrokiem. Gdyby awantura... Witold przetaił okulary chusteczką, trzyma w ręce, nie nakłada. Blady przy Ketlerze ciemnym, czerstwym, buńczuczным.

— Ja... my do doktora z wielką prośbą — wziął go pod ramię, łagodnie go ujął i do Kruka, majora, spokojnie, przyjaźnie.

Hanka usiadła, Kołczanowa rozplotła ręce, wychyliła do końca kieliszek czerwonego wina. Oleńka Wrona-Gordzicki kopnęła matkę pod stołem, ale Stefański podskoczył, zdumiał się:

— Co?

— Och strasznie pana przepraszam, strasznie, bardzo...

*Nie chodź Marysiu do lasa!* — ryknął Argentyńczyk.

Stefański zawtórował harmonią.

Argentyńczyk do harmonisty ramiona wyciągnął.

*Graj-że grajku, będziesz w niebie...*

Alina Krukowa masuje pod stołem obolałe kostki u nóg. Upił się człowiek, słaba głowa, trzeba by go... gdzie Jan?

A Kruk i major, Wrona-Gordzicki i Madej wokoło doktora Ketlera, Witold Sanocki najbliższej. Pochylają się, rozkładają ręce, oblepili Ketlera ciasno, dym tylko ponad nimi, sciszenie, Argentyńczyk ku nim z kielichem chwiejnie:

*A kto nie wypije, tego we dwa kije...*

Krukowa za nim kuśtykając. A z dołu: bum... bum... bum...

— Sufit rozwali, rachunek nam przyśle... policję... Jan zrób coś...

— Ciszej, kolego... chwileczkę...

*Łupu, cupu po kozuchu...*

— Inżynierze, sekundę, my tu, słyszy inżynier...

Ketler kiwa głową, Witold z nim jeszcze na bok odchodzi bliżej choinki.

— Niech doktor potem mi wszystko opowie, bo... ja chciałbym, to się samo prosi... spróbować to opisać.

— Aaaaa...

Major nienaganny, w postawie przepisowej.

— No to, szczęść Boże...



— Poczekajcie-no, panowie, a dlaczego doktor Armstrong ze mną nie może... tak we dwóch...

Wrona-Gordzicki brwi zmarszczył pionowo, za brodę się ujął myśląco.

— Nie, panie doktorze, nie, to nie byłoby dyplomatycznie. Zresztą niech pan...

Ketler spojrział, usłyszał, klepnął się po kolanie. To ci dopiero, no!

John Armstrong jedną ręką Stefańskiego, a drugą panią De Chatin chichoczącą drobniutko, objął i pod melodię harmonisty, na nutę 'Pije Kuba do Jakuba' rozśpiewał się:

*I love Poles, I love Poles, they are jolly fellows!*

— Po co żeście mu tego spirytusu dali — denerwuje się Lilka Krukowa — człowiek nieprzyzwyczajony.

— Nic mu nie będzie, niech się wyśpiewa.

Bum... bum bum... bum — wali Julia Madejowa w sufit mieszkania.

— Niech pan już idzie, doktorze, wszystko w pana rękach.

Adam Ketler podszedł do uchylonych drzwi korytarza, trzęsiał.

— Wezmę jednak płaszcz — powiedział.

— Płaszcz?

— Zimno tam na korytarzu — cofnął się, wstrząsnął. Było mu gorąco.

— Służę — powiedział Sanocki, podał doktorowi deszczówkę. Jesteśmy doktorowi niezmiernie... — otwierał drzwi, wypychał go niemal.

— Drobnostka — mruknął Ketler — nie takie rzeczy.

Twarz Sanockiego promieniała za okularami, Ketler uśmiechnął się, spojrzeli na siebie.

Doktor ścisnął rękę w pięść, w mordę bym mu... do cholery, więcej niech was wszystkich nie oglądam. Wysiadam z tego towarzystwa. Emigracja, politykiery, z uśmieszkiem, aby tylko nogę podstawić, po co ja tu przylazłem. Płaszcz mam i... całujcie mnie, już ja waszych twarzyczek więcej...

— Ale doktor się nie obrazi, doktorze?

— Ja? O co?

Narzucił płaszcz na ramiona. W drzwiach Kruk i Wrona-Gordzicki, major i Sanocki, Argentyńczyk i... Olek Madej.

*I love Poles... dearly...* — Baryton Johna Armstronga harmonistę zagłusza.

Olek Madej usta otworzył, ramiona w górę unosi. Oj-ojo-o-joj.

W grupkę się zbili, podszeptują, radzą, konspirują. Kruk z jed-

nej na drugą nogę przestępuje, i oddechem krótkim, alkoholowym mocno radzi, w głowę posiwała się podrapał, a radzi: — Niech pan ją tak troszkę pod włos, zagada, ona na to, jak na lato...

I major usta wydymając:

— Baba to każda na komplementy łąsa, więc można by...

A Olek Madej w dygotkach, drżąc:

— A może by nie, może lepiej nie...

Aż pomiędzy nich Hanka, jak płomień, wyprostowana, rozepchnęła ich, rozdzieliła:

— Co wy, panowie, doktor wie najlepiej. Bez rad. Wybrałście go, zaufajcie. Panie Adamie — ramię wyciągnęła. — Z tarczą, albo na tarczy! *Good luck!*

Ketler rękę jej podchwycił, pocałował.

— Z tarczą — roześmiał się — zawsze...

Silna — myślał — gdzie im się z nią równać. Do niej.. z tarczą. — Zamknął drzwi. — A im kopniaka... i tyle mnie będą widzieć.

Nałożył płaszcz, zbiegł po schodach. Był trzeźwy, spokojnie, wściekle trzeźwy. Akurat mnie zobaczą. Pomysł Sanockiego. Zazdrosny. Ale też ta Hanka... Hania... Haneczka.. co ona w nim... taka kobieta. Minął mieszkanie Madejów, pogardliwie, nie spojrzął nawet. Pisz do mnie na Berdyczów! Głęboko mam was wszystkich. Ale ta, Madejowa, frajerka. W Polsce już by im milicję nasłała. Tu ceregiele. A ja, poważny człowiek, aspiracje, o profesurze myślę i tak tu z nimi. A, cholera jasna, chociażby do samego szpitala na piechotę. Otworzył drzwi. Biało. Na niebie granatowym kropla księżycy i migotanie gwiazd szalone. Jutro, cały dzień w laboratorium. Pod koniec lutego powinienem mieć brulion pracy, potem na maszynę, do profesora, poprawki... Mrozik. Biało, pusto. Na horyzoncie tylko jakieś domy, kolorowe światełka. Cisza. Ale tu pustkowię. Nie wiadomo w którą stronę iść, nie ma się kogo spytać. Przeszedł kilka kroków, przystanął, rozglądał się. Hance później wytłumaczę. Zrozumie. Ona jedna ma olej w głowie. Silna dziewczyna. Gdybym taką mógł spotkać dawniej. Psie szczęście, zawsze takie piekielne szczęście. Ale w którą stronę teraz? Zimno, do diabła.

Na wprost niego, pod górę, szedł mały, może ośmioletni chłopiec. Był w białej wiatrówce, czerwonej, wełnianej czapce zakrywającej czoło, brodę i uszy, szedł wolno i ciągnął za sobą sanki.

— *Good evening* — powiedział Ketler.

Mały zatrzymał się w prostokącie światła padającym z okien na śnieg, pociągał nosem. Jego pyzata twarzyczka była czerwona od mrozu. Orzechowe, okrągłe oczy Jana Kruka, jego nos, jego szeroki, miękki podbródek.

- Czy ty jesteś synkiem państwa Kruk-Czerny?
- A-cha... — mruknął chłopiec i wytarł nos rękawem.
- Ja tam byłem u twoich rodziców — Ketler pochylił się, zrobił twarz dobrego wujaszka. Małe szczenię może mi wskazać drogę — cieszył się.
- A-cha — chłopiec zmarszczył nos, przyglądał się doktorowi ciekawie, ale niechętnie.
- Jak masz na imię synku?
- Chłopiec wytarł nos w rękaw kurtki.
- Maciek. Ten biały Chrysler to twój?
- Nie.
- Volkswagen?
- Nie — mruknął Ketler. Jeszcze ktoś tu wyjdzie i zobaczę mnie — niecierpliwił się.
- *Which one?*
- Nie mam samochodu — powiedział Ketler.
- *No kidding.*
- Co takiego?
- Co?
- Nie mam samochodu, nie jestem bogaty. — Chciał wythumaczyć małemu dlaczego nie ma samochodu, ale machnął tylko ręką.
- Nie masz? — Maciek zmarszczył nos, pociągnął. — Mój tatuś ma.
- Twój tatuś jest bogaty.
- Mmm — chłopiec pokręcił głową, kopnął śnieg przed sobą i obsypał buty doktora — on mówi, że jest bidak. Co ty masz na głowie?
- Beret. Nie widziałeś beretu? Słuchaj, Maciuś, gdzie tu jest najbliższy przystanek autobusowy?
- *What?*
- *Bus... bus stop* — niecierpliwił się Ketler.
- A-cha. *I have to go home. You can ask my father, my father will give you a ride.*
- Nie.
- *Why not?* — Mały ruszył i przejechał sankami po butach doktora. Ketler syknął, odskoczył. Buty mi zrujnował. Opanował się, roześmiał, wpakował natychmiast na twarz maskę rozbawionego wujcia.
- Ale ty masz wspinałkę sanki.
- A-cha. Dostałem na *Christmas*.
- Maciuś, czekaj-no, synku jak się idzie na ten *bus-stop*?
- Chłopiec wytarł nos rękawem.

— Ty tam nie dojdiesz. Tam trzeba jechać. To tam... tam  
— wskazał ręką przed siebie.

— Gdzie?

— Tam! *Windsor Road*.

— A gdzie jest *Windsor Road* — dopytywał doktor gorączkowo — na prawo, na lewo?

— *Maybe 5, maybe 7 miles*. — Mały spojrział na niego podejrzliwie. — Dlaczego nie masz... *where is your car?*

Ketler spojrział w białą, daleką noc przed sobą, nogi bolały go od uderzenia sanek.

— *7 miles*, siedem mil, cholera...

— *What happened to your car?* — mały przykucnął i przyglądał się doktorowi.

— Diabli wzięli — mruknął.

— *What?*

— Nie mam, do jasnej cholery.

Maciek roześmiał się, trzymał się za brzuch i rechotał głośno:

— Do jasnej cholery... do jasnej cholery... dupa...

— Nie mów tak. — Ketler pogroził mu palcem.

— Mój tatuś też mówi.

— Cicho Maciuś.

— Gdzie idziesz?

— A o tu, do pani Madejowej — powiedział Ketler.

Chłopiec zmarszczył nos.

— Nie chódź tam.

— Dlaczego?

— Ona jest.. stara jędza, wydra.

— Taak? Dlaczego? — Ketler nie mógł się nawet roześmiać.

Jak stąd do miasta? — rozglądnął się — na prawo, na lewo? Małe szczenię nic mi nie powie, jeszcze zawoła Kruka.

— Moja mamusia tak mówi. — Maciek przypatrywał się doktorowi. — *What's your name?*

— Adam.

— *Adam, what?*

— Czekaaj-no, Maciuś, a jak stąd się idzie do miasta?

— Do *Monumental City?*

— Tak, tak... — ucieszył się Ketler — tylko mi pokaż, gdzie tu jest droga...

Mały pociągnął nosem.

— No więc jak? — nalegał doktor, drgnął, wydawało mu się, że słyszy kroki na schodach.

— *North-West* — powiedział chłopiec. — Idziesz teraz do Madejowej?

*North-West* — myślał doktor — czy ja noszę z sobą kompas?

To będzie na prawo? — próbował.

Maciek wstał z sanek.

— *I will tell my father to give a ride.* — Ruszył w kierunku domu.

— Nie! — doktor chwycił go za rękę. — Nie, nie, nie, poczekał, nie mów.

— *I will* — wyrwał się chłopiec. — *I will...*

— Niecee... — doktor przyłożył palec do ust — to sekret, nie mów.

— Moja mamusia daje mi dolara *to keep a secret.*

— Ja ci dam... polskiego cukierka, chcesz?

— Mm-mm, no!

— Dam ci polskie pieniądze, chcesz?

— Mm-mm. *I don't want to. Let me go.*

— Dam ci... 50 centów, o widzisz, chcesz?

— Mmm-mm... *I will tell my father to give you a ride.*

— Dam ci dolara — jęknął Ketler.

— Dlaczego?

— *To keep a secret.*

— O.K.

Doktor sięgnął do kieszeni. Ciężko i boleśnie wyjął z portfelu zielonego dolara.

— To dla ciebie.

— *Thank you* — powiedział chłopiec — idziesz do Monumental City?

— Idź już do domu.

— Na Windsor Road w nocy napadają Murzyni. Wczoraj jednego zabili nożem. *No kidding. Bye. I will keep a secret.*

Ketler patrzył jak chłopiec szedł pod górę do domu. Samotna, brzydka kamieniczka Kruków i Madejów mrugała na niego żółtymi ślepiami. Wokoło biała pustynia. Gdzieś na północnym zachodzie było miasto, Kolumna Waszyngtona i Szpital Perceval Norris. Gdzie? — myślał doktor — jak ja tam do jasnej, ciężkiej cholery zajdę? Jeszcze mnie po drodze obrobiją Murzyni. Kraj materialistów, od małego dziecka. Gówniarz, złośliwym mu tyłek, a musiałem mu dać dolara. Jestem skończony idiota, gówniarzowi dolara. Za co? Co oni za miasta budują? Rozlewa się to, jak kałuże, żadnej architektury, żadnego planowania. I żeby nie było transportu. To w Polsce z każdej pipidówki jakoś się można dostać do centrum. Monumental City? Niech to cholera. Wieś. Pustynia. Kilka wieżowców, kilka głównych ulic i co tu to miasto wiąże razem? Spojrzył w górę. Opuchły z jednej strony, a spłaszczony z drugiej księżyc naigrywał się z niego. Nie trzeba się było zgodzić na to ułagadanie Madejowej, mogłem zaprotestować.

Zgodziłem się. Bo jestem głupi, głupi. Przeszedł kilka kroków, zawrócił. Siedem mil, to nie ma sensu. Szukał przekleństwa, aby sobie ulżyć. Cholera — mruzczała cholera... Przypomniał mu się nagle sierżant z podchorążówki, przysadzisty z mocnym zadem i gębą pełną najwymyślniejszych przezwisk.

— Żebyś był tak długi, jak jesteś głupi, to byś klęcząc księżyc w dupę pocałował. Ketler roześmiał się, ulżyło mu. Szybkim krokiem zawrócił do domu. Zrobimy Julcię Madejową na szaro. A co to mnie obchodzi? Czy oni mnie znają? Tu mi wszystko wisi. Rzucił niedopałek papierosa na śnieg, wszedł do sieni domu, poprawił krawat i przyglądał włosy i energicznie, pogwizdując pod nosem zapukał do drzwi mieszkania Madejów.

Po godzinie Adam Ketler wracał na górę. Kieszenie deszczówki miał wypchane ciastem świątecznym wypieku Julii Madejowej. Na wąskiej klatce schodowej natknął się na Joasię i Johna Armstronga. Doktor Joasia odsunęła się gwałtownie od swego towarzysza. Zęby Ketlera błysnęły w półmroku korytarza, szepnął:

— Mężowi nic nie powiem.

— Nie wiem o co panu chodzi — powiedziała i zacisnęła usta, a jej szczupła twarz znieruchomiała i Ketler wiedział, że ta młoda, uśmiechnięta przed chwilą kobieta, nie lubi go, jakby odczuła jego do niej początkową niechęć.

— Ach — powiedział — żartuję — i pomyślał, że to dzisiaj z nią spotkanie było zupełnie niepotrzebne.

John Armstrong nie zauważył niczego, albo może udawał, że nie zauważył, w narzuconej tylko na ramiona kurtce stał szeroki w barach i promiennie uśmiechnięty.

— *Splendid!* — szepnął — *you were very successful.*

— *I am always successful* — powiedział Ketler.

Joasia minęła ich i otworzyła drzwi wejściowe.

— Chodźmy — powiedziała.

Ketler zawrócił i wyszedł za nią na dwór. Mroźna, biała noc rozciągała się daleko i wydawała się ogarniać cały świat. Tylko poza pochylonymi pod śniegiem ramionami drzew migotało kilka światełek w odległych, niewidocznych domach.

— *Beautiful* — usłyszał za sobą Ketler. Odwrócił się. John Armstrong stał z odrzuconą ku tyłowi głową, jego mocna, kańczasta twarz była łagodnie zamyślona.

— Myślę — powiedział — że my wszyscy mamy z sobą wiele wspólnego, wcale o tym nie wiedząc.

— Tak pan sądzi, doktorze?

— Jestem pewien. Ludzie stwarzają sobie różne bariery, a przecież tak dobrze się tam czułem. Uroczy wieczór. I teraz...

niech pan spojrz, niech pan spojrz na niebo. Cisza. Zupełnie nie słycać miasta. A tam, te światełka pomiędzy drzewami.

— Piękna noc — powiedział Ketler. Przypatrywał mu się zdziwiony, nigdy jeszcze w ten sposób nie rozmawiał z Amerykaninem. Rozmowy w laboratorium, w kafeterii szpitalnej, w gabinecie profesora. Wszystko ograniczało się do spraw naukowych. Trzeźwi, zmaterializowani, realiści — myślał. Kpi? — zastanawiał się — czy też naprawdę jest pod urokiem tej nocy?

— Przypomina mi się jeden wiersz — uśmiechnął się John — pan go na pewno lepiej pamięta ode mnie, proszę mnie poprawić.

Oszalał — myślał Ketler — czuł się zażenowany, ale wbrew samemu sobie poczuł sympatię do tego wysokiego, chłopięcego jeszcze mężczyzny, który z ledwo narzuconą na plecy kurtką, z gołą głową chciał mu w tą diabelnie zimną noc deklamować jakieś wiersze.

Joasia otulona płaszczem stała nieco na boku i przestępowała z nogi na nogę.

Doktor zauważył, że nie spoglądała ani na niebo, ani na płomyki świateł pomiędzy drzewami, patrzyła na Johna Armstronga. Zrozumiał jej wzrok i poczuł, jak ogarnia go melancholia.

— Niech pan mnie poprawi — powiedział Armstrong — nie wiem czy dobrze zapamiętałem. Ale z całej książki najlepiej zapamiętałem ten wiersz:

*It snowed and snowed, the whole world over*

*Snow swept the world from end to end.*

*A candle burned on the table;*

*A candle burned!*

Spojrzał na Ketlera.

— Poznaje pan, prawda?

— Nie. Nie znam amerykańskiej poezji.

— Jak to? Przecież to *Doktor Żiwago*.

— Oh — powiedział Ketler — nie czytałem.

— Wydawało mi się...

— U nas ta książka nie była publikowana. Przeczytam ją tutaj.

— *I understand*. Piękna książka.

— Tak, podobno — wtrąciła się Joasia — ja też będę musiała przeczytać.

Widzi pan, doktorze — powiedział Ketler — Amerykaninowi trudno jest zrozumieć układ naszych warunków... — Chciał mówić jeszcze więcej, chciał wziąć pod ramię Armstronga przejść

z nim daleko drogą po śniegu i mówić. Po raz pierwszy poczuł, że chce i może mówić po angielsku o czymś innym niż o swoich codziennych sprawach naukowych.

Joasia niecierpliwiła się.

— Zimno.

— Czy możemy pana podwieźć? — spytał John.

Ketler zawahał się.

— Doktor Ketler wraca z panią Sanocką — powiedziała Joasia — już się niepokoiła o pana.

— Tak — powiedział Ketler — dobranoc, do zobaczenia. — Myślał: nie bój się, nie pojedę i więcej nie mam ochoty cię oglądać, droga doktor Janiak.

John Armstrong wyciągnął rękę:

— *Good night doctor, delighted to meet you. Hope to see you again.*

— *Good night* — powiedział Ketler. — Rączki pani doktor łaskawej całuję. Do zobaczenia w Warszawie.

— Niech się pan tak nie zastrzega. Nic nigdy nie wiadomo.

— Ja to nie, ale pani doktor będzie bardzo zajęta — krzyknął Ketler.

Joasia odwróciła się.

— Dobranoc panu. Życzę ciekawych odkryć naukowych. Pani Hanka czeka.

Doktor Ketler skrzywił się. Patrzył, jak odchodzili zostawiając głębokie ślady stóp na śniegu. Cięża babka, ale już mnie tu ona na tej ziemi Waszyngtona nie zobaczy. Patrzcie, jak się urządziła. No, nie dziwiw się jej. Ale on! Co on w niej widzi? Przecież nie walory naukowe. Ciekawa historia. Różni ludzie mają szczęście. Tylko nie ja. Na śnieg upadły światła samochodowych reflektorów. Aaaa... cholera... — Westchnął, spojrzał w górę w oświetlone okna mieszkania Kruków. Powiedziała, że przyjdzie. Gdzie? Nawet nie mam jej gdzie zaprosić. Nawet nie ma człowiek takiego głupiego samochodu...

*Koniec części pierwszej*



## Rozdział VII

311 CHESTNUT AVENUE — 482, BOSTON

### CZĘŚĆ DRUGA

John Koczuszka stał bez ruchu w drzwiach. Był w tym momencie tak samo jak zawsze. Jego twarz była biała jak papier, jego oczy były zamknięte, jego ręce były opuszczone. W tym momencie John Koczuszka stał bez ruchu w drzwiach. Był w tym momencie tak samo jak zawsze. Jego twarz była biała jak papier, jego oczy były zamknięte, jego ręce były opuszczone. W tym momencie John Koczuszka stał bez ruchu w drzwiach. Był w tym momencie tak samo jak zawsze. Jego twarz była biała jak papier, jego oczy były zamknięte, jego ręce były opuszczone.

John Koczuszka stał bez ruchu w drzwiach. Był w tym momencie tak samo jak zawsze. Jego twarz była biała jak papier, jego oczy były zamknięte, jego ręce były opuszczone. W tym momencie John Koczuszka stał bez ruchu w drzwiach. Był w tym momencie tak samo jak zawsze. Jego twarz była biała jak papier, jego oczy były zamknięte, jego ręce były opuszczone.

John Koczuszka stał bez ruchu w drzwiach. Był w tym momencie tak samo jak zawsze. Jego twarz była biała jak papier, jego oczy były zamknięte, jego ręce były opuszczone. W tym momencie John Koczuszka stał bez ruchu w drzwiach. Był w tym momencie tak samo jak zawsze. Jego twarz była biała jak papier, jego oczy były zamknięte, jego ręce były opuszczone.



## Rozdział VII

### 513 CHESTNUT AVENUE — AKT TRZECI

Zofia Kołczanowa szła brzegiem szosy. Był późny wieczór kwietniowy. Ciemno. Tylko kilka białych gwiazd bardzo wysoko. Samochody wyskakiwały nagle zza zakrętu szosy, jechali tu zbyt szybko, dużo szybciej niż *30 limit*. Nikt nie zwracał uwagi na znak ostrzegawczy *Slow*. Kołczanowa miała na sobie zimowe, czarne palto z futrzanym kołnierzem i kolorową wełnianą chustkę, którą zawiązała pod brodą. W pośpiechu zapomniała rękawiczek, trzymała w ręku klucze od domu i czuła, jak marzną jej palce. Myślała co się stanie, jeśli Irenka się obudzi i nie znajdzie jej w domu, myślała także o Zdzi: dlaczego nie wróciła? Potworne myśli przychodziły jej do głowy, potrząsała rękami i odpychała TO od siebie. Nie, nie! — mówiła głośno, to tylko moje przewrażliwienie.

Zaraz na skrzyżowaniu ulic była latarnia i jej gęsia szyja ciękawsko oświetlała szosę. Już to było ulgą. Jaśniej. Domy tu też stały bliżej siebie i trawniki przed nimi oświetlone wydawały się weselsze. Na pewno jest u Joan — pomyślała Kołczanowa — zrobię jej porządną awanturę, że nie przyszła na obiad. Nie, nie — myślała — nic jej nie powiem, może się uczyła razem z Joan, niech tylko ona tam będzie, niech tylko to, nic jej nie powiem.

Joan mieszkała w ceglany *ranch*. Kołczanowa poznawała ten dom po gipsowej figurze chłopca w białych spodenkach i czerwonej kurtce. Trzymał w ręku latarnię. Jego twarz była przemalowana na białą. Ojciec Joan przemalował mu twarz kiedy zaczęły się te awantury murzyńskie. Wolę nie ryzykować — mówił. Chłopca-butlera przywieźli z Florydy. Chciało im się to dźwigać — myślała Kołczanowa. Latarnia lokaja, który niedawno miał czarną twarz, oświetlała schodnik. Długie okna domu były oświetlone. Kołczanowa nacisnęła dzwonek. Czekwała. Czuła, jak broda jej drży i bała się, że się rozplącze.

— *Who's there?* — Kołczanowa rozpoznała głos koleżanki szkolnej Zdzisi.

— To ja — powiedziała — przyszedłam po Ewę. Zdzisia w szkole i poza domem, dla swoich amerykańskich koleżanek była Ewą. To było jej pierwsze rozdwojenie, zaraz po urodzeniu, w Anglii. Witold myślał, że to będzie syn, chciał go nazwać, po ojcu swoim, Zdzisławem. Kiedy urodziła się córka, przykro mu było ustąpić. Sprzeczali się o to z Hanką. Języki sobie ludzie połamią na Zdzisławie. Ewa brzmi międzynarodowo. Nazwali ją Zdzisława Ewa.

Joan otworzyła drzwi, była w *dungaree* do kolan i w czarnym swetrze. Kołczanowa spojrzała na nią i zacisnęła mocniej klucze w rękę.

— *I am sorry* — powiedziała Joan.

— Nie ma jej? — szepnęła Kołczanowa.

— Nie — powiedziała Joan. — *I am sorry*. Proszę, niech pani wejdzie.

— Nie... nie — szepnęła. Patrzyła na gruby sweter Joan zachodzący wysoko pod szyję. Czowała słabość w kolanach. Otworzyła usta i powiedziała po polsku: Czy...?

— *Excuse me?* — powiedziała Joan.

— Joan! — zawołał głos z pokoju, Kołczanowa poznała, to był głos matki Joan.

— *Yes mother?*

— Kto to przyszedł?

— *Eva's Grannie*.

Matka Joan wyszła do hallu, była w długich spodniach, pantofle na płaskich obcasach, trzymała w ręku papierosa.

— *Good evening* — powiedziała.

Kołczanowa starała się uśmiechnąć, myślała: Mój Boże, Mój Boże. Powiedziała: — Joan czy nie widziałas jej dziś w szkole?

— Proszę, niech pani wejdzie — powiedziała matka Joan. Zamknęła drzwi. — Zimno. Będzie najwyżej 30 stopni. Ewa jeszcze nie wróciła?

— Nie — powiedziała Kołczanowa — martwię się. Myślała: A może spotkała się w mieście z Hanką? Hanka nigdy nie zatelefonuje.

— *I am sorry* — powiedziała matka Joan.

Joan stanęła w drzwiach do *living-room*'u i zerknęła na telewizor.

— Joan! — powiedziała jej matka — nie patrz teraz na film, pani pytała się czy nie widziałas Ewy w szkole.

— Oh — powiedziała Joan — przepraszam. Widziałam ją, naturalnie. Może pani siądzie?

— Nie... nie.

— Powiedz pani, przecież mówiłaś mi, że widziałaś Ewę.

— Czy stało się coś? — szepnęła Kołczanowa. Wpatrywała się w twarz Joan, dziewczynka odwróciła głowę, pochyliła się i poprawiła *dungaree*, jej włosy sięgały szyi i ujmowały twarz w wąski, rozszerzający się na brodzie trójkąt.

— Nic się nie stało, nic się przecież nie stało. Widziałam ją z Karen, pojechali z tymi dwoma chłopcami samochodem.

Kołczanowa zacisnęła palce na kluczach.

— Niech-że pani siądzie — powiedziała matka Joan, w jej głosie był przyśpiew południowy, paliła papierosa i mówiła coś poprzez dym, słowa zamazywały się, topiły w przyśpiewie.

Nic nie rozumiem — myślała Kołczanowa. Patrzyła uprzejmie na matkę Joan nie widząc jej, uśmiechała się nie wiedząc do czego, chciała już stąd wyjść. Spytała: Kto jest ta Karen, nigdy o niej nie słyszałam?

— Jeśli pani chce wiedzieć — powiedziała Joan — bo może właściwie nie powinnam tego mówić, ale powiem, bo mnie przecież chodzi o Ewę...

— Tak, tak — zachęcała ją Kołczanowa. Rozumiała wszystko co powiedziała Joan, Joan mówiła wolno i jasno tak, jak uprzejmi ludzie, którzy wiedzieli, że do Kołczanowej trzeba mówić wyraźnie. — Ewa nie powinna się przyjaźnić z Karen! *Karen is no good.*

— Tak... tak — potakiwała Kołczanowa, czuła się tu bardzo nieswojo, jakby stała w czyichś ciasnych butach, okropne uczucie, wyjść jak najprędzej.

— Ona jest niedawno w naszej szkole, przyjechali z South Carolina, wie pani, z takiego małego miasteczka z taką *southern mentality: be polite to every one* — uprzejmość taka dla wszystkich, nic nie odmawiać, chłopcom też nie wolno odmawiać, wie pani *typical Southerners...*

— Proszę cię, Joan — powiedziała jej matka — co ty wiesz o południowej mentalności...

— Tak... tak... naturalnie — mówiła Kołczanowa. — Powinnam już iść — myślała — może Zdzisia tam czeka.

— Oni, ci rodzice Karen, są strasznie bogaci, Karen ma swój własny M.G., ale w ogóle to nikt jej nie pilnuje... ona teraz mieszka z ojcem, mówiła, że sędzia ją pytał z kim woli z matką czy z ojcem i ona wybrała ojca.

— Mówiłaś, że pojechali z chłopcami? — szepnęła Kołczanowa.

— Tak.

— A ci chłopcy?

— Oh, *drop-outs!* Oni zawsze przyjeżdżają po Karen, nie tylko dziś.

— *Drop-outs* — szepnęła Kołczanowa. Bała się spytać co to znaczy, już nawet słów Joan nie mogła zrozumieć. — *Thank you* — powiedziała — dobranoc.

Matka Joan przyglądała się Kołczanowej z penetrującym, ciekawym współczuciem, w chustce zawiązanej pod brodą, nieszczęśliwa z drgającym podbródkiem, wyglądała jak reklama Free Europe z telewizji. Jeszcze tylko dodać druty kolczaste, w głębi puste pole i napis: *Support Radio Free Europe*.

— Niech się pani nie martwi — powiedziała — może ją podwieźli do miasta i tam spotkała się ze swoją mamusią.

— Ja też tak myślę — ucieszyła się Kołczanowa.

Matka Joan otworzyła jej drzwi.

— Proszę telefonować, gdyby coś było potrzeba — powiedziała. — Joan zapisz pani nasz telefon.

— Nie, nie — spieszyła się Kołczanowa, zaczęła się nagle spieszyć — ja wiem, mam pani telefon. Dobranoc.

Odetchnęła na ulicy, rozluźniła mięśnie twarzy, grymas uśmiechu poskręcał je, jeszcze czuła sztywność policzków. Zeszła stromym chodnikiem na szosę, coraz to smagały ją światła reflektorów i wtedy uskakiwała wyżej na trawniki. Myślała: Nie mają chodników, nie chodzą, nie spacerują, dlatego stale te kłopoty z kręgosłupem, matka Joan też leżała w szpitalu na *slipped disk*. Ale właściwie myślała: Gdzie jest ta Dzdzisia? Karen? Widziałam, ktoś miał na nią ostatnio zły wpływ. Powiedziała głośno do siebie: Czy to ja powinnam wychowywać wnuczki? Ja?

Z daleka już dostrzegła światło w pokojach na dole. Przecież zostawiłam światło tylko w kuchni. — Rozmawiała z sobą półgłosem. — No to już Hanka jest. Dzdzisia przyjechała z Hanką. Już po jedenastej, i ja tak późno tam do nich poszłam.

Poruszyła klamkę, drzwi były zamknięte. Zatrzasnęli drzwi, nie pomyśleli, że ja zaraz mogę wrócić. Latarnia spod pułapu ganku z szarym wąsem kurzu w żelaznych esach-floresach, patrzyła nieruchomo. Kołczanowa włożyła klucz do zamku, czuła się bardzo zmęczona. Położyć się — myślała — marzę tylko, aby się czym prędzej położyć.

W *living room* paliły się wszystkie światła, lampa sufitowa i boczne lampy na stolikach.

W oświetlonym pokoju stołowym, na dywanie siedziała Irenka.

— Babciu! — krzyknęła. — Gdzie byłaś?

— Irusiu, dlaczego ty nie śpisz? Kto zapalił światło?

Irenka poderwała się i rzuciła do babki, objęła ją w pasie, wtuliła głowę pomiędzy jej piersi, płakała: Bałam się, bałam się...

Kołczanowa wzięła dziecko na ręce, pomimo siedmiu lat była bardzo drobna i szczupła, usiadła z nią na fotelu, nadmiar światła raził ją w oczy, zamknęła oczy, czuła mokry od płaczu policzek Irenki.

— Jak długo już nie śpisz? — spytała.

— Może pół godziny, może dwie i pół godziny, babciu, tam są *monstery*...

— Gdzie?

— W pokoju, na górze *big, black monsters*.

— Ach przyszło ci się.

Irenka usiadła na kolanach babki, odzyskiwała już odwagę, patrzyła na pokój okrągłymi, brunatnymi oczyma, jej mały, szpiczasty podbródek był energicznym podbródkiem Hanki.

— Siedziały pod łóżkiem Zdzisi i pod oknem, przyleciałam tu i zapaliłam światła.

— Pójdziemy teraz na górę — powiedziała Kołczanowa. Myślała: Zdzisia nie przyszła, na pewno jest z Hanką, na pewno spotkały się w mieście. Boże drogi, przecież nic się nie stało. Nic się nie mogło stać.

— Nie! — wyrwała się Irenka. — Ja nie pójdę!

— To ja pójdę pierwsza.

— Nie idź!

— Pójdę pierwsza i pokażę ci, że *monster'ów* nie ma.

Objęła ręką poręcz schodów, chustka zsunęła się jej z głowy i upadła na podłogę, płaszcz rozpięty zwisał z ramion.

— Gdzie jest Zdzisia?

Irenka skradała się za babką przytrzymując ręką jej płaszcz, ale gotowa w każdej chwili do trzmychnięcia z powrotem na dół.

— Powinna zaraz przyjść — powiedziała Kołczanowa — poszła z mamusią do miasta.

Zapaliła światło w dzieciennym pokoju, poprawiła łóżko Irenki. Łóżko Zdzisi, które rano przykryła kapą — nieruszone. Wychodzi dziewczyna z domu i nie wiem gdzie jest, co się z nią dzieje. Nie znam ulic tego miasta, ani gdzie oni jeżdżą samochodami, nie mogę nic sobie wyobrazić. Tylko najgorsze. W Polsce mogłabym sobie wyobrazić, wiedziałabym gdzie mogłaby pójść. Tu nic. Ciemno.

— Irenko, wejdź do łóżka, kochanie.

— Nie zgasisz światła?

— Nie, nie zgaszę.

— Nie pójdziesz już nigdzie?

— Nie.

— Gdzie byłaś?

— Tu zaraz, u Joan, musiałam jej coś zanieść.

— A... — mówiła Irenka. — U Joan, u tej dużej Joan — ziewa. Podnosi się: — Patrz — wskazuje ręką — tam siedział *monster*.

— Już sobie poszedł. Zamknij oczy Irenko, ja tu jestem...

— Babciu... daj mi mego misia.

Kołczanowa szuka niedźwiadka pod łóżkiem, pod łóżkiem Zdzisi niedopałek papierosa, źle ukryty, Kołczanowa podnosi go. Irenka powinna mieć osobny pokój, dlaczego stale mówi się o tym, aby Zdzisi dać pokój gościnny i tylko na tym się kończy, to za duża różnica wieku, Zdzisia kończy niedługo piętnaście lat, a to jeszcze dziecko. Czy oni nie widzą? Nie wiedzą?

Irenka wsuwa niedźwiadka pod kołdrę.

— Babciu, zaśpiewaj.

Kołczanowa wzdycha, na dole cisza, nikt jeszcze nie przyjechał.

— Irenko, głowa mnie boli.

— Tylko troszkę zaśpiewaj.

Zrzuca płaszcz, siada na łóżku dziecka.

*Spij dziecinko już...*

— Nie — podnosi się Irenka — nie! *Twinkle, twinkle little star...*

— Och, mój Boże — wzdycha Kołczanowa.

Irenka ciągnie ją za rękę: Babciu...

Kiwa głową, że się zgadza: dobrze, dobrze. Czy to ważne: śpij dziecinko już, czy *twinkle, twinkle little star*? Jeszcze dziesięć lat temu to była sprawa najważniejsza. Walczyła, krzyczała: Wasze dziecko przestaje mówić po polsku, Zdzisia kaleczy język. Mamo, mamo — mówiła Hanka — przecież to naturalne, póki jest z tobą w domu mówi po polsku, a potem szkoła, koleżanki i stopniowo ten drugi język. Dwa języki — myśli Kołczanowa — dwa imiona, trzy ojczyzny: urodzona w Anglii, wychowana w Ameryce, Amerykanka polskiego pochodzenia. Nic nie ważne. Gdzie ona jest teraz? Dlaczego nie wróciła do domu? Śpiewa:

*Twinkle, twinkle little star*

*How I wonder where you are...*

Irenka leży cicho, zasypia, babka kończy szeptem: *Like a diamond in the sky...* Na palcach, wstrzymując oddech wychodzi z pokoju, nocna lampka zestawiona na podłogę, ciepło spokojne dzieciennego pokoju, puste łóżko Zdzisi. Zamknęła drzwi, spojrzała na swój zegarek, wpół do dwunastej.

Wlokła się schodami na dół. Ja już nie mam moich dawnych sił. Sześćdziesiąt lat, to jest wiek w którym powinno się zaczynać myśleć o odpoczynku, niech mi nie plotą bzdur o Churchillu! Czy ja mało przeszłam! Wojna, strata męża, syna, zmiany takie,



ja już się czuję... W sześćdziesięciu latach przeżyłam sto dwadzieścia... ja już nie mam sił...

— Zosiu! — zawołał Witold — Zosiu!

Nie usłyszała, nie dostrzegła, że wszedł do domu, zagłębiona w ocenianiu swoich sił, swoich sześćdziesięciu lat w stosunku do innych ludzi, którzy mogą, potrafią, są czynni.

— Cicho... — przyłożyła palec do ust — cicho... Irenka...

— Przepraszam — szepnął — powinienem widzieć, że już śpisie.

Zdejmował płaszcz, jego ruchy nie były zwykłymi, zmęczonymi ruchami, wydawało się, jakby nabrał sprężystości, brak cwoieczernego opadnięcia ust, przygniecenia, zmięcia twarzy. Był inny.

— Dobrze wyglądasz — powiedziała.

— Hanka już śpi?

— No więc widzisz, widzisz — zaczęła się zalić. — Nie ma jej jeszcze i Zdzisia...

— Pewnie gdzieś razem poszły.

— Nie wiem — powiedziała — martwię się.

— Na pewno gdzieś razem poszły, nie martw się. — Wyciągnął do niej rękę. — Pogratuluj mi!

Uniesiony uśmiechem wydał jej się wyższy. Pomyślała: Odmłodniał, a ja się tu...

— Gratuluję — powiedziała — ale nie wiem czego.

— Siadaj — powiedział — póki one nie przyjdą muszę ci to opowiedzieć.

Usiadła na fotelu, niepokój jeszcze w niej, jak piłka rzucona podskakiwał, podrywał się, już tak późno — myślała — ale na pewno Zdzisia jest z Hanką, na pewno. Niech już przyjdą, niech się to czekanie skończy, widziała, jak Witold niespokojny czekanie chciał przedłużyć, czekał, aż ona siądzie wygodnie, aż powie, jak zwykle uprzejmie, zaciekawiona:

— No słucham...

— Pamiętasz to opowiadanie o którym ci wspominałem? To, co zaraz zacząłem pisać po noworocznym obiedzie u Kruków? Skończyłem!

— Skończyłeś.

— Wiesz, Zosiu, ja ci nic nie mówiłem, ale posłałem opowiadanie do *Nowego Kontynentu*. Przyjęli. Jutro ma być w niedzielnym dodatku.

— Wspaniale.

— To nie chodzi o to, że przyjęli. Najważniejsze, że mogłem napisać, że po tylu latach znów zacząłem pisać, a ta wiadomość dziś, że przyjęli tylko jakby to jeszcze bardziej mi potwierdziła. Mogę. Rozumiesz, mogę znów pisać.

— Cieszę się — powiedziała — zawsze cię zachęcałam.

— Ja wiem. Słuchaj, jak ja się męczyłem. Tobie to mogę powiedzieć. Rozumiesz, zadreślałem się. Nie miałem zaufania do siebie, do konstrukcji zdania, do znaków przestankowych, i pewnej nocy, nagle — przełom. Podarłem wszystko, zacząłem na nowo, przestałem się martwić jak piszę, myślałem tylko co chcę napisać.

— Jutro to będzie w *Nowym Kontynencie*?

— Tak — powiedział — ale to nawet mniej ważne, to jest tylko początek, pierwszy wyrąb w samym sobie. Ja widzę, że byłem cały czas ślepy, chodzę teraz, jeżdżę, a tematy kręcą się koło mnie, leżą na ulicy, tylko podnieść, opracować, obrobić... Co ci jest?

— O, nie wiem, denerwuję się. — Skrzyżowała ręce przed sobą, była miarowo kołyszącym się wahadłem odmierającym czas. — Nie wiem, jestem już stara, czuję się stara...

— Zosiu, co ty znów, Churchill w twoim wieku, a chociażby taka *grandmother Moses*, a chociażby...

— O, nie porównuj mnie... Ja właściwie nie mam... ale czekaj, jaki jest tytuł tego opowiadania?

— Opowiadanie samo nie jest najważniejsze, to tylko początek, próba, udowodnienie samemu sobie... nazwałem to „Wczorajsi Kołędnicy”. Co sądzisz?

— Dobrze. Tak, masz rację, najważniejsze jest to uczucie zaufania do siebie, każdy człowiek musi coś stworzyć, czegoś dokonywać, bo inaczej... starość. — Poderwała się. — Mnie się zdaje — pobiegła do drzwi — że Hanka. Otworzyła drzwi, wybiegła na werandę.

— Zaziębisz się — wołał Witold — weź palto! Jej niepokój już przerzucił się na niego, wybiegł za nią na dwór. Hanka parkowała samochód, zgasiła światła, zatrzasnęła drzwiczki.

— A Zdzisia? — krzyczała Kołczanowa. — Haniu, gdzie Zdzisia?

Hanka weszła ciężko po schodach werandy, była w grubym tweedowym kostiumie.

— Boże — jęczała Kołczanowa. — Boże drogi...

Niepełne światło podsufitowej latarni wychwytywało fragmenty twarzy.

— Co się stało? Mamo co się stało?

— Chodźmy do domu — powiedział Witold.

— Zdzisia — jęczała Kołczanowa — myślałam, że jest z tobą.

— Witold? — powiedziała Hanka.

— Nie wiem — rozłożył ręce — dopiero przyjechałem.

— Trzeba zawiadomić policję — powiedziała.

— Czekaj — powiedział — może jest u jakiejś koleżanki.  
Joan! Gdzie mieszka ta Joan?

— Byłam tam — powiedziała Kołczanowa. — O mój Boże, coś się stało, Haniu, o mój Boże...

— Myśleliśmy, że jest z tobą — powiedział.

— O tej porze! Przecież wiesz, że w piątek wieczór mam wykłady.

— Nie wiem, nie wiem... czy ja wiem gdzie ty chodzisz!

— Nie wiesz! Po takiej awanturze, jak wczorajsza, w ogóle nie chce mi się...

— Przestańcie się kłócić, przestańcie — jęczała Kołczanowa — tam dziecko nie wiadomo gdzie... ja miałam takie złe przecucia, Boże... mój Boże... Haniu!

Witold zmiął gazetę w rękę, trzasnął nią o stolik, lampa zakłosała się, krzyknął:

— A kto prowokuje te awantury?

— Ja! Naturalnie! To może i ja jestem winna, że Zdzisi nie ma jeszcze w domu?

Kołczanowa usiadła na ostatnim stopniu schodów, przygięła się wpół. Zawodziła jęklwym płaczem:

— Haniu, Haniu, ja się boję, że jakieś nieszczęście...

— Mamo, proszę cię nie histeryzuj! — Podeszła do telefonu.

— Zaczekaj — powiedział Witold.

— Na co?

— Dopiero za dziesięć dwunasta, może poszła z koleżanką do kina.

Kołczanowa siedziała na schodach, jej broda drżała płacząco, przecierała palcami oczy. Patrzyła na Hanke rozpaczliwie i wyczekująco, patrzyła tylko na Hanke, zawsze już tak patrzyła, Hanke energiczna broda uniesiona do góry, pali papierosa, proste, ciemne brwi zbiegły się nad nosem, pionowa zmarszczka przecinała czoło, powiedziała nie odwracając głowy:

— Ty zawsze na wszystko chcesz czekać. Gdybyś nie wyczekiwał na ten urojony powrót do Polski nauczyłybyś się innego zawodu.

— Dzieci — jęczała Kołczanowa — na miłość boską, nie teraz...

— Ja wychodzę — powiedział.

Zawiesiła słuchawkę: — Gdzie?

— Wychodzę z tego domu.

— Chryste Panie... — jęknęła Kołczanowa.

— Najłatwiej stchórzyć, prawda? Głowę w piasek i już! Ty już raz tak odszedłeś, już raz tak kogoś zostawiłeś! Mam ci przypomnieć?

— Haniu! — krzyknęła Kołczanowa.

— Mamo, bardzo cię proszę!

— Hanka! — krzyknął — bo nie będę panował nad sobą!

— Nie panuj! Możesz mnie nawet zabić! Mnie i tak już wszystko jedno!

Podsłoczył, chwycił ją za ramię, ścisnął.

— Zostaw! — szarpnęła się.

Kołczanowa zerwała się ze schodów, podbiegła, starała się ich rozdzielić, wyciągniętymi w bok ramionami odgradzała ich od siebie, dyszała:

— Czy wyście poszaleli? Czy to drugie dziecko też chcecie zmarnować? Dopiero uspokoiliam Irenkę. Śniły jej się jakieś „monstery”. Ciszej... Haniu, usiądź... Witold, Boże kochany...

— Ja zatelefonuję na posterunek policji — powiedziała Hanka. Nie rozpięła nawet żakietu, skórzane rękawiczki leżały na podłodze. — Mamo, czy jesteś pewna, że nie ma jej u Joan?

— Ja tam zaraz pójdę — powiedział Witold.

— Zaczekaj, nie idź, byłam. Nie ma jej tam. Joan powiedziała mi...

— Co ci powiedziała, dlaczego nic nie mówisz?

— Powiedziała mi, Haniu, że widziała Ewę z jakąś Karen i dwoma chłopcami w samochodzie.

— Nooo... — Hanka usiadła na fotelu, odrzuciła niedopałek papierosa i zapaliła natychmiast drugiego.

— Kto to jest ta Karen? — spytał Witold. — Gdzie ona mieszka? Ja tam zaraz...

— Czeka... nikt nie wie gdzie ona mieszka, Joan powiedziała, że ta Karen *is no good*, a chłopcy...

— Co chłopcy?

— Zaraz... nie mogę sobie przypomnieć... zaraz *out...* jacyś *out...*

— *Drop-outs* — powiedziała Hanka. — No tak zaczyna się, wcześniej się zaczyna. Witold, czy ty chcesz zatelefonować na policję?

— Proszę cię — powiedział — telefonuj, ty się lepicz z nimi porozumiesz. — Usiadł, poczuł się zmęczony, zmęczenie całego dnia ciążyło teraz na nim, po wybuchu zawsze spadało na niego to obezwładniające zmęczenie. Hanka nakręcała numer telefonu.

— *I want to report a missing person. She is 15, she will be soon 15, about 5 feet 6 inches, slim...*

— O mój Boże... mój Boże... — jęczała Kołczanowa.

Całe wieczorne zdarzenie, które aż do tej chwili wydawało się Witoldowi nierealne, dopiero teraz, gdy słuchał głosu Hanki podającej rysopis Zdzisi przez telefon, nabrało jakichś bardzo kon-

kretnych biało-czarnych barw. Wzdrygnął się, poczuł, że ręce mu się trzęsą, uświadomił sobie, że Zdzisia nie wróciła, jego starsza córka, która dopiero za kilka tygodni skończy 15 lat, smarkata, dziecko, nie wróciła do domu. Zobaczył ją nagle w szczątkach rozbitego, dymiącego samochodu, zakrwawioną, nieprzytomną, nieżywą.

— Sprawdza, czy nie było jakiegoś wypadku — powiedziała Hanka. Spojrzała na Witolda, jego twarz była zupełnie biała. — Podaj mi zapalniczkę — szepnęła.

Wstał półprzytomny, pokój wydał mu się nagle jakąś odległą poczekalnią kolejową, z Hanką gotową do wyjścia w grubym zapiętym pod szyję żakiecie, żałośnie oczekującą Kołczanową, tymczasowość wtargnęła już pomiędzy meble ustawione, poukładane, już poruszona zawieszonymi na ścianach obrazami, ich do niedawna stałość, zadomowienie, wydawały się tylko żalosnym żartem. Podszedł do Hanki i podsunął jej zapalniczkę, skinęła głową, było to jak przypadkowe spotkanie ludzi obcych. Kątem oka zauważył jej opanowany, chłodny profil, ale ręka w której trzymała papieros, drżała. Powiniennem był zatelefonować — myślał. — To ja powiniennem był zatelefonować. — Stał z bezradnie opuszczonymi ramionami.

— Widzieliśmy ją po raz ostatni dziś o 8-mej rano, była w szkole, potem wyjechała samochodem z koleżanką i dwoma chłopcami... Nie wiem...

Powiesiła słuchawkę.

— Co powiedzieli?

— Nie zarejestrowali żadnego wypadku. Będą jej szukać. Nic więcej teraz nie można zrobić.

— Może trzeba, żebym ja gdzieś pojechał...

— Nie. Gdzie masz jechać? Teraz już nic nie można zrobić.

— Można się modlić — powiedziała Kołczanowa. Spojrzała na Hankę. Widziała tylko jej głowę pochyloną nad książką telefoniczną, podkreślała coś, notowała, godzinę? Nazwisko policjanta? Dokładnym, pewnym siebie ruchem ręki odłożyła pióro.

— Mamo, nie zabraniam ci się przecież modlić.

— To nie ja, to ty powinnaś!

— Powinnam? Mówisz więc o winie? Co ja powinnam to sprawa mojego sumienia i moich przekonań.

— Ale gdybyś ty, Haniu, chodziła do kościoła...

— Zaczyna się... — westchnęła. Wstała, chodziła po pokoju, jej krótka wąska spódnica opinała biodra. Patrzyli, jak przemierzała pokój od okien, aż do drzwi stołowego pokoju. Ten ruch, wiedzieli, to było wstrzymanie oddechu, zatrzymanie się nad brzegiem, ale mimo to Kołczanowa powiedziała:

— Wychowałam cię inaczej, dawniej chodziłaś do kościoła, a teraz...

— Proszę cię — powiedziała — nie zaczynamy na nowo. Głowa mi pęka.

— Bo nie chcesz...

— Zrozum! Nie to, że nie chcę, nie mogę! Szanuję twoje przekonania. Wystarczy? Jakie przekonania ma Witold — nie wiem. O jedno proszę, nie dogadujcie mi brakiem religii.

— Ja ci nie dogaduję — powiedział Witold.

— Patrzysz! Czy ja nie znam tego twojego wzroku! Co wy chcecie ode mnie? Żebym okłamywała samą siebie?

— Ja ci nie dogaduję. Myślę o Zdziści.

— A co ja robię teraz, nie myślę?

— Myślę — powiedział Witold — że ona się bardzo zmieniła ostatnio.

Kołczanowa oparła się o ścianę, objęła rękami kolana, jej obciągnięta spódnica sięgała niemal kostek, kiwała głową jękliwie, potakująco.

— No właśnie, właśnie, ja też to zauważyłam. Mnie się to wcale nie podobało, ja się tych zmian w niej boję. Taka się jakaś zrobiła zamknięta w sobie, zbliżyć się do niej, przemówić — ściana.

— Dziewczyna piętnastoletnia — powiedziała Hanka — normalne zmiany, a jeszcze to wciskanie jej przemocą od lat w coś czego nie może zrozumieć...

— Wciskanie w co? — powiedział Witold, co ty masz na myśli?

— Ach nie — przerwała Kołczanowa — mnie się zdaje, jakby w niej, jak w jakimś schronie atomowym coś się kotłowało, dusiło, a wszystko w ciasnocie, po ciemku. Dla nas, tylko te zewnętrzne ściany i cisza. I możesz krzyczeć, płakać, możesz przemawiać, prosić — nic. A przecież wiadomo, że tam w niej coś się odbywa, kto wie, jakie udręczenia, jakie piekło. Dla nas — kamienne oczy. Ściana. Dlaczego?

— Zmiany hormonalne i brak *identity*.

— Haniu, ty ze swoimi terminami naukowymi, ale przecież i ja byłam młoda, i ty, i Witold i każdy miał swoje kłopoty i te tam różne zmiany, ale dom to było miejsce gdzie się każdy nimi dzielił, no, może nie całkowicie, ale pamiętam zawsze: mówiło się. Mówiło się. Rozprawiało. Z nią nie można mówić. O.K. Albo wzruszy ramionami. Albo to jej: *I don't care*. I to wszystko. Nie rozumiem. Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego? Witold pochylał głowę, przyglądał się kolorowym wzorom dywanu, wy-

dały mu się nagle nie na miejscu, nie pasowały do tymczasowości atmosfery. Ten pokój już dawno przestał być domem.

— Czy ty rozumiesz, Witku?

Wzruszył ramionami, myślał: jak szczelny schron atomowy. Otwiera się tylko dla wybranych dla tych, którzy nie naruszają jej bezpieczeństwa. Dla kogo?

— Spytaj się Hanki — powiedział — podobno zmiany hormonalne. — Skrzywił się.

— Powiedziałam, że nie tylko to. Zmiany hormonalne i brak *identity*. Wcisnęłaś ją od początku w coś, co nie istnieje. Dziewczyna urodziła się w Anglii, przyjechała tu, poszła do amerykańskiej szkoły, a ty stale jej wbijałaś w głowę, że jest Polką. Stale te porównywania na niekorzyść kraju w którym rośnie. Tamto wszystko to jest *dead wood*. Tamto trzeba było odrzucić! Bez przerwy podcinałaś jej korzenie!

— Ja? A co, miałem ją może nastawiać niechętnie do polskości? Ty tego chciałaś, tak? Dla ciebie wszystko co polskie to już przebrzmiało, gorsze, bez sensu. Ty chciałaś mi w ten sposób zupełnie odebrać dzieci!

— Ja ci nie odbieram, rzeczywistość ci odbierze! Musisz zrozumieć, że ona jest i będzie Amerykanką! Nie umiesz się zmienić, nie umiesz wzrastać ze swoimi dziećmi!

— A ty umiesz? Ty miałaś czas?

— Psiakrew! — tupnęła nogą — mam tego dosyć! Pojechała gdzieś z chłopakami i o to też mnie chcesz oskarżyć?

Milczał. Rośnięcie Zdziśi odbyło się gdzieś poza nim, za ścianą jego własnych kłopotów i udręczeń z Hanką. Czas przebiegł tak szybko, że nawet nie miał czasu się zastanowić, że ona już... że ona jest już w tym wieku... Puszczą się... — pomyślał. Zaciśnął ręce, wpiął sobie paznokcie do bólu w rękę. — Puszczą się... moja córka! — Podniósł się gwałtownie z krzesła.

— Wychodzę!

— Witku, zaczekaj!

— Zostaw go, mam, to jego klasyczna reakcja, całe życie tak...

— Nie uciekam — powiedział Witold — nigdzie nie uciekam, zaraz wrócę.

— Zaczekaj, Witku, ja wam to muszę obojgu teraz powiedzieć. Nie chciałam się wtrącać, ale teraz muszę i potem już sobie pójdę... — Otuliła się swetrem, skrzyżowała ręce przed sobą, ale drżała tak, jakby jeszcze było jej chłodno. Zmęczona nocnym czuwaniem i płaczem twarz jej była zmięta, cienie przydawały jej zmarszczek. Nie podnosząc głowy Hanka spojrzała na ręce matki. Wzdrygnęła się. To były pomarszczone ręce starej kobiety. —

Czy wy myślicie — powiedziała — że Zdzisia nie wie co się między wami dzieje? Jej głos był bezdźwięczny, marszczył się, załamywał. Chwytała głośno powietrze, jakby się dusiła. — Ty mówisz, Haniu, zmiany hormonalne, mówisz, że ona nie wie kim jest, że nie wie gdzie należy, że Witold chce tak, że ty myślisz... ale moi drodzy, moi drodzy... to jest najważniejsze...

— Tylko się nie denerwuj — powiedziała Hanka — tylko spokojnie... no już przestań... ja ci dam aspirynę... nie przejmuj się...

— Zostaw! — krzyknęła. — Ja to wam muszę powiedzieć!

— Zosiu, szkoda twoich nerwów, już i tak nic się nie da naprawić.

— To to drugie dziecko też chcecie zmarnować! Irenka już miała *nightmares*! Słuchajcie, wczoraj, jak wyście się tam awanturowali na dole, bo przecież ja słyszałam. Czasem zastanawiam się czy wy nie zdajecie sobie sprawy, że ja... ale mniejsza o mnie, że dzieci słyszą?

Witold stał przy drzwiach, gotowy do wyjścia, z płaszczem przewieszonym przez ramię, stał pół-odwrócony, myślał: a może wypadek? Niezanotowany, nieodkryty jeszcze wypadek i ona gdzieś leży przyciśnięta maską samochodu, albo gdzieś w rowie, na brzegu bocznej drogi wyrzucona przez okno, albo ranna, umierająca i nie ma nikogo, bo ja nie zobaczyłem, nie dojrzałem... Kara? Za tamto? Za nich? Nie... nie... dlaczego?

— Więc poszłam do niej wczoraj, sama byłam wzburzona, rozstrzęsiona tą waszą awanturą, coś mnie tknęło, pójdę, zobaczę. Udawała, że śpi. Ale nie spała. Płakała. To jeszcze takie dziecko i jak wy tam... to jej cały świat się chwieje, wszystko się pod nią załamuje, bo jeżeli rodzice... Spytałam: Zdzisiu, córeczko, powiedz, co ci jest, płaczesz? Odwróciła się i tylko: Zostaw mnie, daj mi spać! Więc starałam się jakoś podejść do tego dziecka, siadłam na łóżku, chciałam ją objąć. Odepchnęła mnie. Bałam się, jeszcze obudzę Irenkę, więc tylko pochyliłam się, chciałam ją pocałować, to się tak zachnęła, aż mnie ramieniem uderzyła tu w piersi i tylko: *Leave me alone!* Poszłam. Może powinnam była z nią porozmawiać? Ale ja nie wiem jak. I tak by mi nie odpowiedziała. I co miałam mówić? Że jej rodzice się kłócą, nie zgadzają?

— Mogłaś jej powiedzieć, mamo, Zdzisia już nie jest dzieckiem. Zresztą i tak niedługo się dowie.

— O ile wróci.

— Mamo, proszę cię, idź na górę. Ten trójkąt i tak już za długo się ciągnie.

— Boże drogi... — jęknęła Kołczanowa, zakryła ręką oczy,



plakała, ruszyła nagle na górę po schodach. Witold trzasnął drzwiami, wyszedł. Hanka odwróciła się, przeszła do stołowego pokoju. Stół był jeszcze nakryty do obiadu. Niechętnie, wierzchem dłoni odsunęła talerz, oparła się rękami o stół, pochyliła. Była w *emergency room*. Zapach krwi, spirytusu i eteru, suchy zapach szpitalnej bielizny i przyciszony, niespokojny szmer wyczekiwania, zgrzyt przesuwanych wózków. Pacjenci mieli twarze Zdzisi. Już by mnie zawiadomili — myślała — już by zatelefonowali. Wiedziała: mogą ją zawiadomić dopiero rano. Można oszaleć, można oszaleć. Zakryła rękami uszy. A jeżeli zawieźli ją do jakiegoś małego szpitala w *county*? A może nikt jej nie znajdzie... Zawsze ktoś przejeżdża... zawiadomiliby mnie. Telefon! Poderwała się. Nie. Cisza. Starą się myśleć o wykładzie, który miała wygłosić w przyszłym tygodniu na zjeździe lekarskim w sąsiednim mieście... chciałabym zwrócić uwagę na ostatnie badania nad mongolizmem u dzieci... kultury chromozomów... Duży zegarek na przegubie ręki wskazywał godzinę pierwszą, czerwona wskazówka sekundnika odmierzała czas z beznamietną precyzją, z góry, z pokoju Kołczanowej, słychać było kroki. A jeżeli w ogóle jej nie znajdują? Przymknęła oczy, zagryzła dolną wargę, drobne szybkie łzy spadały na szarą, lnianą serwetę *Made in Poland*.

Witold zatrzymał samochód, wyłączył światła, zatrzasnął drzwiczki. Przejechał uważnie całą dzielnicę Rudgley Hill. Był koło kina i *Shopping Center*. Wszystko już zamknięte. Na głównej ulicy zwolnił, jeźdźnię przebiegła hałaśliwa grupa *teen-ager*'ów. Wśród nich nie było Zdzisi.

Chestnut Avenue ciemna, już prawie wszędzie pogaszone światła, tylko na rogu ulicy ciekawska latarnia wypatrywała. Włożył klucze do kieszeni marynarki, stanął przed domem. A może już telefonowali? Hanka nie czekałaby na niego, pojechałaby natychmiast do szpitala. Nie wyjechała, jej samochód stał zaparkowany. Dlaczego myślę o szpitalu? Może ona po prostu, najwyklej gdzieś... puszcza się. Zdzisia? Stał bezradnie przed własnym domem. Nic nie ma sensu. Opowiadanie... Wczorajsi Kołędnicy... to jest takie uczucie, Zosiu, jakby się wyrębywało coś w sobie, pierwszy przełom, uczucie satysfakcji, że mogę, że potrafię znów pisać... Nic nie ma sensu. A może wypadek? Może Hanka czeka na mnie, powiedziałem, że zaraz wrócę... gwałt i morderstwo...? W tym mieście przestępczość wzmaga się z każdym dniem... nie daj Boże! Trzeba coś zrobić, coś zrobić, telefonować do wszystkich szpitali, jeszcze do posterunku policji w śródmieściu. Wbiegł do domu.

Hanka odłożyła telefon.

— Telefonowali? — szepnął ochryple. — I co? Co?

— To ja telefonowałam. Nic nie wiedzą, zapewnili mnie, że jeśli coś, zaraz dadzą znać.

— Co chcesz teraz zrobić?

— Nic. Jeszcze zaczekam, jeszcze pół godziny zaczekam.

— To już druga godzina.

— Wiem. — Wzięła ze stolika gazetę, odrzuciła ją. — Po co ty na to wydajesz pieniądze? *Nowy Kontynent*... szmata, przestarzałe wiadomości.

— Zostaw to teraz. Jak ty możesz być taka...

— Jaka?

— Opanowana. Trzeba przecież coś...

— Jeśli nie zjawi się za pół godziny, pojedę do kilku szpitali, zobaczę w *emergency rooms*. Nie wiem, albo może ona...

— Co?

— Sam się powinieneś domyśleć.

— Mówmy otwarcie.

— Dobrze, mówmy otwarcie. Może po prostu siedzieć z jakimś chłopakiem w samochodzie. Nie wzruszaj ramionami. Zdarza się setkom innym, może się zdarzyć i naszej córce. Wolę to niż wypadek. Wcześniej czy później i tak by z kimś poszła do samochodu czy do łóżka. — Starąła się rozeźmiać, zakrzuszyła się.

— I ty to mówisz?

— Chciałeś mówić otwarcie.

— Ty tak mówisz, ty jej matka!

— Co w tym strasznego? Patrzę realnie na życie. Zdejm płaszcz, nie stój tu nade mną, jakbyś mnie za chwilę chciał spalić na stosie!

Zdarł z siebie płaszcz, cisnął go na fotel, mruknął:

— Moralność amerykańska.

— A jaka jest twoja moralność pod tą zakurzoną, romantyczną powłóczką?

Wyszedł z pokoju, zatrzymał się dopiero w kuchni przed lodówką, czuł jak każdy mięsień wibruje w nim osobno, było to nieskoordynowane drżenie, jakby nie stał, a rozstrzelony na setki obcych elementów wisiał w przestrzeni. Ręką, która wydawała się mu nie jego, nalał ginu do szklanki, zęby szczykały o szkło. Wypił jednym haustem, poczuł się lepiej, wrócił do *living room*'u, spojrzął na nią z ukosa, na jej odślonięte kolana, które objęła rękami.

— Matka mówi o własnej córce, że woli, aby poszła z kimś do samochodu, albo do łóżka.

— Tak.

— Widocznie sama byłaś zawsze taka.

— Ja byłam głupia! — krzyknęła. — Rozumiesz, byłam idiotka...

— Ciszej... — wskazał na sufit — Irenka...

— Byłam głupia, cnotliwa dziewczyna — roześmiała się. — Czekałam na ciebie...

— Czekałaś? Czy też może nikt inny się nie zdarzył?

— Uspokój się. Jak to się wszystko wyjaśni ze Zdzisią, to chciałam z tobą poważnie porozmawiać.

Chodził po pokoju, od okna, odsłaniał firankę, patrzył, wszystkoogarniająca ciemność warowała za oknem, wracał do drzwi stołowego pokoju, uderzał w niego róg serwety i odblask sufitowej lampy na szkłe kredensu. Zdzisia... Zdzisia... Boże drogi...

— Domyślasz się chyba o co mi chodzi, o czym chciałam z tobą pomówić.

— Co? — zatrzymał się przed nią.

— Powinniśmy byli dawno z sobą rozsądnie pomówić — oparła głowę o fotel, siedziała nieruchomo, patrzyła w sufit — wiesz chyba o co mi chodzi?

— Domyślam się — skrzywił się — chodzi ci o tego Ketlera.

— Oszałał!

— Już nawet nie domyślam się. Wiem.

— Z tobą nie można mówić, ty wszystkich ludzi widzisz tylko w jednym wymiarze.

— W jakim znowu wymiarze?

— Płaskim.

— Jak to rozumiesz?

— Zostaw! Nie mogę teraz o tym mówić. — Podniosła się, zapięła żakiet, pochyliła się, podjęła z dywanu rękawiczki.

— Gdzie idziesz?

Odsunęła go ręką niecierpliwie. — Puść mnie, pojedę do szpitali, będę jej szukać.

— Ty mnie oskarżasz!

— Ja?

— Ty uważasz, że to moja wina, że Zdzisi coś się stało, ja widzę! No to co mam robić?

— Zostań przy telefonie.

— Ty myślisz, że ty jesteś bez winy? Czy ona miała matkę? Jaki był stosunek zawsze pomiędzy wami? Ciągłe kłótnie!

— Nie tłumacz się.

— No to co chcesz żebym zrobił?

Wyjęła z kieszeni klucze samochodu.

— Nie wiem. Cokolwiek się stało, stało się już. Teraz trzeba tylko ponosić konsekwencje.

Zatarasował sobą drzwi, szeptał półprzytomny, starał się ją

zatrzymać, jakby jej odejście miało w tej chwili o czymś zdecydować, coś potwierdzić.

— Hanka... co się stało? Co ty masz na myśli? Czy wtedy jak przyszedłem telefonowali? Czy ty myślisz, że ona...?

W *basemencie* drobno, terkotliwie zapalił się boiler, podłoga wstrząsała nierówne dreszcze. Ucichło, w pokoju zasyczał kaloryfer.

— Słuchaj — odciągnął ją od drzwi — daj mi chociaż numer telefonu tego posterunku, powiedz gdzie jedziesz.

Podeszła do stolika, otworzyła książkę telefoniczną, pokazała mu zanotowany numer.

— Będę z tobą w kontakcie.

— Może ja bym jednak z tobą pojechał?

Potrząsnęła głową.

— Jedno z nas powinno zostać w domu.

Nagle z ciszy ulicy początkowo jeszcze niewyraźnie, ale z każdym ułamkiem sekundy coraz głośnie zaczął zbliżać się ku nim szum samochodu. Znieruchomieli. Wstrzymali oddech, przejęci tą samą myślą: przejedzie? Zatrzyma się? Bali się poruszyć.

Samochód zatrzymał się. Odjechał. Cisza. Obydwoje podbiegli do okna. Z werandy usłyszeli wolne, lekkie, skradające się kroki. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. W ich powiększającej się szparze zobaczyli ramię Zdziśi w zielonym, tweedowym żakiecie.

Spostrzegła ich. Cofnęła się, gotowa przed chwilą do przesadzenia jednym susem przestrzeni dzielącej jej od schodów — uderzyła plecami o drzwi, zastygła rozpięta na nich, jęknęła:

— Ach... myślałam, że śpicie.

Wyolbrzymiona ich wyczekiwaniem kurczyła się szybko do swoich zwykłych proporcji.

— Chodź tu! — powiedział Witold.

Oderwała się od drzwi, podeszła. Jej oczy był podpuchnięte i jeszcze bardziej niż zwykle wąskie, przecierała je nerwowo jedną ręką, pod drugą ręką trzymała książki.

— Która to godzina? — powiedział.

Spuściła głowę i jej proste, ciemne włosy osłaniające z dwóch stron czoło i opadające na ramiona, zupełnie zakryły twarz.

— *I don't know.*

— Gdzieś ty była? — powiedziała Hanka. — Gdzieś ty była? — krzyknęła.

— U Karen.

— Kto to jest ta Karen? — powiedział Witold. Starał się panować nad sobą, ale sam dźwięk własnego głosu podniecał go.

— Odpowiadaj!

— *My girl friend.*

Jej twarz była zakryta. Podeszedł do niej, potrząsnął ją za ramiona.

— Spójrz na mnie!

Wolnym niechętnym ruchem odrzuciła włosy do tyłu, twarz jej była bez wyrazu, obojętna.

— To Karen przywiozła cię samochodem? Z chłopakami ześ latała! Puszczasz się!

— Witek! — krzyknęła Kołczanowa. Stała na szczycie schodów w powłóczystym, kwiecistym szlafroku.

— Przyjechałam taksówką — powiedziała Zdzisia.

— Zdzisiu, dziecko — jęczała Kołczanowa — my tu się zamartwiamy...

— Puszczasz się! — krzyknął Witold. — Widzę po niej...

— Usiądź Witold — powiedziała Hanka — usiądź!

Machnął ręką, jakby tym gestem przekreślał już wszystko, całe swoje zaangażowanie w sprawę Zdzisi, odwrócił się.

Dlaczego tak długo tam byłeś? — pochyliła się nad nią Hanka — dlaczego nie zatelefonowałaś? Co ty sobie wyobrażasz? — krzyknęła. — Przecież ty nie masz jeszcze piętnastu lat! Nie raczysz nawet odpowiedzieć dlaczego wracasz o tej porze?

— *I don't know.*

Patrzyli na nią bezradnie. Stała pod ich spojrzeniami, jak pod skrzyżowanymi na nią reflektorami. Wyczekująca, naelektryzowana cisza domu dławiała ją. Poruszyła lewym ramieniem, potem uniosła prawe ramię, spojrzała na swoją stopę w płaskim białobrązowym półbuciku, noga podskoczyła: hop! I znów: hop! Rytmicznie raz jedna, raz druga noga zaczęły podskakiwać, uderzać klaskająco o podłogę: raz, dwa, trzy i... hop! Drgnęły biodra, kolana, ręce, raz, drugi, trzeci, a potem już rytmicznie. Zdzisia kołysze się, podskakuje, mruczy półśpiewnie:

— *...round 'n' round... up 'n' down... we go again... come on baby...*

Witold wychylił się z fotela, krzyknął:

— Oszalała! Wariatka! Przestań!

— *... we go again... come on baby...*

Porwał się, tupnął nogą w podłogę, ryknął:

— Przystaniesz ty mi natychmiast!

— Ach... — wstrząsnęła się. Książki wypadły, uderzyły o podłogę. Pochyliła się, dygoczącymi ramionami zaczęła je zbierać.

— Boże... — jęknęła Kołczanowa.

Wsunęła nieporządnie książki pod pachę, lękliwie, spod ramienia szparkami oczu spojrzała na matkę.

— *May I go to my room now?*

Hanka skrzyżowała przed sobą ramiona, chodziła po pokoju,

wzrok Zdzisi ciągnął się za nią. Jestem zmęczona — myślała Hanka — chciałabym gdzieś usiąść i płakać. Nie jestem już nawet człowiekiem, jestem tylko zmęczeniem człowieka. Wszystko mi jedno...

— Babciu... jęknęła Zdzisia.

Kołczanowa wyciągnęła ręce:

— Chodź córeczko, chodź kochanie...

— Mamo! — krzyknęła Hanka. — Mamo, proszę cię...

— Ale... mamusia, Zdzisiu — szepnęła Kołczanowa — mamusia musi pozwolić...

— *Mother, may I go...?*

— *You may not!*

— *Why?*

— Nie pójdziesz póki nam łaskawie nie powiesz dlaczego tak długo siedziałas. Co ty sobie wyobrazasz!

— Zdzisiuniu — jęczała Kołczanowa — powiedz mamusi, no powiedz...

Hanka podeszła do schodów, położyła rękę na poręczy:

— Mamo, uprzejmie cię proszę, idź do swego pokoju. Zostaw nas tu ze Zdzisią.

Kołczanowa nie poruszyła się.

— Uprzejmie cię proszę! — krzyknęła Hanka.

Twarz Kołczanowej drgała, jej oczy były ślepe od łez. Odwróciła się, odeszła.

Zdzisia stała nieruchomo, milczała. Pochyliła nisko głowę i zaczęła obgryzać paznokcie.

— Trzecia godzina — westchnęła Hanka — to trzeba nie mieć sumienia. — Usiadła, pochyliła się ciężko ku przodowi, było jej znów wszystko jedno.

Witold zaciskał pięści. Ja tylko nie mam tu nic do powiedzenia, ze mną nikt się nie liczy.

— Odpowiesz nareszcie gdzie byłeś? — krzyknął.

Milczała. Podskoczył do niej, rękami ścisnął brodę, aż pisnęła.

— Odpowiadaj, bo nie będę panował nad sobą!

— *Leave me alone, leave me alone!*

Witold, zostaw ją.

— Chyba mam prawo dowiedzieć się co robiła, gdzie była.

— Byłam u Karen... mówiłam, byłam u Karen...

— Tak długo? I co tam robiłaś?

Milczała.

— Pytam się, co tam robiłaś? — Stał nad nią czerwony, żyły

na skroniach nabrzmiały mu, dyszał nieprzytomnie. — Co robiłaś? Co robiłaś?

— Nic.

— Tak — przerwała — przecież słyszałam. — No cóż? Teraz zatelefonuję na policję, że ona już jest, wróciła. A potem... ach, przede wszystkim postaram się zasnąć. Czy mógłbyś się położyć w gościnnym pokoju?

— Naturalnie — powiedział. — I tak jestem tu już tylko gościem.

— Zdzisiu, możesz iść na górę — powiedziała Hanka.

— Jak to? — krzyknął Witold.

— Powiedziałam, że może iść na górę.

— No! — wzruszył ramionami — to ja się już nie wtrącam! Ja się już w ogóle nie będę wtrącał. Stosunki rodzinne... cholera!

Zrazu cicho, a potem coraz głośniejsz Zdzisia rozplakała się, chwyciła powietrze drobnymi wetchnieniami, szła po schodach, a jej płacz oddalał się od nich coraz bardziej. W połowie schodów zatrzymała się. Rozsunęła włosy, jej podpuchnięte oczy przecinały twarz skośnymi kreskami, zmarszczyła czoło, otworzyła usta i zamknęła. Patrzyła to na matkę to na ojca starając się przychwycić ich wzrok, ale oni nie widzieli jej, jej płacz był już odpowiedzią, wydawało się, jakby oddychali spokojniej. Powiedziała bezdzwięcznie, zachrypłym, nierównym od płaczu głosem:

— Ja... nie chciałam w ogóle wracać...

Podnieśli głowy, zdziwieni, że ona jest jeszcze, mówi do nich nie pytana. Uniesiona schodami wydawało się, przemawia do nich z wysoka. Teraz, gdy wiedziała już, że patrzą na nią, jej wzrok był znów pusty, a słowa niby skorupy orzecha spadały głucho na podłogę pokoju.

— To Karen powiedziała mi, żebym lepiej wróciła, jej ojciec zawołał taksówkę. Ja nie chciałam. Nie chciałam, bo po co?

Nie odpowiedzieli. Słyszeli jej płacz, ale żadne z nich nie zbliżyło się do niej.

— Po co? — zawołała. Odwróciła się gwałtownie i pobiegła na górę. Słyszeli, jak zamykała za sobą drzwi sypialni.

Nie odzywali się do siebie, cisza była jak gęsta, dusząca mgła, gryzła gardła i oczy. Hanka zakryła twarz rękami, wydawało się Witoldowi, że płacze. Włożył okulary, zapalił papierosa, ten ruch dodał mu odwagi, powiedział:

— No to co chcesz teraz zrobić?

Drgnęła, przeciągnęła rękami po twarzy i po czole, spojrziała na niego, ale tak, jakby nie rozumiała, albo nie dosłyszała pyta-

nia. Nie płakała. Jej usta opadały bezradnie kącikami ku brodzie, w podsiniątych, zapadłych od zmęczenia oczach była odpowiedź, której nie umiał odczytać. Nie płakała — pomyślał — nawet nie zapłakała.

— To co chcesz... — powtórzył.

Wyprostowała się.



## Rozdział VIII

### „BE TE NA PE”

Monumental City leży na szlaku pomiędzy dwoma stolicami: Nowym Jorkiem i Waszyngtonem. Ludzie przyjeżdżają tu rzadko, przejeżdżają częściej. Gdyby nie historyczny fort nad Zatoką pamiętający rok 1814 i narodziny *The Star — Spangled Banner*\*, gdyby nie kraby z których słynna jest Zatoka i które z macierzyńską tkliwością chroni, aby później się nimi objadać, i gdyby przede wszystkim nie Perceval Norris, szpital i uniwersytet górujący nad miastem i jego płaskością, Perceval Norris, herb i legitymacja miasta, jego sól, pieprz i dochód, byłby to po prostu szary, bez wdzięku i planu zbudowany miejski konglomerat o kształtach przypominających podeszczowe bajoro na którego obfitych w dolary brzegach, w zamożnych i spokojnych przedmieściach, rozkwitają na wiosnę puszyste, szerokobiodre azalie i wdzięczne, smukłe drzewa o liliowych i różowych kwiatach z bajki. Poszukiwacz ciekawostek niewątpliwie odkryje, że jest to miejsce urodzenia pani Simpson i że na starym miejskim cmentarzu przeznaczone jest miejsce na grobowiec rodzinny dla księżnej i księcia Windsoru. Starymi uliczkami, którymi o zmroku i o świcie niebezpiecznie się jest poruszać, snuje się jeszcze cień Edgara Allana Poe, a blisko śródmieścia w zarośniętym chwastami *grave yard* poczerniałego kościółka — grób poety i szary, smutny nagrobek.

\* W roku 1814, podczas wojny o niepodległość, Anglicy zaatakowali miasto i zostali odparci. W czasie bombardowania, Francis Scott Key (więziony przez Anglików wforcie) napisał patriotyczną pieśń „The Star — Spangled Banner” (Gwiazdzisty Sztandar), która uznana została później za oficjalny amerykański hymn narodowy.

Dla mniejszości polskiej jest tu trochę wspomnień i pamiątek. Kazimierz Pułaski, ten nierozłączny towarzysz Kościuszki, z którym ramię w ramię wmaszerowuje na estrady wszystkich akademii kilka razy do roku, miał tu swoją główną kwaterę, tu rekrutował ochotników do swego Legionu. Została tu po nim *Highway* jego imienia i stara flaga w miejskim muzeum. Jest tu też wiele białych, schludnie wyszorowanych schodków na wężownicach ulic i uliczek oplatających Zatokę, z którymi długo jeszcze miasto będzie identyfikowało osiadłych w Monumental polskich emigrantów. *Nowy Kontynent*, dziennik polskiej mniejszości na Wschodnim Wybrzeżu, który nigdy nie pojawia się w kioskach (chyba tylko w sklepie z dewocjonaliami i biurze podróży na Szerokiej) a zawsze wędruje pocztą, jakby symbolicznie solidaryzując się z emigranckimi wędrownkami, dociera do Monumental City w skąpej ilości egzemplarzy. Nie dlatego, aby Polonii było tu niewiele, przeciwnie, jest ona liczna, ale tak już rozproszona, tak już rozplywająca się w wielkim tyglu amerykańskości, że tylko tu i ówdzie w wygodnym kotle powszechnego zrównania przebłyskuje nieśmiało biało-czerwona barwa. Wielu nie czyta już po polsku, a tych którzy czytają mało interesują sprawozdania z zamiejscowych karcianek i posiedzeń kółek imienia bohaterów narodowych, świętych i wieszczów, od których kwitną stronicę *Nowego Kontynentu*.

Są jednak ludzie dla których pismo to ze swoimi podobiznami dostojnych proboszczów, zacnych prezesów i przedawnionymi wiadomościami ze świata jest ważnym, codziennym wydarzeniem. Jest z nim zwłaszcza dodatek niedzielny, który prenumeratorzy w Monumental City przy dobrej pogodzie i sprawnym funkcjonowaniu poczty otrzymują w sobotę.

Była to sobota kwietniowa, przemyta przedrannym deszczem, bardzo jasna, niebieska i wiosenna. O godzinie dziewiętej trzydzieści panna Basia, sobotnia *part time* sekretarka Witolda Sanockiego, wyskoczyła ze swego Volkswagena (używany, ale kupiony jako pierwszorzędna okazja i w nadzwyczaj dobrym stanie, razem z radiem, zapasową, nową oponą i funkcjonującym sprawnie ogrzewaniem), który zaparkowała na miejscu zarezerwowanym dla biura, tuż przy krawężniku ulicy Szerokiej, i podrygując żwawo twardym, wystającym kuperkiem dopadła szklanych drzwi biura. Przyłożyła twarz do szyby, stwierdziła, że *boss'a* jeszcze nie ma, wyjęła klucz z torebki i przez dłuższy czas mocowała się z zamkiem pamiętającym lepsze czasy ulicy Szerokiej.

Panna Basia w tydkach i udach sprężysta, z buzią dziewczynki przekornej co to naprzeciw wszystkim i wszystkiemu odważnie, z zagrażającą czterdziestką rozprawiła się rezolutnie: W nosie

mam małżeństwo. Złe mi tak? Pannie Basi nie było złe. Miała federalną posadę, apartament, używany samochód, którym nieustannie gdzieś szybowała: na obiady, kolacyjki, zebrania i zebranka, akademie ku czci... wieczory autorskie i referaty, przyjęcia na cześć... i w szczupłym gronie. I to niezależnie od miejsca w którym odbywała się uroczystość: Chicago, Nowy Jork, Waszyngton. Tylko nie Monumental City, nie, nie ta dziura, nie ten marazm, stagnacja, tu rzadko kiedy coś się działo. Pewnie i to miasto miało swoje ukryte powaby: aksamitne zachody słońca nad Zatoką, coroczny Targ Kwiatowy wokół pomnika Waszyngtona, ale nie dla panny Basi. Do Monumental City jeździła na sobotnie *part time* bez zobowiązania, ponieważ przez biuro podróży mogła sobie załatwić tańsze przeloty za granicę, a przez agencję wysyłania paczek do Polski mogła wysyłać znajomym i rodzinie paczki po znacznie niższej cenie. Mogła też, mając szerokie znajomości, podsunąć tu i ówdzie *insurance*, zainkasować swoją *provision*, tak więc ten *overtime* sobotni opłacał się jej, jak i również Witoldowi Sanockiemu, któremu bardzo sprawnie załatwiała amerykańską i obcojęzyczną korespondencję.

Panna Basia zrzuciła szybko żakiet wiosennego kostiumu, kupionego po fantastycznie niskiej cenie w *Second Hand Store* (kto to sprawdza?), powiesiła na poręczy krzesła, zawinęła rękawy swetra, podskoczyła do drzwi po pocztę, która leżała już na podłodze i kichnęła potężnie swoim małym, ciekawskim noskiem.

— Co za kurz! Fuj, co za kurz!

Położyła pocztę na biurku i natychmiast pofrunęła do ubikacji w głębi biura, tuż przy wyjściu na podwórze. Była to „łazienka” wątpliwej czystości, której białość dawno już przebrzmiała i Basia wzdrygała się szukając ścierki, którą mogłaby przetrzeć biurko. Zabrała się zaraz energicznie do czyszczenia swego biurka, a po namyśle i biurka Sanockiego.

— Brudy — utyskiwała — nie wiem za co on tej Murzynce płaci!

Umyła ręce, usiadła przy biurku i zaczęła systematycznie przeglądać korespondencję. Spoglądała od czasu do czasu na zegar ścienny reklamujący piwo i dziwiła się, że jej *boss* jeszcze nie nadchodzi. Ze stosu listów i reklam wynurzył się sobotni numer *Nowego Kontynentu*. Przerzuciła gazetę pobieżnie, rozłożyła niedzielny dodatek, poprawiła okulary i podskoczyła na krzesło.

— *O brother!* — krzyknęła.

Przekrzywiła głowę na prawo, na lewo, czytała.

— No patrzcie — szeptała do siebie — ale to dopiero...

W tej chwili zadzwonił telefon. Basia wyciągnęła rękę po słuchawkę nie odrywając oczu od gazety.

— Hallo?  
— Czy mogę mówić z panem Sanockim? — głos był kobiecy i bardzo ponury.

— Pana Sanockiego jeszcze nie ma, czy mogę przyjąć *message*? A kto mówi?

— Wiśniewska.

— A, dzień dobry pani — zaczęła panna Basia. Niusię Wiśniewską znała, jako że mało kogo panna Basia nie znała jeśli nie osobiście, to ze słyszenia. Paczuszkę posyłamy do Polski? To może ja przyjmę zamówienie?

— Nie — powiedziała Niusia Wiśniewska twardo. — Ja przez biuro pana Sanockiego już paczek do Polski wysyłać nie będę.

— Czy coś się stało? Niezadowolona pani z wysyłki? Będziemy reklamować...

— Proszę pani, ja z panem Sanockim chcę mówić osobiście. Jeszcze zadzwonię.

Panna Basia odłożyła słuchawkę bardzo zdziwiona. Myślała: babka wściekła. Ale co tam, nie moja wina. Poprawiła znów okulary, oparła się łokciami o biurko i mimo, że była bardzo obojętna, odsunęła na bok korespondencję i teczkę „Do Załatwienia” i czytała dalej opowiadanie na pierwszej stronie niedzielnego dodatku *Nowego Kontynentu*. Telefon zadzwonił, Basia syknęła niecierpliwie: Czy Sanocki nareszcie przyjdzie?, podniosła słuchawkę.

— Hallo?

— A kto tam? — zagrział męski bas. — To ty Baśka?

— Ja! Cześć, czołem, czuwaj panu majorowi! Jak zdrówko?

— Zdrówko narzekać, nie narzekam. Ja mam, wiesz, u świętego Piotra obiecaną setkę. Dawaj tam Sanockiego, mała.

— Kiedy jeszcze, panie majorze, nie przyszedł.

— No... a gdzie on się tam wałęsa? Godzin biurowych nie pilnuje, w domu go nie ma. To co się znów z nim stało?

— Nie wiem, panie majorze, słowo honoru, powinien lada chwila, a może ja coś bym mogła...

— Nie możesz.

— Panie majorze, panie majorze, czy pan major czytał... i co pan major?

— No... zobaczymy. Powiedz niech Sanocki do mnie zatelefonuje, albo może i trzeba żebym ja sam. No... zaraz... to do widzenia.

— Cześć panie majorze, żonie się proszę kłaniać, nie wybierają się państwo do Nowego Jorku, bo...

— Czekaj-no, nie wiesz ty gdzie mieszka ta doktor, jak jej tam... Janiakowa?

— Ta pani co na stypendium z Polski?

— No ta. Żona ją chciała zaprosić. Nie wiesz?

— Nie.

— To co ty wiesz? No... do widzenia.

Basia wróciła do niedzielnego dodatku. Janiakowa? — myślała. — Oj — roześmiała się — to chyba będzie o niej. Ona czy nie ona?

Doktor Joasia Janiak nie prenumerowała *Nowego Kontynentu*. Pochłaniała ją sprawy inne, bardzo z amerykańskim kontynentem związane, ale też i bardzo jej własne. Wychylona przez okno swego mieszkania na Mayburry Avenue patrzyła w niebo łagodnie błękitne i wchłaniała w siebie wiosnę. Twarz jej zaokrągliła się, zaróżowiła, a oczy pełne były takiego blasku i rozmarzenia, jakby Joasia nie widziała przed sobą sznura na którym tańczyły *underwear* i świeżo wyprane ręczniki i nie słyszała ani szumu miasta, ani przeraźliwego nawoływania sąsiadki:

— *You, Tommy, you little bastard, come on home this minute!*

— Wiosna — cieszyła się doktor Joasia. Wydawało jej się, że całe swoje życie oczekiwała na tę właśnie wiosnę, a teraz budziła się i rozkwitała, jak jeszcze jeden kwiat *dogwood*'u, których białe i różowe welony otaczały drzewa na skwerkach miejskich i w podmiejskich ogródkach. Czuła, jak się w niej z tym wiosennym kwitnięciem otwiera zasklepiona dotąd przestrzeń i oddychała coraz głębiej i swobodniej powietrzem nagrzanym kwietniowym słońcem. To poszerzenie wewnętrzne zwolniło ucisk niedawnych jej niepewności, małych udęczeń, lęków, że nie potrafi, że się skompromituje, że profesor odrzuci wyniki jej doświadczeń. Pracowała w laboratorium spokojniej, bez początkowego, gorączkowego pośpiechu, jakby przestała już biec, a szła teraz równym, pewnym siebie krokiem. Od pracy w zakładzie, chociaż interesowała ją, jak dawniej, mogła się teraz swobodnie oderwać i co nigdy nie zdarzało się w jej dawnej, codziennej rutynie — zamyśleć.

Były to zamyślenia łagodne, wewnętrzny radosny uśmiech do siebie, do świata ją otaczającego, radość z tego, że jest, porusza się, że palce jej sprawnie pracują przy preparowaniu tkanki, że dzień rozpoczyna się wschodem słońca, że wieczorem ogromny księżyc, soczysty, jak dojrzała pomarańcza wynurza się znad dachów domów, że dzieci jej dostały sweterki, które im wysłała,

że Michał ucieszył się z amerykańskiej koszuli, której nie trzeba prasować.

Często, przed zaśnięciem, szukając kogoś, komu mogłaby się zwierzyć ze swojej nowej i dziwnie spokojnej radości zaczęła najpierw przepowiadać słowa dawno nie mówionych modlitw, a później, odrzucając jej jako niedość własne, nie to co chciałyby wyrazić, szeptała: Dlaczego, mój Boże, ja się tak czuję, jakby wszystko do mnie i we mnie zaczęło się uśmiechać?

Z Johnem, od czasu wizyty u Kruków, widziała się kilkakrotnie. Były to zwykle wspólne kolacje, raz wypad do kina na film „David i Lisa”, który John chciał jej pokazać, a który Joasia bardzo wzruszył.

Nie wiedziała nigdy czy zobaczą się raz jeszcze, czy następne spotkanie stanie się już końcem czy też jednym tylko z ogniw w łańcuchu ich spotkań. John telefonował do zakładu biochemicznego w którym pracowała, wypytywał najpierw czy nie jest zajęta, czy miałyby czas i ochotę zjeść z nim kolację, jakby nie wiedząc, albo udając, że nie wie, że czekała na jego odezwanie się.

Wydawało się czasem Joasi, że nie spotkali się w Monumental City, ale jakby na okręcie, gdzie ograniczona przestrzeń zmusza pasażerów do przebywania z sobą, a dopiero ta bliskość przebywania odkrywa ich samym sobie. Wiedziała, że chociaż płyną teraz w jednym kierunku i na tym samym pokładzie na którym znaleźli się przypadkowo, okręt dobije do portu i zostawiając jedno z nich na brzegu, popłynie dalej. O tym, że pożegnają się niedługo, John nie wspominał, powiedział tylko, że kontrakt jego wygasa pod koniec czerwca i że wyjedzie z Monumental City. O pożegnaniu z Johnem Joasia nie myślała. Układała natomiast, świadoma własnej fantazji i pobłażliwie jej się przyglądając, jakby film swojej i Johna przyszłości. Widziała więc, jak zostaje w Ameryce, jak zrywa małżeństwo z Michałem, zastanawiała się nad dziećmi, myślała: Kto mi zabroni marzyć? Nigdy nie marzyłam. W moim życiu wszystko, zawsze było rzeczywistością.

Zaczęła się też w swoich zamyśleniach pochylać nad samą sobą, początkowo bała się tego, jakby spojrzenie w głąb samej siebie, parzyło. Stopniowo odważała się patrzeć dłużej, uważniej i samej siebie zapytywać. Myślała: A więc jaka ja jestem naprawdę? Co John zobaczył we mnie? Czy zobaczył coś, czego ja nie widzę? Myślała także: Co widział we mnie Michał? Czy to, co chciał zobaczyć, czy też mnie prawdziwą? Zastanawiała się: Co ja zobaczyłam, co ja widzę w Michale?

Jej spojrzenia szły teraz do głębi, patrząc na ludzi nie starała się widzieć ich, ale widzieć w nich. Była to gra trudna, ale która zaczynała ją absorbować. Co ja widzę w Johnie? — pytała się

samej siebie. Nie znajdowała jednak konkretnej odpowiedzi, uśmiechała się i odpowiadała samej sobie: Wszystko, wszystko.

Podczas gdy Joasia wychylona przez okno z bazy swego mieszkania w Monumental City wzbijała się rakieta do niewidocznych gwiazd, gdy głucha na przeraźliwe krzyki sąsiadki wzywającej swego syna do domu: *You, Tommy, when I get a hold of you* — wędrowała w przestrzeni otulona kombinezonem z marzeń i rozmyślań — doktor Włodzimierz Łopatowski przyciskał już po raz trzeci dzwonek u drzwi domu na Mayburry Avenue i klął pod nosem:

— Co ta Joanna, zapomniała, że przyjeżdżam?

Był to ów kolega Joasi z warszawskiego Zakładu i od przeszło roku stypendysta na jednym z bostońskich uniwersytetów. Zniecierpliwiony, szarpnął drzwi energicznie, ustąpiły i Włodek znalazł się na ciemnej klatce schodowej. Ruszył na trzecie piętro i tu stanął przed czterema zamkniętymi drzwiami. Zapukał do pierwszych z brzegu — cisza. Zapukał do drugich, drzwi otworzyły się i razem z rykiem rozkrzyczanej telewizji wybiegła siwa głowa i czerwony nos gentlemana w wieku nieokreślonym.

— *What do you want?*

— *Excuse me, sir* — powiedział doktor Łopatowski. — *I am looking for doctor Janiak.*

— *Not here!* — gentleman zatrzasnął drzwi.

Włodek zapukał do trzecich drzwi, a potem nacisnął klamkę. Joasia stała przy oknie.

— Joanna! — krzyknął. — Co ty, z okna chcesz się rzucać?

— Włodek! Boże kochany, zupełnie zapomniałam która godzina! Chodź, siadaj, ach jak ja się cieszę!

Włodek przestał pręg mieszkania, a że był wysoki musiał pochylić głowę, aby nią nie uderzyć o framugę drzwi. Joasia spadała tymczasem z przestrzeni międzyplanetarnej na czarno malowane deski apartamentowej podłogi, zaskoczona, zmieszana, nie patrzyła na gościa, trajkotała zapraszająco:

— Siadaj, proszę cię bardzo, o tu, na fotelu. Zostaniesz na lunchu? Zostaniesz, dobrze, dobrze? O której masz pociąg do Waszyngtonu? A może jedziesz autobusem?

— Pomówimy — powiedział i ponad głową Joasi przyglądał się ścianom i meblom pokoju. — To tyś tak na mnie przy tym oknie czekała? — przyśmiechnął się.

Joasia zaczerwieniła się, podbródek zadarła do góry, spojrzała na Włodka. Był w szarym ubraniu, rozpiętym deszczowcu, jego szaro-blond włosy, zaczesane niedbale z wysokiego czoła, sięgały aż do połowy karku, twarz miał szeroką, wygodnie na wystają-

cych kościach policzkowych rozpiętą, cerę szarawo-błądą, oczy niebieskawo-błade, wodniste, stonowane z kolorytem twarzy, włosów, ubrania. Wszystko w nim było jakby nieco za długie, zbyt luźne, stał, ale tak, jak gdyby się rozpierał od niechcenia, patrzył, a nie widział, zaabsorbowany czymś bardzo, tylko mu ślad powitalnego uśmiešku zwiślał jeszcze z dolnej, szerokiej wargi.

— Czekałam — powiedziała, ale tak, jakby bardziej pytała się samej siebie: Czekałam? Bo Włodek ten, który tak bardzo interesował ją kilka miesięcy temu, a nawet wywoływał dziwnie niespokojne dreszcze, ten Włodek, na którego spotkanie sam na sam za granicą cieszyła się jadąc do Ameryki, widziany teraz w mieszkaniu na Mayburry Avenue — zszarzał.

— Zmęczony jesteś, prawda?

— No — mruknął, kapelusz odrzucił na łóżko, rozsiadł się w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi długie w nieco pomiętych spodniach, przyjrzał się czubkom obłożonych butów. — Pomówimy.

Stała uprzejmie, wyczekująco, a on w swojej szarości zagłębiony, zaabsorbowany, myślał przez chwilę, zmarszczył czoło, zatęsknił nagle rękę, powiedział:

— Słuchaj-no, Joanna, ja do ciebie mam taką jedną prośbę. Poczekaj. Mówiłaś mi, że znasz tego kuzyna Porejów, tego co tu był w zeszłym roku na stypendium.

— Znałam, przychodził do nas w Warszawie, bo co?

— Widzisz, ja muszę mówić z Porejów w Waszyngtonie. Paszport mi się, cholera, kończy za trzy tygodnie. Pojechałabyś z mną do Waszyngtonu, pogadałabyś z Porejów... no? — Przyglądał się Joasi wyczekująco, zacierał swoje duże, blade ręce. Potem sobie gdzieś pójdziemy...

— A po co ja mam z nim mówić?

— Zawsze jak byś z nim pomówiła, to nie robiłby mi wstrętów z przedłużeniem paszportu. Znałaś jego kuzyna... zawsze tak byś coś o nim napomknęła, że przesyła pozdrowienia...

— Oj ten kuzyn Porejów — skrzywiła się. Pomyślała: To Włodek dlatego do mnie przyjechał.

— Tak, tak ten kuzyn... no a potem sobie gdzieś pójdziemy.

— Widzisz — powiedziała i dziwiła się że to „pójście z Włodekiem”, jego obecność tak mało ją obchodzi — oni z tym kuzynem mieli bardzo dużo kłopotu.

— No?

— Porejowa to nawet powiedziała: „Chociaż nie jestem wierząca, to dam na Mszę, jak ten nasz kuzyn wyjedzie”.

— Hm... no?

— On tam bardzo narozrabiał. I mnie się zdaje, że oni mieli



rację. Bo widzisz, on tam im nasprowadzał jeszcze różnych kuzynów, przyjeżdżali do Waszyngtonu bez pieniędzy i wszystko zwałało się do Porejbow. Jeden z tego klanu to przyjechał nawet z *girl-friend*'em...

Włodek podrapał się po głowie, palcem przyglądał brodę, tak, że górna warga znikła zupełnie, a dolna podjechała aż do nasady nosa, myślał.

— Porejbowie — mówiła Joasia — ich nie przyjęli. Bo mówili tak, i ja się z nimi zgadzam, mówili: „Co wy sobie myślicie, na nas ludzie patrzą, Amerykanie tu, Polacy tam, a my na placówce dyplomatycznej. Więc ten kuzyn ostentacyjnie nocował z *girl-friend*'em w samochodzie i zaparkował jeszcze przed samym mieszkaniem Porejbow. A jeszcze na dodatek wiadomo, że żonaty, a żona w Polsce.

Włodek przeciągnął ręką po włosach od czoła do karku, podrapał się po potylicy, czoło zmarszczyło mu się w harmonię, ruszył znów palcem do dolnej wargi i podciągnął ją sobie do koniuszka nosa, który zaczął miętosić całą ręką.

— To znaczy się nie chcesz — powiedział przez nos i postawił mocno obie stopy na podłodze, jakby natychmiast miał zamiar podnieść się i wyjść.

— Nie! — zawołała Joasia. — Nie myśl, że ja nie chcę.

— No — mruknął i podniósł się.

— Czekał — wyciągnęła rękę — siadaj. Wiesz, że ja bym ci chętnie pomogła. Tylko Włodek, naprawdę, ja ci mogę jeszcze zaszkodzić, oni dostaną szału, jak ja im przypomnę tego kuzyna. Słuchaj... porozmawiaj z Porejba, powiedz, że jeszcze ci potrzebny czas na skończenie pracy.

Włodek namyślał się, usiadł.

— Prawda — powiedział — mam sześć prac zaczętych. Trzeba tylko opisać. Hm... — Wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów. — Masz zapałki?

Joasia wyszła do kuchni, przyniosła mu zapałki i popielniczkę. Włodek zapalił papierosa nie patrząc na nią zaciągnął się dymem, myślał.

— Napijesz się kawy? — spytała. — Mam chleb, sardynki, pomidory... pomyśl, pomidory o tej porze roku. Kupiłam truskawki. Dla siebie nie kupuję, ale wiedziałam, że będziesz.

— Tak — powiedział Włodek. W jednej ręce trzymał papierosa, drugą bębnił palcami po kolanie — on może na to pójść. Powiem mu, że profesor domaga się, ażebym skończył pracę... co?

— Tak... tak, mówię ci, inni też tak robią.

Włodek uśmiechnął się, a Joasia, której wydawało się, że się na nią obraził, ucieszyła się i Włodek w uśmiechu swoim przy-

pominający jej Włodka z warszawskiego Zakładu zaraz ją sobie podporządkował i ustawił w dawnej, nieśmiałej admiracji.

— Ja z tym profesorem, słuchaj, z tym moim *boss'em*...

— O właśnie — zawołała — opowiedz mi. Wcałe się ciebie nie zapytałam jak sobie dajesz radę. Ty jesteś taki fenomenalnie zdolny, że chyba oni koło ciebie skaczą. Bo ja to, słuchaj, takie kłopoty miałam na początku, zgubiłam enzym, już chciałam pisać do ciebie...

Roześmiał się, zawtórowała mu śmiechem. Zaraz mu opowiem o tym, a może i o Johnie?

— Żebyś wiedziała, że skaczą — śmiał się w swój śmiech zapatrzony. — Ja już po pół roku wyklóciłem się o podwyżkę. Przez pierwsze pół roku, słuchaj, harowałem, niedziela, nie niedziela. Teraz idę do pracy na dziesiątą. Co mam się przejmować? Robię, jak inni. A jeszcze ja pracuję za takie marne pieniądze, że Amerykanie by nie chcieli. — Zamyślił się, jeszcze przyśmiechnięty zewnętrznymi kącikami oczu, wskazującym palcem wędrował od nasady nosa, między brwiami, ku czole, tam i z powrotem, głowę schylił w swój paluch zapatrzony. Joasia przysiadła na brzeжку łóżka, rękami objęła kolana, patrzyła.

— Czekaj, która to godzina? — powiedział.

— Jedenasta — powiedziała i zaryzykowała raz jeszcze, ale już ciszej i niechętnie. — Ja, wiesz, to miałam tu na początku takie kłopoty...

— Jedenasta? No to mam jeszcze trochę czasu. — Wyciągnął nowego papierosa, zgniótł go w palcach, zapalił. — Więc słuchaj, powiem ci o tym moim *boss'ie*. On jest, słuchaj, Węgier. Przyjechał tu w 47-ym roku. Sprowadził żonę. Węgrzy, ci z rewolucji, jak spotkali tych, którzy przyjechali wcześniej, nie chcieli im podawać ręki. Sam mi opowiadał. Teraz... już się pogodzili. Ten mój *boss*, słuchaj, to mnie namawia, żebym jeszcze tu został.

— A jak ty długo chcesz tu zostać?

— Jak najdłużej! — Uderzył stopami w podłogę, założył przed sobą ramiona, rozparł się w fotelu wygodniej i roześmiał. — Żle mi tu?

Joasię śmiech ten zadrasnął, aż się zachnęła. Rumieniec wskoczył jej na szyję, poleciał po policzkach, przełknęła ślinę, głowę uniosła wysoko, Włodek jej się wydał jakby mniejszy, w fotelu oddalony i głos własny też wydał jej się inny, powiedziała:

— Słuchaj, tak ci dobrze, zostajesz, a żonie posyłasz takie stare, używane futra. Potem to tylko w komisie wisi. A sam — to takie wymagania! Stale coraz większe: przyslij bursztyny, przyslij to, tamto... Przecież to kosztuje!

Włodek zanurzony w projektach, w przekonywującej o przedłużeniu paszportu z Porejba rozmowie, drgnął.

— Co?

— Nawet jej jednego dolara nie posłałeś! A mówisz, że dostałeś podwyżkę. Pisałeś, że kupujesz akcje, pisałeś, że grasz na giełdzie...

Włodek ujął się ręką za długi podbródek, usta otworzył i po raz pierwszy od wejścia do mieszkania na Mayburry Avenue zobaczył Joasię. Spojrzenie wędrowało zastanawiająco i krytycznie od bucików i nylonów, bezceremonialnie w górę po sukience, do szyi i przysiadło zdziwione na Joasi nowych okularach.

— Słuchaj — powiedział — ty się jakoś zmieniłaś.

— Taak? Dlaczego?

— Wyprzystojniałaś. I... taka się jakaś zrobiłaś buńczuczna. Ale, powiedz, co ci do Hali? Czego ty się nią przejmujesz?

— Przejmuję się, bo... — wstała i, aby dodać sobie odwagi, a i opanować drżenie, że tak się nagle odważyła Włodekowi odpowiadać, ujęła się pod boki — bo... to nie jest sprawiedliwie!

Zmarszczył nos i tak się ręką zamachnął, jakby odganiał komara:

— E... gadanie! Mógłbym jak ten chemik, wiesz, co to żonę sprowadził do postępowania rozwodowego do Holandii, a potem ożenił się z tą laborantką pół-Indianką.

— Mógłbyś. Teraz to ja już wierzę, że byś mógł. I lepiej... napiszę do Hali, żeby na ciebie nie czekała.

— Słuchaj, co ty tak na mnie patrzysz? Nie żartuj! Czego ty chcesz?

— Bo mógłbyś posłać Hali trochę pieniędzy. Ja wiem, jak ona się męczy, skarżyła mi się.

— Co? — skrzywił się. Spuścił głowę i zaczął zacierać ręce, wyłamywać sobie palce w stawach, a od czasu do czasu zerkał na Joasię tak, jakby próbował żeby się wymknąć, uciec bez pożegnania.

Przestraszyła się, myślała: Co ja zrobiłam? To nie ten sam człowiek. Co mu się stało? Nie był to już ten sam kolega z Zakładu warszawskiego dowcipkujący, przyjmujący łaskawie jej admirację, fenomenalnie zdolny doktor Łopatowski. — A może zawsze był taki? — myślała — może to tylko ja?

— Włodek — powiedziała — ja idę dziś do jednego znajomego, do takiego polskiego biura podróży, on ci może przesłać pieniądze do Polski. Widzisz, nie zrozum mnie źle, ale jak ty jej pošlesz dziesięć dolarów, to tobie wiele nie ujmie, a jej, no zrozum, jej to bardzo pomoże.

Podniósł się, przeciągnął:

- Poślę jej z Bostonu. I ja już będę...
- A... — roześmiała się — chcesz uciekać?
- Uciekać?

— A ja ci powiem, ja nie wierzę, że ty jej pošlesz pieniądze z Bostonu. I może lepiej, może lepiej, żebym do niej napisała.

Stał niezdecydowanie na środku pokoju, przyglądał się swoim butom, myślał: Trzeba wyczyścić je przed wyjazdem do Waszyngtonu. Czego ona chce ode mnie? — Uśmiechnął się: Zazdrosna... Podszedł do niej, wyciągnął rękę, ujął ją za łokieć:

— My tu o różnych bzdurach zamiast skorzystać, że jesteśmy sami. Cholernie wyprzystojniałaś. Pojedziemy sobie razem do Waszyngtonu, taka okazja, Joanna... — Przyciągnął ją do siebie, pochylił się.

— Zostaw! — zachnęła się. — Nie! — Wyrwała ramię z jego ręki, odeszła, zatrzymała się w drzwiach kuchni.

— Może i masz rację, że się zmieniłam...

— *Sure!*

— Wiesz, jak tu jestem sama, to dużo myślę. Przedtem... jakby ci to wytłumaczyć... jak przedtem ktoś coś do mnie mówił, albo się pytał, albo coś chciał ode mnie, to odpowiadałam: tak, albo nie, i specjalnie się nie zastanawiałam. No nie mówię o pracy naukowej, tylko o takich zwykłych, ludzkich rozmowach. A teraz, to tak, jakby wszystko przeniosło się właśnie do laboratorium i zawsze teraz staram się badać i dociekać i widzieć i widzieć jakby przez mikroskop i stale pytam się samej siebie: dlaczego, dlaczego?

— No to co, nie pojedziesz do Waszyngtonu?

— Nie, mówiłam ci, nie ma sensu. A ty nie zjesz *lunch'u*?

Wszystko gotowe.

Chciał odwrócić się, wyjść, trzasnąć drzwiami, powiedział:

— Dziękuję, bardzo chętnie, skoro przygotowałaś.

— To może zdejmiesz płaszcz?

Zdjął płaszcz, powstrzymał się, aby nie cisnąć go na podłogę. Usiadł uprzejmie przy żelaznym stoliku kuchennym, podciągnął nogi pod krzesło, czuł, że się uśmiecha niepotrzebnie i głupio i wydawało się, że cała jego długa znajomość z Joasią nie istniała i że spotkał ją po raz pierwszy. Zastanawiał się, co jej się, do diabła stało? — Powiedział?

— A jak twoja praca? Napisałaś już coś? Jak ci idzie? — Ale tak, jakby mówił: „Bardzo mi miło panią poznać, pozwoli pani, że się przedstawię”.

Postawiła przed nim filiżankę z kawą, otworzyła drzwi lodówki, ukryła w nich przez chwilę twarz, śmiała się cicho sama do siebie. Był to ciepły, triumfujący uśmiech. Wyjęła z lodówki po-

midory pokrajane na talerzyku, truskawki w miseczkach posypane cukrem, powiedziała siadając na wprost niego przy stole:

— Ja już sobie daję radę.

Włodek podniósł do ust filiżankę z kawą, pociągnął łyk i nie czuł, że sparzył sobie podniebienie.

— Gdzie jest to biuro? — spytał.

— Chcesz jej posłać pieniądze?

— Tak... to się nawet dobrze składa, że tam idziesz.

— Możemy się przejść, to nie jest tak bardzo daleko, śliczna pogoda. — Podsunęła mu sardynki. — Proszę cię bardzo. — Ja to się przejdę, jeszcze się do tego stopnia nie zamerykanizowałam, ażeby wszędzie jeździć.

— Dobrze — powiedział Włodek. Spojrzał na stół, na Joasię. — Ach, pomidory i truskawki, szynka! Świetnie to wygląda. Ale naprawdę nie powinnaś była sobie robić tyle kłopotu.

W jego głosie był ton uprzejmego gościa zaproszonego na pierwszą wizytę.

Mijając wystawę zakładu fryzjerskiego, na której papierowa para omdlewała w zachwycie nad brylantyną, Witold Sanocki zobaczył odbitą w lustrze swoją twarz. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, że to on. Widok samego siebie zaskoczył go i przeraził. To ja tak wyglądam? To ja już tak wyglądam? Był źle ogolony, a oczy po nie przespanej nocy podpuchły wiotkimi workami bladej skóry.

Starszy pan... — Sanocki odwrócił głowę od lustra. — No i co to lata robią z człowiekiem! Wydaje ci się, biegiesz na podbój przyszłości. A, pędzisz na spotkanie własnej starości i śmierci. Nic dziwnego, że ona nie może na mnie patrzeć. Zakonserwowała się, zatrzymała jakoś. A ja dźwigam czas za nas oboje. E... szkoda w ogóle... Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta. Późno. Basia już chyba otworzyła biuro, no to co? Otworzyła czy nie... mam to wszystko...

Aż do chwili zobaczenia swej twarzy, przyłapania samego siebie własnymi oczyma, śpieszył się. Teraz, mimo spóźnionej pory, zwolnił. Włókł się wzdłuż bocznej ściany rynku skąd zalaływał ostry odór ryby i rybnych odpadków. Stara, okutana w łachmany Murzynka grzebała kijem w puszkach od śmieci.

Sanocki spał tej nocy w gościnnym pokoju, a wyczerpany czekaniem na Zdzisię, zdenerwowany rozmową z Hanką, urażony zachowaniem się Zdzisi — długo, aż do rana, nie mógł zasnąć. Zdrzemnął się na krótko i obudził po dziewiątej zmęczony, jak po ciężkiej, fizycznej robocie. W domu było cicho, wszyscy już wyszli tylko Zdzisia spała owinięta szczelnie kocem z twarzą

wciśniętą w poduszkę. Stał długo w drzwiach 'dziecinnego' pokoju patrząc na starszą córkę. Nie poruszyła się nawet. Na dywaniku, przy łóżku leżał jej różowy, mały biustonosz, na środku pokoju jeden gruby półbucik na niskim obcasie, bielizna i ubranie rzucone, stłamszone na krześle, na biurku w ogromnym nieładzie: książki i zeszyty i zgnieciona paczka papierosów. Przymknął drzwi pokoju, który przywykł nazywać 'dziecinnym', ogolił się elektryczną maszynką nie patrząc w lustro, powiedział sobie kilkakrotnie głośno, że boli go głowa, że pewnie dostaje „wirusa”, chodził po pustym domu szukając współczucia, wyszedł wreszcie bez śniadania wściekły na cały świat i na przymusowe sobotnie godziny urzędowania w biurze. Po drodze zajechał do małej „luncheonety”, wypił kawę, zjadł „donata” wiedząc dobrze, że mu szkodzi, wypalił papierosa i stwierdzał raz po raz, że życie go oszukało i źle się z nim obszło. Najbardziej był rozżalony na Zdzisię. Krążąc wokoło biura i szukając *parking*'u mruczał do siebie: „Wychowujesz dziecko, trzęsiesz się nad nim, cieszysz się, że dorasta i... masz! Do diabła, wszystkie miejsca pozajmowane i gdzie to ja mam parkować? Nie chciała wrócić do domu? No proszę, do czego dochodzi! Dlaczego? Żeby chociaż można zrozumieć dlaczego? O!... jest miejsce... żeby mi tylko ten nie zajął... Człowiek sobie krew spod serca... ech, psiakość! Nie, tu nie da rady, nie wcisnę się, to ten głupiec nie mógł zaparkować ciastniej! O tam, zdaje się... Zabawki, sukienki, a sam, jak obdartus, garnituru nie miałem sobie za co sprawić... Rower, łyżwy, narty... no i co masz za to? No, no *mister*... ja tu pierwszy jestem... O.K. Tylko trzeba będzie drałować kawał do biura... późno. Mówi, że nie chciała w ogóle wracać... Tak? Zły ojciec... Zły ojciec, zły mąż, fajtlapa, idiota, *failure*... No, to mi się udało”.

Zaparkował za rynkiem rybnym, niedaleko portu, tuż przed małym barem, gdzie zwykle popijali marynarze. Zatrzasnął drzwi czki, wysiadł.

— ... ja mego ojca... ja bym się nie ośmielił... nie chciała wracać do domu... no to co dalej, czego się teraz można spodziewać?

— *Mister*...

Mężczyzna w kaftanie watowanym, czapka z przełamany daszkiem, podskoczył, wyskoczył z koszem wilgotnych żonkili.

— *Mister... only a quarter... świeże daffodils, pierwsze daffodils.*

Sanocki wzdrygał się, odsunął tamtą łapę wielką, w której kwiaty wdzięcznie się chwiały.

— *No... no, no!*

Dzień rozwijał się nad ulicą Szeroką. Słońce mimo wczesnej godziny cięło już ostro. Sanocki włożył słoneczne okulary.

— ...co ja mam z życia? Porozumieć się z własną córką? Jak ja mam z nią mówić? Nie szanuje mnie... bo gdyby mnie szanowała, już nie chodzi o uczucia... trzeba się śpieszyć tam już na pewno telefony...

Minął wystawę zakładu fryzjerskiego, spuścił głowę, zwolnił, minął rynek rybny.

— ...kto mnie tak przeklął? Oni? To dlaczego mnie oszczędzali? Gdybym wyszedł wtedy, powiedział: „To nie oni, ja. Oni nic nie wiedzieli, nie interesowali się polityką, to — ja”. To nie ma nic wspólnego. Nie chciała wracać? Tak? No to niech robi co chce. Ja już się nie wtrącam. Może gdybym został w Polsce? No to co, mało ludzi do nich przystąpiło? A tak... wiele po mnie zostanie? Nazwisko na liście koła kombatanów w Monumental. Przez ciemne okulary widział swój nagrobek: Witold Sanocki... urodzony w Polsce... zmarł w Monumental City...

Madej i Kruk będą... nie, Kruka boli noga, może Madej... Wrona-Gordzicki? Nie... Madej i Stefański... będą nieśli. Major: żegnamy dziś... niech mu ta ziemia amerykańska w którą tyle... kości nasze na świata czterech stronach... a serce jego... a duch jego nad ojczyzną... drogi kolego Witoldzie, wędrówka twoja...

Dopiero Hanka poczuje... uwolni się... Z prochu powstałeś i w proch się... patrzcie ile ludzi... to przywoity człowiek był...

Sanocki uderzył nagle o coś nogą, wstrząsnął się, zatrzymał. Stał przed stosem gazet wystawionych na chodniku po obu stronach drzwi prowadzących do *Drug Store*'u. Zdjął słoneczne okulary. Co ja tu...? Na gazetach data: Kwiecień, Sobota. Sobota! To dziś! Wyskoczył z orszaku pogrzebowego, trumna klapnęła wiekiem, jak liść uwiędła w słońcu, skruszyła się, przebiegł po niej, podeptał. Wielkimi susami leciał do biura. Sobota! Sobota! Żałobnicy ścigali go. Co za dzień! To dziś przecież! Orszak biegł za nim: kości nasze po świecie rozrzucone... Zatrzasnął im szklane drzwi biura przed nosami opuszczonymi żałośnie. Zaskoczeni patrzyli, roztapiali się, a tylko nosy ich szły w górę, w górę ciekawskie: Oho-ho, Sanocki, poczekaj ty... Sanocki, Sanocki... a duch jego... duch jego...

— Panno Basiu, dzień dobry! Jest już poczta? Przyszedł *Nowy Kontynent*?

Basia brwi uniosła, jak kurtynę:

— Witamy, witamy mistrza. *Congratulations!*

Sanocki przełknął ślinę, uśmiech, jak latawiec na sznurku, starał się go utrzymać, nie mógł.

— Czytała pani?

Basia wyprysła zza biurka, podskoczyła, tyczkę jej tylko, a wyżej frunie:

— Ma się rozumieć! A telefon! Urywa się. I gdzie to *boss* chodził? Opijać?

— Ale... gdzie jest gazeta?

— O tu, proszę. I ja zaraz — chwyciła żakiet, na ramiona go tylko i do drzwi.

— Gdzie pani, panno Basiu?

— Zaraz wracam... jedną sekundunię.

Sanocki rzucił się do biurka, porwał łąpczywie dodatek niedzielny *Nowego Kontynentu*.

— Na pierwszej stronie... ho, ho... na pierwszej stronie.

Okulary ślizgały mu się w palcach, a już tytuł wychylał się korowodem, jak rodzina „santaclausów” czerwono uśmiechnięta, tłuściutko, świątecznie:

#### WCZORAJSI KOLEDNICY

Z lewego skrzydła salutowały służbiście wyprężone na baczność niby przed generałem odbierającym defiladę litery:

WITOLD SANOCKI

a w nawiasie, obok liter imienia i nazwiska szedł jeszcze drobny pochodzik ochotników:

(Monumental City)

Trzasnęły drzwi i Basia wpadła zadyszana, bukietik żonkili w ręce:

— Wieniec laurowy dla mistrza.

— O! — rozczulił się Sanocki — jakie ładne, dziękuję.

Basia stała mocno wsparta o podłogę, patrzyła na Witolda, a widziała kwiaty. Dobry miałam pomysł, pierwszoklasny.

— Czytała pani?

— Pewnie! Od deski do deski.

— No i co?

— *Out of this world!*

— Żartuje pani...

— Jak babcię kocham. Pierwszoklasne! Tylko nazwiska podstawić. *Boss* ma talent.

— Jak to nazwiska podstawić? Panno Basiu, gdzie pani? Jak to... co pani przez to...? — Basia już tu, i zaraz tam. Jak na wrotkach. Fryga. Sanocki ogląda się. Gdzie ta Basia? W rękę dodatek niedzielny *Nowego Kontynentu*, myśli: „Jak to nazwiska podstawić? Co? Nazwiska? Gdzie podstawić?”

— Ja tu jestem, kwiaty do wody wstawiam. Proszę! Ładnie? No widzi pan!

Sanocki usiadł za biurkiem, gazetę rozłożył. Jeszcze raz ten



tytuł, jeszcze raz nazwisko. Basia ustawiła przed nim szklanę z żonkilami. Szur... śmignęła za biurko.

— Co pani miała na myśli z tym podstawianiem?

— Zaraz powiem, zaraz wszystko wytłumaczę. Tylko... bosuniu, ja do bosunia mam romans...

— Tak? Co takiego? — Sanocki oderwał się od tytułu. Źle to nie brzmi. Oryginalnie. Wczorajsi kołędnicy... wczorajsi...

Basia zmrużyła oczy, buzia w ciup przymilnie, nosek hycnął w górę:

— Ja bym chciała przelot w czerwcu do Italii... dobrze?

— Panno Basiu, pani wie, że w sezonie nie możemy dostać ulgowych przelotów.

— Ja nie mówię w sezonie. Wylecę w połowie maja, wrócę przed sezonem. To dla bosunia drobnostka, a to moje całe życie...

— Pomyślimy...

— Przepraszam, że ja teraz, ale zaraz telefony i klienci i potem nie będzie pan miał czasu, a ja chciałabym już do znajomych napisać...

— No już dobrze, zrobi się, pani to...

— Dziękuję, dziękuję kochany...

— Co pani z tym podstawianiem nazwisk?

— Bo ja już tam prawie wszystkich odcyfrowałam, to jest takie, że tak powiem czytanie z kluczem.

— No... no?

Basia nie odpowiedziała, bo zadzwonił telefon. Sanocki wzdrygnął się nieznacznie, ale zaraz zaczął nadśłuchiwać zaciekawiony. Kto to? Może Zdzisia? Chce przeprosić... Hanka? Może czytała? Nie, skąd?

— Panie Witoldzie, do pana.

— Kto? — szepnął.

— Pani Wiśniewska.

— Niech pani przełączy.

— Przełączam.

Witold odchrząknął, włosy przygładził. Czyta się dobrze, wprowadza w atmosferę.

— Kłaniam się pani Niusiu, czym mogę pani służyć? — Myśli: Na pierwszej stronie... tego się nie spodziewałem. Jak ona powiedziała? Pierwszoklasne, *out of this world... no... no...*

— Już mi pan usłużył.

— Słucham?

— Bo jest historia tego rodzaju... czy ma pan chwilę czasu?

— Tak, naturalnie, słucham.

— Ja... o tym opowiadaniu, co to pan...

— O! Czytała pani...

Basia wychyliła się zza biurka, za nią łowiczanka z afiszu PeKaO.

— Słucha pan? — skanduje Niusia Wiśniewska, a tak wyraźnie jakby w szkole niedzielnej języka polskiego: moja gąs-ka gę-gę-gę mo-ja kur-ka ko-ko-ko... — Czy-pan-słu-cha? Pa-nie Sa-noc-ki?

— Słucham panią. — Sanocki w jedno wielkie ucho przeobrażony, owinął się wokoło słuchawki, ach słucha, słucha, słucha.

Wiśniewska oddechu nabrała, aż szurnęło, wionęło w słuchawce. Witold uchem przywarł, oczy zamknął, usta zamknął, tylko słuchać. Setką uszu słuchać. Czytała. No, no! I już dzwoni. Ludzie to jednak...

Niusia Wiśniewska skandowała gładko:

— Za to oczer-nie-nie, za tę pot-warz, za to zbesz czesz-czenie mnie, rodziny mojej... niech pan słu-cha... niech mi pan... za te po-my-je w tych pa-na ko-łędniko-wych wy-po-ci-nach...

— Ale, pani Niusiu, nie rozumiem...

Niusia Wiśniewska już nie skandowała, terkotała szybko: tyr, tyr-tyr, tyr, tyr-tyr: Wkradł się, jak złodziej w-nasze-rodzinne-sekrety-niby-to człowiek-przyzwoity-niby-to przyjaciel-patrzcie-go...

— Nie rozumiem — jęknął Sanocki.

— Czy to ja do męża mego: stary zbereźnik? Co? Kolanodślaniam-sztuczną szczękę-to-ja-panu-historię-tego-rodzaju-że dolne-zęby mam p r a d z i w e — a że górne wszystkie — wszystkie artystki z Hollywoodu...

Sanockiemu uszy opadły, papieros z palców na biurowe linoleum. Westchnął. Basia zaraz nura pod biurko, papieros chwyciła, zgasiła. Ojej, a to heca jakaś!

Jan Kruk-Czerny wkuśtykał do biura, kapelusz zsunięty na czoło, nos obwisa nad wargą. Blizną zamierzył się na Sanockiego. Stanął. Zdjął kapelusz, skłonił się Basi: Dzień dobry, pani. Na Sanockiego spojrzął, blizna ciemniała przedburzowo, chmurnie. Sanocki skinął głową jękliwie.

Basia zaszczębiotała: „Dzień dobry panie kapitanie, niech pan kapitan spocznie”.

— W grobie spoczne — mruknął Kruk, ale usiadł. Oparł głowę o ścianę. Za nim kalendarz holenderskich linii lotniczych śpiewał o wiośnie.

Sanocki omdlewał nad słuchawką: Proszę pani.. pro...

— Niech mi pan nie przerywa! Jak ja noszę sukienki przed kolana, to niech pan lepiej na swoją żonę spojrzy. Mąż się zawsze ostatni dowiadyuje, zamiast się na pisanie swoim koślawym piórem porywać, to żony niech pan pilnuje, już ludzie wiedzą...

- Czy Sanocki długo jeszcze będzie zajęty? — spytał Kruk.
- Z panią Wiśniewską rozmawia — powiedziała Basia.
- No, to poczekamy.
- Może pan, panie kapitanie, przeczyta w międzyczasie opowiadanie pana Sanockiego, o tu, ja zaraz dam panu gazetę.
- Czytałem.
- No i?
- To i.
- Co pan taki nie w humorze?
- Starość nie radość, śmierć nie wesele — mruknął Kruk i nie patrząc na Basię wstał i podszedł do biurka Sanockiego, szepnął:
- A długo tam jeszcze?
- Basia wzruszyła ramionami. Gbur... i jeszcze panu Witoldowi przerywa... maniery...
- Sanocki zasłonił mikrofon ręką. Oczy blade, ucho płonie, na uchu głowa zawieszona chwieje się, jęknął:
- Chwileczkę... chwileczkę...
- Wiśniewska atakowała coraz ostrzej, a tak wyraźnie, że aż terkocik leciał po biurze:
- Ja pana i całej rodziny... znać nie chcę. Znać nie chcę!!! Zrywam! Grafoman!
- Proszę pani, niech pani pozwoli...
- To jest zwykłe świństwo ludzi w swoich wypocinach oczerniać...
- Proszę...
- Do biura wszedł rotmistrz Morski. Wyprostowany, wąsik drapieżny, wiosennie, bez płaszcza, bez kapelusza, w oczach przy-mrużenie konspiracyjne.
- Moje uszanowanie pani. A... — zatrzymał się. — O... to i kolega Kruk tu?
- Major też telefonował, że przyjdzie — szepnęła Basia.
- Morski gwizdnął cichutko gwizdnięciem tajemniczym:
- Fiuuu... fi-fi-fi...
- Witold Sanocki trzymał jeszcze w ręku słuchawkę. Kruk przed nim, jak wielki cień. Morskiego nie zauważył. Odłożył słuchawkę, westchnął: „a to cholera...”
- Witold, słuchajno-no...
- Siadaj — powiedział Sanocki.
- Co mam siadać? Ile ci zapłacili?
- Za co? — jęknął Sanocki.
- Morski niby to z Basią rozmawia: „Co u pani słyhać? Do Italii? My z żoną też, wujostwo jej tam willę mają pod Rzy-

mem..." A uszy ku tamtym skręcone. Co tam oni? Fiu... mhm... mhmhm...

— No, nie udawaj, Witek, ile żeś dostał za tych, psiakrew, Kołędników? Musieli ci nieźle zapłacić.

Morski podsunął się.

— Przepraszam bardzo, witam kolegów.

Kruk podał rękę niechętnie. Ja tego Morskiego...

Sanocki wstał, podał rękę Morskiemu. Czego on tutaj? Paczkę może? Teraz? Teraz?

— Ja do kolegi na maleńką minutkę.

— Słucham.

— To jest, proszę kolegi, sprawa, że się tak wyrażę, *en deux, personal, face to face*. Jedna minutka. Może byśmy...? — wskazał ciemny kąt biura za tekturowym parawanem, tuż przy drzwiach do łazienki. — Kolega pozwoli? — spojrzał na Kruka.

— Proszę — mruknął Kruk. Podniósł się, wsadził ręce w kieszenie płaszcza, podszedł do drzwi, przez szybę patrzył na Szeroką. Od przystanku autobusowego szedł w stronę biura major Czczota.

Rotmistrz Morski pociągnął Sanockiego w kraniec biura odległy, zaciemniony gdzie pachniało ostro kozuszkami zakopiańskimi przysłanymi na próbę i po cenie niższej do rozsprzedaży.

— Kolego! — szepnął gorączkowo. — Ja w tej chwili wszystko zrozumiałem.

— Co?

— Rozumiemy się. Chwył niezawodny. Szyfr znakomity. Ja koledze gwarantuję swoje całkowite poparcie.

— O co panu chodzi, rotmistrzu?

— Ciszej, ciszej... ja nic nie chcę osobiście. Ja tylko jako członek zarządu.

Sanocki przetarł oczy ręką, w głowie mu szumiało.

— Kolego, ja nie rozumiem.

Morski chwycił go za ramię, przysunął, szeptał do ucha:

— Dobrze, dobrze, ja wiem, że kolega jest człowiekiem ostrożnym. Ale ja zrozumiałem szyfr, proszę, zaraz wyjaśnię. No więc: KOŁĘDNICY? Tak?

— Tak — jęknął Sanocki.

— O właśnie. WCZORAJSI? Tak?

— Tak.

— Otóż to.

— Co?

— O, kolego, kolego, jeszcze mi kolega nie ufa? WCZORAJSI — wiadomo, wczorajszy zarząd koła. KOLE — tak? Czyli — WCZORAJSI KOLE DNI...

— Nie rozumiem, rotmistrzu...

— Już wyjaśniam. Wczorajszy zarząd koła ma dni policzone. No? Rozszyfrowałem. Zgadza się? Genialne!

— Kolego...

— W porządku. To już powinno być od dawna przeprowadzone. Ja rozmawiałem z kilkoma, nie chcę wymieniać jeszcze nazwisk, słusznie, ja podam kolegi prezesurę na walnym zebraniu, niech się kolega o głosy nie obawia. Ja tylko jako członek zarządu. A będzie chciał mnie kolega wysunąć na delegata do Nowego Jorku, nie uchylam się.

— Panie rotmistrzu Morski, to była niestety tragiczna pomyłka...

— Była, drogi kolego, była i trwała zbyt długo. Ale teraz *alea jacta est*. To opowiadanie! Genialne! Ta pokrywka dla tytułu, krzyk ludzi nie dopuszczanych do głosu! — Podniósł rękę do góry. Przed nosem Sanockiego churchillowskie V śmignęło, znikło. — Zrozumieliśmy się, prawda? Zaczniemy działać! *Action, action!*

— Panie rotmistrzu Morski... — starał się go zatrzymać Sanocki, ale w tej chwili usłyszał głos majora Czeczoty:

— Jak się masz, mała? A gdzie to się Sanocki podziewa? Mówiłaś mu, że tu będę? Co? Rotmistrz Morski przegalopował do biura, skłonił się majorowi, pannie Basi, Krukowi, krzyknął w biegu: przepraszam, komu w drogę, temu czas!, obejrzał się na Sanockiego, który wynurzał się wolno zza biurowych ciemności, pokazał mu jeszcze raz palcami V — ale dyskretnie, ledwo, ledwo i zdobywając przeszkodę oszklonych drzwi zniknął w słońcu ulicy Szerokiej.

Major Czeczota i Jan Kruk ruszyli na Sanockiego. Major nienaganny, brwiami tylko manewrował: prezentuj broń, do nogi broń — ale twarz miał z marmuru szlachetnego wykutą, tylko się skłonić. Witold skłonił się, chociaż się staniał.

— Czołem, panie majorze.

— Ja się go pytam, majorze, ile mu zapłacili.

— Panno Basiu — szepnął Sanocki — czy ma tam pani może aspirynę? — Co mówisz, Jan, ile mi...

— Słyszałaś.

— Wiesz dobrze i pan major mi świadkiem, że *Nowy Konty-nent* prawie nikomu nie płaci.

Basia wysunęła szufladę biurka i szperała w niej szukając aspiryny.

— Nie ma, panie Witoldzie, może ja polecę?

— Jeśli pani tak uprzejma...

Major usiadł i dostojnie dłonie oparł na kolanach. Powiedział:

— Że nie płacą to każdy wie. Na przedrukach jadą, już oni tam nie jedną mieli awanturę, że przedrukowali bez pozwolenia autora, ale nie w tym sęk!

— Nie zapłacili mi! — krzyknął Sanocki. — Słowo honoru, że mi nie zapłacili. Ale nawet gdyby, no to co?

— Nie w tym sęk.

— A w czym?

— Ba, żeby ci jeszcze zapłacili, żebyś coś jeszcze z tego miał, a tak...

— Jak?

— Nie w tym sęk, koledzy, nie w tym sęk...

— A w czym?

Kruk obejrzał się, Basi nie było, powiedział:

— Madej!

— Madej?

— Madej wzywa cię na sąd koleżeński.

— Madej?

— Jakżeś Sanocki napisał o człowieku, że jest tęp y...

— Ja? To nieprawda!

Zadzwoił telefon i Sanocki podniósł słuchawkę: To nieprawda — oburzał się — to nie jest prawda. Hallo? — powiedział. Patrzył na drzwi: „Gdzie ta Basia?”

— Czy to pan Sanocki? — powiedział mężczyzna.

— Ja, słucham.

Kruk wyciągnął z kieszeni płaszcza zwinięty w rulon dodatek niedzielny *Nowego Kontynentu*, pochylił się nad majorem, wskazywał palcem: — Niech pan patrzy, majorze, no? Zgadza się? I on tu mówi...

— Pan mnie nie zna — powiedział głos w telefonie do Sanockiego — ja w sprawie pana Stefańskiego...

— Tak?

— Pan się pewnie domyśla o co chodzi?

— Proszę pana, proszę mówić wyraźniej, zły odbiór, nie mogę nic zrozumieć.

— Owszem — ryknął głos — mogę mówić bardzo wyraźnie. Słyszysz pan?

— Teraz lepiej.

— To dobrze.

Major i Kruk studiowali gazetę.

— Co on się będzie zapierał! — denerwował się Kruk — zaraz, wezmę i ołówkiem podkreślę.

Witold obwisał nad słuchawką, przymknął oczy, tamten nieznajomy po drugiej stronie drutu, przemawiał:

— My, panie Sanocki, na emigracji powinniśmy się nawzajem wspierać. Polak Polakowi rękę podawać, a nie obrzucać błotem...

— Co pan? Ja pana nie...

— Małą chwileczkę, pan pozwoli panie Sanocki. Ja pana Kazimierza Stefańskiego, któregoś pan jako organistę przedstawił, znam. Od lat znam i dumny z tej znajomości jestem. Znam go jako prawego Polaka, rzetelnego katolika, patriotę, uczciwego człowieka. Ja chciałem panu powiedzieć, że emigracja to nie temat do operetki z lat trzydziestych. Jak pan nie zna przyczyn wychodźstwa polskiego, to niech się pan, panie Sanocki swoim słabym, źle ociosanym, impertynenckim...

Sanocki odłożył słuchawkę.

— No więc teraz możesz sprawdzić czarne na białym — powiedział Kruk — podkreśliłem, teraz się nie wypieraj, proszę: *Olek tępym ciemnym mężczyzną...*

— Ja tak nie napisałem! Nie napisałem TĘPY tylko KRĘPY! Gdzie? Pokaż! To nie możliwe!

Basia weszła do biura, a za nią Joasia i doktor Łopatowski.

— Proszę, niech państwo się rozgoszczą — zapraszała Basia

— Pan Sanocki jest jeszcze zajęty.

— Ja napisałem k r ę p y ! Ja napisałem k r ę p y ! — krzyczał Sanocki.

— No to masz — odkrzykiwał mu Kruk — masz, t ę p y , jak byk!

— Uspokójcie się, ciszej... — łagodził major — wszystko można załatwić spokojnie. — Słuchaj Sanocki, nie przysłali ci korekty?

— Ja napisałem k r ę p y , specjalnie k r ę p y , bo Madej jest wysoki, więc, żeby nikt się nie domyślił. Nie przysłali mi korekty, nikomu nie przysyłają korekty, ten dureń nie przysłał mi korekty, wszystko pokręcił! Boże kochany, co ja... jestem pewien, że k r ę p y , jestem pewien, przysięgam!

Doktor Łopatowski usiadł na krześle pod holenderskim kalendarzem i zasłonił wiosenną datę swoją wielką, rozczochraną głową. Wysunął do przodu nogi i przysłuchiwał się krzykliwej dyskusji trzech panów zgrupowanych przy biurku Sanockiego.

— Słuchaj — szepnął do Joasi — mnie się zdaje, że ten blondyn w okularach ma gila, ja mu nie będę powierzał moich dziecięciu dolarów.

— Bo widzisz, Sanocki — powiedział major — żeby jeszcze samo t ę p y , nie byłoby tak źle, ale tobie to nie wystarczyło,

dać kurze grzędę, jeszcze wyżej siędę — i co cię skusiło do tego tępą dołączyć zaraz ciemny?

— Panie ma...

— Poczekaj, pozwól... Julia Madejowa zaraz wykrzyczała Olkowi, bo on to i tak żadnych dodatków nie czyta, wykrzyczała mu: „Zobacz, za kogo cię mają? Za ciemnego, tępego chłopca!” Krzyczała tak, że u Kruków na piętrze było słyhać. Dziwisz się, że człowiek się wściekł?

— Panie majorze, słowo najświętsze, nie napisałem tępą. Ja jestem gotów... to ten idiota...

— A teraz — powiedział Kruk — co będzie? Jesteś razem z Madejem w komitecie uroczystego obchodu 3-go Maja.

— To ja się wycofuję z komitetu.

— My się spieszymy — powiedziała Joasia — kolega chciałby tylko przesłać 10 dolarów przez PKO.

— Służę natychmiast! — podskoczyła Basia — panie Witoldzie czy ma pan blankiety PKO?

Witold przetarł oczy ręką i zauważył Joasię. Skąd ja ją znam? — zastanawiał się.

Kruk i major odwrócili się, wstali i twarze im zaraz wietrzykowały uśmiezek schłodził a major spod brwi do Joasi:

— Żona to się o panią dopytuje. Mówi, może dziewczyna samotna, przyprowadź do nas. A ja widzę, że dziewczyna nie samotna. A jak tam ten Amerykanin, co to ze mną przy stole tak dyskutował?

— Oj, panie majorze! — Joasia roześmiała się, pogroziła mu palcem — ja bardzo ciężko pracuję. A to jest mój kolega, doktor Łopatowski panowie pozwolą, panie majorze, panie kapitanie, panie...

— On jest porucznik.

— Och, przepraszam, panie poruczniku... doktor Łopatowski teraz na stypendium w Bostonie.

Łopatowski... Łopatowski... Łopatowski — mruknął trzykrotnie Włodek i podając kolejno rękę robił za każdym razem coś w rodzaju ćwierć-wojskowego ukłonu. Na księżycu jestem — myślał — na księżycu.

Major, który Włodekowi sięgał do ramienia, trzepnął brwiami, głowę zadarł i usuwając się nieco w tył z perspektywy dwu kroków — oceniał.

— Pan skąd? zaatakował znienacka.

— Z Bostonu.

— Z Bostonu?

— To znaczy z Polski, ale obecnie z Bostonu — Łopatowski podszedł do majora i dodał: „panie majorze”. Uniósł przy tym



nico prawą nogę i po ćwiećminutowym namyśle dobił nią do lewej co mogło oznaczać nieco zmodernizowaną postawę 'baczość', względnie manierę dziwaka.

Major cofnął się, pomyślał: Kopnąć mnie chciał, czy co? Wariat. Z Bostonu?

— A... — mruknął Kruk i przygryzł wargę. — Stypendysta?

— Właściwie tak.

— Kiedy pan wraca?

— Niedawno przyjechałem.

— Proszę pana — zawołała Basia — niech pan nam opowie jakiś kawał z Polski. Jakiś taki ostatni.

— Hm... — chrząknął Łopatowski — kawał?

— No, no? — powiedział major.

— Kawał, co? — powiedział Kruk.

— Bo nam tu tak brakuje właśnie polskiego humoru — szczebiotała Basia.

Joasia odeszła w stronę drzwi. Łopatowski drapał się w politycę.

— Kawał... zaraz.

— No, wał pan — powiedział major.

Kruk ręce założył do tyłu, twarz mu z ponurej jowialnością zaczęła podchodzić, jakby sobie coś przypominał, wspominał, już mu wargę zaczynała drgać w antycypacji kawału.

— Opowiadaj-pan, słuchamy.

— Prosimy — powiedział Sanocki i w doktora Łopatowskiego uprzejmie spojrzeniem wlepiony, a nie patrzy, tylko: krępy... tęp y? tęp y? Nie, nie, nie!

Łopatowski ujął się ręką za brodę, przymiętosił ją, medytował, cztery pary oczu wpatrzone w niego wyczekująco, tylko Joasia odwrócona obserwuje ulicę Szeroką.

— No więc, proszę państwa, matka mówi do małego Kazia...

Basia jednym susem zza biurka i tuż przy Łopatowskim szarpiącym brodę, ręce zaciera, major pod baldachimem brwi dostojny i obojętnie przyzwalający, a Kruk już do śmiechu przychajony, już kącikami oczu i ust oczekujący, tylko Sanocki uprzejmie niewidzący: tęp y? Nie, nie możliwe, nie!

— Matka mówi do małego Kazia:

Kaziu, pohuśtaj się jeszcze na tatusiu zanim go milicja nie odetnie. Łopatowski głowę odwrócił, szyję wykręcił, że niby nic, a sam do siebie łobuzersko: Hi... hi... hi...

Kruk basem się rozkręca: He, he... he...

— No wie pan — Basia wzruszyła ramionami — co za kawał, zupełnie ma-ka-brycz-ny!

Łopatowski już śmieiej: Hi... hi... ooo... hi... hi!

A Kruk: He... he... he... he... pohuśtaj się jeszcze, mówi, cholera, o, he, he... he... he... ho... ho póki go... mi-li-cja, o, psia-krew... nie odetnie!

— No... no — major ramionami się uniósł i brwiami podparł i zde gustowany. — No, to są stosunki w kraju, to jest, proszę kolegów, smutne.

Sanocki sam wokół samego siebie opleciony i uprzejmie: ha-ha... ha-ha, a w głowie tylko: tęp y? Nie, kręp y! Tęp y? Nie, nie, nie!

— To jest, proszę pana — mówi Łopatowski i na majora czaszkę ciemną i wytwornie szpakowatą z wyżyn czupryny swojej protekcyjnalnie, a to 'proszę pana' podkreślił, wyskandował, bo nie powiedziałem mu major, nie powiedziałem mu major — to jest proszę pana polska rzeczywistość. My nawet w najtrudniejszych sytuacjach, nawet w warunkach wydawałoby się niemożliwych mamy zawsze tę iskrę humoru, to nie to co w na Zachodzie.

— Ha! — majora to m y i w y, to uniknięcie ostentacyjnej majorowskiego tytułu, ostrogą żgnęło, ale flegmatycznie, dyplomatycznie, politycznie. — Ha! Ha, mój panie, my tu, mówisz pan, na Zachodzie humoru nie mamy...

— Bo panie maj....

— No, zaraz, zaraz, mój panie, niech no pan mi da skończyć...

Joasia odwróciła się od drzwi i spojrzała na Włodka wzrokiem karcącym. Basia odeszła do biurka — ma-ka-brycz-ny, też kawał! — Sanocki w tęp y, kręp y owinięty, obwiązany, — głowa mnie boli, psiakość, głowa — tylko Kruk jeszcze całą twarzą, ramionami — he... he... he — a major rozsierdzony, ale dyplomatycznie.

— Włodek — szepnęła Joasia — przestałbyś się...

— No cóż takiego, cóż...

Ale major już ponad wszystkimi i spod brwi piorunujących, spod głowy szpakowato-dostojnej:

— Na ten Zachód tak, mówi pan, urągacie, a trzy czwarte by was tu na Zachód czmychnęło, gdybyście tylko mogli.

— Panie ma...

— Niech pan pozwoli... Ale czmychnęłoby nie na polityczną robotę, nie na pracę w świecie wolnym dla kraju, tylko dla własnej prywaty. No? No i co pan na to powie? — Głos majora wspina się, wspina i potężnieje, dźwięcznieje, a przy trzecim 'Co pan na to powie?' — Łopatowski podskoczył, Sanocki podskoczył, Kruk blizną ruszył, a major siadł i w kolana dłońmi uderzył.

— Pan major — Łopatowski powiedział kłaśnięciem majora nie skonfundowany — ma pod pewnym względem rację. Zaraz. Weźmy na przykład taki kawał:

— Gość zatrzymał się przed szpitalem wariatów. Wóz mu nawalił. Maskę otwiera, stara się coś tam dłużyć, ki-diabeł, nic nie może wykombinować. Patrzy, idzie sobie taki człowiek w pasiaku szpitalnym, przystanął, mówi: ja się znam na motorze, może panu...

— Przestałbyś Włodek — szepcze Joasia.

Major porusza palcem w bucie, uważnie swój but ogląda. Basia spojrziała, podniosła głowę — znów jakiś kawał ma-kabrycz-ny. — A Sanocki patrzy niby słucha, a tylko dlaczego tępy? Ja nie napisałem tępy. Tylko Kruk już się trzęsie leciutko, wyczekująco kiedy to śmiechem parsknąć, pośmiać się, ryknąć.

— ...no więc ten człowiek spojrział, mówi tak i tak, do rzeczy gada, zabrał się do motoru, raz dwa, motor idzie pierwsza liga! Więc ten gość z samochodem zadowolony, dziękuję, ale pyta się: „Panie, nic nie rozumiem, tak mi pan samochód zreperował, fachowiec z pana, czego oni tu pana do tego szpitala wariatów wsadzili?” A bo, widzi pan, ten wariat do niego, sędzia mnie wsadził do szpitala dla umysłowo chorych za to, że chciałem uciekać na Wschód.

Łopatowski szyję skręcił, brodę w kołnierz płaszczu schował i sobie tylko: — Hi-hi... -hi-hi...

Kruk zahuczał: O ho-ho-ho... ho-ho-ho!

Major przyśmiecchnął się politycznie. Sanocki odkasznął w udręczeniu: ha... ha!

Łopatowski w pas się zgiął, już... już kapelusz na głowę i:

— Kłaniam się państwu, do widzenia!

— Włodek! — wstrzymała go Joasia — pani ma tu dla ciebie blankiety PKO gotowe. — Zapomniałeś?

— A! — Łopatowski zastygł w półobrocie do drzwi. — No tak, prawda. — Zawrócił, do Basi biurka podszedł szperając w portfelu, dwie zmięte pięciodolarówki położył. — Proszę panią. I dziękuję.

— Dwanaście — powiedziała Basia.

— Jak to?

— Dwa dolary za przesyłkę.

— Dwa dolary?!

— Włodek — szepnęła Joasia — płac, przecież to...

— Jak to? — zachmurzył się. — Nie bardzo rozumiem. Wysłałem dziesięć dolarów i płacę dwanaście? Aż dwa dolary? Dwa dolary? A przecież znaczek kosztuje...

— Ale to, proszę pana... — powiedziała Basia.  
Sanocki poderwał się, w tępy krępy omotany, bólem głowy zmiażdżony, wyrwał się, ryknął:

— To niech pan nie wysyła! Niech pan lepiej w kopertę! Niech pan w kopertę te dziesięć dolarów! W kopertę! Panno Basiu, niech pani te dziesięć...

— Nic... nic... nic... nieporozumienie — czerwienieje Joasia i palcami drżącymi prędko z torebki dolara i cztery dwudziestopięciocentówki. Jedna potoczyła się na podłogę, major pochylił się, podniósł, szarmancko zdziwiony nie zauważający:

— Proszę uprzejmie. Spokojnie... spokojnie... — Na Witolda mrugnął.

— Dziękuję panie majorze, przepraszam, kolega nie zrozumiał, o tu, proszę pani pieniądze, proszę, dziękuję, przepraszam, do widzenia państwu, dziękujemy... kolega na pociąg...

— Pokwitowanie! — woła Basia.

Witold od biurka purpurowy, amarantowy:

— W kopertę! W kopertę!

— Opanuj się, Sanocki — major syknął.

— Dziękujemy, przepraszamy, do widzenia państwu, kolega na...

Drzwi zadzwoniły za nimi. Joasia szła szybko, pierwsza, aż jej łzy do oczu, pięści ścisnęła, milczy.

Łopatowski dogonił ją, przytrzymał za łokieć.

— Słuchaj-no, Joanna...

— Wstyd!

— Co za wstyd? Dwa dolary zarobił, ale mnie nie o to... Powiedz, gdzie ci ludzie żyją? Jakbym na księżycu był.

— Dlaczego?

— Majorami, kapitanami byli dwadzieścia kilka lat temu, czas się toczy, świat się zmienia, a oni na tym samym brzegu...

— Oni tak na ciebie patrzą, jak i ty na nich.

— Nie rozumiem.

— Bo kłopot na tym polega. Włodek, że ty nie masz abstrakcyjnej wyobraźni.

— Że ja co?

— Naukowiec — mruknęła i zorientowała się nagle, że mówi słowami Michała. — Naukowiec, słuchaj, powinien wiedzieć, że warunki zewnętrzne wpływają na rozwój i kształtowanie się organizmów, powinieneś wiedzieć dalej, nie przerywaj, że u niektórych organizmów przystosowanie nie może być całkowite i zachowanie cech dawniej nabytych jest warunkiem przetrwania jako obrona samozachowawcza.

— Ty też masz gila — mruknął — wszyscy macie porządnego gila.

— Do widzenia!

— Czekaj, nie obrażaj się! Masz tu te swoje dwa dolary. O co ci chodzi? Kruczając urządzasz w obronie tych... oficerków, tej emigracji? W kraju już się o nich nie mówi. Chcieli, mają, żyją sobie, jak za sanacji. Widziałem: samochody, domy, dolary...

— Nic nie widzisz.

— Co? — zatrzymał się — co takiego?

— Nic nie widzisz i nic nie słyszysz. A tu zaraz jest przystanek autobusowy, weź każdy autobus, dowiezie cię na stację.

Spoglądał na nią zdziwiony spod szerokiego ronda szarego kapelusza.

— No? Może mi łaskawie wytłumaczysz dlaczego to ja jestem głuchy i ślepy.

— Spróbuję, jeśli chcesz...

— Proszę, może łaskawa pani doktor mnie czegoś nauczy.

— Nie wygłupiaj się.

— Nie. Słucham.

Stali na przystanku autobusowym, na rogu ulicy Wschodniej i Szerokiej, z daleka widać było szpital Perceval Norris, jaskrawe, południowe słońce unosiło w górę złotą kopułę szpitala.

— Wiesz — powiedziała — byłam w takiej kawiarni, taki wieczorny-nocny lokal, piwnica i tam śpiewali jedną piosenkę, nie pamiętam całości, nie mam do tego głowy, ale jedną zwrotkę zapamiętałam...

— Co to ma do rzeczy?

— Chciałeś żebym ci...

— No, dobrze, no już.

— On śpiewał tak, powiem ci po angielsku.

— Niech będzie — wzruszył ramionami.

— *Haw many ears must one man have*

*Before he can hear people cry...*

Włodek, twój autobus nadjeżdża...

— Hm... wolałem cię kiedy nie filozofowałaś. — Pomyślał: Lepiej że ona nie jedzie ze mną do Waszyngtonu, mogłaby jeszcze wszystko popsuć. — Autobus przykolebał się do krawężnika, siny obłoczek smrodliwego dymu uniósł się spod kół. — No to cześć! — powiedział.

— Do widzenia! — zawołała Joasia — powodzenia! Na pewno dobrze wszystko załatwisz!

— Dziwaczka — mruczał doktor Łopatowski wdrapując się do autobusu — zawsze podejrzewałem, że ma gila.

Sanocki walił pięścią w biurko, purpurowy z wściekłości trząsł się, starał się opanować, nie mógł, krzyczał:

— Mówiłem oddać pieniądze! Oddać, mówiłem! Dlaczego pani, jak mówiłem oddać pieniądze nie... Dlaczego pani nie oddała tych pieniędzy!

— Uspokój się, Witold — powiedział major.

— Żadnego dochodu z tego nie mam — krzyczał Sanocki — i on mi jeszcze... dlaczego pani...

— Sanocki — powiedział major — bo cię szlag trafi.

— Niech mnie trafi!

— A ja sobie wypraszam... — chlipnęła Basia i załamała się, przyłożyła chusteczkę do oczu — ja nie pozwolę na siebie pokrzykiwać... ja sobie idę!

Major brwiami mrugnął jedwabście, podszedł do Basi, szepnął:

— Basia... Basiula... e... nie mazgaj się... Widzisz, człowiek zdenerwowany. Daj mu lepiej szklankę wody i aspirynę.

— Ja nie pozwolę na siebie nikomu...

— Baśka, taki zuch, powstaniec i ryczy. A jak bomba trafiła to ludzie też szoku dostawali. Nigdzie nie pójdziesz, bo będziesz nam potrzebna.

— Niech mnie trafi! Niech to całe biuro diabli wezmą! Co ja...

— *Shut-up!* — syknął Kruk i Sanocki zamilkł. — Panno Basiu, niech pani da mu wody. Podniosła się, przetarła oczy, poszła do łazienki i wróciła ze szklanką wody, położyła na biurku Sanockiego aspirynę, postawiła wodę. Sanocki wstał.

— Panno Basiu, przepraszam, cholera, człowiek nad nerwami nie panuje, bardzo mi przykro, *sorry*...

— No już dość — powiedział major — nie ma czasu. Basia, zamknij drzwi, spuść roletę, żeby nam nikt nie przeszkadzał, my tu mamy bardzo poważne sprawy do przeprowadzenia.

— Czy ja mam wyjść, panie majorze?

— Nie, nie, ty siedź, będziesz potrzebna.

— Mówię ci — zwierzał się Krukowi Sanocki — wszystko się na mnie od wczoraj wali...

Kruk kiwał się na krześle, nos marszczył, a tak, że górna warga odślaniała zęby, mruknął:

— Jak kto sobie pościeli, tak się wyśpi.

— I ty na mnie?

— Lilka ma żal do ciebie.

— No i o co? O co?

— O te nogi.

— Nogi? Co nogi?

— Nie strugaj wariata, napisałeś, że ma grube nogi. Ona już na nic nie wrażliwa tylko na te nogi, zawsze takie cienkie miała w kostce...

— Ja nie napisałem, że grube, tylko...

Major podszedł pełen namysłu, chmurnie:

— No... zobaczymy. Nawarzyłeś sobie piwa, Sanocki, to teraz trzeba wypić. Basia, drzwi zamknij?

— Tak jest, panie majorze.

— Najważniejsze, Sanocki, z Madejem.

— Ja nie napisałem!

— Nie napisałeś mówisz, ale tak wydrukowali. Tępy. Połknąłeś aspirynę, uspokoiłeś się. Do pracy. A na przyszły raz przynieś mi maszynopis do przeczytania. Zaraz... pozwól mi skończyć. I ten tytuł! WCZORAJSI... WCZORAJSI! Jakbyś ty, kombatant, nie wiedział, że walka trwa! I żebyś jeszcze coś dodał, że mimo przeciwności, że chociaż niektórzy, rozumiesz, jacy to są niektórzy insynuują, że wczorajsi jesteśmy już, to jednak akcja na emigracji...

— Panie majorze, przecież to tam się...

— Sanocki, może pozwolił mi skończyć... że akcja trwa, trwa walka z zakłamaniem, z ciemnością! Czartoryscy, Mochnacy, Lelewele zmarli na emigracji, ale wczorajsi nie są! Bo przyszło po nich pokolenie...

Kruk kiwał się na krześle, palił papierosa nie wyjmując go z ust. Basia uniosła głowę, rozpromienionymi oczyma wpatrywała się w majora. Sanocki krzywił się, szepnął przepraszająco, nieśmiało:

— Panie majorze, przecież gdzie ja to miałem tam wsadzić?

— Tyle-żeś nawsadzał, Sanocki, to i to mogłeś. No, mniejsza z tym, zobaczymy, szkoda czasu. Co zamierzasz?

Zadzwoił telefon, Basia podniosła słuchawkę: Halo?

Major cmoknął niecierpliwie. Sanocki mruknął: — O, cholera! — Kruk skrzywił nos i przygryzł wargę.

Basia szczebiotała: — A dzień dobry, dzień dobry pani, jak zdrowie? Zaraz, spytam się. — Zakryła ręką słuchawkę, szepnęła: — Panie Witoldzie, pani De Chatin...

— Nie ma mnie.

— Ja już powiedziałam, że pan jest.

Sanocki wyrzucił ramiona w górę, zatrząsł nimi gestem rozpacz.

— Ona na jedną małą chwileczkę — szepnęła Basia — na momencik...

— No to piorunem — zdecydował major. — Powiedz, że to nie ona, będzie wyjaśnienie, przeproś, streszczaj się. i już.

— Niech pani przełączy — jęknął Sanocki. — Słucham? — powiedziała. — Jak zdrowie drogiej pani?

— Mój złoty, no, mój kochany, ja wiem, że pan szalenie, szalenie zajęty, zapracowany...

— Pani wie — jęczał Sanocki — ile ja mam dla pani szacunku i...

— Ja tylko jako gest, że tak powiem — nabrała oddechu pani De Chatin — mhm... prawdziwej, prawdziwej przyjaźni, tak mi serce mówi: „zadzwoń kobito, powiedz mu, że...”

— Pani nie wątpi o moim prawdziwym...

— Ja to szalenie, no, szalenie doceniam tę przyjaźń i dlatego chciałam całym sercem... moje najserdeczniejsze gratulacje za to prawdziwe, takie wprost... zupełnie... wzruszające, takie chwytające, do głębi... do głębi pana dzieła literackie w którym...

— Pro... — powiedział Sanocki i nerwowo tik poderwał mu się koło oka, między nosem, a okiem.

Kruk pochylił się do majora: — Daje mu OPR. — Major zatrząsał brwiami: — Streszczaj się Sanocki...

— ...i najbardziej wzruszające... ta starsza pani, to takie prawdziwe, ludzkie, takie szalenie, no, szalenie chwytające, tak wiele dające do myślenia, że ta matka tak myśli i czuje i tak dzielnie... tak bardzo z nią byłam, tak, jakbym część siebie odnalazła. Bóg panu zapłać... no to już... nie przeszkadzam, wynoszę się, bo to życie teraz, ten czas, każdy robi więcej niż może... zalatany, zapędzony, trzeba ludzi zrozumieć, nie spodziewać się niczego... dobre bierz, ciesz się tym co masz, kobito, Bogu dziękuj, wiosna jest, Pan Bóg wie co robi, no... do widzenia. Pa, trzymajmy się.

— Do widzenia — szepnął Sanocki — dziękuję pani. — Ale pani De Chatin już odłożyła słuchawkę. Patrzył na majora i na Kruka przez mgłę, tik nerwowo jeszcze mu latał między nosem i dolną powieką, ale już się uspakajał, cichł.

— Bardzo cię objechała? — spytał Kruk.

— Ludzie są dziwni — szepnął Sanocki, patrzył przed siebie, powtórzył — dziwni...

— Urodził się dzisiaj — mruknął Kruk — a co ty myślałeś, jacy mają być? Normalni?

— Nie... tylko, wydaje ci się, wiesz już o nich tyle, a właściwie...

Major uderzył pięścią w biurko, aż pękł pod tym uderzeniem *Nowy Kontynent*:

— Sanocki, nie rozmazuj się! Weź się w kupe!

— Słuchaj — powiedział Kruk — myśmy tu uradzili, żeby napisać list do redakcji. Sprostowanie.



— O.K. *with me* — powiedział Sanocki. Myślał: Ta pani De Chatin... niesłychane...

Przez W CZORAJSZYCH KOŁĘDNIKÓW biegła ciemna ryśa pękniętego papieru.

— Basia! — zawołał major. — Wał zaraz na maszynę!

— Robi się, panie majorze. Słucham!

— Witold, dyktuj!

— Co mam dyktować?

— List do redakcji, sprostowanie.

— Ja?

— Ty jesteś literat — powiedział Kruk — zaczynaj!

— Dalej, dalej — major maszerował po biurze — nie babrać się, odważnie, prosto z mostu, nie tracić czasu!

— No to — westchnął Sanocki — niech pani pisze, panno

Basiu:

Do Redaktora *Nowego Kontynentu*

Chciałbym uprzejmie wyjaśnić...

— Co się bawisz w uprzejmości — przerwał major. — Chciałbym k a t e g o r y c z n i e wyjaśnić! O!

— Panno Basiu, proszę poprawić...

— To jak teraz, panie Witoldzie?

— ... chciałbym kategorycznie wyjaśnić, że osoba — proszę otworzyć cudzysłów — Olka — zamknąć cudzysłów... hm...

— ... zamknąć cudzysłów, panie Witoldzie?

— ... jednej z postaci mego opowiadania „Wczorajsi Kołędnicy”...

— W cudzysłowie?

— Tak.

— Kołędnicy?

— ... które ukazało się dnia... w Pana poczytnym...

— „poczytnym” *out!* — powiedział Kruk — nie masz co mu kadzić, wystarczy „w piśmie pana”.

— Niech będzie. Panno Basiu... ukazało się dnia... w piśmie pana *Nowy Kontynent*, w nawiasie, dodatek niedzielny, nie ma nic wspólnego z cenionym przeze mnie podchorążym...

— O nie! — przerwał major — ja go mianowałem podporucznikiem.

— ... z cenionym przeze mnie podporucznikiem...

— Lepiej porucznikiem — powiedział Kruk — kto tam będzie dochodził?

Basia podniosła rękę w górę: — Czy ja mogę coś zaproponować?

— Tak — powiedział major.

— Czy nie dobrze by było tak:

... z cenionym przeze mnie porucznikiem, Aleksandrem Madejem, bohaterem z okresu okupacji... No? Jak to brzmi?

— Jaki on tam bohater? — mruknął major. Machnął ręką.  
— Niech mu będzie...

— Zgoda, co? — pisała Basia — pierwszoklasnie! No i już podpis. Z poważaniem? Panie Witoldzie?

Kruk przygryzł wargę, powiedział kątem ust, niewyraźnie:  
— Omięto rzecz zasadniczą.

— Co? — zachnął się major.

— Witold napisał "ciemny tęp y chłop".

— Ja nie...

— Tak jest w gazecie i trzeba to sprostować, bo w rzeczy samej Madejowie pochodzą ze szlachty.

— Wszystko mi jedno — powiedział Sanocki, patrzył na pęknięty *Nowy Kontynent*. Rysa oddzielała *Kołodników* od *Wczorajszych* — mogę napisać, że jest z rodziny królewskiej.

Kruk zapalił papierosa i bardzo uroczyście oblekł się purpurą dymu:

— Nie ma co z tego śmichy-chichy. To była sobie szlachta zagrodowa, zubożała, ale przezacni ludzie, herbu...

Major ruszał palcami w bucie i obserwował swój but, mruknął pod nosem:

— ... herbu, siedzi wesz na łapie...

— Nie byli to żadni magnaci — mówił Kruk — zubożali, powiedziałem, ale szlachta dumna ze swego...

— No to dobrze — powiedział Sanocki — panno Basiu, niech pani doda: „pochodzącego z zacnej, szlacheckiej rodziny”.

— Bo widzisz — przerwał Kruk — ja wiem, ja to dobrze wiem, że Madeja zabołało, że ty mu wytknąłeś: Chłop... chłop!

— A tu cię zapiekło, Kruk! — major oderwał się od buta.  
— To co z tego, że chłop? Chłop, moi kochani, to był zawsze trzon narodu kiedy szlachta przeżarta korupcją...

— Majorze, majorze, każdy wie, że major ma włościańskie sympatie, major by szlachtę w łyżce wody... major zapomina, e, co tam! Ja lepiej — Kruk pokuśtykał do drzwi — ja się lepiej nie wtrącam, ja tu nie jestem potrzebny, *good bye!*

— Wracaj Kruk! Kombatantem jesteś, a mnie szlachectwo twoje...

— A-cha! — Kruk odwrócił się od drzwi. — To może mi major zacznie przemówienie o Bartoszu Głowackim, o Witosie, Mikołajczyku...

— Kruk, wracaj, siadaj, tyle lat cię znam, ale żeś nie zmądrzał! I jak tu takim narodem rządzić!

Kruk stał oparty o drzwi i patrzył spode łba.

— Major już na swego konika kiedy tu...

— Pozwól mi powiedzieć. Jak szlachcic, to niech mu będzie. Ale, w tym wypadku publicznego wystąpienia na łamach prasy — major sciszył głos — rozumiecie... — Kruk przybliżył się, a Basia i Witold uszy wysunęli ku majorowi — tu... infiltracja komunistyczna podchwycić może to jedno tylko słowo „szlachcic”. Oho! Szlachcic! Więc to dlatego go przepuszczają, dlatego dobry, dlatego bohater i... wytkną — major wskazał palcem na Kruka — rozumiecie, wytkną emigracji brak ideałów demokratycznych! W tym sęk. Słusznie?

— Nnno... — wzruszył ramionami Kruk — nie moja decyzja.

Major brwiami uderzył krótko, a dobitnie:

— O nie, ja nie chcę, ażebyś ty Kruk, robił tak, jak ja ci mówię, tylko z własnego przekonania. Decyzja powinna być zbiorowa. Przedyskutujmy! Poddaję pod głosowanie.

— Ja się na wszystko zgadzam — jęknął Sanocki — może być z królewskiej, może być ze szlacheckiej, może być z chłopskiej... mnie jest naprawdę wszystko jedno, koledzy.

— Kruk? — ruszył brwiami major.

— Ja rozumiem punkt widzenia kolegi majora — powiedział Kruk — doceniam dbałość o zachowanie ideałów demokratycznych emigracji, zgadzam się na ominięcie „szlacheckiej”, ale proszę, domagam się, aby było „z zacnej, patriotycznej rodziny, która poświęca nieocenione usługi dla kraju na przestrzeni wieków!”

— Basia? — wskazał na nią major.

— Ja też?

— Jesteś kombatantem, a że nie z tego koła, to mniejsza, to jest sytuacja wyjątkowa.

— Ja się zgadzam z panem majorem.

Major przyśmiechnął się i pogładził prawą brew.

— ... i z panem kapitanem też się zgadzam.

Kruk skłonił się.

— ... ale jeśli można, dodałabym coś tak o roli pana Madeja, pana porucznika Madeja w kole kombatanckim w Monumental City.

— O! — major wznosił rękę do góry, a tak, jakby wznosił toast. — Brawo A.K.!

Basia zaczerwieniła się.

— Pisz, Basia, członek zarządu Koła w Monumental City.

List protestujący do redaktora Nowego Kontynentu podpisał: Witold Sanocki, autor, major Czeczota i kapitan Kruk-

Czerny jako świadcowie solidaryzujący się z akcją, i panna Basia, podporucznik A.K. jako świadek postronny.

Basia włożyła list do koperty nalepiła znaczek kopie listu wręczyła Witoldowi, majorowi i Janowi Kruk-Czerny, nałożyła zakiet, powiedziała:

— Panie Witoldzie, ja muszę dziś wcześniej, w przyszłą sobotę dłużej zostanę...

Sanocki skinął głową, było mu wszystko jedno.

— No to może mnie Basia podwieziesz? — spytał major.

— Dobrze.

— Trzymaj się, Sanocki, czolem!

— Czolem, panie majorze, do widzenia pani.

— To i ja będę... — powiedział Kruk.

Drzwi trzasnęły za tamtymi, Kruk położył rękę na klamce:

— *So long...*

— Zostań... — poprosił Sanocki.

Kruk zatrzymał się, ale nie odwrócił. W pustym biurze w ukośnej smudze światła drżały drobiny kurzu. Kruk stał ciężki, nieforemny, szerokie nogawki spodni, kapelusz obwisał.

— Zostań — powiedział Sanocki.

Kruk odwrócił się. Nie zdjął kapelusza. W jego oczach ciężkich, jak kasztany była starcza wilgoć.

— Śpieszę się, co chciałeś?

— Siadaj — wskazał mu krzesło, patrzył na Kruka, myślał: „Wygląda na więcej niż pięćdziesiąt. Dużo więcej. Te obwisłe policzki i warga. To go postarza. Gdybym mijał go teraz na ulicy, pomyślałbym, to stary człowiek, obchodzą go tylko ciepłe, miękkie pantofle i może wieczorny *show* na telewizji”. Powiedział:

— Siadaj, chciałbym z tobą pomówić.

Kruk zawahał się, wiedział, że Sanocki myśli, że on jest stary, uśmiechnął się.

— Co takiego? Muszę już iść.

— Tylko kilka minut, proszę cię.

Kruk podszedł do biurka, kuśtykał bardziej niż zwykle, na wiosnę dręczył go reumatyzm w przestrelonej nodze. Mruknął:

— Ten cholerny klimat w Monumental. Wilgoć. Cały czas jadę na aspirynach. Usiadł.

Zdjął kapelusz, położył na biurku.

Posiwiął — myślał Sanocki. Siwizna zżerała pasmami jego ciemne włosy. W gęstych, szerokich brwiach sterczały nieporządne, białe, sztywne nitki siwizny. Musiał być kiedyś bardzo przystojnym mężczyzną — myślał Sanocki. — Była to uroda, której zazdrościł innym: ostra i schłostana wiatrem. O takich mówiono, że nie znają strachu. Ale tylko ja wiem o tym — myślał Sa-

nocki — bo co z niego zostało? Kto teraz uwierzy, że on się nigdy, niczego nie bał? Nie, teraz nikt mu nie uwierzy, gdyż każdy boi się starości i on już ma ten lęk w oczach. Więc któż będzie dociekał co było przedtem i jaka jest różnica pomiędzy mną a nim.

— Co chciałeś? — spytał Kruk.

— Cholerne życie.

— Ty mnie to mówisz? — powiedział Kruk. — Czy ja nie wiem?

Sanocki zdjął okulary i położył przed sobą na biurku. Starość Kruka nie istniała już. Tylko jego kształt i obecność. Kruk rozumiał jego język. To było rozumienie tonu głosu i tego co kryło się poza słowami, słowa były tylko symbolami.. Wystarczyło powiedzieć: cholerne życie, albo wiesz, jak się człowiek czuje?, albo: to miasto! Kruk, psiakrew, ci ludzie... Kruk rozumiał natychmiast, odnajdywał ukryte ślady znaczeń, jak zręczny myśliwy odnajduje ślady tropionej zwierzyny, szedł za nim, nieomylnie tropił aż do nory gdzie siedziało udręczenie.

— Czuję się dziś... — powiedział Sanocki.

— Ja cię rozumiem — kiwnął się na krześle Kruk.

— Jan... — Sanocki patrzył na swoje ręce, wiedział, Kruk obserwuje go. Kruk już wiedział, więc łatwiej przyjdzie mu to powiedzieć, musiał to komuś powiedzieć. Wahał się. To nie było takie łatwe nawet przed takim człowiekiem, jak Kruk, któremu wystarczyło tylko powiedzieć: Jan... słuchaj..., a reszta zostawała niedopowiedziana głośno.

— Jan, słuchaj... to nie tylko dziś, to już od dawna. Tylko dziś mogę to sobie powiedzieć...

Kruk wziął z biurka swój kapelusz, położył na kolanach, odwrócił dnem do góry, powiedział nie patrząc:

— To jest cholernie ciężko powiedzieć coś samemu sobie.

Sanocki odwrócił się i patrzył na ścianę gdzie wisiały afisze reklamujące linie lotnicze.

— Powiedziałem sobie, że przegrałem całe moje życie.

— Hm — mruknął Kruk i Sanocki zaraz pożałował, że mu to powiedział.

— Trudno ci to zrozumieć... pustka... uczucie, że wszystko przegrałeś i że każdą następną rzecz też przegrasz. Nie wiem, czy rozumiesz...

— Zależy jak się przegrywa.

— Jak?

— Można przegrać jeśli przeciwnik jest silniejszy, albo dlatego, że wydaje nam się, że jest silniejszy i uciec. Można przegrać z honorem, albo można stchórzyć.

— Dlaczego to mówisz? — Sanocki zaczerwienił się i widział, że Kruk ten jego rumieniec, nagle zaczerwienienie się dostrzegł, zarejestrował. — Dlaczego mówisz: stchórzyć? Czy ty wiesz...

— Co?

— Że ja...

Kruk wyciągnął z kieszeni marynarki papierosy, zapalił.

— Rozumiesz, Jan, to było tak: oni, gestapowcy, szukali mnie. Ale to była jakaś pomyłka, bo ja nic... ja zawsze... ja się w ogóle nie udzielałem. Ja... się bałem.

— Zapal — powiedział Kruk. Podsunął mu papierosy, widział jak palce Sanockiego drżały. Wyjął papierosa z paczki, podał mu, zapalił.

— To jest cholernie trudna rzecz tak sobie powiedzieć. Na to trzeba odwagi.

Sanocki starał się utrzymać papieros w palcach, odłożył. Od portu zawyła syrena, jej krótki, przeraźliwy ryk targnął biurem.

— ... bo gdybym wtedy zeszedł z tego strychu, gdybym się nie ukrył pod tą kupą żelastwa, jeszcze matka sama przykrywała mnie, nawaliła to wszystko na mnie, a potem słyszałem, jak ich brali. Dlaczego ja dopuściłem do tego? Oni myśleli, że ja jestem w podziemiu, że dlatego pracowałem w tej firmie niemieckiej, bo byłem Bóg wie jaka figura i prowadziłem podwójną grę. Starali się mnie pomóc... były takie różne niedopowiedzenia... ojciec często tak dwuznacznie dawał mi do poznania że on domyśla się... a ja... bałem się... ja się bałem... — Zakrył twarz rękami.

Kruk rozglądał się po biurze, uderzał rozpostartą dłońią w chorą nogę. Sanocki siedział nieruchomy, wilgotne kosmyki włosów spadały mu na zakrywające twarz ręce. Zadzwoił telefon, Kruk podniósł słuchawkę, powiedział: — *Office closed* — odwiesił. Sanocki nie drgnął, tylko na zieloną, pobrudzoną atramentem bibułę biurka spadła spod jego palców wilgotna kropla i rozlała się nierówną plamą na papierze.

— Dość! — powiedział Kruk. — Uspokój się. To już tyle lat!

Sanocki oderwał dłonie od twarzy, opadły miękko na biurko, patrzył przed siebie.

Kruk bębnił palcami po kolanie. Zapytał krótko, sucho:

— Hanka wie o tym?

— Tylko tyle, że się schowałem. Ona wtedy i tak by nie uwierzyła. Wszystkich, którzy uciekli stamtąd uważała za bohaterów.

Kruk roześmiał się grubo, chrapliwie.

— Dlaczego się śmiejesz? — powiedział Sanocki. — Co w tym...

— Bzdury!

— Co?

— Bohaterowie!

— Dlaczego?

— Uważasz, Witold, tym prawdziwym bohaterom, jeśli w ogóle przeżyli, wcale na tym co zrobili nie zależy, mają to wszystko gdzieś! Mają nawet gdzieś i bardzo głęboko, że inni jadą na ich bohaterstwie.

— Kogo masz na myśli?

— Nikogo nie mam na myśli! — krzyknął. — Nie łap mnie za słowa! Nie cierpię frazeologii. Robić co się należy i nie wypinać się bohaterstwem! Koniec. Muszę już iść. — Wstał.

Sanocki patrzył, jak Kruk wkłada kapelusz, przełknął ślinę, szepnął:

— Ten Ketler, wiesz ten doktor co był u was...

— Tak?

— ... mówił, że był w powstaniu. Wierzysz?

— Dlaczego nie? Mało to ludzi było w powstaniu? No... do widzenia.

Sanocki wysunął się zza biurka, dopadł Kruka, chwycił go za obie ręce:

— Jan... ja do ciebie, jak do przyjaciela...

— Czego chcesz jeszcze, Witold? Opanuj się.

— Wiesz o co mi chodzi.

Sanocki opuścił ramiona, stał po środku biura zrezygnowany. Kruk oparł się o drzwi, rondo kapelusza osłaniało mu czoło, jego uważne, głębokie spojrzenie na krótko tylko zatrzymało się na Sanockim.

— Miałeś dziś ciężki dzień, prześpisz to.

Sanocki wzruszył ramionami.

— Słuchaj — powiedział Kruk. — Musisz z tym żyć! — Położył rękę na klawce, drugą ręką nasunął mocniej kapelusz na czoło, jego twarz była teraz w cieniu. — Nie ty jeden — mruknął.

— Każdy musi z czymś żyć!

Trzasnął drzwiami, wyszedł. Sanocki podszedł do drzwi, otworzył, chciał zawołać za nim, powstrzymał się, widział jak Kruk szedł ulicą Szeroką pociągając niezgrabnie i ciężko swoją przestreloną nogą, której szkodził wilgotny klimat Monumental City.

Sanocki zamknął drzwi na klucz, wywiesił kartonowy napis: CLOSED. Kruk zniknął mu już z oczu, ulica zwarła się za nim niecierpliwym, potrącającym się tłumem przechodniów. Szarpnął roletę, opadła, odgrodził się od Szerokiej. Poszli... — odetchnął.

No to już sobie poszli, poszli... i żeby mi teraz walili, wydzwani... — Rzucił się do telefonu, odłożył słuchawkę, przydusił płaszczem, zacisnął na niej rękę, jak na gardle, rzęziła słabym, przerywanym oddechem. Chodził po biurze nie dowierzając prawdziwości ciszy, wsłuchiwał się w szmery, których nie było. Mówił głośnym półszepem: Wyłączyć się, nie myśleć, nie myśleć... Chwycił z biurka dodatek niedzielny *Nowego Kontynentu*, zmiął w rękę, odrzucił.

Po co? Dla kogo? — sciskał pięści, kopnął leżącą na ziemi gazetę, przysięgał przed samym sobą, wobec biura, hałasu odgródzonej od niego ścianą domu ulicy Szerokiej: „Nigdy więcej, nigdy!”

Wyczerpany usiadł przy biurku, kołysał głową opartą o rozpostarte dłonie. Boże, Boże dlaczego wszystko na mnie... dlaczego?

Cisza podkradała się do niego, otulała go, myślał: odpocząć, nie myśleć o niczym, odpocząć. Stopniowo uspakajał się, wydawało mu się, zawieszony w próżni nie należy już do żadnego miejsca. Tylko w oderwaniu od miejsca i czasu czuł się bezpieczny. Gdyby mógł się w bezpieczeństwie swoim chwilowym gdzieś schronić, zachować ten stan kompletnego wyobcowania. Zamknął się gdzieś, uciec, ukryć — myślał. Wtedy po sznurze ciszy bezszelstnie wrócił do niego głos matki: Witku, synku...

Scisnął mocno palcami oczy i zobaczył ją. Różne jej twarze nakładały się na siebie, tworząc twarz jedną zamazaną, przerażającą odległą, której nie mógł dosięgnąć. Tylko głos jej był obok niego i w nim, głos, który zachęcał, pocieszał, przekonywał. Oderwał ręce od twarzy. Przez szpary rolety południowe słońce ukłuło go w oczy. Wstał, chodził po biurze, opierając się namowom głosu, który był w nim i obok niego.

— Ja nic więcej nie napiszę! Wszystko bzdury! O nich pisać! O nich? Strata czasu. Trzeba lepiej pilnować tego, co mi przynosi pieniądze. *Business*. To jest *reality*. Dolary. Na niczym innym mi nie zależy.

Pochylił się nad biurkiem, wyciągał szuflady.

Gdzie ta Basia położyła teczkę „Do Załatwienia”? Nie ma tu. Więc gdzie do diabła? To tylko obciążenie, które się za mną wlecze, ale dziś skończyłem. Nie ma sensu. Może Basia położyła teczkę na biurku za parawanem?

Cofnął się za tekturowy parawan gdzie obrosłe chwastami cieni stare biurko. Usiadł, wyciągnął szufladę, zamknął. Powieki zwiędły mu, przygarbił się. Obskoczyli go natychmiast. Ze wszystkich kątów, z sufitu i z podłogi, zsuwali się, podnosili, biegli ku niemu, potracając się, następując sobie na nogi. Kąt biura roz-



szerzył się w salę. Krzyczeli coś, śpiewali, hałaśliwie bębniło pianino. W półmroku trudno się było zorientować kto tu właściwie był i o co chodziło. Rozglądał się oszołomiony. Chciał wstać i wysunąć się chyłkiem. Uciec. Kruk zastąpił mu drogę, wepchnął go z powrotem na fotel i wcisnął siłą pióro do ręki.

— O co tu właściwie chodzi? — zawołał Sanocki. — Co to za ludzie?

— Nie udawaj! — mruknął Kruk. — Siadaj tu, nie trać czasu i pisz! — Wdrapał się zwinnie Sanockiemu po plecach i usiadł mu na ramieniu. W ten sposób mógł być bliżej. Szeptał mu do ucha:

— Wszyscy są już tu od dawna. Rozpoczynamy Uroczysty Obchód Narodowy. Czekaliśmy na ciebie.

Sanocki rozejrzał się uważniej po skrawku swego biura, który jakoś bardzo spotężniał, i zaczął wśród tłumu zebranych rozróżniać kolegów i znajomych. Owo ściemnienie, które wydawało mu się półmrokiem, to był po prostu gęsty dym papierosowy.

— Prosimy o ciszę! — krzyczał Wrona-Gordzicki. — Ciiiisza, proszę państwa, proszę kolegów!

Było tak tłoczno, że wiele osób zwisało z sufitu, zauważył Niusię Wiśniewską uczeptioną drutu elektrycznej żarówki, huśtała się na nim bardzo swobodnie obserwując salę. Było tłoczno, jak w windzie, ktoś starał się przebić głosem przez szuranie krzesłami, nawoływania i urywki rozmów.

— Majorze, prosimy, prosimy otwierać Obchód! Cisza koledzy, cisza, proszę państwa!

Major wszedł po głowach zebranych aż na półkę z książkami, z której stworzono rodzaj estrady.

— No... zobaczymy — mówił akcentując każde słowo — zobaczymy. A teraz otwieram Obchód Narodowy.

Usunął się i na podium wtoczył się Deklamator. Był raczej niewielki. Ale czoło! Czoło niby aleja ogrodowa skrętnie, do ostatniego listka zamieciona, szerokie, wysokie, zbyt wysokie, łyse. Czoło i głos! Jęknął głęboko, zebrani ucichli, nabrali oddechu i odpowiedzieli zbiorowym przeciągłym westchnieniem. Wsłuchali się.

*Ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie...*

Nad głową deklamatora wyrósł Śpiewak. Odchrząknął.

Nagle wśród ciszy oczekującej Śpiewaka wstał z widowni osobnik wysoki, w barach i pupie przyciężki, ale zasobny. Uniósł się, urósł, wlaź na szczudła, dosięgnął sufitu, krzyknął, ale do stojnie:

— Ja! Ja deklaruję na Fundusz t y s i ą c dolarów!

Zgromadzeni nie zważając na Śpiewaka rzucili się ku Ofiarodawcy, obskoczyli go, zatoczyli koło, zaśpiewali:

*Stoi nam, stoi w zielonym wieńcu...*

*Tysiąc, tysiąc, tysiąc dolarów!*

— Ja! — wołał Ofiarodawca. — Ja! Deklaruję! Podziękowań nie chcę! Ja tylko dla Sprawy!

Z estrady Śpiewak ryczał przekrzykując chór:

*Stary kapral umrzeć muuuu-si!*

*Naprzód wiara...*

— Wzywam! — krzyczał Ofiarodawca. — Porywam! Wzywam! Wszyscy do deklaracji!

Deklamator zeskoczył z estrady, precyzyjnie się ku ofiarodawcy, w pas się skłonił, zadeklamował:

*Pan poeta... pan poeta...*

Ofiarodawca błysnął złotą ramką okularów, wargi skrzywił, deklamatora poklepał po ramieniu:

— *Ale gdziet!* Ja tylko tysiąc dolarów. Cichutko, bezimiennie, na uboczu, w sekrecie, dyskretnie, żeby nikt, nic... Ale wzywam! Ja! Słuchajcie! Do deklaracji za moim przewodem! Słuchajcie!

Deklamator zmrużył oczy:

— *Słuchaj dziewczeczko...*

Śpiewak wył z estrady:

*Tylko wara płakać po mnie!*

*Naprzód wiara...*

— Pan do mnie per dziewczeczko? — krzyknęła Nusia Wiśniewska spod sufitu — pan się zapomina! Ale i ja deklaruje mój grosz! Jednego dolara! Za przewodem Ofiarodawcy. Co mogę spod serca dla Sprawy!

Ofiarodawca przerwał krąg otaczających go wielbicieli i wydostając skądś płaski, drewniany wózek pełen owoców pchał go przed sobą pokrzykując śpiewnie:

— Do deklaracji... do jabłek... do gruszek...

Na podium tymczasem wdarł się kapitan Wodecki-Argentyńczyk. Był bardzo podniecony. Mimo protestów pobocznych majora i Wróny-Grodzickiego, rozpoczął płomiennie przemówienie. Widownia zamarła w zachwyceniu, tylko pokrzyki Ofiarodawcy od czasu do czasu przerywały ciszę. Argentyńczyk uniósł ramiona w górę, ryknął:

— Rodacy! Bracia! Po dwudziestu latach nie czas żałować różgdy lasy płoną!

— Nie! — odkrzyknęli zebrani. — Nie czas!

Major wyrwał sobie włosy z brwi, był zdenerwowany, przeciskał się w stronę Kruka.

— Bracia! — wył Argentyńczyk. — Uczmy naszą młodzież, że *nad wszystkie ziemi branki miłsze Laszki kochanki...*

Major przeciskając się w stronę Kruka zderzył się z rotmistrzem Morskim.

— Hakiem go ze sceny, Morski!

— Majorze, to dywersja!

Ofiarodawca rozdzielił ich, przepchał pomiędzy nimi swój wózek, usunęli się milcząco z dyskretnym półukłonem.

Ofiarodawca przyśpiewywał: *Ja! Ja tysiąc! Do deklaracji, do jabłek, do gruszek...*

— A gdy wrócimy do kraju — chrypiał Argentyńczyk — i staniemy *w głuchym borze przed chatką leśnika...*

Łzy Niusi Wiśniewskiej spadły wprost z sufitu na twarz rotmistrza Morskiego.

— Och... — pochlipywała Nusia — och... w głuchym borze...

— Dywersja — otrząsnął się rotmistrz — zakulisowe intrygi... dywersant...

Kruk siedział mocno na ramieniu Sanockiego.

— Pisz! — popędzał go. — Pisz! Patrz, słuchaj i pisz! Nie trać niczego, żadnego słówka, żadnego gestu!

— Nie wiem co pisać? To wszystko nie ma sensu!

— Nie martw się o sens! — gorączkował się Kruk. — Wiele rzeczy napisano, które nie miały sensu i dopiero historia, rozumiesz, historia nadała im sens. Chodzi tylko o to, żeby pisać, wszystko tak, jak jest, jak widzisz, jak słyszysz. Nie wolno zmarnować niczego!

Major przecisnął się do Kruka i Sanockiego, brwi jego ciskały błyskawice. Nie zdziwił się wcale, że Kruk siedział Sanockiemu na ramieniu.

— Kapitanie Kruk-Czerny! — zakomenderował major.

— Na rozkaz! — podskoczył Kruk, urósł, stanął na baczność.

— Kapitanie Kruk-Czerny, kto jest odpowiedzialny za p r o g r a m ?

— Sanocki, Madej i ja, kolego majorze!

— Co w takim razie robi na scenie ten przybysz z Południowej Ameryki? Dlaczego wprowadza dywersyjne zwyczaje swojej przybranej ojczyzny? Bo mam dowody, mam dowody niezbite, że jest o b y w a t e l e m argentyńskim!

— To dywersja... — syknął za nim Morski.

Sanocki odłożył pióro, bolała go ręka. Kruk natychmiast spostrzegł, wskoczył mu na ramię:

— Pisz! Czy nie widzisz, że jeszcze jednego wynieśli z sali? Nie zanotowałeś?

— Gdzie?

— Ty nic nie widzisz! Uważaj! Musisz być bardziej spostrzegawczy. Zjawia się posłaniec zawiadamiający o dniu i godzinie i natychmiast kogoś wynoszą. Tu jest hałas, zamieszanie, ale nie wolno ci przegapić, bo potem już koniec i nawet historia niczego się nie dokopie.

— Kapitanie Kruk-Czerny, przywołuję kolegę do porządku!

— Melduję się, na rozkaz, panie majorze!

— Kto ma program? Chcę osobiście sprawdzić program.

— A gdy staniemy przed chatką leśnika — darł się Argentyńczyk — lud zgrzebny wyjdzie ku nam z chlebem, solą i butlą gorzały...

— Madej ma program!

— Panie majorze — szeptał Morski — hakiem go, hakiem go...

— No, zobaczymy, zobaczymy program i... hakiem go!

— Gdzie Madej?

Madej rósł w kącie zapajęczonym i był wysoką choiną, choinką, chwiał się i szumiał: *Nie szumcie wierzby nam...*

— Ja tysi a c, ja tysi a c, do deklaracji, do jabłek, do gruszek! — Ofiarodawca otarł pot z czoła i opuściwszy wózek, który natychmiast zmalął i zesechł w tempie przyśpieszonym, niby dotknięty *desintegrating rays* — usiadł na krześle obok żony.

— Podchorąży Madej! — ryknął major. — Stawić się na rozkaz!

— Zdegradował go... — jęknął Kruk.

Olek Madej przyszumiał ku majorowi.

— Melduję się na rozkaz.

— Program!

— Tak jest, panie majorze.

— Gdzie?

Madej rozpiął bluzę wojskową i pokazał wyryty na piersiach program. Major, Kruk, Morski i Sanocki pochylili się nad pięcioma słowami programu, które tworzyły dziwny, chociaż udany wiersz:

RECYTACJA — DEKLAMACJA

SPIEW — FORTEPIAN — DEKLARACJA

— Dlaczego to sobie wytatuowałeś, Madej? — sptał major.

— Bo to jest program wieczysty — zaszumiał Madej.

— Wieczysty — potwierdził Kruk.

— Tak — powiedział Morski.

— No... zobaczymy — powiedział major. — Ale przemówienia nie ma!

— Nie ma.

— Hakiem go!

— Hakiem!

— Huzia!

Pierwszy rotmistrz Morski, a za nim Wrona-Gordzicki rzucili się, aby ściągać Argentyńczyka ze sceny.

— *Veto!* — bronił się Argentyńczyk. — *Free Country!*

Ofiarodawca pochylił się ku swojej żonie, szepnął: — Co sądzisz?

— Ireneuszu — uściśnęła go za rękę nieznacznie. — Jesteś wielki! To był chwyt godny geniusza. Patrz, jak oczy tych wszystkich głodomorów, second-handziaków i overtajmiarzy lepią się do ciebie, jak się schylają w pokłonikach ukrywając fałszywe uśmieški. Zastrześliś ich! Supermanie, czy któryś z nich mógłby zaofiarować chociażby dwadzieścia pięć kawałków? Ale... czy nie dałeś zbyt wiele?

— Nie — odszepnął Ofiarodawca. — Zadeklaruję to jako *charity* przy obliczaniu *income tax*. Więc i tak wiele na tym nie stracimy, a będziemy jako ofiarodawcy na wszystkich programach, będziemy patronami balów i uroczystości. To też coś warte.

Na estradzie stał teraz uroczyście Wrona-Gordzicki. Dostojna jego powaga uciszyła widownię, uspokoiła po niedawnym szoku ściągnięcia hakiem nie zapisanego w programie intruza.

— Drodzy zebrani, jako organizator dzisiejszego obchodu, to jest jako jeden z organizatorów, nie chciałbym odstąpić od tradycji dawnych i uświęconych, a drogich każdemu sercu, i uwiecznić uroczystość dzisiejszą uchwaleniem rezolucji.

— Słusznie, słusznie! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Proszę o ciszę — powiedział bardzo dostojnie Wrona-Gordzicki. — Proponuję wysłanie depeszy z uchwaloną rezolucją do... po pierwsze: Świętego Piotra...

— Proszę o głos... proszę o głos!

— Głos ma kolega Morski, proszę.

— Czy kolega proponując wysłanie depeszy z rezolucją do Świętego Piotra miał na myśli Stolicę Apostolską?

— Siadaj Morski — powiedział major. — Wiesz, że nigdy nie bawimy się w pośrednictwa.

— Kolega major Czeczota jak najśluszniej odpowiedział na zapytanie kolegi Morskiego — powiedział Wrona-Gordzicki.

— Aaaa... no to rozumiem — szepnął rotmistrz Morski.

— Następna nasza depesza będzie wysłana — kontynuował

Wrona-Gordzicki — do pierwszego miasta na księżycu, Copernicus.

— Brawo! — zawołał ktoś z widowni — to jest kawaleryjska odwaga, dynamika!

— Proszę o ciszę! Jest to, jak ustaliliśmy i uzgodniliśmy na radzie zarządu, postępowanie zgodne z regulaminem, logiczne i długodystansowe, tam bowiem, na księżycu, w metropolii imienia naszego wielkiego uczonego, osiądą nasze wnuki i prawnuki, tam odrodzi się niepodległy duch ojczyzny naszej, który przetrwa w niezłomnej naszej emigracji. Pan Major ma głos.

— Zarządzam minutową ciszę i uczczenie decyzji tej przez powstanie.

Kiedy ustały szurania krzesel niezbędne przy każdej minutowej ciszy przez powstanie, poderwał się Zygmunt Wiśniewski, mąż Niusi, która przyglądała mu się zawieszona na drucie od żarówki.

— Proszę o głos! Proszę o głos! — zawołał.

— W jakiej sprawie?

— Ja chciałbym zwrócić uwagę na czysto formalną stronę.

— Kolega Wiśniewski — powiedział do teścia Wrona-Gordzicki — ma głos.

— Ja w sprawie formalnej — powiedział Wiśniewski. Dojrzał nagle na suficie swoją żonę i pogroził jej palcem, zaraz jednak zwrócił się w stronę podium i zebranych — w sprawie formalnej, to jest... jeśli wolno nam... mnie... jeśli to nie jest tajemnicą, czy moglibyśmy znać treść memoriału, to jest rezolucji?

— Ależ proszę bardzo, właśnie przystępowałem do tego, jednak niektórzy z kolegów są mało cierpliwi i insynuują bezpodstawnie, że coś się przed nimi ukrywa.

— Ja — wstał Wiśniewski — nie insynuuję, broń Boże, ani też nie oskarżam, ja tylko...

— Nie kłóć się! — krzyknęła spod sufitu Nusia Wiśniewska. — Stale historia tego rodzaju...

— Koledzy, koledzy, proszę o zachowanie powagi — powiedział major, nastroszył brwi i lodowatym wzrokiem zmroził całą salę nie opuszczając sufitu. — Kolega Wrona-Gordzicki ma głos.

— Dziękuję panu majorowi. Otóż treść deklaracji, którą nie wątpię zaaklamujemy jednogłośnie brzmi:

#### BĘDZIEMY TRWAĆ

Pani De Chatin siedząca tuż przy estradzie zapłakała bezgłośnie, szepnęła:

— To jest wprost... doprawdy... szalenie... szalenie... no szalenie... siedź kobito teraz, nie przeszkadzaj.

— Proszę o przegłosowanie. Kto przeciw deklaracji?

Argentyńczyk wrywał się, ale przytrzymano go skutecznie i Olek Madej zrećnie zakneblował mu usta.

— Nikt — przeciw? A więc wszyscy: za! Przechodzi treść rezolucji uchwalona jednogłośnie

### Będziemy Trwać

Depesze do Free Europe i Voice of America zostaną wysłane w formie skróconej, a mianowicie: BE TE

Major podniósł się:

— Ja chciałbym wytłumaczyć, że skrócenie jest z dwóch powodów: *primo* — oszczędność, *secundo*: te dwie instytucje i tak corocznie uchwalają te same co i my memoriały, więc BE TE będzie dla nich najzupełniej zrozumiałe i stworzy rodzaj hasła, które odtąd stanie się i naszym hasłem. Dziękuję.

— A więc, koledzy, hasłem naszym odtąd będzie: BE TE!

— Proszę państwa, proszę kolegów, tylko dwa słowa!

— W jakiej sprawie?

— BE TE!

— Kolega rotmistrz Morski ma głos!

— Proszę kolegów — powiedział rotmistrz Morski, wąsiki mu drgały, był mocno przejęty. — Ja proponuję dla wewnętrznego użytku, dla użytku, że się tak wyrażę *inner sanctum*, hasło BE TE NA PE. — Usiadł.

Wrona-Gordzicki zmarszczył mocno swoje kawaleryjskie czoło, głosem w którym brzęczała ostroga, zapytał:

— Może kolega Morski zechce wytłumaczyć jaśniej owo NA PE, bo zaraz... zaraz kolego, jeszcze głosu nie udzieliłem i mnie się wydaje, że myśmy trochę weszli na manowce. Bo jeśli ma to być tak zwane „wiechowsko-żargonowe” na pe — co kwestionuje już meritum sprawy, a więc i ciężar gatunkowy BE TE — to na pe jest wyrazem braku zaufania kolegi rotmistrza Morskiego do BE TE. Bo jeśli BE TE to po co NA PE? Słowo żołnierza, koledzy, nie potrzebuję na pe, samo w sobie jest na pe. Chwilczkę koledzy, proszę pozwolić mi skończyć! Jeśli jednak większość zebranych zdecyduje, że nie BE TE, a BE TE NA PE, to z bólem, ale i lojalnie przyłączę się do uchwały większości, którą obowiązuję się uszanować. Proszę, kolega Morski. W sprawie?

— Ja w sprawie NA PE, a właściwie BE TE NA PE, to jest w sprawie częściowego używania BE TE, a w obrębie Koła BE TE NA PE.

— Kolega Morski ma głos.

— W kwestii formalnej, koledzy — wołał rotmistrz Morski — jeśli chodzi o NA PE...

— Proszę o ciszę! — krzyknął major, bo na sali podniósł się straszny harmider, jedni wołali BE TE, inni BE TE NA PE, dochodziło nawet do niewinnych rękoczynów. — Proszę zachować godność i powagę! — Major podszedł z tyłu do Morskiego i szepnął: — Morski, streszczaj się do cholery, za piętnaście minut trzeba lokal opuszczać, a ty wyskakujesz z nowym wnioskiem.

— W kwestii formalnej, w kwestii formalnej! — krzyczał Morski. — NA PE... NA PE oznacza na posterunku! Będzie to nasze własne zawołanie, nasze wewnętrzne, koleżeńskie porozumienie, nasze BE TE NA PE! Nic w tym kwestionującego, przeciwnie, podtrzymujące, budujące!

— A... — powiedział major — no to zobaczymy. — Podeszedł do Wróny-Gordzickiego, szepnął: — Poddawaj pod głosowanie, szybko, bo nam każą płacić więcej za salę.

— Poddaję pod głosowanie! — zawołał Wrona-Gordzicki. — Kto za BE TE NA PE?

W ogólnym gwarze, krzykach, zamieszaniu udało się Sanoc-kiemu wysliznąć z tylnej części biura.

Odsłonił prędko parawan, przeszedł szybkim krokiem biuro, uniósł roletę na drzwiach, przekręcił klucz w zamku i wypadł na ulicę. Rękę miał zdrętwiałą, bolały go plecy i oczy, ale we wszystkich mięśniach czuł radosne, uspakajające zmęczenie, w kieszeni miał plik zapisanych papierów. Nad Szeroką w granatowych i czerwonych obłokach gaśły ostatnie promienie słońca. Jutro będzie pogoda — pomyślał Sanocki i uśmiechnął się myśląc o następnym dniu.



## Rozdział IX

### GDY WIATR WIEJE Z ZACHODU...

W początkach maja, gdy południa są już upalne, wieczory jeszcze chłodne, a pod drzewami o nieśmiałej, lepkiej zieleni zasiada młody, letni cień, Monumental City obchodzi święto kwiatów.

Targ kwiatowy, doroczny *Flower Mart*, rozwija się w sercu miasta, na tej „dystyngowanej, wdzięcznej wyspie” gdzie i fontanny i skwerki i czworobok dziewiętnastowiecznych kamienic, które na próżno starają się przydać miastu odrobinę dziewiętnastowiecznego czaru, i gdzie dostojny i wysoki, a drogi — bo już przeszło sto lat temu kosztował ofiarnych obywateli 40 tysięcy dolarów, a na dodatek 150 tysięcy dolarów ze skąpej kasy stanu Calvert — posąg Waszyngtona.

U stóp pomnika, jak dwa ramiona krzyża, przecinają się ulice: Północna i Południowa ulica Karola, i Wschodnia i Zachodnia Monumentalna. Ta pierwsza nazwana pewnie na cześć jednego z Calvertów: może tego, którego pamiętają jako dobrego administratora, ale wyniosłego i arbitralnego, albo też drugiego, Księcia Walii i członka parlamentu „najuczciwszego człowieka na świecie, ale nie zdolnego do prowadzenia partii politycznej”.

W dzień Targu Kwiatowego te cztery promienie miasta wokoło pomnika już od wczesnego rana blokuje policja, a wściekli automobiliści muszą okrążyć centrum miasta chcąc przedostać się z północy na południe i z wschodu na zachód. Plac wokoło Waszyngtona rozkwita. Na drewnianych, zbitych na prędcie, kramach: doniczki i skrzynki. Szarość pomnika różowieje od szkarłatnych azalii i ceglanych pelargonii, nawet słodka, kolorowa wata, którą obnoszą dzieci na patykach, nawet balony, tak rzadkie w tym

mieście, wydają się kwiatami pośród białych i żółtych tulipanów i zawieszonych wdzięcznie w powietrzu dzwonek petunii niby uchwycone w locie skrzydło Kardynała, Blue Jay, albo Oriole.

Na trawnikach malarze — ci, których nie wystawiają dwa lokalne muzea, rozkładają swoje płótna, a pod drzewami, na chodnikach stoją wyroby plastyczne: *made in Monumental*. Sprzedawcy w kolorowych, bawełnianych bluzach smażą *crab cakes* i grzeją *hot dog*'i.

Pachnie beztroską młodością Coca-Cola w papierowych kubkach na drobno tłuczonym lodzie, i ostro, jak zapowiedź letnich pikników w pobliskich parkach — tłuste, gorące *French Fries*. Szeleszczą fontanny i sztywne, wiosenne sukienki młodych sekretarek, które z okolicznych biur przybiegły tu zadyszane i rozćwierkane w porze *lunch*'u. Uczniowie ze szkół, zażywni *bussinesmen*'i, wycieczkowicze z *counties*. Karuzela i kucyki. Ocierają się o siebie damy z *garden clubs* i Murzyni z niedalekich *slums*, dzieci i odmłodzeni wiosną starcy. Zapach kwiatów i jedzenia, rozgrzanej słońcem ludzkiej skóry i cierpko pachnących trawników. Tłok, wesoły i obejmujący wszystkich obnażonym ramieniem pierwszych dni maja. Ten bukiet życia, w którym jest miejsce na wszystko i dla każdego, niby duch starej Ameryki, która budowała i odbudowywała to miasto, rozkwita na krótko, co roku, na skwerkach gdzie co dzień tylko gołębie, zapach benzynowych spalin, czasem emeryt wygrzewający się na ławce, czasem człowiek schwytyany upałem odpocznie, i gdzie zawsze nieruchomy, z wysoko spoglądający z wyciągniętą ręką — Prezydent.

Wydaje się, jakby to przecięzkie, zasobne i konserwatywne miasto dotknęło szaleństwo Nocy Letniej i ogarnęła chochlikowata *Spring Fever*. Jest to najpiękniejszy okres roku w Monumental. Nigdy już miasto i przedmieścia nie będą zanurzone w tej pienistej lekkości. Dojrzałe lato spali trawy, drzewa posiwieją od kurzu. I nawet jesień płomienna, a zarazem łagodna i obfita, jak zbocze żyznej doliny, będzie już tylko spokojnym pogodzeniem się z końcem.

Wieczorem, w czwartek, 26-go maja, przed *week-end*'em *Memorial Day*, który tego roku wypadł w poniedziałek, doktor Joasia Janiak siedziała na swoim łóżku w pokoiku przy Mayburry Avenue i liczyła dni do odlotu. Policzki jej zaróżowiły się od południowego słońca, a w oczach poszerzonych i bardziej wilgotnych został już na zawsze promienny uśmiech południowego nieba. Chociaż cieszyła się na zobaczenie dzieci, za którymi — jak w wielu listach do Polski pisała — bardzo tęskni, chociaż w pracy swojej, jak mówiła sobie, była *successful*, a rozprawka jej „O wyizolowaniu i utożsamieniu wpływu enzymów na skurcze

mitochondrii” była ukończona i należało tylko razem z dwoma innymi kolegami przygotować ją do druku, Joasia czuła, że w głębi niej samej niby mocno stulony pęk kwiatu kryje się coś, co na wiosnę domaga się rozkwitu, i mimo wiosny rozkwitnąć nie może.

— Bo ja za nimi tęsknię — myślała. I znów liczyła: dwadzieścia jeden dni, od jutra będzie tylko dwadzieścia! Dwadzieścia! — przestraszyła się. Tylko niecałe trzy tygodnie! To już go nie zobaczę! Oszalałam! Przecież nie mogę tu zostać! I nie chcę! Nie chcę! Wzięła niebieski papier lotniczy i zaczęła pisać list do Michała:

„Przez te sześć miesięcy bardzo się za Wami stęskniłam”...

Odłożyła pióro i pomyślała, że nie jest to zupełna prawda i że to co odczuwa teraz: niedopełnienie i żal, wyrwanie się ku czemuś i tęsknota może, nie jest uczuciem do męża i dzieci.

— John — szepnęła. Przypomniała go sobie tak intensywnie, że wydawało jej się stoi przed nią, jak wtedy, w pierwszy dzień Nowego Roku, gdy darując jej orchidę powiedział: *For you.*

Od dłuższego czasu John nie odzywał się do niej. Pomyślała, że całej ich znajomości brakowało i początku i zakończenia. Jak wyrwane stronicie książki. Wyrwane i rzucone na wiatr — pomyślała.

Bo czego ja się właściwie spodziewała? — westchnęła. — Nie wiem dlaczego się ze mną spotykał, ani dlaczego nie odzywa się teraz? A może to był tylko sen? Albo film? Kolorowy film? Joasia położyła się na łóżku i myślała, że John był rozsądniejszy od niej i że postanowił skończyć wtedy, gdy właściwie nic się jeszcze między nimi nie zaczęło. Nic? — myślała. — To nie jest prawda! Powiedzieliśmy sobie więcej i znaleźliśmy więcej z sobą wspólnego niż ja i Michał przez wszystkie lata małżeństwa. Myślała także, że John był właściwie jedynym Amerykaninem, którego poznała nie jako Amerykanina, ale człowieka i że myśląc o nim nigdy nie wspomni „ten Amerykanin”, ale zawsze „John”. Zaczęła się zastanawiać na czym polegała ta różnica, ale znów ogarnął ją tak dojmujący żal, że Johna więcej nie zobaczy, że poczuła, jak wbrew niej samej z kącików oczu zaczęły jej spływać łzy na szorstką kapę łóżka. Zapaliła nocną lampkę, bo na dworze ściemniło się już i wróciła do zaczętego do Michała listu:

... chociaż przez całe te sześć miesięcy żyłam, jak w kolorowym filmie i sama ledwo nadążałam za tym co się wokoło mnie działo...”

Chciała napisać: „co się we mnie działo”. Ale tego przecież napisać nie mogła, nie dlatego, że należałoby wpleść w te wy-

jaśnienia imię Johna, czego mogłaby uniknąć, ale że Michał nie zrozumiałby. Dla niego zmiany wewnętrzne polegały na doskonaleniu się naukowym, na analizowaniu konkretnego problemu. Mogłaby mu napisać, że akcja *catalase* i *glutathione peroxidase* przy badaniu skurczów mitochondrii może doprowadzić do szerszego zrozumienia prawdziwej roli enzymów w komórce i, że w niej formuje się już to zrozumienie, że się pogłębia, że czuje w sobie załączki nowej pracy o poważnym, naukowym znaczeniu. To jest myśl rozsądna — powiedziała — widzę, że dojrzewasz. Ale jak mu napisać, że dzięki enzymom o nieznanej nazwie i nieokreślonej budowie w niej samej obudziło się pragnienie zrozumienia, że można być szczęśliwym doznając tylko działania i ulegając wpływom tych nieuchwytnych enzymów i że odczuwanie misterium życia, zauważanie go u innych i wymienianie z innymi jest tylekroć ważniejsze niż skurcze mitochondrii?

— Oszalałaś Joanna — powiedziała — nie zaśmiecaj sobie głowy głupstwami bez wartości.

Joasia odłożyła list, zgasiła światło, zamknęła oczy. Widziała przed sobą wyraźnie twarz Johna i słyszała jego słowa: „Chcesz wiedzieć dlaczego tu przyjechałaś, Jo-a-sia? Czyżby miał rację? — myślała. Teraz kiedy skończyła już pracę, kiedy wszystko wypadło tak, jak chciała, gdy jej sukces naukowy stał się niezaprzeczalny, a profesor wieszował jej dobrze przeprowadzonych doświadczeń, ta najważniejsza wydawałoby się sprawa dla której przyjechała, przestała mieć znaczenie.

Znów widziała przed sobą Johna, jego uśmiechnięty, nieco ironiczny wzrok spoza okularów w szerokich, rogowych ramach: „Osiągnęłaś bardzo wiele, ale w tym wysiłku o *Achievement* zgubiłaś to najważniejsze...”

Zerwała się z łóżka, chodziła po pokoju, starała się powziąć jakąś decyzję. Zatelefonuję do niego — myślała — może zapomniiał, że wyjeżdżam, powiem, że chciałam się pożegnać. Nie... nie. Drżała na samą myśl, że odpowie jej obojętnie, że pożegna ją zwykłym *Good luck* przez telefon. Napiszę — postanawiała — bardzo krótko, że jadę, że odlatuję za trzy tygodnie, nie, za dwadzieścia dni. I znów cofała się: Nie, po co? Niech zostanie tak, jak jest. Napiszę kartkę z Polski. Położyła się spać, ale ciągle budziła się, wydawało jej się, że rozmawia z Johnem. W połowie nocy usiadła na łóżku i zdecydowała się, że nazajutrz wyjedzie autobusem na wycieczkę do Niagara Falls na cały tydzień, a potem kilka dni zostanie w Nowym Jorku, miała prawo do wakacji. Ta decyzja uspokoiła ją. Wstała i dokończyła list do męża:

„... wyjadę autobusem, tak, jak mi doradzałeś, zobaczyć Niagarę. Ogromnie się cieszę. Należy mi się jakiś wypoczynek, no

i chciałabym trochę zwiedzić Amerykę, a potem pochodzę sobie po muzeach w Nowym Jorku i może zatrzymam się u tych Twoich znajomych”.

Położyła się, ale nie mogła zasnąć. A może on jest chory? Może mu się coś stało? Mogłabym się przecież tylko dowiedzieć w szpitalu czy pracuje. Tylko się dowiedzieć dyskretnie, nie podam swego nazwiska. Nie, nie! John wie dobrze kiedy wyjeżdżam. Zapomniał... — przekomarzała się sama z sobą. No więc cóż z tego, że mu przypomnę i że się jeszcze raz spotkamy? Był taki sympatyczny, tyle z nim miłych chwil spędziłam i czego ja się jeszcze spodziewam? Jestem idiotka, skończona idiotka — rozplakała się — to się bardzo dobrze składa, że właśnie się z nim nie pożegnam, bo bym na pewno zaczęła ryczeć i on by sobie Bóg wie co pomyślał.

W piątek od rana było już gorąco i gdyby nie lekki, chłodnawy wiatr trudno było by oddychać. W przerwie obiadowej Joasia wyszła z Zakładu, aby kupić bilet autobusowy. Stacja autobusowa była w śródmieściu, ale Joasia lubiła piesze spacery i nie chciało jej się czekać na przystanku. Szła wolno ulicą Monumental pod górę, a zachodni wiatr biegł jej naprzeciw, chłodził twarz i szyję. Projektowana wycieczka do Niagara Falls czyniła ją cieszyć coraz bardziej, dziwiła się, że wcześniej nie wpadła na ten pomysł. Pogodziła się już, że wyjeżdżając tym bardziej nie będzie miała okazji zobaczenia Johna i powtarzała sobie, że tak jest lepiej.

Nawet bardzo dobrze — mówiła sobie — takie wyrwane kartki, kilka liści do zielnika. Bez zgrzytów, bez goryczy. Uroczę wspomnienia. Ja sama nawet nie zgodziłabym się na spotkanie, gdyby do mnie zatelefonował. Powiedziałabym, że lepiej nie. Dlaczego? Bo nie lubię się żegnać! Ot, dlatego! — tupnęła głośno nogami w chodnik i spojrzała wyzywająco na Waszyngtona, który siedział na skrzyżowaniu ulic Monumental i Karola i nie zwracając uwagi na Joasię opędzał się od gołębi.

Na stacji kupiła bilet, sprawdziła godzinę wyjazdu, wzięła wszystkie możliwe rozkłady jazdy i prospekty i już teraz autobusem wróciła na ulicę Szeroką.

Biegnąc Szeroką w kierunku Zakładu Biochemicznego, w ożywionym ruchu jaki tam panuje w porze *lunch*'u, Joasia wpadła na kogoś, kto się bardzo oburzył, chociaż sam też szedł nieostrożnie. Słów Joasia nie słyszała, bo właśnie zaczęła wyć syrena okrętowa, ale twarz przystojna i smągła, niskie czoło, włosy na skroniach szpakowate, oczy brunatne, podłużne, wzrok ich uważny, chociaż jej, Joasi, nie zauważający, jakby nie była człowiekiem, a tylko przeszkodą na drodze.

Skąd ja go znam? Gdzie ja go poznałam? — zastanawiała się szybko. Wiedziała, że go zna, bo do postaci barczystej i średniego wzrostu, w rdzawej marynarce, przyłączył się zaraz głos, którego nie usłyszała teraz, ale który zapamiętała: niski, przeciągający i jakby zacierający kontury i kańciastości języka.

— To pan doktor Ketler! — zawołała. — Prawda? Czy pan mnie sobie przypomina? Byliśmy na noworocznym obiedzie... prawda?

— Kłaniam się — powiedział Adam Ketler — rączki pani doktor całuję.

Ale ani się nie kłaniał, ani nie całował rączek. W całej jego postaci, w wyrazie twarzy, w zmarszczeniu brwi szybkim, niby to uprzejmym, wyczuła Joasia zniecierpliwienie i jakby podrażnienie. Przypomniała sobie, że już raz poczuła do tego człowieka niechęć za jego zbyt pewny siebie sposób bycia, za spojrzenie, które wydało jej się nieprzyjemne i z niej sztydzące, ale teraz ciemne jego oczy w bardzo czarnej oprawie były jakby na coś skupione i wbrew prawom fizjologii odbijało się w nich nie to co miał przed sobą: Joasia, część fasady szpitalnej bramy i gałąź kwitnącego rododendronu, ale osoby i miejsca o których tak intensywnie myślał w tej chwili.

— Jadę na wycieczkę do Niagara Falls — powiedziała Joasia i zaraz pożałowała, że nie powiedziała: Do widzenia.

— A... — mruknął doktor Ketler. Przeszłoby z nogi na nogę, jakby ziemia paliła mu się pod stopami.

— Jadę autobusem. Czy pan myśli...

— Bardzo panią doktor przepraszam. Bardzo...

— Naturalnie.

— Rączki całuję.

Joasia poczuła, że się czerwieni, zrobiło jej się nieprzyjemnie. Patrzyła, jak Ketler szedł szybkim, nierównym krokiem, który czasem człowiek bezwiednie podporządkowuje swoim myślom.

Ma chyba jakieś kłopoty — pomyślała. — Ale ja się już więcej do niego nie odezwę.

Weszła do osobnego budynku w którym mieściły się laboratoria biochemiczne, nacisnęła guzik windy, powtarzała:

— Nigdy... nigdy...

Ale to „nigdy” zamiast uderzać w doktora Ketlera skojarzyło jej się z Johnem i zabrzmiało bardzo żałośnie. Wyjęła więc z torbki bilet autobusowy i poprzez bilet starała się zobaczyć wiodospady Niagary.

— Bardzo dobrze — westchnęła — bardzo się cieszę.

W laboratorium uśmiechnęła się do kolegi, Niemca-stypendysty, z którym razem pracowała nad enzymami, powiedziała,

że jedzie na wycieczkę, podeszła do swego biurka i położyła na nim torebkę. Oparta o mikroskop była tam kartka z *message* dla doktor Janiak. Joasia włożyła okulary, przeczytała kartkę i poczuła, jak nogi uginają się pod nią. Usiadła. Przeczytała kartkę po raz drugi i zobaczyła, że obie jej dłonie drżą zupełnie niezależnie od jej woli.

— Historia nie z tej ziemi... historia nie z tej ziemi...

Odwróciła się szybko i schyliła głowę bo poczuła, że również niezależnie od jej woli na kartkę spadła łąza. Wytarła głośno nos, przetarła oczy i okulary.

— *Oh, you have cold!* — powiedział kolega-Niemiec.

— *Yes... sorry... excuse me!* — zawołała i chwytając torebkę wybiegła potrącając kolegę. Wróciła natychmiast, porwała kartkę z biurka i znów potrącając pracujących kolegów rzuciła się do drzwi.

— Boże... Boże... — stuką obcasami Joasia, biegła do windy coraz to spoglądając na kartkę, której treść umiała już na pamięć. Zjechała na niższe piętro gdzie były budki telefoniczne. Zamknęła drzwiczki, usiadła zdyszana i jeszcze raz spojrzała na *message*.

To: Doctor J. Janiak

From: Sally

Re: T/C 11:45

*Please call dr John Armstrong, surgery, ext. 654*

1:05 T/C

*Dr Armstrong called again, be sure to return his call, very important!*

Joasi było tak gorąco, że wydawało jej się za chwilę zemdleć, otworzyła szklane drzwi wychyliła głowę, ale wydawało jej się, że ktoś idzie, więc znów je zamknęła.

Oprzytomnij! — uderzyła się mocno ręką w kolano i ten szok ją trochę otrzeźwił. Gdy jednak nakręciła numer telefonu, otrzymała odpowiednie *extension* i gdy usłyszała głos dyżurnej pielęgniarki przytłumiony przez odległość i powtarzającej: Doctor Armstrong... doktor John Armstrong..., zaczęła znów drżeć i bała się, że nie wypowie ani słowa.

— Doktor Armstrong — powiedział John. Głos jego zabrzmiał tuż przy policzku Joasi i przeniknął ją całą ciepłym, głębokim skurczem.

— *It's me* — szepnęła.

— Joasia! Już się bałem, że gdzieś wyjechałaś. Byłem teraz na kilkudniowej konferencji i potem brałem wszystkie zastępstwa,

żeby mieć ten *Memorial Day week-end* wolny. *By the way*, czy masz już jakieś plany na ten *week-end*? Dlaczego nic nie mówisz? Proszę cię, nie krępuj się, nie chciałbym ci w niczym...

— Niedługo wyjeżdżam — szepnęła.

— Ja wiem. Mówiłaś mi, że odlatujesz w połowie czerwca. Ale teraz, ten *week-end*, *Memorial Day*? Ja wiem, to za późno, powinien być się spodziewać....

— Nie! — krzyknęła. — Nie! — Niagara wydała jej się błotnistą kałużą, o której nie warto nawet wspomnieć.

— Nie?

— Nie, nie mam żadnych planów, nigdzie nie wyjeżdżam, chciałam popracować...

— Bo jeśli nie masz lepszych planów, to może pojechalibyśmy na północny-zachód, w góry, jest tam taki stary dom farmerski, muszę go doglądać... ale nie ważne...

— Kiedy?

— Dziś wieczorem i powinienem być w poniedziałek wieczór z powrotem na nocnym dyżurze. Nie wiem jednak...

— Tak?

— Nie wiem czy ci to... jak ty... Jeśli się rozmyślisz, to w porządku...

— Nie... nie...

— Co nie?

— Nie, to jest, tak.

— Joasia...

— Tak?

— Nie mogę teraz mówić.

— Rozumiem.

— Naprawdę?

— Tak.

— Będę o ósmej.

— John...

— Tak?

— *I don't know how to say it.*

— *Don't say it... don't...*

— *Yes.*

— *Good girl. See you* — powiedział już swoim zwykłym głosem.

— *Good bye* — powiedziała i powiesiła słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Powtarzała: Ja chyba zwariowałam, chyba zwariowałam. Boże... — szepnęła — jak to jest cudownie czasem zwariować. — Czuła jak się śmieje i jak jednocześnie łzy płyną jej po policzkach.

Joasia nie wróciła do Zakładu, zatelefonowała, że prosi o



zwolnienie na popołudnie, ma pilną sprawę do załatwienia i zyczyła sekretarce, Sally, *Happy Memorial Day week-end*. Zjechała windą na dół i popędziła, nie zwracając uwagi na upał, na stację autobusów. Ruch sprawiał jej przyjemność, był jej potrzebny, poprzez ten krok szybki wydawało jej się, że staje się częścią wiatru, który od czasu do czasu ujmował ją całą w swoje chłodne, szorstkie ręce i jak gdyby unosił ponad chodnik ulicy. Wszędzie wydawało jej się, odnajdywała część siebie: w ulicach, które tak niedawno wydawały jej się obce, w zwieszających się z kwiatowych skrzynek wieńcach petunii i nawet w upale późno majowym, którego ona sama była rozedrganą, upalną smugą. Ja tu w jakiś sposób zaczynam należeć — myślała Joasia — coś tu ze mnie, gdy odjadę, zostanie i coś z tego co tu jest, zabiorę z sobą.

W połowie drogi do miasta, na skwerku, przy pomniku Waszyngtona gdzie Monumentalna dochodziła do swego szczytu, Joasia zadyszała się i postanowiła chwilę odpocząć. Usiadła na ławce.

Objęła rękami kolana, podniosła głowę i spojrzała na Prezydenta.

— A więc jadę...

— Hm... — mruknął Waszyngton.

Gwiazdziste sztandary, wywieszzone już z okien i balkonów domów na poniedziałkowe święto, uderzyły z wiatrem na alarm i zasalutowały przed Prezydentem.

— Jadę zwiedzić północny zachód stanu Calvert. W góry. Na pewno będą lasy.

— I jeszcze jakie! — powiedział George. — Byłem tam w 1748 na wiosnę jako szesnastoletni chłopak. I już pracowałem, jako *surveyor* u lorda Fairfax.

— Jadę z Johnem. Przecież trudno mu było odmówić.

Wieżowiec z czarnego marmuru, jak wyfraczony lowelas o setkach błyszczących monokli zatrzęsł się szklanym śmiechem.

— *Calm down* — syknął Prezydent. — Byłem tam później w 54-tym, po lasach włóczyły się bandy Francuzów i Indian, zaczęliśmy budować fort...

— Boże, ja oszalałam. Gdzie ja jadę? Do jakiegoś domu farmerskiego w górach, gdyby się tak zastanowić...

— Byłem tam jeszcze w 56-tym jako młody pułkownik, komendant fortu, umierali wszyscy ze strachu przed atakiem Indian, ale nic się nie stało. Czy teraz przysłaś prosić o mój protektorat?

Azalie na skwerku podniosły czerwone spódniczki zakręciły się w piruecie.

— Za dwa tygodnie odlatuję i już go nigdy nie zobaczę.

— *Free Country.*

Joasia rozejrzała się po skwerku, po dziewiętnastowiecznych kamienicach i po raz ostatni spojrzała na Monument. Był cały w słońcu. Na ramieniu Prezydenta usiadł biały gołąb, potem przefrunął na zwój konstytucji.

— *Go!* — potrząsnął kamiennym zwojem George i gołąb rozpościerając skrzydła odleciał, a może nie był to gołąb tylko mewa, bo ptak odfrunął daleko od skwerku na południowy-wschód miasta, w kierunku zatoki.

Joasia podniosła się i zdecydowanym, równym krokiem poszła na stację autobusów.

Oddała tam bilet i otrzymała zwrot pieniędzy. Za pieniądze te, przeklinając swoją lekkomyślność, ale też i usprawiedliwiając się, że i tak wydałaby te pieniądze na podróż, kupiła letnią sukienkę i niebieski, nylonowy szlafroczek.

Dom farmerski do którego John Armstrong zaprosił Joasię był w północno-zachodniej części stanu Calvert, w hrabstwie Washington. Kraj pomiędzy dwoma pasmami gór, poprzecinany szerokimi potokami o bardzo jasnej, wartkiej wodzie, lesisty, czasem niewielkie sady, czasem pola kukurydzy albo białych ziemniaków, pola owsa, a wokoło szeroko rozpostarty świat o dolinach przestrzennych i łagodnych, ciemnych szczytach gór. Wielu tu hardych, surowych *Hillbillys*, kłusowników, polujących po lasach na jelenie, lisy, *racoons* i oposy, a wyżej na rysie i czasem czarne niedźwiedzie. Dom od lat nie zamieszkały, odwiedzany tylko w czasie letnich wakacji, albo w zimowym okresie narciarskim, był domem rodzinnym matki Johna. Przylegało do niego przeszło 300 akrów lasu, wśród tego cmentarzyk rodzinny otoczony parkanem, który przerosły dzikie maliny.

Nie wiadomo kto i kiedy postawił ten *loghouse* początkowo pewnie jednoizbowy, ale w historii rodzinnej zachowało się wspomnienie prababki, która w pierwszej połowie XIX-go stulecia przyjechała z dwoma synami do Ameryki z Niemiec. Starszy z nich przyłączył się do Yankesów i wyniósł dalej na północ, młodszy zmienił jedną literę nazwiska i poszedł do Konfederatów. Ożenił się później z Irlandką, a ich jedyny syn po wędrówkach przez Texas i Oklahomę dojechał do Stanu Calvert i osiedlił się, a może wrócił do hrabstwa Washington. Był to dziadek Johna.

Drogi prowadzące poprzez i z Monumental były tego późnego wieczora natłoczone samochodami. Po lewej stronie, na wprost nich długi naszyjnik reflektorów, przed nimi gęsta, szybka rzeka

coraz to przebłyskująca czerwonymi sygnałami hamulców. Aż do wyjazdu z miasta, jakby wyczuwając jej zakłopotanie, John mówił tylko o samochodzie: ile mil mają przejechać, jakie drogi wybrał i dlaczego, rozłożył jej na kolanach mapę i tłumaczył przez jakie miejscowości będą przejeżdżać, kiedy trzeba się będzie zatrzymać dla nabrania benzyny, kiedy i gdzie wstąpią na późną kolację.

Siedziała sztywno, mało się odzywając, a wszystkie drogi na mapie kręciły jej się przed oczami. Spoglądała czasem na profil Johna nad kierownicą upewniając się czy to nie dalszy ciąg snu z którego, jak zesłej nocy, obudzi się pełna sprzeczności. Przez otwarte okno wpadał wiatr, szarpał jej nową sukienką i rzucał włosy na twarz.

Unosiła wtedy ręce, przytrzymywała włosy i w tym ruchu rozluźniającym ogarniała ją coraz to powracająca fala radości i znów opuszczała ręce na rozłożoną na kolanach mapę i sztywniała zażenowana własnym milczeniem.

— Joasia — powiedział — nic nie mówisz. — Jeśli chcesz, możemy zawrócić.

— Nie, nie, to nie dlatego. Tylko taki wiatr.

Wyciągnął rękę i podkręcił wyżej szybę samochodu. Jego głos był teraz wyraźniejszy:

— *When the wind is from the west  
Then it's at its very best.*

— Dlaczego?

— Tak mówią tu rybacy. Zachodni wiatr jest dobrym wiatrem, wtedy można śmiało wypływać na połów. Wschodni jest najgorszy.

— A co mówią o wschodnim?

— *When the wind is from the east  
'Tis neither fair for man nor beast.*

— Ale ty nie dlatego milczysz?

— Tak sobie liczę?

— Co sobie liczę? Gwiazdy?

— Dni do odlotu.

— Za rok, spójrz na mapę świata. Zobaczysz tam taką małą, mocno zacisniętą pięść z jednym palcem o drapieżnym pazurze. Ten paluch topi się w zatoce i poprzez Atlantyk wskazuje na Florydę, Kubę i Honduras. Pomyślisz: byłam tam i w *Memorial Day week-end* jechałam Volkswagenem 61, z człowiekiem, którego nazwiska już nie pamiętam. I gdzie to ja jechałam...?

— John!

— Acha! Więc jednak będziesz pamiętać!

— Ja będę, ale to ty patrzac stąd na Europę...

- Nie stąd.
- Nie? Dlaczego?
- Wyjeżdżam.
- Gdzie?
- Podpisałem kontrakt z Peace Corp.

Myślała: wyjeżdża. Trzeba było być szaloną, aby chociaż przez chwilę... Wyjeżdża? — Gdzie? — powiedziała. — Peace Corp? Słyszałam, i co ty tam będziesz...

Ambulans nadjeżdżał od strony miasta, jego przeraźliwa syrena zaguszyła słowa. Samochody usuwały się w popłochu, zjeżdżały na prawo zostawiając środkowy tor *highway*'u wolny.

— Wypadek — powiedział — to nas trochę zatrzyma.

Przerywany jęk ambulansu, coraz głośniejszy. Przemknął nagle tuż obok czerwony i przerażający z wirującym na dachu sygnałem.

Myślała: ludzie spotykają się i rozstają. Nic nie trwa wiecznie.

Spojrzała na jego profil: prosty nos, bryłowatość policzka, kańciasta, mocna szczeka. Odwrócił się, przychwycił jej spojrzenie.

— Joasia, patrzysz na mnie oceniająco, jak gdybyś...

— Nie!

Wyciągnął rękę, objęła ją mocno palcami, jej palce były chłodne, rozgrzewały się w tym dotknięciu.

— Denerwujesz się?

— Nie wiem — powiedziała. — Myślałam: Nic nie trwa wiecznie.

— Nie zupełnie bym się z tym zgodził. Może dlatego, że nie lubię powtarzać za innymi, może, że wbrew samemu sobie, jestem jeszcze optymistą.

— Ty jesteś inny. Michał powiedziałby...

— A więc zabraliśmy z sobą Michała.

— Jak to? Zabraliśmy?

— Siedzi tu i jest nieustannie porównywany ze mną. Słyszę nawet jak krzyczy: Ej, *mister*, gdzie to wybierasz się z moją żoną?

— To była moja decyzja.

— *Sure*. Czy nie myślisz, że były jednak pewne warunki, które zdecydowały poza tobą? — *I am sorry*. Nie wrywaj ręki. Tak miło objęłaś mnie przed chwilą. Czy to też była trzeźwa decyzja?

*State trooper* stał pośrodku jezdni. Kierował ruchem. Zatrzymali się.

— *Too bad* — powiedział John. — Zderzenie z ciężarówką.

Obniżyła szybę i wychyliła się przez okno. Ambulans przejeżdżał już trawnik dzielący dwie przeciwległe tory szosy. Zawracał do miasta. W czerwonych, siarczanych płomieniach *flares* przewrócony na bok leżał biały Chrysler. Prawy bok i maska zmiażdżone, odłamki szkła i płamy na jezdni, policjanci w kapeluszach o szerokich rondach wymachiwali rękami. Samochody zaczęły się wolno posuwać naprzód. Nad miejscem wypadku wisiało przerażenie, wciskało się poprzez uchylone szyby samochodu. Oddalająca się syrena ambulansu poszarpała noc, jej granatowe skrzydła leżały na poplamionym asfalcie. Siarczane pochodnie urosły aż do gwiazd, majowy wiatr dygotał ze strachu. Volkswagen nabrał szybkości. Oświetlone podmiejskie motele odpyływały w tył, jak okręty.

Myślała: Dlaczego teraz? Dlaczego właśnie teraz? Wzdrygnęła się: A gdyby to my? Ja i John?

Poczuła jego rękę na policzku, na włosach.

— Nie bój się — powiedział — nic się nam nie stanie.

— Skąd wiesz, że...

— Odgaduję myśli. Każdy się boi. Widzisz, jak zwolnili szybkość. Człowiek zawsze myśli o sobie. Nawet współczucie jest też myśleniem o sobie, widzi się własną sytuację w nieszczęściu innych.

— Ja to się takimi rzeczami strasznie przejmuję. I potem jak już wszystko przejdzie, to jeszcze do mnie wraca i wraca. Michał mówi...

— Dobrze. Tylko przysuń się trochę do mnie. Tak. I żebym wiedział, że to twoja ręka nie Michała.

— ... mówi, że posuwamy się od punktu A do Z, że przechodzimy od jednego okresu życia do drugiego i że nie trzeba się wiele oglądać wstecz, tylko iść naprzód... Ale ja nie wiem czy ty...

— Rozumiem. A jeśli po tej drodze od A do Z zgubiło się jakiś okres życia?

— Jak to zgubiło?

Mijali duży, biały motel zbudowany, jak południowy pałacyk. Kolumny podtrzymywały czerwony dach głównego budynku. Przeczytała neonową nazwę: *Plantation Motel*.

— Może zatrzymamy się na kawę? — spytał.

— Jak chcesz.

— Ja chcę jeszcze jechać, ale myślałem, że ty...

— Nie. Jedźmy jeszcze. Czy to daleko?

— Dwie godziny drogi.

Z głównej, trzytorowej *highway* zjechali półkolistym ramieniem na boczną szosę. Ruch samochodowy był tu mniejszy,

a teren stopniowo, faliście unosił się w górę. Kurtyna lasu smagnięta smugą reflektora rozbiegała się na boki, coraz wyższa, gęstsza, droga stawała się kręta, opadała stromo w dół, albo pięła się pod górę, a temperatura powietrza obniżyła się tak gwałtownie, że trzeba było uruchomić ogrzewanie samochodu. *Diner\**, stał obok stacji benzynowej, tuż przy nim w drewnianym parterowym baraku *Country Store* zamknięty już i ciemny. Dalej, i podrugiej stronie szosa wysoka ściana lasów. Niebo wznosiło się odległe, chłodne i czyste. Księżyc wisiał nad *Dinerem*, tak, że wóz wydawał się srebrzysty, a żółtawo oświetlone wewnątrz długą kabiną rakiety. Oddalona milami od miejsca wypadku, noc rozwijała znów skrzydła.

— Jutro — powiedział — pojedziemy do dobrej restauracji na *lunch*, ale teraz wszystko będzie zamknięte, więc może tu...?

— Tak — powiedziała — tak, naturalnie.

Wóz restauracyjny był pusty. Zaspana kelnerka przyniosła im kawę w grubych kubkach i sandwicze z *country ham* i *American cheese*. Siedziała na wprost Johna, po raz pierwszy twarzą w twarz tego wieczora i było to, jak spotkanie na nowo. Czas pomiędzy teraz, a jutrem leżał pomiędzy nimi jeszcze nietknięty, ale czuła jego nieuniknione zbliżanie się i drgnęła sparzona tą bliskością.

— Zimno ci — powiedział. — Trzeba będzie napalić w kominku. Tu nawet w czerwcowe noce jest chłodno. Telefonowałem, żeby mi przygotowali drzewo... Dlaczego się śmiejesz?

— Nie widziałam nigdy ognia w kominku, to będzie pierwszy raz.

— Niemożliwe!

— Widzisz... widzisz, ile we mnie jest różnych niemożliwości.

— Joasia... — przechylił się poprzez stół — gdybyś wiedziała, jak bardzo...

— Tak? — szepnęła twarzą tuż przy jego twarzy, a kabina rakiety uniosła się i szybowała w powietrzu.

— ... jak bardzo się cieszę, że ze mną jedziesz.

Odsunął się i przyglądał, jak niezręcznie trzęsącą się ręką podniosła do ust filiżankę.

— Zaraz zamykamy — powiedziała kelnerka. Położyła przed Johnem rachunek.

— Czy możemy skończyć kawę? — powiedział.

— *Sure* — ziewnęła. Zabrała pieniądze i odeszła do kontuaru.

— Wyrzucają nas — powiedział.

---

\* Przydrożna restauracja w kształcie wagonu kolejowego.

— Chodźmy.

— Mamy jeszcze kilka minut czasu, nie zamkną przed jedyną. Wiem. Byłem tu.

— Byłeś?

— Tak. Chciałaś spytać z kim?

— Nie pytałam z kim.

— Sam. *Does it make you feel any better?*

— *Yes.*

— *You are sweet.*

— Chodźmy.

Szli po wysypanym żwirze dziedzińcu. Światła z okien *Diner*'u padały na Volkswagena. Zgasły. W tyle, za wagonem restauracyjnym ktoś głośno uruchamiał samochód.

Dom zjawił się nagle. Wyskoczył zza kępy drzew na szczycie krętej, górskiej drogi. Był z okrągłaków, piętrowy, czarno-biały, tylko szerokie kamienne ramię komina dzieliło go od tyłu na dwie nierówne części. Drewniany dach nawisał ponad gankiem. Na ganku stały dwa stare, trzciniowe fotele, a w oknach domu kołysała się ciemność. Ciężki, słodki zapach *Honey Suckle* oplatał dom. Cisza jak wielkie, białe kielichy kwitła pomiędzy drzewami i przed domem i w opadającej w dolinę polanie gdzie zapalały się i gasły niespokojne lampy świetlików. John otwierał drzwi. *Storm door* o zardzewiałej, naddartej, rudej siatce skrzypnęły. Skrzyphiał przekręcany długi klucz w żelaznym zamku, a mały, mosiężny *Yale* poddał się cicho i bez oporu.

Wydawało jej się, jakby dom ten o nawisłych łagodnie brwiach dachu, zrosnięty z ziemią i lasem, z ciszą i niebem niby stare, kołyszące się w ciemności drzewo był w niej już dawno, a teraz urzeczywistniał się tylko, tak jak czasem wracają we śnie fragmenty czytanych w gorącym zachwycie dzieciństwa książek, których bohaterowie ustępują nam miejsca zostawiając tylko tło i własną odwagę dokonywania rzeczy niemożliwych.

Na ganku zapaliła się latarnia i natychmiast wielka, kosmata cma przywarła do niej rozpostartymi skrzydłami, a przez osłonięte do połowy szyby okien senne, żółtawe światło upadło miękko pod nogi Joasi.

— *Welcome* — powiedział. Zapewniam cię, że w tym domu nie straszysz, ale:

*Who entereth herein, a conqueror hath bin;*

*Who slayeth the dragon, the shield he shall win;*

Roześmiała się: — Prawie nic nie rozumiałam.

— A co rozumiałaś?

— „*A conqueror*” i „*shall win*”.

— To wystarczy. Pamiętasz „The Fall of the House of Usher” Edgara Allana Poe?

— Nie — powiedziała. Weszła do *living room*'u. Rozciągał się na całą długość domu, wybity do połowy boazerią z niskim, belkowanym sufitem, mimo zapalonych na stolikach lamp, był ciemnawy.

— Jest to opowiadanie o domu w którym dzieją się rzeczy niesamowite. Zapamiętałem tylko dlatego, że musiałem kiedyś pisać *paper* o twórczości Poe.

Po prawej stronie pokoju stał stół otoczony krzesłami o wysokich, staroświeckich oparciach. Po środku wąskie schody prowadziły na górę, na prawo był kamienny kominek o głębokim, czarnym palenisku, przy nim szeroka kanapa i fotele z małymi stołeczkami pod nogi.

— *Make yourself at home* — powiedział — zaraz przyniosę walizki.

*Storm door* zaskrzypiała i uderzyła o framugę. Położyła torebkę na kanapie i przechyliła się oglądając książki na wbudowanej w ścianę półce. Nie czuła się obco, jakby nie przyszła tu, a wróciła. Na półce nad kominkiem stały fotografie rodzinne, a ponad nimi w czarnych, cienkich ramkach zawieszony portret kobiety.

Słyszała, jak postawił na podłodze walizki, ale zanim odwróciła się, podszedł i objął ją mocno obiema rękami w pól.

— Przyglądasz się mojej babce — powiedział. — Zastanawialiśmy się kiedy i komu udało się ją zmusić, ażeby poszła do fotografa.

— Wygląda bardzo uroczyście — powiedziała.

— Popatrz na jej usta. Mimo fotografii i tylu już lat nie przestaje potajemnie chichotać.

— I przypomina mi ciebie.

— Czym? Naprawdę?

— Tym — powiedziała. Odwróciła się i dotknęła palcem kącika jego ust. Przytrzymał jej rękę.

— Joasia — szepnął — Joasia...

— Jak miała na imię?

— Kto?

— *Your grandmother*.

— A... Nazywaliśmy ją Miss Sara.

— Miss?

— Tak. Albo *grandmother mam*. Trzęsła całym domem i nie było rzeczy, której nie potrafiłaby zrobić. Wyobraź sobie, że kiedy miała siedemdziesiąt lat nauczyła mnie jeździć na rowerze. Pamiętam, jak robiła mydło w wielkim czarnym kotle w ogro-



dzie, zawsze pamiętam ją w ruchu i zawsze wszystko kręciło się koło niej. Umarła kiedy miałem czternaście lat. Nigdy, aż do tamtego dnia, nie była chora. Pochowaliśmy ją tu niedaleko, na jej własnym terenie, przy jej domu.

— Kochałeś ją.

— *She was my idea of the Pioneer Woman.*

— A gdybym ja... gdyby mnie tu zobaczyła?

— Miss Sara nie zadawała pytań. Powiedziałyby: *Honey*, idź na górę do twego pokoju i rozgość się. Zdejm tylko te buty na wysokich obcasach, połamiesz sobie nogi i kto to widział, żeby przywozić takie śliczne, nowe buty na wieś.

Pokój do którego ją zaprowadził miał niski sufit i skrzypiącą podłogę z czarno malowanych desek. Pachniało suchym sianem i drzewem, a gdy uchyliła okno mocny wiatr wtargnął z wilgotnym oddechem lasu i natychmiast niecierpliwa eskadra drobnych muszek dopadła stojącej przy łóżku lampy. Zamknęła okno i usiadła na łóżku na zeszytej z kolorowych kawałków materiału pikowanej kołdrze. Słyszała kroki Johna na dole i wiedziała, że rozpałał ogień w kominku. Dotknęła ręką szorstkiej kołdry, spłowiałej od prania, którą pewnie robiła jeszcze babka Johna. Wydawało jej się znów, jakby portret kobiety w *living room*'ie, pokój w którym otwierała teraz swoją walizkę, umeblowany skąpo, z małym oknem o kretonowych firankach, drewniane łóżko w oświetleniu bladej żarówki pod papierowym abażurem, zapach tego miejsca czerstwy, cierpki i suchy, jak zapach spękanej kory drzewa, który był jednocześnie szorstki i kojący — był jej już znany, a teraz urzeczywistniał się tylko. Ale łazienka nowoczesna i dobudowana widocznie później ze standartową wanną i umywalką z lustrem po którego obu stronach paliły się mocne, elektryczne świece — była obca.

Zdjęła okulary, spojrzała na siebie, znów zdjęła i włożyła je do torebki. Z szerokiego wycięcia jasnej, letniej sukni twarz jej wychylała się do niej w półśmiechu, którego dotąd nie знаła. Dotknęła palcami włosów, policzków, szyi i nagle, jakby nawiązując kontakt z odbiciem w lustrze jeszcze nie dowierzając, ale już czując, że tamto spojrzenie, półśmiech, wilgotna świeżość oczu i ust są jej własne, że to ona i że świadomość odkrycia samej siebie przenika ją dreszczem nieprzytomnej, oddech wstrzymującej radości, szepnęła:

— Co też się ze mną dzieje... historia nie z tej ziemi...

Schodziła na dół tak cicho, że jej nie usłyszał. Przystanęła na schodach i patrzyła na niego. Odwrócony bokiem, oparty o kominek, w rozpiętej pod szyją kolorowej koszuli o zawiniętych do

łokcia rękawach, palił papierosa. Wydał jej się inny, bardziej skąpiony, surowszy, w oświetleniu kominka mocno zarysowywała się kańciastość jego szczęki, a w kąciuku ust opuszczonym teraz, nie było uśmiechu. Uprzytomniła sobie, że przecież go nie zna, że wie o nim bardzo niewiele, podczas gdy on, wydawało jej się, wiedział o niej niemal wszystko.

Odwrócił się, rzucił papieros do kominka i podszedł do niej.

— *You look lovely* — powiedział.

— Wszystko — powiedziała i zatrzepotała rękami zażenowana, że znów nie potrafi się wysłowić — nie wiem, jak to powiedzieć.

— Brandy? — spytał. — Czasem kropla brandy pomaga w odnalezieniu słów.

— *Yes, thank you.*

To już jest postęp.

— Dlaczego?

— Godzisz się na kieliszek brandy i mówisz: *yes, thank you.*

Usiadła na małym taburecie przy kominku. Mocny, wysoki ogień rozgrzewał pokój i tylko jedna zadumana lampa patrzyła w okno zmrużonymi oczami. Joasia podniosła kieliszek z brandy do ust. Upiła i odstawiła ostrożnie na stolik. Myślała: oszalałam, historia nie z tej ziemi, siedzę tu z Johnem przy kominku i piję brandy. Albo mi się to wszystko śni...

W ścianie odezwał się świerszcz. Umilkł. A potem jeden, drugi i trzeci, jakby zachęczone, ośmielone rozśpiewały się głośno z coraz to innych stron pokoju.

— Wszystko — powiedziała — wydaje mi się takie nierealne. Ten dom... i cała nasza... przyjaźń... — Spojrzała na Johna. Siedział na kanapie i obracał w rękę kieliszek, uśmiechnął się.

— Więc tak to nazwałaś...

— ... spotkałiśmy się i ja już odjeżdżam... odlatuję i ty...

— Astronauci też spotykają się w przestrzeni i każdy wraca do swojej rakiety.

— Ty wiesz gdzie odjeżdżam, ale ja nawet nie wiem gdzie... ale jeżeli nie chcesz...

— Nic podobnego, bardzo chętnie. Co chciałabyś wiedzieć?

— Czy mógłbyś mi powiedzieć dlaczego...

— Dlaczego Peace Corp, czy dlaczego ja tam jadę?

— Wszystko.

— Joasia...

— Tak?

— Podaj mi rękę. Dobrze. Przy kominku trzeba siedzieć blisko siebie. A jeśli siedzi się przy ogniu pierwszy raz...

— Drugi.

- Przypomniałaś sobie. Ale tam w gospodzie ogień był inny.
- Inny?
- To jest nasz ogień.
- Co to?
- Wiatr. Nikt nie chodzi pod oknami. Nikt cię nie widzi.
- Ty mnie widzisz.
- Nie widzę. Czuję tylko. Teraz mogę mówić, jeżeli chcesz?
- Tak.
- Nie myśl że ja jestem jakimś wielkim idealistą. Jestem trzeźwym, *redblooded American*. Ale, widzisz, my mamy w sobie takie niespodziewane, ukryte źródła romantyzmu. Tego nie można dostrzec z zewnątrz, to trzeba tropić, jak kryjówki Indian.
- Czy ty...?
- Nie wiem. Może i romantyzm. Tylko my o tym mówimy po freudowsku *guilt feeling*. Naprawdę to dość mam szpitala, ciągłych apendektomii i hernii, trzeba się bić... ach to nieważne. Widocznie Miss Sara przekazała mi trochę pionierskiej awanturności. Wydaje mi się też, że Peace Corp jest teraz najlepszą rzeczą jaką mamy do zaoferowania. My stale mówimy, że dążymy do *better life*. Ale trudno pogodzić się z tym, że te lepsze warunki życia będą dostępne tylko dla nas. To nam porządnie zakłóca sumienie. Więc pchamy się do Afganistanu, Iranu, Tunisu, Etiopii, Turcji, aby im tworzyć *better life*. Nie spodziewam się łatwych rzeczy, ci co przyjeżdżają są często rozgoryczeni. Brak im ludzi, brak im fachowców. Jadę do Indii. Po co my teraz o tym mówimy?
- Chciałabym cię poszukać na mapie.
- Joasia, gubisz i szukasz. Pamiętam, na początku pytałaś mnie: Czego ja szukam?
- Pamiętam.
- Czy wiesz już teraz?
- Nie wiem.
- Czy nie szukasz czasem tych zagubionych okresów w przeszłości przez które tylko przeszłaś?
- Przeszłam?
- Przeszłaś nie przeżywając i może dlatego...
- John... lecąc tu, do Ameryki wstąpiłam do Anglii. Chciałam zobaczyć mego ojca.
- Nie mówiłaś mi.
- Nie mówiłam nikomu. Nie widzieliśmy się dwadzieścia pięć lat, zaraz, może więcej, miałam dziewięć lat, gdy odjechał. Ale wtedy była jeszcze moja matka, siostra i brat. Później, to było w 1943 roku, wróciłam do domu, chodziłyśmy na... nie wiem jak ci to powiedzieć, trzeba się było uczyć w różnych do-

mach, tajnie. Wróciłam i ich już matki mojej i siostry nie było. Sąsiedzi zatrzymali mnie na ulicy, więc już nawet nie wróciłam do naszego domu. Potem je wywieźli i obydwie zginęły w Rawsbrück.

— Miałaś wtedy dwanaście lat.

— Tak.

— Mieszkałam potem u różnych ludzi. Ale jeszcze był mój brat... zginął w Powstaniu. Miał dziewiętnaście lat. Odnalazłam ojca przez Czerwony Krzyż, przysyłał mi paczki, pisaliśmy do siebie, ale nigdy nie zaproponował mi, ażebym ja... zresztą zaczęłam studiować, spotkałam Michała... ale wiesz, po tylu latach pamiętałam go zawsze z tamtego okresu i myślałam... myślałam... cieszyłam się, że... bo przecież nikt już nie został tylko on i ja... przepraszam cię...

— Ja nie widzę.

— Zmoczyłam ci koszulę, nie powinnam...

— Jak to było?

— Strasznie. Ożenił się po raz drugi. Ale to nie to. Taka obcość...

— Powiedz mi.

— Nic więcej. Przyleciałam tu. Postanowiłam: zapomnę. Można sobie czasem wykreślić jakieś rzeczy z pamięci. Potem spotkałam ciebie.

— Spotkaliśmy się.

— Wydawało mi się na początku: historia nie z tej ziemi. Co się ze mną dzieje? I dlaczego ty...?

— Dlaczego ja?

— Miałeś czas dla mnie.

— Mówisz: czas, tylko czas?

— Nie wiem.

— Czy nie myślisz, że dwoje ludzi może się spotkać i przeżyć coś co jest ważne dla obojga?

— Dla ciebie też?

— Dla obojga.

— Jak?

— Potrzebowałam mnie tak bardzo.

— Bardzo.

— Jak nikt chyba jeszcze w moim życiu.

— Co to?

— To gałąź uderza w okno. Wiatr. Nie myśl teraz, nie słuchaj. Jesteśmy tylko ludźmi.

## Rozdział X

### PRZY HIGHWAY NIE MA DROGI DLA PIESZYCH

— *Good luck!* — powiedziała sekretarka. Podała mu dużą, żółtą kopertę. Jej ramię było brązowe, dłoń brudnoróżowa, paznokcie jaskrawoczerwone. Był tak samo egzotyczny dla niej, jak ona dla niego.

— Tu są dwie kopie pana pracy, doktorze — powiedziała.  
— *Lots of luck!*

Doktor Ketler podziękował. Wskazał na pelargonię na parapecie okna. Kwitła różowo.

— Prawda, jaka ładna — powiedziała sekretarka — jej zęby, były jak świeżo wyłuskane migdały, czarne włosy lśniły od olejku.

— Wiosna — powiedział Ketler — przyjechałem tu jesienią, a teraz jest już koniec maja, 27 maj. Czy profesor mówił coś jeszcze?

— Kazał mi posłać pana pracę do druku. Wysłałam już wczoraj. *We will miss you here.*

— *I will miss you too.* Ale jeszcze chyba przyjdę przed wyjazdem.

Sekretarka wstała, przykryła maszynę, wyjęła torebkę z szuflady. Dochodziła godzina pierwsza — *lunch time.*

— *Lots of luck.*

— Dziękuję.

— *Good bye doctor Ketler, it was a pleasure to know you.*

— *Good bye* — powiedział. Został sam w laboratorium. Pożegnał się już był z kolegami, teraz wszyscy rozbiegli się. *Lunch time.* Ketler podszedł do biurka, wyjął maszynopis. Spojrzał na tytuł:

*Uproszczona Metoda Uzyskania Odczynu Nelsona-Mayera.*

Trzydzieści stron maszynopisu. Wynik półrocznej pracy w zakładzie immunologii i bakteriologii przy szpitalu Perceval Norris. Umiał tę pracę na pamięć. Ostatnie tygodnie pracował nie tylko we dnie, wracał na krótko do swego pokoju w budynku dla studentów cudzoziemskich i z powrotem do laboratorium. Siedział do późna w nocy. Na maszynie elektrycznej odgrzewał sobie puszkowe zupy, ravioli, czasem gotował kurę, pił mleko, kupował pomarańcze bardziej teraz dla witamin niż dla smaku. Miał już dość odłożonych pieniędzy na kupno samochodu. Ale teraz samochód przestał być najważniejszy. Włożył maszynopis do koperty, do teczki, zamknął teczkę. Nie czuł satysfakcji, nie czuł takiej satysfakcji, jakiej się spodziewał. Teraz to także przestało być najważniejsze.

Myślał: Dlaczego mnie to tak niepokoi? Nie powinienem się tak denerwować, myśleć nieustannie czy ona... Analizując spokojnie ten zwykły zbieg okoliczności, w którym zaangażowałem się nieproporcjonalnie do... Ale w takim razie dlaczego się zaangażowałem? Muszą istnieć pewne motywy moich uczuć jeżeli rozważałem... rozważam nawet możliwość przedłużenia... nie jestem pewien. Obsesja analizowania wszystkiego. Nie wiem przecież jak ona... Spojrzał na zegarek. Piętnaście po pierwszej. Czuł wrastającą niepokój. O pierwszej trzydzieści umówił się z nią w kafece przy nowym Szpitalu Dziecinnym, w głównym budynku. Spojrzał raz jeszcze na laboratorium: długie stoły pod ścianą i pod oknami, dwa biurka pośrodku. Przy wejściu, we wnęce: biurko sekretarki i drzwi do gabinetu profesora. Ta praca to jednak jest swojego rodzaju wyczyn: skróciłem badania analityczne z 18-tu godzin do 6-ciu.

Profesor nie zaprosił go na pożegnalną *party*. Powiedział: *Good work, very good work doctor Ketler, my congratulation*. Przez krótką chwilę doktor poczuł się dumny: dobrze ich reprezentowałem. Kogo? Nie zawiodłem ich. Kogo? Karola Piłata? Uśmiechnął się. Reprezentuje się samego siebie, ale Piłat przejmie to natychmiast jako własną zasługę. Patrzył na profesora uśmiechnięty zagadkowo, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale nie mógł. Chciał powiedzieć: ty także będziesz to uważał za swoje osiągnięcie, zapiszesz na swój kredyt. Profesor zrozumiał go inaczej: *I hope to see you again*. Ketler skinął głową: Naturalnie. Zobaczymy się. Krótkie, skoncentrowane spojrzenie profesora, jakby przyłożył oko do mikroskopu: *I am sure*. Nie przedłużał spojrzenia, nie pytał, był zajęty: wykłady, konferencje, wyjazdy. Natychmiast zapomniał. Powiedział uprzejmie, ale już nieobecny, już odpływający, myślami na wykładzie, konferencji: Niech pan odpoczywa, należy się panu urlop. Boston? Bardzo ciekawe

ośrodki, warto by jeszcze Stanford... *and if there is anything I can do... I can help you with?* Poklepał go po ramieniu. Piętnaście po pierwszej. Ostatnie spojrzenie na laboratorium: bogactwo odczynników, szafowanie materiałem. Wzruszył ramionami: Ameryka! Odwrócił się, wyszedł. Ulica obległa go jak mrowisko. Południowy żar kłuł w oczy, mimo to chłód wewnętrzny. Włożył okulary słoneczne. Otrząsnął się. *Population explosion!* Niedługo nie będzie miejsca, ażeby oddychać. Skąd tyle tych nóg, rąk, drgających w pośpiechu pośladek, rozdziawionych ust. Połowa z nich nie myśli. Wegetuje. I ja z nimi na tej samej ulicy spopularyzowany, zmieszany mimo mojej uproszczonej, skróconej metody uzyskiwania odczynu Nelsona-Mayera. I ja z nimi mimo mojej *good work*, zdolności do *research* i analitycznego myślenia bo teraz tylko ona i wszystko we mnie uproszczone i jednokierunkowe tylko czy ona... Szedł nieuważnie, nie patrząc, pochłonięty tym najważniejszym przed którym się bronił, a które już go opanowało. Myślał: męczę się. Ale brama głównego budynku tuż, i korytarz szpitalny i kafeteria i ona tam przy stoliku czekająca już może? Cóż wobec tego zbliżania się uproszczona metoda uzyskiwania odczynu? Ile lat szedłem do niej pomiędzy łokiem obcych nóg i popychających łokci, ale czy ona...? Potknął się, zderzył z kimś. Z kim? Mruknął: *sorry*, chciał odejść. Od portu zawyła syrena.

— To pan doktor Ketler, prawda? Czy pan sobie mnie...?

Zatrzymał się. Ona! Ona tu teraz? Pozostawiona na śniegu w pierwszy dzień tego roku, wyskoczyła w upale na chodniku przeżącym się, drgającym i gdyby nie jej wysoki głos, który go wtedy podrażnił, nie rozpoznałby jej. Powiedział:

Przypominam sobie, naturalnie, pani doktor Janiak. Rączki całuję. Myślał: niech ona się tylko do mnie nie przyczepi, nie teraz, będę musiał stanowczo...

— Jadę na wycieczkę do Niagara Falls — powiedziała.

— A... to bardzo...

— Ja też tak myślę. Czy pan tam był, czy pan może...?

— Nie, nie...

— Mnie się zdaje, że to może być bardzo ciekawa wycieczka.

Wie pan, być w Ameryce i nie zobaczyć Niagary...

— Bardzo panią...

— Pan się gdzieś...

Tak. Bardzo panią doktor przepraszam, bardzo, śpieszę się...

Sklonił się. Odszedł, uciekł. Odwrócił się nieznacznie: mrowisko pochłonięło ją, jeszcze tylko czubek włosów... ona inaczej wyglądała, ach co tam, co ja się będę zastanawiał... jeszcze niedokończone zdanie: pan się gdzieś... Co ona chciała powiedzieć?

A co to mnie obchodzi? Ale lepiej teraz skrócić w boczną ulicę i drugim wejściem. Nie trzeba stwarzać pozorów, za wcześnie. Głupstwa, przewrażliwienie i tak się z nią już nigdy... Wszedł bocznymi drzwiami do szpitala. Korytarz, podziemny tunel, wykaflowany, dusznawy, ślisko-chłodny, elektryczne światło, szuranie nóg, półgłose rozmowy. Jeszcze ulica, a już szpital, a nad tym baldachim błoniasty, przekrwiony, oddziałów, sal operacyjnych, kwaśny, cuchnący, zaropiał, wydezefekowany, wystarylizowany plaster gorzkiego miodu i bzykliwe pszczoły: pielęgniarki i lekarze wzywają się megafonami. Przeszedł obok oddziału dzieciennego, nowodobudowany, mozaiki na ścianach, bardzo błydy chłopak wyciągnął przed siebie patykowane nogi, siedzi na foteliku. Czeka. Doktor minął go. Już tylko kilka kroków. Stał przed obrotowymi drzwiami kafeterii. W Perceval Norris, który rość, unowocześniał się i przeobrażał, jak wielka gąsienica coraz to zrzucająca nową powłokę, która w pośpiechu zmian nie może przeobrazić się w motyla — nie zawsze można było wszystkiemu się przyjrzeć i wszystkiego od razu doświadczyć. Chociaż nowa kafeteria otwarta została razem ze Szpitalem Dziecinnym i już kilka tygodni temu, doktor Ketler wszedł do niej po raz pierwszy.

Była to duża hala, większa niż *luncheonette* w podziemiach szpitala, przeznaczona dla lekarzy i pielęgniarek, w której dotychczas spotykał się z Hanką. Oddzielona od korytarza szklaną ścianą obrośniętą od dołu sztucznymi liśćmi oleandrów, *ivy* i *sneak plants* wydawała się wielkim akwariem, a zanurzając się w jej jasnozielonkawym chłód ujęty w tęczową polewę mozaikowych ścian zapominało się natychmiast o dusznawym, podziemnym sklepieniu korytarza, jakby miejsce to było skrzydłem rozpinającym się poza szpital i nie sięgającym ulicy. Grube, czworoboczne kolumny biegły dwoma szeregami wzdłuż hali, pomarańczowe, zielone i żółte blaty stolików kwitły na posadzce z szarych marmurowych płyt. Długi kontuar ze szkła i stali bardziej był łodzią podwodną o atomowym napędzie niż bufetem przy którym nie liczni już, bo pora *lunch*'u spóźniona, odwiedzający i interesanci (kafeteria była głównie przeznaczona dla publiczności, a nie dla personelu szpitalnego) płynęli monotonną, zorganizowaną linią, z rękami przyklepionymi do brązowych, plastikowych tac, sięgając tylko sennie po talerzyki z kanapkami i kawałkami *pie* i zatrzymując się przed lśniącymi kominami maszyn z kawą i gorącą wodą do herbaty. Murzyn w białej czapce i faruchu pchał przed sobą piętrowy wózek zbierając puste, brudne naczynia ze stolików.

Doktor Ketler zauważył Hankę. Siedziała w rogu kafeterii, osłonięta do połowy kolumną i tylko widać było jej delikatny



profil z kosmykiem ciemnym włosów na czole, szczupłą, energiczną brodę i jedno oparte o stolik ramię w zielonym, wiosennym kostiumie. Poczł przyśpieszone bicie serca i nagłą falę gorąca, jakby upał ulicy teraz go dopiero dosięgnął. Nie zdziwiony, a upewniony tylko swoją reakcją, rejestrując ją spokojnie mimo wewnętrznego podniecenia, podszedł do Hanki. Podniosła głowę, oczy jej zwięzły się w uśmiechu w dwie ciemne, skośne linie, przegięła szyję przypatrując mu się z boku w sposób, który tak u niej lubił, a który był wdzięcznym opanowaniem własnych ruchów.

Nie widział jej od zeszłego tygodnia, a chociaż nie rozstawał się z jej twarzą coraz bardziej wyraźną, nieustannie mu towarzyszącą — zaróżowiona teraz, może opalona późnomajowym słońcem, bliska w zasięgu jego ręki wydała mu się na nowo odkryta.

— Ślicznie pani wygląda — powiedział.

— W tym nowym kostiumie?

— We wszystkich. — Westchnął. Położył teczkę przy krześle, usiadł i patrzył na nią nic nie mówiąc.

Oparła się ramieniem o stolik i przechyliła do niego.

— *You are upset* — powiedziała.

Wzruszył ramionami. Cieszył się: zauważyła.

— Dlaczego? — spytała.

Ton jej głosu, zapach jej zapamiętany, jak odcienie jej uśmiechu i intensywność koloru jej oczu — wzruszył go. Powiedział nie panując nad własnym głosem, świadomy, że głos mu zadrżał, załamał się:

— Za dwa tygodnie wyjeżdżam.

— Już?

— ... i nie mogę się z tym pogodzić, że...

— Ja pana rozumiem.

— Naprawdę?

Z paczki na stoliku wyjęła papierosa, podsunęła mu paczkę.

— Widzi pan, Ameryka wciąga, fascynuje i nawet po krótkim tu pobycie...

Podał jej zapalniczkę, powiedział:

— To nie to...

— Często nie wiadomo nawet co to jest. Co tu urzeka! Bo i cudowna, różnorodna przyroda i dobrobyt, rozmach, ta szerokość oddechu. Pamięta pan, pierwszego wieczora na Chestnut Avenue, spytałam, jak się panu podoba Ameryka i pan wtedy powiedział...

— Pamiętam, powiedziałem interesująca, ale to...

— No więc właśnie, na początku jest interesująca, a później staje się bliska, trudno się od niej oderwać, trudno się pogodzić,

ze... Ja rozumiem, bo ja sobie nie wyobrażam życia poza Ameryką, chociaż... moje życie... Ale nie wyobrażam sobie, żebym mogła zatrzymać się w Europie dłużej niż kilka tygodni. A jeszcze po tym tu oddechu, przestrzeni, po tej swobodzie mówienia co się chce, postępowania, jak mi się podoba, wracać tam...

— Dlaczego pani nie chce zrozumieć?

— Wydawało mi się, że...

— Ale co mnie może łączyć z tym miastem! Byłem w Nowym Jorku: krzyk, tłok, wieżowce, reklamy...

— Monumental City i Nowy Jork to jeszcze nie Ameryka!

— Nie znam nic więcej. Ślęczałem tu nad wypracowaniem uproszczonej metody Nelsona-Mayera, odłożyłem dość dolarów na samochód.

— Bo pan jeszcze nie zna prawdziwej Ameryki.

— Skończmy z Ameryką. Pani wie dobrze, że nie o to mi chodzi, pani wiedziała od początku...

— Co wiedziałam — szepnęła — czego ja nie chcę zrozumieć?

— Że mnie nie chodzi o ten kraj, ja do niego nie mam żadnego stosunku uczuciowego.

Odwróciła się, patrzyła na kontuar, na przesuwających się wzdłuż niego ludzi.

— Czy to się ma tak skończyć, Haneczko?

— To jest przedwyjazdowy sentymentalizm, doktorze. Nic się nie zaczęło.

— To nieprawda. Zaczęło się już pierwszego wieczora.

— Co?

— Dlaczego pani nie chce na mnie spojrzeć? Najpierw ten hymn pochwalny na cześć Ameryki, teraz odwraca pani głowę.

— Patrę.

— Ja wiem co pani myśli.

— Może. No i co mam zrobić?

— Spotkać się dziś ze mną.

— Spotkaliśmy się.

— Nie tu, nie na terenie szpitala.

— Uroczyste pożegnanie z szampanem?

— Może nie pożegnanie, może mógłbym przedłużyć wizę, gdybym się zdecydował to są pewne możliwości...

— Od czego to zależy?

— Od pani.

Roześmiała się: *You flattered me!*

— Dlaczego?

— Czuję się utożsamioną z Ameryką.

— Jak ja mam panią przekonać?

— Doktorze, tak z ręką na sercu, czy pan nigdy nie myślał o pozostaniu tutaj?

— Dobrze, z ręką na sercu, uczciwie. Rozwazałem, ale chyba jak każdy, który tu przyjeżdża. Były takie chwile, że myślałem o możliwości ewentualnego pozostania. Z jednej strony: łatwiejsze życie, dobrobyt, co byłoby dość łatwe w mojej profesji. Potrzeba im fachowców, znam ludzi, którzy mogliby mi... Ale z drugiej strony, czynniki takie jak — że użyję miejscowego narzecza: *roots, background*, mój wiek... Medytowałem, miałem różne proce wizje...

— Jakie?

— Samotność, niemożność wrośnięcia.

— A tam? Tam lepiej?

— Nie lepiej. Żrą się wszyscy o etaty.

— Tylko?

— Życie z dnia na dzień, ale znajome ścieżki, koledzy, może kariera naukowa. Doszedłem do wniosku, że nie tak bardzo znów zależy mi na tym łatwiejszym życiu tylko.

— Więc po co myśleć nawet o przedłużeniu wizy?

— Wydawało mi się, że gdyby...

— My się tak mało znamy, spotkaliśmy się przypadkiem.

— Czasem spotyka się ludzi, którzy przez samo swoje zektnięcie się z nami powodują, jakby wewnętrzne skryształowanie się.

— Jak? — szepnęła. — W jaki sposób?

Spoznała. Wydawało mu się, jakby słuchając go zaczęła jednocześnie myśleć o czymś innym i ta drugoplanowość myślenia przybliżyła ją do niego, jakby znaleźli się na dwóch przeciwległych brzegach rzeki w miejscu tak wąskim, że wystarczyłoby przechylić się tylko, aby podać sobie ręce.

— Moje życie — powiedział — wydawało mi się zawsze niewspółmierne do tego co jest we mnie. To nie było to, co chciałbym zrobić, ani czym chciałbym być. Te moje, na przykład, plany, systemy, zabiegi, aby oszczędzić na kupno samochodu! Czasem byłem, jak tu mówicie, *disgusted with myself*...

— *Shake hands!* — wyciągnęła do niego rękę. W delikatnym, smutnym uśmiechu jej twarz złagodniała, szepnęła: ja też... ja też... Jej rękę była chłodna, a uścisk słabszy niż zwykle, gdy mu czasem podawała rękę na pożegnanie.

— ... Dałem się samemu sobie w to wciągnąć. I nagle, pewnego dnia, pomyślałem: to nie ja! Stopniowo zaczęłem spostrzegać inadekwatość mojego postępowania w stosunku do tego czym naprawdę jestem. Wydaje mi się, że zacząłem się tak zastanawiać myśląc jednocześnie coraz intensywniej o tobie. Patrzyłem

na siebie twoimi oczami, tym twoim mądrym, spokojnym wzrokiem, który natychmiast wychwytyje śmieszności, słabostki i stara się doszukać prawdy...

— Nie — powiedziała — nie.

— Od pierwszej chwili kiedy cię zobaczyłem wydawało mi się, że cię nie poznałem, a odnalazłem. Myślałem: dlaczego nie spotkałem jej wcześniej?

— Nie, to nie ja... ja już się niczego nie chcę doszukiwać.

— Dlaczego?

— Bo mnie się zdaje, że we mnie już nic nie ma.

— To są nastroje.

— Może.

— Na pewno.

— *If you say so...* Jakie ja mam do ciebie zaufanie. Zaczęłam nawet mówić: ty. Pamiętam jak mi pomogłeś wtedy, kiedy taka siedziałam zrozpaczona po tej nieudanej operacji.

— Pamiętam.

— I potem odjechałam. *Abruptly*. Moje życie jest także niewspółmierne do tego co było kiedyś, co mogłoby być we mnie.

— Ale dziś przyjedziesz?

— Chciałabym. Bardzo bym chciała. Muszę być gdzieś jeszcze dziś po południu.

— Wieczorem, wszystko jedno o jakiej porze. Mówili mi o wspaniałej restauracji pod miastem *Plantation Inn*.

— Wiem.

— O której?

— Zatelefonuję.

— Na pewno?

— Zawsze dotrzymuję słowa. Jedna rzecz tylko, jedna prośba...

— Naturalnie.

— Nie telefonuj do mnie do domu. Nigdy, pod żadnym pozorem.

— Przyrzekam.

Autobus zatrzymał się na brzegu *highway*.

— *On your right* — powiedział kierowca.

— *Thank you* — powiedział doktor Ketler. Był jedynym pasażerem, który tu wysiadł. Stał na skraju szosy i trawnika. Nie było żadnej ścieżki. Spojrzał na prawo i w górę. W przedwieczornej mgle, na tle wysokich drzew, na wzgórzu opiętym gładką tkaniną krótko strzyżonego trawnika, w ramie czerwonych azalii, obwieszony sznurem latarni z giętego żelaza o smukłych głowicach, jak prześwietlone słońcem ciężkie winogrona,

stał biały motel. Pośrodku, na szczycie wzgórza podparty sześcioma kolumnami — pałacyk o długich oknach i drzwiach, zbudowany w stylu południowych *mansions*, jak domy zamożnych plantatorów Virginii, albo Georgii. Z trzech stron portyku szerokie, płaskie schody prowadziły na asfaltowy dziedziniec. Od głównego budynku, jak dwa jego wyciągnięte ramiona, albo krążanki rozległego pałacu biegly dwa skrzydła motelu.

— Bajka — westchnął. Stał oczarowany nie zwracając uwagi na ostrzegawcze jak gdyby, sygnały samochodów. Myślał: za pół godziny. Czuł dotknięcie jej palców, przesunął ręką wzdłuż ramienia, aż do karku, odnajdywał wypukłość policzków i kształt małego ucha. Drżał, oszałamiało go własne podniecenie, patrzył na kołysane wiatrem światła motelu, białą rozłożystość budynków, widział zarys jej piersi i bioder, zdejmował zielony, wiosenny kostium, a pod jego rękami napięte jej mięśnie rozluźniały się. To znów widział jej ciepły, smutny uśmiech i niespodziewaną wilgotność oczu, gdy się z nim żegnała i wtedy ogarniało go rozczulenie i pragnienie, aby ją objąć, odgrodzić od wszystkiego, uspokoić. Wiedział już teraz, że natychmiast zacznie się starać o przedłużenie wizy.

Dziedziniec motelu łączył się z *highway*'em asfaltową szosą, obiegającą go półkolem z wyraźnymi znakami „IN” i „OUT” na przeciwnych krańcach. Doktor zorientował się nagle, że stoi na trawniku, ale tuż przy znaku „OUT” i że coraz to trąbią na niego wyjeżdżające z motelu samochody. Rozejrzał się raz jeszcze za drogą dla pieszych, ale tylko trawnik i szosa. Zdecydował się iść środkiem trawnika, ale zaraz tego pożałował, bo chociaż wzgórze wydawało się łagodne, a budynki bliskie, była to jednak milowa wspinaczka po miejscami bardzo śliskiej trawie. Przeklął kierowcę autobusu, że nie podwiózł go bliżej, siebie, że tego nie zażądał i że nie poszedł skrajem szosy, która była mniej stroma i nie śliska. Zasapany, bo mimo wieczoru i wiatru powietrze było duszne i jakby przedburzowe, dotarł do pałacyku, którego widok tak go oczarował. Była to restauracja motelowa *Plantation Inn*.

Wszedł. Wnętrze miękkie, udywanione, uzłoczone, ciemnawe, sztuczne kwiaty kwitły zielono i szaleńczo, jak nad brzegiem Zatoki Meksykańskiej. Było chłodno, przyjemnym, czystym chłodem dobrego *air condition*. Przez uchylone drzwi na prawo: smuga czerwonej ciemności, zapach steaków i rytmiczny beat jazzu.

Doktor spojrział na zegarek: za piętnaście dziewiąta. Zaczekać tu? Pod oknem na którym faldzista, szczelna stora: fotele miękkie, wygodne, kanapa. Na lewo: kontuar portierni elegancki, nowoczesny i za nim człowiek młody i nienagannie ubrany: koszula biała, krawat ciemny garnitur. To będzie bardzo droga restaura-

cja. No to co? — skarcił sam siebie. Jestem na to przygotowany. Ile może kosztować? Dwadzieścia? No to co? Nie będzie kosztowało więcej, jak dwadzieścia, Co ja teraz o tym! Będzie i koniec. Może zaczekać przed motelem? Nie, umówiliśmy się w hallu. Powiniennem zarezerwować stolik. A może ona już tu jest? Przyjechała? Dziś po południu była wcześniej. Podszedł do portierni.

— *Sir?* — uśmiechnął się młody człowiek, miał wypomadowane włosy, wyglądał na fordansera.

— Czy nikt nie pytał o mnie?

— *Your name, sir?*

— Doktor Ketler.

— *No sir.*

Doktor Ketler przeszedł się po hallu, przyjrzał lustrum, oleodrukowi, fotografii zespołu jazzowego. Zawrócił.

— Chciałbym zamówić stolik.

— W barze?

— Nie, w restauracji, przecież jest tu...

— *Yes sir. For tomorrow?*

— Nie. Na dziś wieczór. Teraz. Stolik na dwie osoby. — Odwrócił się, usłyszał kroki za sobą. Nie, to nie była Hanka. Młoda, tęga dziewczyna w bardzo opiętej, czarnej sukni, jej włosy spadały jasną grzywą na czoło.

— *I am sorry, sir we have the wedding reception to night.* Ale w barze powinien być wolny stolik.

— W barze?

— Ta sama kuchnia. Mamy doskonałą kuchnię. *I am terribly sorry, sir.* — Wskazał uchylone drzwi na prawo. Dziewczyna sunęła tam już, przeslizgiwała się przez drzwi, za nią kwadratowe bary i czaszka łysawa, okrągła z dwoma fałdami tłuszczu na karku i odwołkiem tanecznie frywolnym, ale już nieco sflaczałym, wypchanym.

Ketler rozglądnął się bezradnie. Ech, cholera, bar! No i co teraz?

Dwie wskazówki zegara nad drzwiami za którymi pewnie ta *Plantation Inn*, dla której on tu specjalnie... i pewnie ta *wedding reception*. Przyjęcie ślubne tu? Wskazówki ustawiły się pod kątem prostym: dziewiąta. Drzwi restauracji prysnęły, a przez nie brzęczenie, śmiechy, muzyka i rozbawione, rozświegotane, ubłyszczone kolczykami weselnice już starsze, Matki? Babki? We trzy, trzęsąc pupami w długich sukniach, truchtem dragonów pobiegły korytarzem na pudrowanie nosa i siusiu.

A, cholera, że też musieli dziś wieczór właśnie ten ślub!

Trzeba było wybrać raczej coś w mieście. Tak, ale tu dalej i swobodniej i... motel. Nie, nic podobnego... ale jednak... mo-

tel.. do głowy mi... owszem tak, tak, czy ja nie jestem normalnym człowiekiem i gdyby ona... wiedziała przecież, powiedziałem *Plantation Inn*, powiedziała: Wiem. Co było w tym „wiem”? Zgoda? Możliwość? Nie! Nigdy bym tego nie chciał upraszczać, upłacać, to jest to czego w sobie nienawidzę, zresztą to byłyby sumy! Sumy! Nie, pieniądze nie mają znaczenia. O-ho-ho! Nie mają dziś znaczenia! Nic nie ma znaczenia... tylko dlatego ona jeszcze nie przyjeżdża. Doktor podszedł do drzwi baru, wsunął przez nie głowę ostrożnie, spojrzął: dym, ciemność czerwona, intymna, zapach steaków i alkoholu, perfum, z rogu brzęk gitary jęśliwy, nawojujący. Wszedł. No a dlaczego nie bar? Tu może być nawet zupełnie... zupełnie... Zobaczył jej zwężone w uśmiechu oczy: Do baru? No... no... no! Chciałbym odczuć na własnej skórze atmosferę amerykańskiego baru. Chciałś powiedzieć: wytwornego baru. Bo gdybyś chciał poznać prawdziwy amerykański bar, trzeba by w dzielnicę portową Monumental... Doktor oswajał się z ciemnością. Bar wytworny, wytrawny, wybity boazerią, salka długa, pośrodku kontuar okrągły, w tym pierścieniu barmani w czerwonych fraczkach galopują diabelsko a precyzyjnie, dolewają i mieszają, butle, butelki, buteleczki, szklanki wysokie i pękate, kieliszki. Łód. Pod ścianami kanapki kryte skórą, stoliki o białych obrusach, świece małe, przyciemniające raczej, ciszej, niewidocznie, przytulnie. Ale bar! Tam tłok i wrzawa i brzęczenie, pochylanie się, przechylenie, wylewność rozklejająca i obejmowanie, cmokanie i gładzenie, kolano przy kolanie, policzek na ramieniu. Ciasnota przyzwalająca i leniwa, odwłok frywolny i łyśawy usiadł na wprost dziewczyny w opiętej sukni, przy sobie tuż, zetknięci kolanami ujeżdżają sennie wysokie, barowe stołki, wyciągnęła rękę z czułością ckliwą i ostentacyjną pogładziła go po obwisłym policzku, cmoknęła, on ją cmoknął w policzek koło ucha. Z kąta, z podium orkiestry głos zawył przez megafon, rozdarł się:

*Misteeeeer... moonlight...  
Come again, please...*

Mimo atmosfery przytulonej, przyzwalającej, swobodnej, doktor poczuł się nieswojo, wydawało mu się, że każdy na niego patrzy, kilkadziesiąt par oczu niby to odwróconych, czym innym zaabsorbowanych przylepiło się do niego. Uśmiechnął się niezręcznie, poprawił krawat, zapalił papierosa. Miał ochotę uciec. Ale Hanka! Hanka to wszystko zmieni. A może ona już tam czeka? Na pewno! A więc stolik, zaraz, gdzie tu jest wolny stolik?

— *May I help you, sir?*

To była *hostess*, wysoka i ciemna w fartuszkach czerwonym, złotym, wielki stóg białych włosów i rzęsy sztuczne. Rzęsy były o policzki w takt jazzu.

— *Misteeeer... moonlight...*

*Here I am on my knees...*

— Stolik na dwie osoby.

— *You are lucky!* Jest jeszcze jeden stolik wolny... tam!  
Proszę za mną.

— Ale ja jeszcze...

— Pan jeszcze na kogoś czeka?

— *Lady.*

— Bardzo proszę, może pan zaczekać przy stoliku.

Stolik był w rogu, blisko orkiestry. Dobry stolik, Hanka siędzie przy nim na kanapce. Kelnerka podała mu menu.

— *Would you care for a drink, sir?*

— Za chwilę — powiedział — muszę jeszcze zobaczyć...

— *Very well, sir.*

Zostawił paczkę papierosów na stoliku, wstał, przycisnął się do wyjścia. W *lobby* zza kontuaru młody człowiek o twarzy for-dansera uśmiechnął się do niego.

— Czy znalazł pan stolik? — powiedział.

Doktor kiwnął głową, rozejrzył się. Co się stało? Co się mogło stać?

— Czy nie było do mnie telefonu? — spytał.

— *No sir.*

— Gdyby był telefon, albo gdyby ktoś pytał o mnie, *a lady*, będę w barze, stolik tuż przy orkiestrze. Moje nazwisko...

— *You are doctor Ketler, sir?*

— Pan zapamiętał?

— To nasz zawód.

Doktor spojrzął na zegarek na ścianie, potem na zegarek na ręku, podszedł do drzwi na zewnątrz, otworzył je. Było już ciemno, porywisty wiatr szumiał w drzewach, na dole po *highway*'u ciągnęły sznury samochodowych reflektorów. Doktor zamknął drzwi, westchnął.

— Niech się pan nie denerwuje — powiedział portier — *lady* może się spóźnić, *traffic* dziś wieczór jest bardzo ciężki. *Memorial Day Week-End.*

Pomyślał: Naturalnie, dlaczego ja się niecierpliwie? Hanka przecież kilka razy spóźniła się na spotkania. I zawsze przyszła. Zawsze. Wrócił do swego stolika w barze. Przywołał kelnerkę:

— Martini.

— *How would you like it, sir?*

— *Very dry.*



Usiadł wygodniej, zapalił papierosa, starał się nie patrzeć na zegarek. Wiedział, Hanka przyjedzie i wiedział, że będzie czekał tu na nią chociażby do północy. Kelnerka przyniosła mu *drink'a*. Był bardzo zimny i mocny. Doktor wypił szybko i zamówił jeszcze jedno Martini. Spojrzał przychylniej na orkiestrę: było ich pięciu szczupłych młodych chłopców, włosy na karku długie, gitary, bęben, mikrofon, mruczando teraz ciche, kołyszące, przeciągłe, pochyleni ku sobie, wychyleni ku sali, spowiadają się tamtym przy barze, brwi uniesione w zdziwieniu:

— *Love... love... love...*

Skąd ja to znam? Z radia? Z Polski jeszcze?

Doktor poczuł się lepiej w atmosferze znajomej melodii, przeniesionej tu... skąd? Przymknął oczy, zamyślił się. *Love?*

Kochał się raz jeden tylko, dawno i krótko, przed wojną w dziewczynie, której nigdy później nie odnalazł. Może gdyby odnalazł, nie byłoby to już to samo. Potem nigdy się już nie zaangażował całkowicie, nawet w początkach swego małżeństwa. Znajomych dobierał ostrożnie i tylko wtedy i takich, którzy byli mu potrzebni. Przyjaciół nie miał. Może tylko Karol Piłat, ale była to przyjaźń uwarunkowana wspólnym zawodem i specjalizacją i ograniczała się do rozmów. Jeśli kiedykolwiek rozmowa potoczyła się aż do progu zwierzeń przerywali ją kpinami, albo przekleństwem. Uważał się za snoba, ocenę własnych uczuć, które zresztą oceniał i analizował rzadko — odbywał w samotności. Miał bardzo wysokie mniemanie o samym sobie. Znajomi i koledzy uważali go za pyszałka, a on, chociaż wiedział o tym, nie prostował nigdy, ani nie zaprzeczał. Załamał się raz tylko i na krótko po stracie dziecka, trzyletni wtedy chłopiec wypadł z balkonu i zabił się na miejscu. Jeśli doktor Ketler miał jakieś tkliwe uczucia, umarły one wraz z jego matką i rozstrzaskały się w tragicznym upadku dziecka. Były chwile wtedy w jego życiu, że bliski był myśli o samobójstwie. Nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Małżeństwo jego wtedy właściwie skończyło się. Zostało tylko wspólne mieszkanie.

Dlaczego więc Hanka? — myślał. — Dlaczego jej zwierzył się: moje życie wydawało mi się zawsze niewspółmierne do tego co jest we mnie.

Stosunek jego do Hanki zaskoczył go. Rósł w nim i mimo niego. Było to uczucie, które już w pierwszym dniu dotknęło go bardzo głęboko i które początkowo sobie lekceważył. Starał się to traktować jako przypadek, zbieg okoliczności. Spotkał ją w okresie gdy czuł się samotny i wygłodzony seksualnie. Była przystojna i jej *sex-appeal* odpowiadał mu. Imponowała mu jej spokojna pewność siebie, bawił jej cynizm, intrygowała jej inteli-

gencja. Myślał, że po raz pierwszy chyba spotkał równego sobie partnera. Ale było w niej także coś z owej dziewczyny, w której jako młody chłopak kochał się przed wojną. I wydawało mu się, jakby Hanka nie poddana doświadczeniom lat powojennych w kraju, zachowała swój pierwszy, a podobny do tamtej dziewczyny urok, którego sama nie była świadoma, a który on jedynie w niej odkrył. Było to odnalezienie rzeczy nieuchwytniej z której dawno już zrezygnował uważając za nie istniejącą, a którą wyczuwając bardziej niż odkrywając u Hanki, zachwyił się i wzruszył. Było to podobne do melodii zapamiętanej z wczesnej młodości, która drzemie w nas pod warstwami melodii i tonów nowych, nakładanych przez życie i tylko czasem, jak zaskakujący rezonans zrywa się i przebija i wydostaje ponad inne niespodziewana w swej gwałtowności, we wszystko ogarniającej, wszystko pokonywującej sile pierwszego wrażenia.

Może dlatego zwierzył jej się i zaufał z entuzjazmem i rozrzewnieniem odrzucając doświadczenie z beztruską niekonsekwencją, jakby to przez nią raz jeszcze poczuł się młody. To, że Hanka miała męża, dzieci, że należała do zorganizowanej jednostki rodzinnej, którą on, wyłączając ją dla siebie, mógł naruszyć — nie obchodziło go. Po dwóch tylko spotkaniach z Witoldem: raz w jego domu i raz na przyjęciu noworocznym u Kruków, wyrobił sobie o nim zdecydowaną opinię: był słaby, tak słaby i blade, jakby nie istniał. Nie mógł być nawet zazdrosny o człowieka, który, uważał, nie był nawet w pełni człowiekiem, a tylko papierową figurą przyklejoną obok imienia Hanki. Widział zresztą: mówiła o nim rzadko, ale z lekceważeniem i niechęcią. „Ja już chyba dłużej nie wytrzymam, ucieknę”. Mówiła także: Witold! i wzruszała ramionami, jakby się chciała od niego otrząsnąć.

Doktor odstawił pusty kieliszek i zdecydował się spojrzeć na zegarek. Poderwał się zdenerwowany: było wpół do jedenastej. W przejściu mignął mu pytający wzrok kelnerki, powiedział:

— Zaraz wracam.

Natknął się na grupę muzykantów, orkiestra wychodziła z baru na przerwę, przeciągali się i palili papierosy. Rozpoznał twarz śpiewaka, zrzucona z podium wydała mu się płaska i pospolita. W hallu portier uśmiechnął się do niego przeproszająco:

— *No message, sir.*

— *I will be right back* — powiedział i wyszedł na dziedzińiec motelowy. Noc była chłodnawa, ale jeszcze gesta, wilgotna chociaż nieco jaśniejsza od kilku słabych gwiazd i bladego, przepędzanego przez chmury księżyca. Na dole ruch samochodowy, jakby złagodniał, szczerline nawleczony naszyjnik rozluźnił się chociaż leżał tam jeszcze podwójny i błyszczący. Po raz pierwszy

w swoim życiu Adam Ketler poczuł się prawdziwie i beznadziejnie bezradny. Był sam, w nocy, w miejscu zupełnie mu obcym, oddzielony od niemniej obcego mu miasta odległością kilkunastu mil, a może i więcej, i pozbawiony środków transportu gdyż autobus, jak wiedział z rozkładu jazdy, zatrzymywał się w powrotnej drodze do Monumental City dopiero wczesnym ranem. Nie wiedział czy czekać na Hanke, czy też wracać? Jak? Prawda, że już raz, w pierwszy dzień tego roku, znalazł się w nieco podobnej sytuacji. Miał jednak tuż poza sobą dom Kruków i wtedy bardziej cierpiała jego urażona ambicja. Teraz: niepokój i niemożność zdecydowania się i znalezienia wyjścia z sytuacji, którą sam stworzył, sam się w to zaplątał. A przecież w czasie wojny i Powstania, po którym odziedziczył rwący (teraz też) na niepogodę ból w poszarpanym *Gluteus Maximus*, momenty trudne, najeżone komplikacjami, wydawałoby się nie do pokonania, pociągały go raczej niż odstraszały. Jeśli wahał się wtedy, była to raczej przezorność, poczucie odpowiedzialności, aby nie narazić zależnych od siebie ludzi i powstrzymywanie samego siebie przed powzięciem zbyt szybkiej decyzji do której, wiedział, był skłonny. Nie cenił jednak zbyt własnego życia i śmiałyby się, gdyby ktoś poczytałby mu to jako odwagę, szafował nim z lekceważeniem przekonany, że nie istnieje ani niebezpieczeństwo, ani okoliczności z których właśnie dzięki temu lekceważeniu siebie i jednocześnie do siebie zaufaniu, nie umiałby wyjść obronną ręką.

W całym obecnym układzie najtrudniejszy był dla niego zorganizowany spokój otoczenia. Jego pozycja, gdyby zdecydował się z niej komuś zwierzyć, komu? portierowi? kelnerce?, śpiewakowi na estradzie (*love... love... love...*)? mogłaby być uznana najwyżej za śmieszna.

— *Is it something wrong with your car, sir?* — spytałby go człowiek z za kontuaru portierni.

— *Lady* nie przyszła? — uśmiechnęłaby się kelnerka. Pobieglaby zaraz do barmanów i chichotała im do ucha: Patrzcie no, na tego cudzoziemca! Czeka już od dwóch godzin na swoją *girl-friend*, nic nie jadł i wypił tylko dwa drinki!

— *Love... love... love...* — zawyłyby ironicznie śpiewak.

Obawa przed śmiesznością i niepokój. Co się stało? Co się mogło stać? Dlaczego? Wilgotne dotknięcie nocy na policzku, na rękach, obojętna czeluszka w dole, szum, jak rzeka. Skoczyć w to! Do cholery, dlaczego ja tu przyjechałem! Ale Hanka! Jak ją odszukać? Wydobyć? Z czego? Z tej rzeki *highway*'u? A może zakpiła ze mnie? Nie przyjedzie?

Nie! Nie mogłaby być tak przebiegła, wyrachowana, zimna.

Zatelefonuję. Przynależem, że nie zatelefonuję. Dlaczego nie chciała, ażeby telefonował? Czy tylko dyskrecja? Zatelefonuję, muszę zatelefonować, dowiedzieć się. Może zatrzymała ją coś w domu? Może ktoś chory? Ale wtedy ona zatelefonowałaby tu? Może nie mogła. A może jakiś wypadek? Chodził po dziedzińcu motelowym. Jeszcze wypatrywał. Jej samochód był biały, biały Chrysler. Minął go zielony Pontiac, ktoś przyjechał: dwoje gości do motelu. Na miłość boską, co się z nią stało? Gdzie ona teraz jest? A chociaż nie widział jej, nie mógł jej dotknąć, wydawało mu się, jakby była w nim. Nie obok niego. W nim. Starła mu się coś wytłumaczyć, jak gdyby on, obcy w tym kraju i bez żadnego do Ameryki, jak mówił, stosunku uczuciowego, nie mógł zrozumieć. Czuł także, że cokolwiek by się stało, ona, niewidzialna i niedotykalna, ale w jakiś sposób już połączona, zostanie w nim. Czasem spotykamy ludzi — słyszał swój głos — którzy przez samo swoje zetknięcie z nami powodują, jak gdyby wewnętrzne skryzalizowanie się. Czyżby do tego tylko była mu potrzebna? Czy dlatego tylko ją spotkał, zauważył, zaangażował się? Bzdury!

Wrócił w zdecydowanym krokiem do motelu. Myślał: Przynależem, ale to jest sytuacja wyjątkowa i... ja już sobie dam radę... dzwonię, ażeby się pożegnać, wyjeżdżam przecież.

— Gdzie tu jest telefon? — zapytał portiera. Przechylił jednocześnie głowę zapalając papierosa, nie chciał, aby tamten zauważył wyraz jego twarzy.

— *Is it anything wrong with your car, sir?*

— *No. I just want to telephone.*

— *Sure sir, the phone is on your right.*

— *Thank you.* Psiakrew, powinienem powiedzieć: *phone*, nie *telephone*, a wszystko mi jedno...

— *Sir...* — zatrzymał go partier — czy wraca pan jeszcze do baru, bo... kelnerka...

— Wiem, wracam, kelnerka może się nie obawiać...

— *I am sorry, sir.*

Szukała mnie, nie zapłaciłem za drinki. O-ho-ho! Obserwowali mnie! Przywlekliby mnie tu za kołnierz z powrotem, gdybym tylko zamierzał wsiąść do mojego samochodu, i *pay!* W tym kraju za wszystko natychmiast: płacić... płacić... *sir* by się skończył!

— Zaraz wracam, muszę tylko zatelefonować.

Wszedł do budki telefonicznej, była w korytarzu obok *Ladies* i *Men*.

Wrzucił 10 centów do automatu. Nakręcił numer. Odezwała się telefonistka.

— *What number are you calling?*

Doctor powiedział. Proszę wrzucić jeszcze dwadzieścia centów — powiedziała telefonistka — to jest *long distance call*. Wyjął dwadzieścia centów z kieszeni. Wrzucił do automatu, nakreślił numer.

— Hallo? — rozpoznał głos matki Hanki, Zofii Kołczanowej, jej krótkie nie amerykańskie: „ha-lo”.

— Dobry wieczór pani, rączki całuję, tu mówi Adam Keltler i szalenie przepraszam, że tak późno, ale...

— Ach to pan doktor! No jak miło! A myślałam, że to może Hania, bo przed chwilą dzwonił telefon, a my dopiero z dziewczynkami z kina i już nie zdążyłyśmy, pewnie długo dzwonił, bo jeszcze z ulicy słyszałam. A może to pan dzwonił?

— Nie. Ja właściwie chciałem się pożegnać, wyjeżdżam, a... pani Hanki nie ma?

— Dziś pan wyjeżdża?

— Jutro, ale chciałem, myślałem, że mógłbym kilka słów...

— No właśnie... Hania pojechała na konferencję do Atlantic City. Będzie dopiero jutro. Ma tam, panie doktorze, czytać jakiś *paper*, jak to po polsku? Dzwoniła z drogi i mówiła, że jeszcze przed jedenastą... dzwoniła przed samym naszym wyjściem do kina... zaraz... a Witolda jeszcze...

— Do Atlantic City?

— Tak. Na zjazd lekarzy. Hania tak się męczyła nad tym...

— Referatem.

— O właśnie... tak mi te słowa wylatują...

— Jest pani pewna (Nie powinienem, tego powiedzieć!), że do... a może jest jeszcze w Perceval Norris? I mógłbym tam zatelefonować, pożegnać się...

Kołczanowa milczała. Zakłopotana? Domyślała się? Nie! A jednak może mogła się czegoś domyślać. Po co ja? No już wiem. Wiem.

— Zaraz — powiedziała — zaraz... ja powinnam mieć jej telefon tam w hotelu... gdyby pan chciał do niej zadzwonić... to będzie *long distance*, bo pan teraz z miasta, prawda?

— Ach nie... nie... nie będę przeszkadzał, myślałem tylko, że gdyby tu...

— Hania się ucieszy...

— Nie, nie będę przeszkadzał. Myślałem tylko, gdyby tu... to mógłbym zatelefonować do szpitala, pożegnać się.

— No właśnie, właśnie, niestety... A to już jutro!

— Jutro z Monumental i jeszcze będę trochę objeżdżał. (Gdzie? Diabli wiedzą! No proszę, pojechała do Atlantic City, a ja tu...).

— Niech pan jedzie szczęśliwie, niech pan...  
— Dziękuję za wszystko...  
— No nie ma za co, bardzo mi, nam było...  
— Proszę panią Hanke, pana Witolda bardzo... (co ja się będą bawił w serdeczności!) uprzejmie pozdrowić i jeszcze raz...  
— Naturalnie. I niech pan, panie doktorze, niech pan... pozdrowi...

— Kogo?

— Polskę... — wyczuł łyzy w jej głosie.

— Jak najbardziej! Rączki całuję.

Mówiła coś jeszcze. Powiesił słuchawkę, rzucił słuchawkę, poprawił ją. Trzasnął drzwiami kabiny telefonicznej. Unikał wzroku portiera, z zapalonym papierosem wszedł do baru. Przecisnął się do swego stolika, kogoś popchnął, komuś nastąpił na nogę, słyszał syknięcie, głowy odwracały się za nim, podszedł do swego stolika. Zaraz kelnerka.

— Martini — powiedział.

— Za kilka minut zamykamy kuchnię — powiedziała — czy lady...?

— Nie. Miała kłopot z samochodem.

— Oooo... *car trouble* — kiwnęła głową niby to współczująco, rozumiejąco, ale z niedowierzaniem. — *Can I order something for you, sir?*

— *Steak.*

— *Which one?* — podała mu kartę.

Spojrzał na ceny, ceny steaków zatańczyły przed nim. Rozbój na równej drodze! A, do cholery, co ja będę sobie zawsze wszystkiego odmawiał! Wskazał palcem: ten!

— *Sirloin steak?*

— Tak. Myślał: cztery i pół dolara.

— *And how do you want it, sir?*

— *How do I...?*

— *Medium, rare, well done?*

— *With blood!*

— *Oh my, my Lord! You mean rare, sir?*

— *Rare!*

Idiotka! Cóż złego, że powiedziałem: *with blood?* Krwisty steak. *Rare!* Dlaczego *rare?* Spiewak jęczał, zawodził, przeginał się, wypinał, a stale sponad mikrofonu: na niego, na niego, do niego:

— *I'm a loser... I'm a loser...*

Nie myśleć o niczym. Skoncentrować się. Wyłączyć z tamtego. Skoncentrować chociażby na tym co ten tu na estradzie... Co on śpiewa? Atlantic City! A pomimo to, wiedząc, powiedziała:

przyjdę, zawsze dotrzymuję słowa! Kelnerka postawiła przed nim kieliszek.

— ... *and give me another drink!*

— *Yes sir.*

Wypił. To nie ulżyło. Jego wściekłość spotęgowała się jeszcze. No i mam moje doświadczenie amerykańskie! A nie mówili mi! Ale tak postąpić! Nie, nawet nie warto o tym myśleć!

— *Your drink, sir.*

— Dziękuję.

Zabrała pusty kieliszek, spojrzała na niego spod długich rzęs, uśmiechnęła się, podeszła do barmana. Ketler odwrócił się twarzą do podium orkiestry. Śpiewak przymrużył oczy, ulatywał w górę, przeżył się, napinał, ale nawet spod tego zmrużenia, ulatywania, prężenia jego wzrok tuż, współczująco-kpiący!

— *Of all the girls I have won or have lost*

*There is one girl I should never have crossed...*

Po co ja zamówiłem ten steak! Cztery i pół dolara! Może odwołać! A do diabła stale oszczędzać... oszczędzać i po co?

Teraz chór dołączył się do głosu *crooner*'a, ryczeli wszyscy bardzo wyraźnie:

— *I'm a loser... I'm a loser*

*And I'm not what I appear to be...*

Zakpiła ze mnie. O, stary, głupi idioto! *Loser? Loser...? Od lose? Przegrany?*

— *I'm a loser... I'm a loser...*

Dureń! Domyśla się. Śpiewa to specjalnie dla mnie.

— *She was a girl in a million, my friend*

*I should have known she would win in the end...*

Tęga blond dziewczyna drzemała, głowa oparta o ramię jego — wypchanego odwołokoluda. Jej noga tylko podrygiwała w takt jazzu, druga na kolanie łysawca. Rozmarzony podśpiewywał i całował ją w ucho.

— *I'm a loser... I'm a loser*

*And I'm not what I appear to be...*

Było wpół do dwunastej, gdy kelnerka przyniosła mu steak. Doktor Ketler nie jadł nic od południa, pomimo to steak nie smakował mu. Zjadł prędko i natychmiast zażądał rachunku. Zapłacił 6 dolarów za drinki i 4 i pół dolara za mięso co razem z *tax* wyniosło prawie dwanaście dolarów. Rozmienił dwadzieścia dolarów i patrzył na zielony wizerunek Waszyngtona z nienawiścią. Symbol tego kraju — mruczał — dolar! To wszystko co mnie nauczyli: jak się oszczędza peny i jak się rozmienia dolary. I skrócona metoda... no tego to mnie nie nauczyli, tego ja ich nauczyłem.

Podniósł się wściekły. Zostawił kelnerce dolara. Nawet nie skinęła głową. Wyszedł z baru, z motelu, nie obejrzał się na portiera. Na dworze mżyło. Podniósł kołnierz marynarki.

Adam Ketler szedł brzegiem *highway*'u w kierunku Monumental City. Przez pewien czas mógł posuwać się piaszczystym traktem wzdłuż asfaltowej drogi. W świetle mijających go reflektorów szosa była ciemno-stalowa i poprzerwana białymi liniami kierunkowymi, mgła wilgoci przylegała do niej, jak szklista polewa. Trakt, którym szedł doktor, zwięził się, urwał i Ketler uskakując przed nadjeżdżającymi samochodami, musiał wdrapywać się na krzaczasty i zalesiony wał. Szedł szybko, zadowolony z decyzji, która wydawała mu się odważna i nie amerykańska (ci Amerykanie zblazowani nie umieją chodzić!). Była to także decyzja przemyślana. Wiedział, że ruch fizyczny, którego teraz właśnie potrzebował i pragnął, podziała jak skuteczny środek wywołujący ogólne znieczulenie. Ból był dokuczliwy. Nie odczuł go w chwili szoku. Tam, przy telefonie, a nawet jeszcze przy stoliku w barze był jeszcze pod wpływem szoku, ale już wtedy, gdy kelnerka przyniosła mu steak, zaczął odczuwać stopniowo wzrastającą niewygodę, jakby całe jego ciało zostało precyzyjnie, a niewidocznie nakłute w tych właśnie miejscach gdzie system nerwowy był najbardziej uczulony. Odczuwał ten stan także, jakby zmiażdżenie wewnętrzne nie uszkodzające narządów, a jednak podnoszące ich tonus do takiego napięcia, że odczuwał je osobno jako mimowolne i irytujące skurcze. Doktor zdecydował, że jest to chwilowa depresja i *malaise* występująca zwykle po szoku i zastosował do siebie to, co czasem radził innym: gimnastykę, spokojny, długodystansowy marsz.

Mimo to, podczas marszu ogarniała go taka wściekłość, że kopał nogami przydrożne kamienie, chwasty, krzaki, jakby ta ziemia, rośliny były w tym samym stopniu co Hanka odpowiedzialne za jego dzisiejszy zawód. Przeklinał głośno, lżył samego siebie w bezsilnej furii na własną głupotę. Obciążał winą Hankę za swoją idiotyczną sytuację. Hankę i 'jej' Amerykę. Stała mu się tak wroga, nienawistna nawet, jak niedawno, bo zaledwie niecałe dwie godziny temu była mu bliska, pożądana i z nim wewnętrznie połączona. Starał się opanować, próbował analizować — bez skutku. Ulgę przynosił tylko miarowy marsz i podśpiewywane, zapamiętane z wojska piosenki. To go najbardziej uspakajało.

Spiewał: *Żołnierz drogą maszerował i*

*Więc pijmy wino szwoleżerowie...*

A przydrożne reklamy i znaki odpowiadały mu hałaśliwym, kolorowym chórem:

*Have a Pepsi*



*Be Prepared to Stop  
Reduce Speed*

Szedł już przeszło godzinę, zmęczył się. Deszcz mżył niechętnie i nieustępliwie, a wschodnio-południową stronę nieba, tam gdzie leżało Monumental przecięła długa, ukośna błyskawica. Silniejszy podmuch wiatru pochylił drzewa wzdłuż drogi i głęboki bas grzmotu wstrząsnął ziemią. Napis obok małego, betonowego tunelu wskazywał odległość:

Monumental City 14 miles.

Ketler postanowił nie ryzykować dalej marszu, zbliżała się burza, ale zatrzymać jeden z przejeżdżających samochodów i poprosić o podwiezienie do miasta. Stał więc na brzegu *highway*'u. Początkowo podnosił tylko rękę na wysokość twarzy i uśmiechał się, ale gdy to nie odnosiło żadnego skutku i samochody mijały go w wariackim tempie 70 mil, albo więcej na godzinę, zaczął rozpaczliwie sygnalizować: wychylał się ze swego wzgórka-brzegu nasypu, machał ręką, dwoma rękami, podskakiwał, wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i powiewał nią nad głową. Nic. Zeszedł bliżej, tu znów zaczął swoją szwedzką gimnastykę i powiewanie sztandarem chusteczki nad głową. Fordy, Mustangi, Chryslery, Pontiaki, nowe, poobijane, białe, czerwone, zielone i czarne mijały go z jednakową obojętnością. Pędziły tuż obok niego wielkie zasapane traki, i małe, zaczepne Volkswageny, jak szybkie szprotki wśród dostojnej ławicy ryb i wielorybów. Doktor zdecydował się podejść jeszcze bliżej, stanął na asfalcie. Odkoczył. Samochód omal go nie potracił, ale też się nie zatrzymał, tylko kilkakrotnie wrzaskliwe, wściekłe naciśnięcie sygnału, wychylona ręka, jakby groźca i już... przeokołował, mignął, tylko jeszcze w uszach rozdzierający, ogłuszający pisk trąboprzekleństwa.

Doktor wrócił na niewygodne zбочe nasypu, bolały go nogi, ubranie zaczęło nasiąkać deszczem. Co to za ludzie! — zgrzytał zębami. — Obojętność, wyrachowanie, materializm. Mógłby trupem paść człowiek na drodze i nikt by się nie zatrzymał. U nas... w Polsce...

— *Crabs-live-steamed*

*Hamburgers-Jo-Jo-Hot dogs* —

odpowiadały mu zawołane deszczem reklamy. Ogromny, czerwony krab z przydrożnego wzniesionego na drewnianych palach plakatu rzucał się szarpany wiatrem i jakby porwany zbliżającą się burzą morską leciał wprost na doktora. I nagle krab ten, przydrożne drzewa, pół nieba, odcinek szosy stanęły w osłepiającym, zielonym blasku błyskawicy. Grzmot runął tak potężnie, jakby zaczynało się trzęsienie ziemi. W tym blasku Ketler zdążył zauważyć i przeczytać szybko trzy bliskie siebie napisy:

*Eating Post*  
*Jesus save*  
*Have a Pepsi.*

Zaczął się rozpaczliwie oglądać za jakimś miejscem w którym mógłby się schronić przed burzą. Tu musi być gdzieś — kalkulował gorączkowo — jakiś zajazd, *Eating Post? Hamburger Stand?* Minał wejście do *Drive-Inn Movie*. Biały i pusty ekran rozświetlił się nowym szaleństwem błyskawicy, gdzieś trzasnęło drzewo, zadudniła ziemia głucho, jakby ostatnie ostrzeżenie. Odetchnął zobaczył liche, drewniane zabudowania, w jednym z nich paliło się światło, na *parking lot* stała ciężarówka i dwa potężne traki.

Przebiegł obok parterowego domku z czerwoną, wyciętą z kartonu dłońią w oknie wystawowym. *Madam Dora Palm Reading*. Deszcz walił ostrymi strugami wody. To nie deszcz, ulewa nawalnica, potop. Woda spływała mu po twarzy i za kołnierz. Szarpnął drewnianymi drzwiami budy w której oknach paliło się światło. *Maggie's Truck Stop*. Wpadł do środka, nie mógł złapać tchu. Przy kontuarze siedziało dwóch białych dryblasów i dwóch Murzynów. Jeden biały pił piwo wprost z butelki, drugi kurzył cygaro. Murzyni jedli ociekające sosem sandwiche.

— *You look kind of wet, mister* — powiedział Murzyn, przechylił głowę i skrzywił się, był to przyjazny i trochę pytający uśmiech, jakby mówił: No a gdzie jest twój samochód!

Ketler wyjął chusteczkę, która niedawno była flagą i zwilgotniała już od deszczu i zaczął przecierać twarz i oczy. Izba była niska, słabo oświetlona, pod ścianą maszyna do papierosów i dwie *pinball machines*, kontuar a za nim pewnie drzwi do kuchni. Po otwartej przestrzeni odczuwało się tu zaduch i dym. Ale było sucho i bezpiecznie i pachniało także kawą, aromatycznie i zapraszająco i doktor Ketler, który poczuł nieprzyjemny początek dreszczy, zapragnął, jak nigdy chyba dotąd filiżanki gorącej, gorzkiej kawy.

— *May I have coffee, please* — powiedział.

Człowiek za kontuarem był w białym fartuchu, czerwony na twarzy i wyglądał na boksera. Podał Ketlerowi filiżankę kawy.

— *You are soaked, man* — powiedział.

— Okropna burza — powiedział doktor, spojrzał na swoje ubranie, było zrujnowane.

Biały dryblas, który wychylił już butelkę piwa zwrócił się do tego kurzącego cygaro, wskazał wzrokiem na Ketlera:

— *Must be quite a storm.*

Doktor pił kawę i palił papierosa, papieros był wilgotny, źle ciągnął i gasł. Któryś z nich — myślał Ketler — na pewno prze-

jeżdża przez Monumental. Zastanawiał się, jak ich przekonać, aby go podwieźli. Powiedział do człowieka za kontuarem:

— Jestem lekarzem z Perceval Norris, z Monumental, popsuł mi się w drodze samochód, a muszę być jak najszybciej w szpitalu, czy ktoś tu nie mógłby mnie podwieźć?

Bokser spojrział na dwóch białych dryblasów. Opuścili głowy. Spojrzął teraz na Murzyna który wycierał chlebem resztkę sosu z talerza.

— *This here'a a doc from Perceval Norris...*

Ketler wstał i podszedł do Murzyna, był bardzo czarny, wydymał grubą dolną wargę, myślał.

— Zapłacę — powiedział Ketler — muszę być w szpitalu.

Murzyn spojrział na niego, jego oczy były ogromne, ciemne i wydawały się, jak początek dalekiej, smutnej drogi. Po raz pierwszy w swoim życiu Ketler spojrzął tak blisko i wprost w oczy Murzyna. Ale to Murzyn oceniał go. Ketler wzdrygnął się. Wzrok nie wchodził w niego, nie penetrował krótko w poszukiwaniu decyzji: wziąć, nie wziąć?, ale, jak gdyby się sączył. Było to spojrzenie niepełne w swoim wyrazie, jak niepełne, pół-przymknięte były oczy patrzącego: półśpiew i półtaniec, pół-umiech i ciężka, senna, tajemnicza melancholia.

— *I'll take you, doc* — powiedział.

Ketler odwrócił głowę i podziękował. Podszedł do maszyny i kupił sobie nową, suchą paczkę papierosów.

Szarzało. Ogromna, miedziana tarcza słońca wychyliła się znad zatoki. Miasto spało, tylko samochody mleczarzy od czasu do czasu przesuwały się pustą jezdnią. Adam Ketler zmęczonym, ciężkim krokiem wszedł do hallu domu dla studentów zagranicznych na wprost szpitala Perceval Norris w Monumental City. Nacisnął guzik windy, czekał oparty o ścianę, aż nadjedzie, wszedł, nacisnął wewnętrzny guzik pod numerem swego piętra i jechał w górę patrząc na swoje zabłocone buty i zmięte spodnie. Drzwi rozsunęły się. Ketler wyjął klucz z kieszeni i śpiącym, ociężałym ruchem starał się przekręcić go w zamku. Drzwi nie były zamknięte, ktoś poruszył się w pokoju. Doktor drgnął tak silnie, jakby to nowa, przerażająca błyskawica oświetliła niespodziewanym płomieniem drzwi jego mieszkania. Hanka? Hanka! W tej jednej chwili nieprawdopodobnego przypuszczenia i nadziei zapomniał całą swoją do niej urazę, wszystkie upakarzające przygody nocy, wędrówkę po deszczu, długie czekanie na szofera ciężarówki. Drżał ogarnięty szaloną radością zobaczenia jej, dotknięcia. Już opowiadał jej, śmiejąc, się to wszystko co przeżył przez ostatnie godziny, a ona zażenowana swoim niespodziewanym przyjściem,

czekaniem tu, zaróżowiona od współczucia dla niego, mrużyła oczy w uśmiechu ciepłym, obiecującym i tłumaczyła mu, wyjaśniała... Pchnął drzwi. Na wprost niego stał Karol Piłat. Trzymał ręce skrzyżowane poza sobą i kołysał się lekko, ruchem przypominającym wahadło, jak czasem podczas swoich wykładów, albo, gdy dyskutował problem wymagający głębszego zastanowienia się. Był zawsze chłodno, metodycznie opanowany. Nie unosił się, ani też specjalnie do niczego nie zapalał. Jedynym znakiem widocznym jego podniecenia był ów ruch wahadłowy którym teraz odmierzał Ketlera. Podobny był z typu do Nordyka: suchy, o ściągniętej ascetycznie twarzy i bardzo jasnych włosach, jego czoło było wysokie, nieco wypukłe, a unosząc brwi marszczył je w dwie podłużne brzozy. Jego chłodne, duże, blade niebieskie oczy o szybkim intensywnym spojrzeniu zauważyły doktora pogniecione ubranie, zabłocone buty, obrastające już zarostem policzki i zastanawiały się nad rozpromienioną twarzą, która pod tym spojrzeniem gasła, jakby zawiedziona, ale znów uniosła się prędkim, zdziwiono-radosnym uśmiechem.

— Karol! — zawołał z ożywieniem, które chciał, aby zabrzmiało prawdziwiej, i z radością, która bardziej była zdziwieniem.

— Nie dostałeś mojego listu?

— Nie! Jakiego listu? Co ty tu robisz?

— Czekam od ósmej i zastanawiam się co ty robisz?

— A...

— Telefonowałem do twego profesora, musiałem się tu legitymować, żeby mi otworzyli drzwi.

— No gdybym wiedział...

— Myślałem, że pojechałeś do Bostonu, ale powiedzieli mi: nie. No i widzę jest płaszcz, walizka, teczka...

— Zmokłem, psiakość.

— Widzę.

— Siadaj.

— Nasiedziałem się. Może i nawet spałem. Słuchaj, to już jest...

— No wiem, *sorry*, nie przypuszczałem.

— Co ty — uśmiechnął się — zwiedzasz Amerykę?

— Mniej więcej.

— No i jaka ona była?

— Bardzo interesująca.

— Ładna?

— Oj, Karol...

— Święty to ty nie jesteś. Ale gdzie-żeś ty się tak...?

— Musiałem iść w deszczu, zaskoczyła mnie wieczorem burza.

— Spacerowałeś pod oknem?

Ketler roześmiał się: — Byłem u znajomych, zasiedziałem się.

Zdjął marynarkę, rozwiesił ją na krześle, myślał: gdzie mi to kto odprasuje?

— No dobrze, jak nie chcesz to nie mów.

— Nie to, że nie chcę, ale no... — rozłożył ręce — nic takiego, wypitem kilka Martini, zasiedziałem się... A co z tobą? Od kiedy ty tu...?

— Dziś, właściwie wczoraj wieczór i teraz już niedługo, o ósmej lecimy do Kalifornii.

— Lecimy?

— Mam dla ciebie bilet samolotowy. Wylatujemy ósma rano. Trzeba żebyś sobie pooglądał niektóre ośrodki przed powrotem. Czekaj... najważniejsze! Ty się tam gdzieś włóczysz, a ja mam dla ciebie...

— Co?

— Katedrę.

— Żartujesz! Gdzie?

— Zaraz gdzie? Duże miasto.

— Nie. Nie gorączkuj się, ja ci wszystko opowiem w samolocie. Docenturę zrobisz raz, dwa, a potem będziemy się starać...

— Karol! Ja nie wiem, jak ja mam ci... dlaczego? Cholera, jak mnie to nagle wzięło! Taka wiadomość! Czekaj, musimy pod to...

— Ja ci tam przywiozłem butelki, w mojej teczce. Mieszkanie będziesz miał pierwsza klasa, willa, uważasz, z centralnym ogrzewaniem, łazienka z prysznicem.

— Fantastyczne. Ale dlaczego?

— Co dlaczego? Dlaczego? Twój profesor, ten Amerykanin z kimś tam się spotkał na zjeździe i nie miał słów dla ciebie... zachwycony! Ale to nie to tylko. Po co ja mam obcych pchać?

Adam Ketler był wzruszony. Podszedł do przyjaciela i wyciągnął do niego obie ręce.

— Nie wiem, jak ci mam...

Piłat zapalił papierosa, przymrużył oczy. Jego sucha, poważna i inteligentna twarz była uśmiechnięta, doktor Ketler nie starał się zrozumieć pełnego znaczenia tego uśmiechu. Karol Piłat przestał się już kołysać. Usiadł na fotelu i wpatrzony w czerwony węgielek papierosa, powiedział:

— Ty Adam przy mnie nie zginiesz. Trzymaj się mnie. Przy mnie możesz jeszcze daleko zajść.

— To pod tę katedrę! — Ketler otworzył butelkę i nalał  
zubrówki do szklanek.

— Pod docenturę.

— Pod willę z centralnym! A samochód, Karol, mam! Za-  
łatwiłem przez ambasadę sowiecką.

— To pod ten samochód.

— Pod samochód i nasze kawalerskie!

## Rozdział XI

### 513 CHESTNUT AVENUE — EPILOG

— *Good morning ladies and gentlemen and welcome aboard... please fasten your seat belts, and observe the „No smoking” sign... Bonjour mesdames et monsieurs...*

Oderwała twarz od okna samolotu. Zapięta klamrę pasa. Niebieska i czerwona usuwała jej się spod nóg Ameryka. Na zapinające klamrę palce spadły łyzy. I wtedy usłyszała jego głos poprzez wzrastający szum samolotu:

— Rączki pani doktor całuję...

Mówił coś jeszcze, ale szum w uszach ugniatający i łyzy i płacz bezgłośny podrywający piersi i ramiona i jednocześnie złość: On tu teraz! Akurat on! Co za pech!

Dopiero gdy unieśli się ponad Nowy Jork i dalej, a pod nimi śmieszne zabawki wieżowców, mapa warstwowa tego co było, *souvenir* z podróży, znów go usłyszała.

— Ja panią zaraz zauważyłem, poznałem, chociaż pani tak się zmieniła, wyprzystojniała, ale nie chciałem przeszkadzać, bo pani doktor tak romantycznie zamyślona...

Joasia odwróciła się. Siedział obok niej, zapalał papierosa i ta leniwa, wygodna pewność siebie, uśmiechnięta z uniesieniem brwi nieco kpiącym.

— A pan za to prozaiczny i świetnie wygląda.

— *Home, sweet home...*

— Tylko tego się tu pan nauczył?

— Tego nauczyłem się dużo wcześniej. Dlaczego mnie pani nie lubi?

— Myślę, że z wzajemnością.

— No nie... nie... nie kłóćmy się. Może będę mógł coś pomóc?

— W czym?  
— Pani płakała.  
— Nic podobnego!  
— W takim razie, przepraszam.  
— No to dobrze! Płakałam. Wcale się nie wstydzę. Bo ja nie jestem taka zimna, jak pan. Ja się przywiązuję...  
— Do Ameryki?  
Stewardessa podeszła do nich.

— *Coffee, tea, coca-cola?*  
— *Coke* — powiedziała Joasia.  
— *Tea* — powiedział Adam Ketler.  
— I co się pani doktor tak w tej Ameryce podobało, że aż...  
dobrze, przepraszam.

— Nie dolary!  
— Dlaczego pani się tak zaraz obraża? Mieliśmy dwa trochę niefortunne spotkania, pierwszy raz pani była bardzo...  
— Pan też!

— ... nastrój świąteczny... Ale poważnie, nie wiem czego pani tak tu żałuje? Ja się tak zastanawiałem, co by mnie na przykład, gdyby mi kiedyś to przeszło przez głowę, co by mnie mogło zachęcić do pozostania tutaj?

Spojrzał na nią, milczała niechętnie. Mówił teraz bardziej do siebie niż do niej, jakby raz jeszcze samego siebie przekonując. Był to monolog wygodny, w miękkim ujęciu fotela linii lotniczych Pan American.

— Przyznaję, że mają nadzwyczaj wysoki standart życia. No ale to nie wszystko! Mają doskonałe postawione i wyposażone ośrodki naukowe, największą ilość przeróżnych fundacji na całym świecie z których tylko trzeba wiedzieć, jak ciągnąć. Na jednym ich *parking locie* więcej jest samochodów niż w całej Warszawie, co ja mówię, nie tylko Warszawie! Czego oni tu nie mają! — Roześmiał się sam do siebie, bo Joasia mu nie zawtórowała. — A odkąd wyczytałem gdzieś, że w USA istnieją dentyści dla ptaków, niczemu już się nie dziwię w tym kraju! — Spojrzał na nią rozbawiony. Siedziała zamyślona, nie uśmiechnęła się nawet. — Ale ich mentalność jest mi zupełnie obca. To są na wskroś zmaterializowani ludzie. Uśmiechnięci, uprzejmi i obojętni. Ja tu nie spotkałem człowieka z którym mógłbym mieć naprawdę pełnowartościowy, ludzki kontakt w naszym europejskim, polskim zrozumieniu. A jeżeli nawet, jeśli wydawało mi się... było to tylko złudzenie. I niech pani weźmie tę powojenną emigrację. Przesiąkli tym i nie tylko, że mówią po angielsku, ale myślą kategoriami już tylko amerykańskimi. To są ludzie, proszę



pani doktor, którzy dużo krzyczą i piszą, że użyje ich języka o *inside*, ale tego wnętrza, tego *inside* w nich nie ma.

— To panu niczego nie będzie żal?

— Owszem. Łatwo dostępnego lodu do *drink'ów* i bogactwa odczynników w laboratorium.

Stewardessa postawiła przed nimi papierowe kubeczki: coca-cola dla Joasi, herbata dla Adama Ketlera.

Joasia popijała *coke*. Lód mroził jej usta. Nie odzywała się. Patrzyła przez okno. Doktor wypił herbatę, zapalił papierosa, wyciągnął z teczki notatki, które porobił sobie w ostatnich dwóch tygodniach w czasie objazdów ośrodków uniwersyteckich, zaczął je przeglądać. Samolot płynął spokojnie. Nie było widać już lądu, tylko białe, wełniste morze chmur. Karol Piłat miał wrócić do Polski w lipcu. Już w sierpniu doktor będzie mógł, przyrzekł mu, sprowadzić się do nowego mieszkania, willi z łazienką, prysznicem i centralnym ogrzewaniem. To była ulga. Ketler postanowił w końcu i ostatecznie rozstać się z żoną. Katedra na uniwersytecie młodym jeszcze, ale już zapowiadającym się doskonale i zyskującym sobie uznanie międzynarodowe. To dopiero początek — myślał — ilu ludzi, może i zdolniejszych od niego, marzyć może tylko o takiej karierze. Dlaczego zdolniejszych? A praca? A upór? A stosunki? Ten Piłat... — uśmiechnął się — jak on...

— Wie pan... — powiedziała.

Doktor skrzywił się. Nie miał specjalnej ochoty na rozmowę z nią. Wydawało mu się, że na dłuższy czas zamilkła. Odwrócił się jednak uprzejmie.

— Słucham?

— Wie pan... tak mi przykro, tak się zmartwiłam tą doktor Sanocką... myślę właśnie...

— Dlaczego? — spytał. Odłożył notatki.

— To pan nie wie?

— Nie. — Poczul, że gardło ma ściśnięte.

— Ja myślałam, że pan wiedział, bo wydawało mi się, że... pan...

— Co się stało? — szepnął

— To pan nie czytał gazet w Monumental?

— Nie byłem dwa tygodnie w Monumental! Nie!

— No to pan nie wie, że ona...

— Pani Joasiu... — chwycił ją za rękę — pani Joasiu... co?

— Bardzo ciężki wypadek. Jechała...

— Nie żyje?

— Przez jakiś czas myśleli, że nie przeżyje, wstrząs mózgu, ona taka była nerwowa, jechała pewnie za szybko...

— Żyje...

— Zdaje się, że nawet dużo lepiej, ale jakie to będą skutki, bo...

— Kiedy to było? Kiedy...

— Boże, jak pan się zdenerwował, zaraz, ja panu zapalę papierosa... to zdaje się, jakieś dwa tygodnie temu, przed samym *Memorial Day*. Wie pan, ja jej tak specjalnie nie lubiłam, nie znałam, ale bardzo lubiłam matkę jej i pojechałam się tam pożegnać, na Chestnut Avenue, nawet pamiętam numer: 513. Nie wiedziałam też, nie czytałam gazet. Przychodzę, nic nie wiem, pytam się o nią, a ta matka w płacz! Takie nieszczęście. Chciał nawet dom sprzedawać. Taki śliczny dom. Jak pan się czuje? Może trochę wody? Aspirynę? Dla mnie to też był wstrząs. I wie pan, ciekawe, tego samego wieczora jechaliśmy... i mnie się zdaje, że ja widziałam ten wypadek...

— Gdzie?

— Dokładnie panu nie powiem. Jechaliśmy na północny-zachód, w góry i to było na szosie...

— Nie przypomina pani sobie żadnego szczegółu, żadnych...

— Tak, pamiętam, tam później, dalej był taki piękny, biały motel na górze... Co panu jest, panie doktorze... panie doktorze... proszę pana...

Odwrócił się nagle, gwałtownie, zakrył twarz rękami, ale zaraz poderwał, jakby chciał gdzieś wybiec, wyskoczyć, jego twarz na wprost niej była ściągnięta i biała, rozchyłone dygocące wargi, szepnął:

— Gdzie my...? Gdzie my teraz...?

— Spokojnie... niech pan siada... niech pan się postara uspokoić, zaraz papierosa... aspiryna może... nie? Boże drogi, panie doktorze, panie Adamie, ja wiem, ja też... ja też... niech pan na moje miejsce... o tu, proszę...

— *Ladies and gentlemen. This is the captain. We have just past over Newfoundland at a cruising altitude of 50.000 feet and we are now above the Atlantic Ocean...*

Doktor Ketler przybliżył twarz do szyby samolotu.

Ruxton, Maryland, lipiec 1967

## SPIS ROZDZIAŁÓW

### Część Pierwsza

I. <i>Chestnut Avenue</i> — Prolog .....	9
II. 513 <i>Chestnut Avenue</i> — Akt Pierwszy .....	25
III. Joasia znajduje enzym .....	53
IV. 513 <i>Chestnut Avenue</i> — Akt Drugi .....	75
V. System doktora Ketlera .....	102
VI. Ja za wodą, ty za wodą... ..	121

### Część Druga

VII. 513 <i>Chestnut Avenue</i> — Akt Trzeci .....	171
VIII. „BE TE NA PE” .....	193
IX. Gdy wieje wiatr z Zachodu .....	241
X. Przy highway nie ma drogi dla pieszych .....	261
XI. <i>Chestnut Avenue</i> — Epilog .....	287



PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW  
BIBLIOTEKI «KULTURY»

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL ..... 1984 (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ ..... *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?* (wyczerpane)
5. Czesław MIŁOSZ ..... *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ. *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI ... *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ ..... *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ ..... *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI ... *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON ..... *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE ..... *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI ..... *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK ..... *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ ..... *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ ... *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Stanów Zjednoczonych*
24. Aleksander HERTZ .... *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL ..... *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)

26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan ĐILAS ..... *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)
28. Marek HŁASKO ..... *Cmentarze. Następny do raju* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOŚZ ..... *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*  
(wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK .... *W polu*
32. Howard FAST ..... *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*
34. Albert CAMUS ..... *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM ..... *Revolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH . *Rok złych wrózb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriliane wrodzennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI .. *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński*  
*Sw. Hordyńskiego* (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI. *Syn zadżumionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii*  
(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOŚZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”, Ze-  
szyt 6)
42. Marek HŁASKO ..... *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultu-  
ry”*
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago* (Trzy wydania) (wyczer-  
pane)
45. Wacław LEDNICKI .... *Glossy Kraszińskiego do apologetyki rosyj-  
skiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC ..... *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistycz-  
ny?* (wyczerpane)
47. Tibor DÉRY ..... *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”, Ze-  
szyt 7)
49. Wacław IWANIUK .... *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOŚZ ..... *Rodzinna Europa* (wyczerpane)
51. Gustaw HERLING-GRU-  
DZIŃSKI ..... *Skrzydła ottarza*
52. Halszka GUILLEY-  
CHMIEŁOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI ..... *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia. Wyd. I,* (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI ..... *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-  
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOŚZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)

60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ ..... *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*  
Róża Luksemburg ..... *Rewolucja Rosyjska (Seria „Dokumenty”,  
Zeszyt 9) (wyczerpane)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i  
Bolesław SULIK ..... *Polacy w Wielkiej Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN .... *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ .... *Żydzi w kulturze polskiej (wyczerpane)*
67. Andrzej STAWAR ..... *Pisma ostatnie (Seria „Dokumenty”, Ze-  
szyt 10) (wyczerpane)*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC ..... *Fantastyczne Powieści (wyczerpane)*
71. I. IWANOW ..... *Jest li ziemia na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski. Cz. I.*
73. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza (Poezje) (wyczerpane)*
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze (wyczerpane)*
76. Józef CZAPSKI ..... *Na nieludzkiej ziemi (wyczerpane)*
77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER ..... *Od Witosy do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ ..... *Król Popiel i inne wiersze (wyczerpane)*
80. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi) (wyczer-  
pane)*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-61) (wyczerpane)*
82. Milovan DŽILAS ..... *Rozmowy ze Stalinem (wyczerpane)*
83. Jerzy MOND ..... *6 lat temu... (Kulisy Polskiego Październi-  
ka) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty)  
(wyczerpane)*
84. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT ..... *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO ..... *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA ..... *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia  
(wyczerpane)*
89. Witold JEDLICKI ..... *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”,  
Zeszyt 12-ty)*
90. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
91. Abram TERC ..... *Lubimow (wyczerpane)*
92. — ..... *We własnych oczach. Antologia współczesnej  
literatury sowieckiej*
93. Gustaw HERLING-GRU-  
DZIŃSKI ..... *Drugie przyjscie oraz inne opowiadania i  
szkice*

94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962* (wyczerpane)
95. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO ..... *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii* (wyczerpane)
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje) (wyczerpane)
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami* (Poezje) (wyczerpane)
99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia. Tom I/III.*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
101. Jan BIELATOWICZ .... *Gaude Mater Polonia* (wyczerpane)
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm* (wyczerpane)
107. Abram TERC ..... *Myśli niespodziewane*
108. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my)
109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI ..... *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRU-DZIŃSKI ..... *Inny świat* (wyczerpane)
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos. Wyd. I,* (wyczerpane)
113. Borys LEWICKIYJ ..... *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ .... *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN .... *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ ..... *Gucio zaczarowany* (Poezje) (wyczerpane)
117. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)
120. Mikołaj ARŻAK ..... *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER .... *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER ..... *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
123. Piotr GUZY ..... *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (wyczerpane)
124. — ..... *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)
125. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*



127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty) (wyczerpane)
128. Marek HŁASKO ..... *Piękni, dwudziestoletni* (wyczerpane)
129. Borys LEWYCKIJ .... *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI ..... *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI .... *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty) (wyczerpane)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka* (wyczerpane)
139. Aleksander HERTZ .... *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER ..... *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ ..... *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIĄZEK ..... *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ .... *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry* (wyczerpane)
149. Galina SIERIEBRIAKOWA ..... *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
150. Swietlana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI ..... *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
152. Leopold TYRMAND .... *Życie towarzyskie i uczuciowe* (wyczerpane)
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)
155. Czesław DOBEK ..... *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK .... *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ ... *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-szy)
158. Alicja IWAŃSKA ..... *Świat przetłumaczony*
159. Piotr GUZY ..... *Stan wyjątkowy*

160. Julian KULSKI ..... *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi)
161. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty)
162. Andrzej SACHAROW .. *Rozmyślenia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci) (wyczerpane)
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI . *Apelacja*
164. Eugenio REALE ..... *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty)
165. Stanisław WYGODZKI . *Zatrzymany do wyjaśnienia*
166. Henryk GRYNBERG .. *Zwycięstwo*
167. — ..... *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty)
168. Dominique DE ROUX . *Rozmowy z Gombrowiczem*
169. Iwan KOSZELIWEC ... *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty)
170. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty)
171. Kazimierz WIERZYŃSKI *Sen mara* (Poezje)
172. — ..... *Polskie Przedwiośnie. Dokumentów marcowych T. II — Czechosłowacja* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27) (wyczerpane)
173. Józef MACKIEWICZ .. *Nie trzeba głośno mówić* (Powieść)
174. Andrzej BUSZA ..... *Znaki wodne* (Poezje)
175. Gustaw HERLING-GRU-  
DZIŃSKI ..... *Upiory rewolucji* (Eseje)
176. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16-ty)
177. Czesław MIŁOSZ ..... *Widzenia nad zatoką San Francisco*
178. Czesław MIŁOSZ ..... *Miasto bez imienia* (Poezje)
179. Paulina PREISS ..... *Biurokracja totalna*
180. — ..... *Komunizm z ludzką twarzą* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 28-my) (wyczerpane)
181. Witold GOMBROWICZ . *Ferdynurke* (T. I. „Dzieł Zebranych”)
182. Franciszek KALINOWSKI *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii* (1940-1945)
183. Władysław BIEŃKOWSKI *Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 29-ty)
184. — ..... *Znasz-li ten kraj?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 30-ty)
185. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 17-ty)
186. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyck* (T. II. „Dzieł Zebranych”)
187. Aleksander SOŁŻENICYN *Krąg Pierwszy* T. I. i II. (wyczerpane)
188. Sławomir MROŻEK .... *Dwa listy i inne opowiadania*
189. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia* (T. III. „Dzieł Zebranych”)
190. Andrej AMALRIK .... *Czy Związek Sowiecki przetrwa do r. 1984?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 31-y) (wyczerpane)
191. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos* (T. IV. „Dzieł Zebranych”)
192. — ..... *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 18-ty)

193. Władysław BIEŃKOWSKI *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 32-gi)
194. Andrzej BOBKOWSKI . *Coco de Oro. Szkice i opowiadania*
195. Juliusz MIEROSZEWSKI *Modele i praktyka*
196. Tadeusz NOWAKOWSKI *Happy-End*
197. — *Głosy stamtąd* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 33-ci)
198. O. N. BURBA-KOCHAŃSKI ..... *List do emigranta* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 34-ty)
199. Tomasz STALIŃSKI ... *Cienie w pieczarze*
200. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 19-ty)
201. Bogdan CZAYKOWSKI . *Point-no-point* (Poezje)
202. — *Poznań 1956 - Grudzień 1970* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 35-ty)
203. Aleksander SOŁŻENICYN *Oddział chorych na raka*
204. Witold GOMBROWICZ . *Teatr* (T. V. „Dzieł Zebranych”)
205. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (I) 1953-1956* (T. VI „Dzieł Zebranych”)
206. Władysław BIEŃKOWSKI ..... *Drogi wyjścia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 36-ty)
207. Danuta Irena BIEŃKOWSKA ..... *Pieśń suchego języka* (Poezje)
208. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 20-ty)
209. Władysław BIEŃKOWSKI ..... *Socjologia kłeski* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 37-my)
210. Jerzy STEMPOWSKI (Paweł HOSTOWIEC) *Od Berdyczowa do Rzymu*
211. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (II) 1957-1961* (T. VII „Dzieł Zebranych”)
212. Janusz SZPOTAŃSKI .. *Satyra podziemna*
213. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (III) 1961-1966* (T. VIII „Dzieł Zebranych”)
214. Ewa WACOWSKA (opr.) *Rewolta szczecińska i jej znaczenie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 38-y)
215. Czesław MIŁOSZ ..... *Prywatne obowiązki*





ACHEVE D'IMPRIMER  
LE 15 FEVRIER 1972  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>)

Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1972





II: 468980





Odkwaszone  
19-09-2008

---

Kultura  
Rangi, 26.VI.72

**F 30 (dol. 6,50 ; £ 2.50)**